

**Terry Brooks**

**Nadworny Czarodziej**

*(Wizard at Large)*

*Przełożył Robert Rogala*

*Na to młody człowiek wypuścił szklanę z ręki i spojrzał na Keawe jak upiór.*

*– Cena – rzekł – cena! Nie wiesz pan, jaka jej cena?*

*– Dlatego właśnie pytam – odparł Keawe. – Ale dlaczego jest pan taki przerażony? Czy z ceną jest coś nie w porządku?*

*– Od pańskich czasów flaszka znacznie spadła w cenie, panie Keawe – rzekł młody człowiek, jękając się.*

*– Dobrze, tym mniej za nią zapłacę – rzekł Keawe. – Ileż kosztuje teraz?*

*Młody człowiek stał się biały jak prześcieradło.*

*– Dwa centy – rzekł.*

*– Co?! – krzyknął Keawe. – Dwa centy?! A więc może pan ją sprzedać tylko za jednego. Ten zaś, kto ją kupi... – słowa zamarły Keawe na ustach – kto ją kupi, ten nie będzie mógł jej sprzedać, flaszka i jej diablik pozostaną przy nim aż do śmierci, a gdy umrze, pójdzie na samo ogniste dno piekieł!...*

Robert Louis Stevenson,

*Diablik we flaszcze*

ze zbioru opowiadań

*Opowieści nocne.*

## KICHNIĘCIE

Ben Holiday westchnął ciężko i zapragnął znaleźć się w jakimś innym miejscu. Chciał być teraz gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Znajdował się w sali ogrodowej w Sterling Silver. Z wszystkich zamkowych pomieszczeń Ben Holiday chyba najbardziej lubił właśnie salę ogrodową. Było tu jasno i przestronnie.

Skrzynki z kwiatami przecinały posadzkę wzdłuż i w poprzek, tworząc oszałamiającą paletę barw. Słońce wpadało przez sięgające samej podłogi okna, które bez reszty wypełniały całą południową ścianę. W szerokich smugach światła tańczyły drobinki pyłu kwiatowego. Okna były szeroko otwarte i aromatyczne zapachy swobodnie napływały do wnętrza.

Pomieszczenie wychodziło na ogród – labirynt klombów i krzaków ciągnący się w dół aż do jeziora, na którego środku znajdowała się wyspa z owym zamkiem. Kolory łączyły się i mieszały ze sobą jak farby spływające po nasączonym wodą płótnie. Kwiaty kwitły tu przez okrągły rok, odradzając się z godną uwagi regularnością. Ogrodnik ze starego świata Bena zrobiłby wszystko, aby móc oglądać takie skarby, gatunki, które rosły tylko w królestwie Landover.

Jednakże Ben w tej chwili zrobiłby wszystko, aby stąd uciec.

– ...wielki władco...

– ...potężny władco...

Znajome błagalne wezwania podziały na jego nerwy jak tępa piła i jeszcze raz przypomniały mu powód jego niezadowolenia. Zwrócił na chwilę oczy ku niebu. Proszę! Niespokojnie przeniósł swój wzrok z kwiatów w skrzynce na klomb i ponownie na skrzynkę, jak gdyby żywił nadzieję, że te drobne płatki pomogą mu w ucieczce, której tak rozpaczliwie pragnął. Oczywiście nie pomogły, więc osunął się jeszcze bardziej w swoim miękko wyścielanym krześle i zaczął kontemplować całą tę niesprawiedliwość. Tu nie chodziło o uchylanie się od swoich obowiązków. Nie można też było powiedzieć, że te sprawy go nie obchodzą. Ale, do licha, to miejsce stało się jego schronieniem! A przecież miał tu spędzać czas wolny od obowiązków!

– ...i zabrali całe nasze zapasy zbieranych w pocie czoła jagód.

– I wszystkie nasze beczułki z piwem.

– Podczas gdy my pożyczaliśmy tylko kilka kur, wielki władco.

– Mieliliśmy oddać te, które zginęły, wielki władco.

– Nie mieliśmy zamiaru nikogo oszukiwać.

– Naprawdę.

– Musisz dopilnować, aby zwrócono nam naszą własność...

– Tak, panie, musisz...

Ciągnęli tak dalej, milnąc tylko na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza.

Ben spojrział na Fillipa i Sota w taki sposób, w jaki jego ogrodnik patrzy na chwasty na klombach. Gnomy dodomy wciąż plotły bez żadnego skrępowania, a on tymczasem myślał o niespodziankach, jakie sprawia mu los, pozwalając, aby nękały go takie nieszczęścia jak to. Gnomy dodomy były bandą żalonych stworzeń; małe, podobne do lisów, żebrały, pożyczaly, a najczęściej kradły wszystko, co im wpadło w ręce. Prowadziły wędrowny tryb życia, ale kiedy już raz się osiedliły na stałe, to trudno je było przepędzić. Powszechnie były uznawane za plagę tej krainy. Z drugiej jednak strony okazały się w przeszłości niezwykle lojalne wobec Bena.

Kiedy zakupił królestwo Landover, korzystając z oferty świątecznego katalogu domu towarowego Rosena, i przybył do doliny (przed prawie dwoma laty), Phillip i Sot byli pierwszymi, którzy złożyli mu przysięgę wierności w imieniu wszystkich gnomów dodomów. Okazali mu także pomoc, kiedy nie bez trudu ustanawiał swoje panowanie. I znowu mu pomogli, gdy Meeks, poprzedni nadworny czarodziej, wśliznął się do Landover i skradł mu tożsamość oraz tron. Dochowali mu wierności także wówczas, gdy takich przyjaciół potrzebował najbardziej.

Westchnął głęboko. Owszem, był im coś dłużny, ale z pewnością nie aż tak wiele. Oni natomiast bezceremonialnie wykorzystywali jego przyjaźń. Frymarczyli nią, jak tylko mogli, aby ominąć utarte drogi dworskiej administracji, której zorganizowanie kosztowało go tyle wysiłku, i aby móc wreszcie osobiście złożyć mu swoją skargę. Potrząsali tą przyjaźnią jak płonąca pochodnią, aż go wytropili w jego ostatnim sanktuarium. Nie narzekałby zbyt, gdyby nie robili tego dosłownie za każdym razem, przychodząc z jakąś skargą, ale czasami miał wrażenie, że to się zdarza co pięć minut. Nie wierzyli, że ktoś inny może być bezstronny i sprawiedliwy.

Chcieli być wysłuchani przez swojego „wielkiego władcę”, ich „potężnego pana”.

Wysłuchać ich, jeszcze raz ich wysłuchać...

– ...sprawiedliwości stałoby się zadość, gdybyś zarządził zwrot wszystkich skradzionych rzeczy i wymianę wszystkich zniszczonych – powiedział Phillip.

– Sprawiedliwie byś uczynił, gdybyś rozkazał kilkudziesięciu trollom, aby służyli nam przez jakiś stosowny okres – oznajmił Sot.

– Na przykład tydzień lub dwa – dopowiedział Phillip.

– A może miesiąc – dodał Sot.

Rzecz nie byłaby taka przykra, gdyby nie to, że oni sami stwarzali większość tych problemów, pomyślał zasepiony Ben.

Trudno było mu zachować obiektywizm lub życzliwość, wiedząc, jeszcze zanim którykolwiek z nich otworzył usta, że byli co najmniej w takim samym stopniu winni zaistnienia tej sytuacji, co ten, na którego przyszli skarżyć.

Phillip i Sot nie przerywali swego trajkotania. Ich brudne twarze krzywiły się w trakcie mówienia, a oczy mrużyły w świetle. Pokrywające ich futra były pomarszczone i wytarte.

Wymachując rękami, zginali i prostowali palce, z których odrywały się kawałki brudu

przylepionego pod paznokciami od drapania w ziemi. Wyświechtane ubrania z materiału na worki wisiały na nich i stanowiły bezbarwne tło dla jednego, absurdalnego czerwonego pióra wetkniętego za opaski ich czapek. Byli żywymi wrakami, które morze dziwnym trafem wyrzuciło na brzeg życia Bena.

– Jakaś danina mogłaby zadośćuczynić naszym stratom – mówił Phillip.

– Może upominek ze srebra lub złota – zawtórował Sot.

Ben pokręcił głową zrozpaczony. Tego było już za wiele.

Miał już im przerwać, kiedy zupełnie nieoczekiwanie pojawił się Questor Thews, wyręczając go w tym. Nadworny czarodziej wpadł przez drzwi pokoju jak wystrzelony z gigantycznej procy. Jego ręce zamiatały powietrze, a białą brodę i długie włosy rozwiewał pęd wiatru. Szara szata pokryta kolorowymi łatami zdawała się rozpaczliwie nadążać za swoim właścicielem.

– Udało mi się! Udało! – obwieścił bez żadnych wstępów.

– Cały pałał podnieceniem. Jego sowa twarz promieniowała radością z powodu odniesionego sukcesu. Nie zwracał uwagi na obecność gnomów, które na szczęście urwały swoje wywody w pół zdania i gapiły się na niego z otwartymi ustami.

– Co ci się udało? – zapytał delikatnie Ben. Nauczył się hamować swój entuzjazm, gdy miał do czynienia z Questorem, bardzo często bowiem uczucie to okazywało się zbędne.

– Z wszystkich rzeczy, które Questor uważał za ukończone, przeciętnie około połowy było tak naprawdę w pełni zrealizowanych.

– Czary, królu! Znalazłem odpowiednie czary! Udało mi się w końcu znaleźć sposób na... – Przerwał, podnosząc ręce, jakby coś właśnie zdecydował. – Nie, poczekajmy chwilę! To muszą usłyszeć także inni. Muszą być przy tym wszyscy nasi przyjaciele. Pozwoliłem już sobie po nich posłać. To potrwa tylko kilka krótkich... To takie wspaniałe... O, już są!

W drzwiach pojawiła się Willow, jak zwykle olśniewająca, piękniejsza od wszystkich kwiatów wokół niej. Kiedy wśliznęła się do wypełnionego słońcem pomieszczenia, zaszeleściły białe jedwabie i ciągnące się za jej wiotkim kształtem koronki. Spojrzała w kierunku Bena i jej bladozielona twarz obdarzyła go tym wyjątkowym, tajemniczym uśmiechem, który był zarezerwowany tylko dla niego. Bajkowa istota z krainy czarów, efemeryczna jak ciepło popołudniowego powietrza. Tuż za nią nadeszły koboldy, Bunion i Parsnip, energicznie przenosząc swoje sękaty ciała. Pomarszczone, małpie twarze uśmiechały się z powątpiewaniem, spoglądając z nieufnością i szczerząc naokoło zęby. Również istoty bajkowe, choć ich wygląd wyczarowany został raczej z jakiegoś koszmaru niż bajki. Jako ostatni przybył Abernathy, rozsiewając blask swoją purpurowo-złotą szatą nadwornego pisarza. Już nie bajkowa postać, lecz miękkołosy wheaten terier, który wciąż uważał siebie za człowieka, trzymając swe psie ciało w pionowej, pełnej godności pozycji. Jego myślące oczy rzuciły z miejsca piorunujące spojrzenie w kierunku zniechęconych, mięsożernych gnomów dodomów.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym przebywać w tym samym pomieszczeniu co te odrzydliwe stworzenia... – zaczął pełen oburzenia, ale umilkł na widok zbliżającego się z rozłożonymi ramionami Questora Thewsa.

– Stary przyjacielu! – powitał go wylewnie czarodziej. – Abernathy, mam dla ciebie doskonale wiadomości! Chodź, chodź!

Chwycił Abernathy'ego i pchnął na środek pokoju. Abernathy patrzył na czarodzieja, nie rozumiejąc, co się dzieje.

W końcu zdołał wyzwolić się z jego uchwytu.

– Czyś utracił rozum? – zawołał, starając się wygładzić dłonią pomiętą odzież. Jego pysk drgał z wściekłości. – Co ma znaczyć to „stary przyjacielu”? O co ci chodzi tym razem, Questorze?

O coś, czego nawet nie potrafisz sobie wyobrazić! – Czarodziej z podniecenia zatarł ręce i skinął na wszystkich, aby się zbliżyli. Podeszli bliżej. Głos Questora zmienił się w szept. – Abernathy, gdybyś miał powiedzieć, czego najbardziej pragniesz, co to by było?

Pies wpatrywał się w niego. Spojrzał przez moment na gnomy dodomy, potem z powrotem na czarodzieja.

– Ile mogę mieć życzeń?

Czarodziej uniósł swe kościste ręce i oparł je delikatnie na ramionach pisarza.

– Abernathy – wymówił imię skryby, wypuszczając jednocześnie powietrze – odkryłem czary, które zmieniają cię z psa z powrotem w człowieka!

Zapanowała głucha cisza. Wszyscy znali historię, jak to kilka lat temu Questor za pomocą czarów zmienił Abernathy'ego z człowieka w psa, aby uchronić go przed złośliwościami syna starego króla, kiedy ten utrapieniec był w jednym ze swoich najgorszych humorów. Od tego czasu czarodziej nie był w stanie cofnąć czaru. Abernathy żył więc jako niby-pies, któremu z człowieka zostały ręce i głos, zawsze jednak żywił nadzieję na to, że pewnego dnia znajdzie się sposób na przywrócenie mu jego ludzkiej postaci. Od tego dnia zasmucony Questor na próżno szukał odpowiednich zaklęć, twierdząc często, że znalazłby się na to sposób, gdyby wpadły mu w ręce pewne magiczne księgi schowane przez Meeksa przed wyjazdem z Landover. Księgi te jednak uległy zniszczeniu przy ich wydobyciu i od tego czasu niewiele się słyszało na ten temat.

Abernathy odchrząknął.

– Czy to tylko twoja zbyt bogata wyobraźnia, czarodzieju? – zapytał ostrożnie. – Czy też naprawdę jesteś w stanie mnie odczarować?

– Mogę cię odczarować! – oświadczył Questor, energicznie potrząsając głową. Przerwał na chwilę. – Tak sądzę.

Abernathy odsunął się.

– Sądzisz?

– Chwileczkę! – Ben zeskoczył z krzesła i znalazł się między nimi najszybciej, jak tylko mógł. Niewiele brakowało, aby się potknął i przewrócił o skrzynkę z gardeniami, próbując zapobiec rozlewowi krwi. Wziął głęboki oddech. – Questorze. – Odczekał chwilę, aż oczy tamtego skupiły się na nim. – Myślałem, iż ten rodzaj czarów przekracza twoje możliwości. Myślałem, że kiedy straciłeś księgi czarów, straciłeś też szanse na doskonalenie sztuki opanowanej przez twoich poprzedników, nie mówiąc już o próbach...

Metoda prób i błędów, królu! – szybko przerwał tamten. – Próby i błędy! Po prostu rozwijałem to, co znałem, posuwając się krok po kroku, ucząc się coraz więcej i więcej, aż nauczyłem się wszystkiego. Przez cały czas, aż do teraz, ćwiczyłem się w tym zaklęciu i w końcu je opanowałem!

– Tak sądzisz – poprawił go Ben.

– No tak...

– To strata czasu, jak zwykle! – warknął Abernathy. Odwrócił się i już miał ruszyć ku wyjściu, ale drogę zagradały mu gnomy dodomy, które cisnęły się jak najbliżej, aby móc lepiej słyszeć. Abernathy odwrócił się. – Rzecz w tym, że tobie nigdy nic nie wychodzi!

– Bzdura! – wrzasnął nagle Questor, uciszając wszystkich obecnych. Wyprostował się. – Pracowałem nad tym zaklęciem przez dziesięć długich miesięcy, od dnia, w którym stare księgi czarów zostały ukryte przez Meeksa, od tego właśnie dnia! – Jego przenikliwe spojrzenie zatrzymało się na Abernathym. – Wiedziałem, ile to może znaczyć dla ciebie. Poświęciłem cały swój czas, aby wreszcie znaleźć to zaklęcie i umożliwić ci powrót do ludzkiej postaci. Sprawdziłem już to zaklęcie na małych zwierzętach z pełnym powodzeniem.

– Wszystkie próby dowodzą, że jest to możliwe do przeprowadzenia. Pozostaje mi tylko spróbować tego na tobie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Jedyne dźwięki, jakie dało się słyszeć w pokoju, to bzyczenie trzmiela, który latał od jednej skrzynki z kwiatami do drugiej. Abernathy patrzył na Questora z niedowierzaniem i nie odzywał się. W jego oczach odbijał się brak wiary, ale czaiła się w nich również mgiełka nadziei.

– Sądzę, że powinniśmy pozwolić Questorowi, aby dokończył swój wywód – zabrała w końcu głos Willow, stojąca przez cały czas z boku, bacznie wszystko obserwując.

– Zgadzam się – Ben zaaprobował propozycję sylfidy. – Opowiedz nam całą resztę, Questorze.

Questor spojrział obrażonym wzrokiem.

– Resztę? Jaką resztę? To już wszystko, co mam wam do powiedzenia. Dziękuję, chyba że chcecie dowiedzieć się o technicznych szczegółach dotyczących zaklęcia, których i tak wam nie zdradzę, ponieważ nie jesteście w stanie ich rozumieć. Opracowałem sposób na przemianę psa w człowieka i to wszystko! Jeśli chcecie, abym użył tego zaklęcia, proszę bardzo! Jeśli nie –

zapomnę o całej tej sprawie i już!

– Questorze... – zaczął uspokajająco Ben.

– To naprawdę niebywałe, wielki władco. Pracuję ciężko nad odkryciem trudnego i nieuchwytnego procesu, a na powitanie spotykają mnie zniewagi, drwiny i oskarżenia! Pytam samego siebie: jestem nadwornym czarodziejem czy nie? Zdaje się, że istnieją co do tego jakieś wątpliwości!

– Ja tylko zapytałem... – zaczął Abernathy.

– Nie, nie musisz przepraszać za szczerość swoich uczuć! – Questor Thews najwyraźniej rozsmakował się w roli męczennika. – Historia uczy, że wszyscy wielcy ludzie byli nie rozumiani. Niektórzy nawet oddali życie za swoje przekonania.

– Posłuchaj! – Ben zaczynał tracić cierpliwość.

– Nie chcę przez to powiedzieć, iżbym uważał, że moje życie jest w jakimś stopniu zagrożone – dodał pośpiesznie Questor. – Chodziło mi tylko o ukazanie problemu. Hm! Pozostaje mi tylko ponownie oznajmić, że przeanalizowałem proces przemiany i w każdej chwili mogę użyć zaklęcia, jeśli taka będzie wasza wola. To tyle. Znaie już wszystkie fakty. – Nagle przerwał. – Och, poza jednym.

Po sali rozeszły się pomruki niezadowolenia.

– Poza jednym? – powtórzył Ben.

Questor pociągnął się za jedno ucho, trochę zakłopotany, i odchrząknął.

– Jedna mała sprawa, wielki władco. Do zaklęcia potrzebny jest katalizator do przekształcania wymiarów, ale tego urządzenia nie mam.

– Wiedziałem... – powiedział półgłosem Abernathy, wydając z siebie ciężkie westchnienie.

– Istnieje jednak alternatywa – ciągnął pośpiesznie Questor, ignorując tamtego. Odczekał chwilę i wziął głęboki oddech. – Moglibyśmy użyć medalionu.

Ben spojrzał na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Medalionu? Jakiego medalionu?

– Twojego medalionu, królu.

– Mojego medalionu?

– Musiałbyś go zdjąć, wielki władco, i dać Abernathy'emu tylko na czas transformacji.

– Mój medalion?

Questor wyglądał jak człowiek, który wie, że lada moment zawali się na niego sufit.

– To przecież potrwa tylko kilka chwil? Potem król będzie mógł z powrotem zabrać swój medalion.

– Z powrotem. Świetnie. – Ben nie wiedział już, czy się śmiać, czy płakać. – Questorze, niedawno spędziliśmy długie tygodnie na szukaniu tej przeklętej rzeczy, która tak naprawdę w ogóle nie zginęła, a teraz chcesz, abym ją zdjął? Sądziłem, że już nigdy nie będę musiał tego



zdejnować. Czy to nie ty zapewniałeś mnie o tym niejednokrotnie? Czyż nie było tak?

– No, tak...

– A co będzie, jeśli się coś nie powiedzie i medalion zostanie zniszczony lub się zgubi? Co wtedy? – Ben zaczął się nagle czerwienić. – Co będzie... co będzie, jeśli z jakiegoś powodu Abernathy nie będzie mógł mi go oddać? To najbardziej nieprzemyślany pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem, Questorze! Nad czym się tak teraz zastanawiasz?

W trakcie tego wybuchu niezadowolenia wszyscy się nieco cofnęli i teraz Ben stał sam z czarodziejem pośród skrzynek z kwiatami. Questor ani drgnął, ale wcale nie wyglądał na spokojnego.

– Gdyby istniała jakaś inna możliwość, panie...

– Więc, do licha, ją znajdź! – uciął krótko Ben. Chciał mówić dalej, ale zamiast tego przerwał i spojrzał na pozostałych. – Czy waszym zdaniem ma to jakiś sens? Abernathy? Willow?

Abernathy nie odpowiedział.

– Myślę, Ben, że powinieneś spokojnie rozważyć, jakie ponosisz ryzyko – powiedziała w końcu Willow.

Ben wziął się pod boki, popatrzył po kolei na każdego, po czym, wciąż nic nie mówiąc, skierował wzrok na znajdujący się za nim ogród. Miał się zatem zastanowić nad ryzykiem.

Cóż, ryzykował utratę rzeczy, która uczyniła go królem Landover i pozwalała mu tutaj dalej panować. To dzięki medalionowi mógł wzywać Paladyna, błędnego rycerza, który jako szermierz i obrońca króla już nie raz miał okazję udowodnić swoje zalety. Również za pomocą medalionu mógł przedostawać się z Landover do innych światów, łącznie z tym, z którego przybył. Właśnie to ryzykował! Bez medalionu żyłby w ciągłym strachu, że stanie się łatwym łupem dzikich psów!

Prawie natychmiast pożałował tego ostatniego porównania. Było nie było, Abernathy ryzykował równie wiele, a mianowicie dalsze pieskie życie.

Zasepił się. Dzień, który nie zapowiadał niczego szczególnego, zaczął przynosić coraz więcej sytuacji zwiastujących kłopoty. Odżyła w nim pamięć minionych dni. Przed dziesięcioma miesiącami został oszukany, a jego największy wróg, stary czarodziej Meeks, o którym sądził, że przebywa na wygnaniu, zdołał podstępem przedostać się do Landover.

Meeks, za pomocą swoich potężnych czarów, pozbawił go tożsamości i tronu, a co ważniejsze, zdołał utwierdzić Bena w przekonaniu, że ten rzeczywiście stracił swój medalion.

W końcu rozprawili się ze starym wrogiem, ale niewiele brakowało, a Willow i Ben przypłaciliby to życiem. Teraz, kiedy znowu był królem, bezpieczny na swych włościach w Sterling Silver, mając pod kontrolą wszystkie sprawy królestwa, realizując pomyślnie programy polepszenia bytu, nagle pojawia się znowu Questor Thews ze swoimi czarami! Niech to szlag trafi!

Zapatrzył się na kwiaty. Gardenie, róże, lilie, hiacynty, stokrotki i dziesiątki innych znanych gatunków oraz hektary trawników i winnych latorośli – wszystko to rozpościerało się przed nim niczym olbrzymi patchwork nasączony zapachami, miękki niczym puch. Jakże było tutaj spokojnie. Nieczęsto było mu dane cieszyć się tym ogrodem. Był to jego pierwszy poranek od wielu tygodni. Dlaczego oni nie dają mi spokoju?

Ponieważ jesteś królem, oczywiście, odpowiedział sam sobie. Nie bądź głupi. To nie jest zwykła praca w biurze od dziewiątej do piątej. Wiedziałeś o tym, porzucając swoją posadę wziętego adwokata w Chicago i starając się zostać władcą Landover, królestwa czarodziejskich i bajkowych istot, nie leżącego ani w pobliżu Chicago, ani też żadnego innego miejsca, o którym kiedykolwiek ktoś słyszał. Wiedziałeś o tym, decydując się na całkowitą zmianę swojego życia, aby nikt nie mógł rozpoznać w tobie osoby, jaką byłeś w swoim starym świecie. Pragnąłeś zmienić dosłownie wszystko i dlatego tutaj przybyłeś. Chciałeś uciec przed bezsensownością bycia tym, kim się stałeś: zgorzkniałym i unikającym ludzi wdowcem, rozczarowanym adwokatem, dla którego zawód stracił cały swój urok. Pragnąłeś zmiany wystawiającej cię na próbę i nadającej twemu życiu sens. To wszystko znalazłeś tutaj. Na próby byłeś jednak wystawiany nieprzerwanie, niezależnie od miejsca i czasu, pragnień i wymagań. Wyzwanie było rzucane wszędzie, zawsze nowe, zawsze odmienne, a ty rozumiałeś to i rozkoszowałeś się tym, że musisz mu sprostać.

Westchnął. Czasami było to jednak trochę męczące.

Zdawał sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą i czekają, aż coś zrobi. Wziął głęboki oddech, wciągnął mieszankę zapachów, którymi przepełnione było popołudniowe powietrze i odwrócił się. Ostatnie wątpliwości zniknęły. Tak naprawdę sytuacja ta nie była aż tak trudna. Czasami wystarczyło tylko zrobić to, co uchodziło za słuszne.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam za swój wybuch – powiedział. – Questorze, jeśli potrzebujesz medalionu do swoich czarów, to możesz go wziąć. Willow powiedziała, że trzeba rozważyć rozmiary ryzyka. Każde ryzyko jest warte podjęcia, aby pomóc Abernathy'emu powrócić do pierwotnej postaci. – Zwrócił się do pisarza. – Co o tym sądzisz, Abernathy? Chcesz spróbować?

Abernathy nie był zdecydowany.

– Nie wiem, panie. – Przerwał, zamyślił się, przez moment patrzył na swoje ciało, potem pokręcił głową i podniósł wzrok.

– Po chwili skinął głową. – Tak, królu. Chcę.

Doskonale! – wykrzyknął Questor Thews, podchodząc do niego bliżej. Pozostawali wyrażali swoją aprobatę pomrukami, syczeniem i westchnieniami – To nie potrwa długo. Abernathy, stań pośrodku sali, a reszta niech stanie za mną. Ustawiał ich we właściwych miejscach, okazując cały czas wielkie podniecenie. – A teraz, królu, proszę dać Abernathy'emu medalion.

Ben sięgnął po medalion, ale się zawahał.

– Czy jesteś pewny, że wszystko się uda, Questorze?

– Zupełnie pewny, panie. Wszystko będzie dobrze.

– Wiesz, że bez medalionu nie mogę mówić ani pisać po landoveriańsku!

Questor podniósł szybko dłonie w uspokajającym geście.

– Proszę się nie przejmować, panie. Ten problem może rozwiązać proste zaklęcie. – Wykonał kilka gestów, zamruczał coś i pokiwał głową z zadowoleniem. – Już. Teraz możesz go zdjąć.

Ben westchnął, zdjął medalion i przekazał go Abernathy'emu. Abernathy włożył go ostrożnie na swoją kudłatą szyję. Medalion spoczął na tunice. Przedstawiał promień, który odrywając się od wypolerowanej, srebrnej powierzchni słońca, tworzy postać rycerza na koniu, opuszczającego o wschodzie zamek na wyspie. Była to podobizna Paladyna wyjeżdżającego ze Sterling Silver. Ben ponownie westchnął i zrobił krok do tyłu. Poczł, że Willow zbliża się do niego i bierze jego rękę w swoje dłonie.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła.

Questor ponownie zaczął krzątać się przy Abernathym, ustawiając go i powtarzając mu cały czas, że zajmie to tylko chwilę. W końcu zadowolony przesunął się na wprost skryby i zrobił ostrożnie dwa kroki w prawo. Zwilżonym palcem sprawdził kierunek wiatru.

– Aha! – oznajmił tajemniczo. Ręce unióśł wysoko nad głowę, wygiął palce i otworzył usta. Przerwał na chwilę, marszcząc nos. Jedną rękę szybko opuścił i potarł swędzące miejsce z wyraźną irytacją. – Przekłęty pyłek kwiatowy – powiedział do samego siebie. – I do tego to słońce.

Gnomy dodomy znowu zaczęły się cisnąć, aż ocierały się o szatę czarodzieja. Ich lisie twarze z niepokojem przyglądały się Abernathy'emu w oczekiwaniu, że zdarzy się coś wyjątkowego.

– Czy mógłbyś cofnąć te stworzenia? – burknął pies, a nawet trochę warknął. Questor spojrział w dół.

– Ach tak, oczywiście. Do tyłu, no już! – Wypłoszył gnomy i ponownie skupił się na swoim zadaniu. Znowu zakręciło mu się w nosie. Wciągnął przezeń powietrze. – Proszę o ciszę! – Rozpoczął długie zaklęcie. Dziwaczne gesty towarzyszyły słowom, które wywoływały grymasy zdziwienia na twarzach słuchających. Zbliżyli się do niego niepostrzeżenie krok lub dwa, aby lepiej słyszeć. Ben, szczupły, wysportowany mężczyzna około czterdziestki, po którym nie można było poznać upływu lat; Willow, dziecko w ciele kobiety, sylfida, pół człowiek, pół wróżka; koboldy, Parsnip i Bunion, pierwszy gruby i flegmatyczny, drugi o patykowatych nogach i ruchliwy, obaj posiadający bystre oczy i błyszczące zęby, które podkreślały jeszcze bardziej ich dzikość; i gnomy dodomy, Phillip i Sot, pokryte sierścią, niechlujne, żyjące w ziemi istoty, wyglądające jakby właśnie wystawiły głowy ze swoich nor. Patrzyli i czekali w milczeniu.

Abernathy, który był w centrum uwagi, zamknął oczy i przygotowywał się na najgorsze.

Questor Thews w skupieniu ciągnął dalej. Wyglądał jak strach na wróble, który uciekł z pola. Jego recytacje wydawały się trwać bez końca, podobnie jak wcześniejsze skargi gnomów.

Nagle Bena uderzyła absurdalność tego wszystkiego. Oto on, do niedawna wykonujący zawód, w którym szczególny nacisk kładzie się na fakty i logiczne myślenie, człowiek nowoczesny, rodem z technokratycznego świata podróży kosmicznych, energii jądrowej, skomplikowanych systemów łączności i tysiąca innych cudów – oto on, znajdujący się teraz w świecie prawie pozbawionym techniki, z poważną miną czeka, aż zaklęcia czarodzieja zmienią fizjologiczną naturę istoty żywej w sposób, który nauce w jego starym świecie nawet się nie marzy. Na myśl o tym prawie się uśmiechnął.

Było to po prostu zbyt dziwaczne.

Ręce Questora Thews nagle opadły i znów poderwały się do góry, a powietrze wypełnił drobny, srebrny pył, który iskrzył się i migotał jak żywy. Przez moment unosił się wokół dłoni Questora w postaci żwawych wirów, po czym zawisł nad Abernathym. Abernathy z niczego nie zdawał sobie sprawy. Jego oczy były wciąż mocno zamknięte. Questor kontynuował swoje mruczenie. Jego głos się zmienił, stając się bardziej przejmujący, miejscami przechodził prawie w śpiew. Srebrny pył zawirował energiczniej, w sali pojaśniało, a w powietrzu dało się odczuć nagły chłód. Ben zauważył, że gnomy dodomy chowają się za jego nogami i mruczą coś bojaźliwie. Dłoń Willow mocniej zacisnęła się wokół jego własnej.

– Ezaratz! – wykrzyknął nagle Questor i w tej samej chwili rozbłysło jaskrawe światło, które odbijając się od medalionu Bena, zmusiło wszystkich do cofnięcia się o krok.

Kiedy ponownie spojrzeli, Abernathy stał na swoim miejscu nie zmieniony.

Nie, chwileczkę, pomyślał Ben, jego ręce zniknęły! Teraz ma łapy!

– Och, och – powiedział Questor.

Abernathy otworzył oczy.

– Hau! – zaszczekał. Po chwili z przerażeniem: – Hau, hau, hau!

– Questorze, zamieniłeś go całkowicie w psa! – wykrzyknął z niedowierzaniem Ben. – Zróbże coś!

– Psiakrew! – wyrzucił czarodziej. – Zaraz, jedną chwilę! – Jego ręce wykonały ruch i srebrny pył ponownie zaczął krążyć. Zaintonował zaklęcie. Abernathy odkrył, że zamiast rąk ma łapy. Oczy wyszły mu z orbit, a morda zaczęła drżeć. – Ezaratz! – wrzasnął Questor. Błysnęło światło, medalion zamigotał i łapy zniknęły. – Abernathy! – z radością wykrzyknął czarodziej.

– Czarodzieju, niech cię tylko dostanę w swoje ręce...! – zawył pisarz, odzyskawszy również swój głos.

Nie ruszaj się! – rozkazał ostro Questor, ale Abernathy już ruszył w jego kierunku,

wychodząc poza krąg srebrnego pyłu. Questor rzucił się, aby go zatrzymać, dotykając w przelocie pyłu, który tworzył między nimi rodzaj ekranu. Pył odskoczył od niego, jakby był żywy, a zaraz potem uderzył falą prosto w twarz. – Erazzatta! – Questor Thews kichnął niespodziewanie.

Pod Abernathym rozwarła się świetlista studnia, mętna jaskrawość, która zdawała się oplatać łapy psa delikatnymi czułkami. Światło zaczęło powoli ściągać Abernathy'ego w dół.

– Pomocy! – wrzasnął Abernathy.

– Questorze! – krzyknął Ben.

Ruszył do przodu i potknął się o gnomy dodomy, które w jakiś sposób znalazły się przed nim.

– Mam... mam go, najjaśniejszy panie! – powiedział Questor Thews, sapiąc. Jego ręce próbowały rozpaczliwie odzyskać kontrolę nad wirującym pyłem.

Abernathy próbował wydostać się z zalewu światła, wzywając ich na pomoc jak szalony. Ben starał się wyplątać z gnomów dodomów.

– Tylko... spokojnie! – zawołał Questor. – Spo... o... a... a... a... apsik!

Potęźnie kichnął, stracił równowagę i lecąc do tyłu na Bena i pozostałych, zwalił ich wszystkich z nóg. Srebrny pył rozproszył się, wylatując przez okna prosto na tonący w słońcu ogród. Abernathy wydał ostatni krzyk i zapadł się pod ziemię wessany przez światło, które błysnęło raz jeszcze i zgasło.

Ben podźwignął się na kolana i spojrział na Questora Thewsa z wściekłością.

– Na zdrowie! – warknął.

Questor Thews zrobił się czerwony.

## BUTELKA

– No więc? Gdzie on jest? Co się z nim stało? – Ben żądał odpowiedzi.

Questor Thews zdawał się nie mieć gotowej odpowiedzi, więc Ben zostawił na chwilę wzburzonego czarodzieja i pomógł wstać Willow, po czym szybko odwrócił się jeszcze raz w jego stronę. Nie był wściekły – wciąż był w szoku – ale w każdej chwili mógł wybuchnąć gniewem. Abernathy zniknął zupełnie, jakby go tutaj nigdy nie było, po prostu przepadł.

A razem z nim, oczywiście, medalion Bena, ten medalion, który chronił królestwo i jego życie i który, według zapewnień Questora, miał być zupełnie bezpieczny.

Zmienił zdanie. Nie będzie się denerwował.

– Questorze, gdzie jest Abernathy? – powtórzył pytanie.

– Cóż, ja... prawdę mówiąc, wielki władco, ja... ja nie jestem do końca pewien – czarodziej zdołał w końcu wykrztusić.

Ben chwycił go za przednią część togi. Chyba się jednak zdenerwuje.

– Nie pleć bzdur! Masz go tu sprowadzić, do cholery!

– Panie. – Questor był blady, ale opanowany. Nie próbował się wycofywać. Najwyczejniej w świecie się wyprostował i wziął głęboki oddech. – Nie jestem jeszcze pewien, co się dokładnie stało. Potrzebuję trochę czasu, aby to zrozumieć...

– A nie możesz się domyślić?! – krzyknął Ben, przerywając mu ostro.

Pełna powagi twarz wykrzywiła się.

– Domyślam się, oczywiście, że czary się nie spełniły.

Myślę, że to kichnięcie, to nie była moja wina, królu, takie rzeczy się po prostu zdarzają, więc to kichnięcie w jakiś sposób zmieniło czary i zmieniło wynik zaklęcia. Zamiast przemienić Abernathy'ego z psa w człowieka, zdaje się, że go gdzieś przeniosło. Te dwa słowa, jak widać, są dość podobne. Równie podobne są czary. Tak się składa, że rezultaty większości zaklęć są podobne w tych wypadkach, w których słowa mają podobne brzmienie...

– Daruj to sobie! – warknął Ben. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Tracił kontrolę nad sytuacją. Zachowywał się jak bohater jakiegoś taniego filmu gangsterskiego. Puścił togę czarodzieja i poczuł się trochę głupio. – Słuchaj, a więc sądzisz, że zaklęcie gdzieś go przeniosło, czy tak? Jak sądzisz, gdzie go mogło zabrać? Tylko to mnie interesuje.

Questor odchrząknął i przez chwilę się zastanawiał.

– Nie wiem – odrzekł.

Ben wytrzeszczył oczy, po czym się odwrócił.

– Nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę – powiedział do siebie. – Po prostu nie wierzę. – Krótkim spojrzeniem ogarnął zebranych. Willow stała tuż przy nim, a jej zielone oczy wyrażały powagę. Koboldy podnosiły kwiaton, który przewrócono w czasie zamieszania. Dokoła

niego leżała rozrzucona ziemia i połamane kwiaty. Gnomy dodomy szeptały do siebie zaniepokojone.

– Może powinniśmy... – zaczęła mówić Willow.

W tym momencie błysnęło jaskrawe światło w miejscu, z którego zniknął Abernathy i rozległ się wystrzał, jakby ktoś gwałtownie wyciągnął korek. Coś się zmateriałizowało, zawiroowało i zatrzymało na posadzce.

Była to butelka.

Wszyscy podskoczyli i utkwili w niej wzrok. Przed nimi leżała szklana butelka o obłych kształtach, trochę większa od normalnej butelki do wina. Była zakorkowana i dobrze obwiązana drutem. Na jej białej powierzchni namalowano tańczące czerwone arlekiny o dzikich uśmiechach na twarzach, a każdy w innej pozie, wyrażającej diabelską wesołość.

– A to co, u licha? – zapytał Ben i wyciągnął po nią rękę.

– Oglądał ją przez chwilę bez słowa, sprawdzał na dłoni jej wagę, zaglądał do wnętrza. – W środku chyba nic nie ma – powiedział. – Wydaje się pusta.

Najjaśniejszy panie, coś mi świta! – powiedział nagle Questor. – Może ta butelka i Abernathy zostali zamienieni, przestawieni, jedno na miejsce drugiego! Przetawić brzmi jak przemienić i przenieść. Zaklęcia są tak podobne, iż sędzę, że jest to całkiem możliwe.

Ben zmarszczył czoło.

– Abernathy miałby być zamieniony na tę butelkę? Dlaczego?

– Nie wiem. Mam jednak przeczucie, że tak się właśnie stało – odrzekł Questor.

– Czy to nam pomoże określić, gdzie się teraz znajduje Abernathy? – zapytała Willow.

Questor potrząsnął głową.

– Nie, ale przynajmniej jest od czego zacząć. Jeśli uda mi się określić, skąd pochodzi ta butelka, to może... – zawiesił głos, zastanawiając się nad czymś. – To dziwne. Ta butelka wydaje mi się znajoma.

– Czy widziałeś już ją wcześniej? – Ben chciał wiedzieć od razu. Czarodziej zmarszczył brwi.

– Nie jestem pewien. Odnoszę wrażenie, że gdzieś już ją widziałem, a jednocześnie coś mi mówi, że muszę się mylić.

– Nie mogę tego zrozumieć.

– Wiesz co, gwizdź na tę butelkę – oznajmił dość niegrzecznie Ben – ale interesuje mnie Abernathy i medalion.

– Znajdźmy zatem sposób, żeby on i medalion wrócili tutaj. Rób, co chcesz, Questorze, ale mają się tutaj znaleźć jak najszybciej. To ty jesteś odpowiedzialny za cały ten bałagan.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie. Nie trzeba mi o tym przypominać. Nie moja to jednak wina, że Abernathy próbował wydostać się ze sfery oddziaływania zaklęcia, że pył powiał na

moją twarz, kiedy starałem się go zatrzymać, i że z tego powodu kichnąłem. Czary przebiegłyby zgodnie z planem, gdybym nie...

Ben odrzucił to wyjaśnienie niecierpliwym gestem.

– Po prostu musisz go znaleźć, Questorze.

Questor Thews uklonił się pokornie.

– Tak jest, panie. Zaczę od razu! – Odwrócił się i rozpoczął poszukiwania od pokoju, w którym się znajdowali, mówiąc jakby do samego siebie: – Może wciąż znajduje się w Landover; zaczę poszukiwania tutaj. Myślę, że Abernathy na razie powinien być bezpieczny, nawet jeśli nie odnajdziemy go od razu. Nie chodzi mi o to, że coś mu zagraża, najjaśniejszy panie – dodał, odwracając się pośpiesznie do tyłu. – Nie, nie. Mamy czas. – Zaczął znowu mrużyć do samego siebie. – Do licha! To kichnięcie to nie była moja wina! Czary miałem doskonale opanowane, a... ach, jaki ma sens ciągle roztrząsanie tego. Zaczę szukać i już.

Był już prawie za drzwiami, kiedy Ben krzyknął za nim:

– Nie chcesz tej butelki?

– Co? – Questor spojrzął za siebie, po czym energicznie potrząsnął głową. – Może później. Na razie jej nie potrzebuję. Nadal wydaje mi się jakoś znajoma... Dziwne. Szkoda, że nie mam lepszej pamięci do takich rzeczy. Cóż, nie ma to chyba wielkiego znaczenia, skoro nie mogę przywołać nawet najbledszego wspomnienia...

Po chwili już go nie było. Zniknął, mrużąc wciąż coś pod nosem – donkiszot z Landover, szukający smoków, a znajdujący jedynie wiatraki. Ben odprowadzał go wzrokiem, który zdradzał tłumioną frustrację.

Trudno było myśleć o czym innym niż o zaginięciu medalionu i o zniknięciu Abernathy'ego, ale tak w jednym, jak i w drugim wypadku nie można było nic zrobić przed powrotem Questora. W czasie gdy Willow poszła do ogrodu narwać świeżych kwiatów, by przyozdobić stół do obiadu, a koboldy powróciły do swoich dworskich zajęć, Ben zmusił się, aby rozpatrzyć do końca najnowszą skargę gnomów dodomów.

Zadziwiające, ale gnomom nie zależało już tak bardzo na wyjaśnieniu tej sprawy.

– Powiedźcie mi wszystko, czego jeszcze nie słyszałem od was o trollach – polecił im Ben, oczekując z rezygnacją na najgorsze. Usadowił się na swoim krześle wyraźnie znużony.

– Jakaż to piękna butelka, władco – powiedział zamiast tego Phillip.

– Bardzo ładna – zawtórował mu Sot.

Dajcie spokój butelce – poradził im Ben, przypominając sobie po raz pierwszy od wyjścia Questora, że ona wciąż tam jest, stoi w miejscu, w którym ją postawił. Spojrzął na nią z rozdrażnieniem. – Chętnie bym o niej zapomniał.

– Ale my nigdy nie widzieliśmy takiej jak ta – nalegał Phillip.



– Nigdy – przyznał Sot.

– Czy możemy jej dotknąć, najjaśniejszy panie? – zapytał Phillip.

– Prosimy – błagał Sot.

Ben popatrzył na nich z furją.

– Myślałem, że jesteśmy tutaj, aby przedyskutować sprawę trolli. Wydawało mi się, że wcześniej bardzo wam na tym zależało. Wręcz domagaliście się tego. Teraz już to was nie obchodzi?

Phillip spojrział ukradkiem na Sota.

– Ależ zależy nam, wielki władco. Trolle obeszły się z nami wyjątkowo źle.

– Zatem kontynuujmy.

– Ale na razie trolli nie ma i nie będzie ich przez najbliższy czas, a butelka znajduje się tutaj, tuż przed nami, więc czy możemy potrzymać ją przez chwilę, wielki władco, tylko przez chwilę?

– Możemy, potężny królu? – powtórzył prośbę Sot.

Ben chciał chwycić butelkę i grzmotnąć ich po głowach.

Zamiast tego jednak podniósł ją i im wręczył. Było to o wiele prostsze niż kłótnia z nimi.

– Tylko uważajcie – ostrzegł ich. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie się martwił. Butelka miała grube szkło i wyglądała, że może sporo wytrzymać. Mogło się wydawać, że jest zrobiona z czegoś więcej niż tylko ze szkła – może nawet z metalu. Pewnie z powodu farby, pomyślał.

Gnomy dodomy pieściły i głaskały butelkę, jak gdyby była ich największym skarbem. Tulily ją i ścisnęły. Kołysały nią jak małe dziecko. Ich brudne łapy błędziły po jej powierzchni w sposób prawie zmysłowy. Ben poczuł odrazę. Spojrzął w stronę ogrodu na Willow i pomyślał o pójściu do niej. Cokolwiek by zrobił, byłoby to lepsze od siedzenia tutaj.

– To co, koledzy? – przerwał w końcu. – Skończmy z tymi trollami, dobrze?

Phillip i Sot utkwili w nim wzrok. Dał im ręką znak, żeby oddali mu butelkę, co w końcu dość niechętnie zrobili. Ben postawił ją ponownie obok siebie. Gnomy ociągały się przez moment, po czym wróciły do swojej skargi na trolle. Robiły to jednak bez entuzjazmu. Ciągłe zerkały na butelkę, aż w końcu zupełnie porzuciły temat trolli.

– Wielki władco, czy moglibyśmy dostać tę butelkę? – zapytał nagle Phillip.

– No właśnie. Moglibyśmy? – zapytał Sot.

– Po cóż wam ona? – zdziwił się Ben.

– To cenna rzecz – odrzekł Phillip.

– To skarb – powiedział Sot.

– Taki piękny – dodał Phillip.

– Tak, bardzo piękny – zawtórował Sot.

Ben przymknął powieki i potarł je znużony, a następnie spojrzął na gnomy.

– Z przyjemnością bym ją wam dał, wierzcie mi – powiedział. – Bardzo bym chciał powiedzieć: „Proszę bardzo, weźcie butelkę i nie chcę jej już więcej widzieć”. To właśnie pragnąłbym zrobić. Ale nie mogę. Butelka ma jakiś związek z tym, co się stało z Abernathym, a ja chciałbym wiedzieć jaki.

Gnomy dodomy pokręciły poważnie głowami.

– Pies nigdy nas nie lubił – poskarżył się Phillip.

– To prawda, nigdy – narzekał Sot.

– Warczał na nas.

– Nawet kłapał zębami.

– Pomimo to... – upierał się Ben.

– Moglibyśmy przechować tę butelkę dla ciebie, wielki władco – przerwał Phillip.

– Dobrze byśmy się nią zaopiekowali, wielki władco – zapewnił Sot.

– Prosimy, prosimy – błagali.

Przedstawiali sobą tak żaloszny widok, że Ben zdołał tylko pokręcić głową ze zdumienia. Zachowywali się jak małe dzieci w sklepie z zabawkami.

– A jeśli w butelce znajduje się złośliwy dzin? – zapytał niespodziewanie, nachylając się do przodu i marszcząc brwi. – A jeśli ten dzin zjada gnomy na śniadanie? – Gnomy patrzyły na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Nigdy oczywiście nie słyszały o czymś takim. – Dajmy sobie z tym spokój – powiedział. Westchnął i znowu wyprostował się na krześle. – Nie możecie jej dostać i skończmy już z tym.

– Ale powiedziałeś, że z przyjemnością byś ją nam dał – zauważył Phillip.

– Tak właśnie powiedziałeś – poparł Sot.

– A my z przyjemnością byśmy się nią zaopiekowali.

– O, na pewno.

– To dlaczego nam jej nie dasz, wielki władco?

– No właśnie, dlaczego?

– Tylko na jakiś czas.

– Na jakieś kilka dni.

Ben znowu się zdenerwował. Porwał za butelkę i potrząsnął nią przed sobą.

– Żałuję, że kiedykolwiek zobaczyłem tę butelkę! – wrzasnął. – Nienawidzę tej cholernej rzeczy! Chciałbym, żeby zniknęła! Chciałbym, aby Abernathy z medalionem wrócił na miejsce! Chciałbym, aby życzenia były cukierkami i można je było żuć przez cały dzień! Ale nie są i nie mogę ich jeść i wy też nie! Zostawmy zatem sprawę butelki i wróćmy do trolli, zanim zdecyduję, że nie chcę was dłużej wysłuchiwać i każę wam iść, skąd przyszlście!

Odstawił butelkę na miejsce i wygodnie usiadł na krześle.

Gnomy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- On nienawidzi tej butelki – powiedział szeptem Phillip.
- Chciałby, żeby zniknęła – wyszeptał Sot.
- Co mówicie? – zapytał Ben. Nie dosłyszał, co mówili.
- Nic, potężny panie – odpowiedział Phillip.
- Nic, wszechmocny królu – odpowiedział Sot.

Szybko powrócili do opowieści o swojej niedoli, opowieści, którą zakończyli dość szybko. Opowiadając ją, ani przez moment nie spuszczała oczu z butelki.

Reszta dnia przeminęła szybciej, niż Ben mógł przypuszczać. Gnomy zakończyły swoją opowieść i udały się do swoich mieszkań. Do tradycji zamku należało zapraszanie gości na spędzenie wspólnego wieczoru przy kolacji. Phillip i Sot niezmiennie przyjmowali to zaproszenie ze względu na kulinarne umiejętności Parsnipa. Ben nie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem, że nie sprawiali kłopotów. Nie zdążyli jeszcze wyjść, a Ben już ruszył, aby przyłączyć się do Willow. Po chwili przypomniał sobie o butelce, która wciąż stała przy krześle pośród skrzynek z kwiatami. Zawrócił, podniósł ją, rozejrzał się za bezpiecznym miejscem, gdzie mógłby ją umieścić. Zdecydował się na gablotkę, w której stało kilka ozdobnych doniczek i waz. Wsunął butelkę do środka – całkiem ładnie wpasowała się w nowe otoczenie – i pośpiesznie opuścił pomieszczenie.

Przez jakiś czas spacerował z Willow po ogrodzie, potem zapoznał się z planem zajęć na następny dzień (jak, u licha, da sobie radę bez Abernathy’ego, który przypominał mu o spotkaniach i dbał o porządek dnia?), następnie zajrzał do kuchni, aby zobaczyć, co przygotowuje Parsnip, i na koniec poszedł pobiegać.

Bieganie było jedynym sportem, któremu się wciąż wiernie oddawał. Starał się zachować, co mógł, ze swojej bokserskiej rutyny – pozostałość po dniach, kiedy nosił tytuł mistrza srebrnych rękawic. Brakowało mu jednak specjalistycznego sprzętu bokserskiego, na którym mógłby trenować jak za dawnych lat w klubie w Chicago. Musiał zatem zadowolić się tylko bieganiem, skakanką i ćwiczeniami izometrycznymi. To mu wystarczało, aby zachować dobrą formę.

Włożył dres i adidas i swoim skiffem, sterowanym siłą jego myśli, przedostał się z wyspy na ląd. Potem wspiął się na pobliskie wzgórze i zaczął biegać wzdłuż krawędzi doliny. W powietrzu wisiały już zapachy nadchodzącej jesieni.

Jej barwy zaczynały delikatnie zaznaczać swoją obecność pośród zieleni drzew. Dni stawały się coraz krótsze, a noce chłodniejsze. Biegał prawie przez dwie godziny, starając się zapomnieć o frustracjach i rozczarowaniach, jakie mu przyniósł ten dzień. Kiedy był już wystarczająco zmęczony, powrócił na wyspę.

Słońce szybko chyliło się ku zachodowi, częściowo przesłonięte ścianą lasu i rysującymi się w oddali szczytami. Siedział w łodzi i obserwował niespokojne kontury wyłaniającego się przed nim zamku; pomyślał, jak bardzo kocha to miejsce. Sterling Silver był domem, którego zawsze

szukał, nawet wtedy, kiedy nie wiedział, że go szuka. Pamiętał, jak odpychające wrażenie sprawił na nim ten zamek za pierwszym razem, cały zniszczony i wyblakły, z wyraźnymi objawami choroby, której przyczyną była utrata przez tę krainę magii.

Przypomniawszy sobie jak wielki i pusty mu się wtedy wydawał.

Dopiero później odkrył, że ta budowla żyje i jest zdolna odczuwać emocje tak samo jak on. Pamiętał to ciepło, którego doświadczył pierwszej nocy – ciepło realne, nie wyobrażone.

Sterling Silver był wielkim zaczarowanym miejscem, tworem z kamienia, zaprawy i metalu, a mimo tego nie mniej ludzkim niż jakakolwiek istota z krwi i kości. Potrafił okazywać ciepło, karmić, dawać schronienie, pocieszać. Jego magia była czymś niewyobrażalnym i właściwie nigdy nie przestała wprawiać Bena w zdumienie.

Po jego powrocie Willow doniosła mu, że Questor zjawił się tylko na chwilę, aby powiadomić, iż jest przekonany, że Abernathy'ego z pewnością nie ma w Landover. Wiadomość tę Ben przyjął ze stoickim spokojem. Nie spodziewał się przecież łatwego przebiegu wydarzeń.

Potem Willow przysłała umyć jego ciało w wannie. Jej drobne ręce były delikatne i czułe, a pocałunki dość częste. Kiedy pochylała się nad nim, jej długie, zielone włosy spływały welonem po twarzy, co dodawało jej jeszcze więcej tajemniczości.

– Nie możesz być zły na Questora – powiedziała na koniec, kiedy wycierał się ręcznikiem. – Staraj się robić to, co było najlepsze dla Abernathy'ego. Szczerze pragnął mu pomóc.

– Wiem o tym – powiedział Ben.

– Samego siebie czyni odpowiedzialnym za to, co się stało z Abernathym, a taka odpowiedzialność jest okropnym ciężarem. – Wyjrzała przez okno jego sypialni na zapadający zmrok. – Ty powinieneś lepiej niż inni rozumieć, co to znaczy być odpowiedzialnym za drugą osobę.

Rozumiał. Tak często dźwigał ciężar tej odpowiedzialności, że przestał mieć ochotę pamiętać wszystko, co się przydarzyło. Kilkakrotnie wziął ten ciężar na siebie w sytuacjach, kiedy wcale nie musiał tego robić. Pomyślał o Annie, swojej żonie, nieżyjącej od prawie czterech lat. Pomyślał o starym partnerze z sądu, Milesie Bennecie. Pomyślał o mieszkańcach Landover, o czarnym jednorożcu, o nowych przyjaciółach: Willow, Abernathym, Bunionie, Parsnipie no i – oczywiście – Questorze.

– Chciałbym tylko, aby trochę lepiej panował nad swymi czarami – powiedział łagodnie. Zaraz potem przerwał to, czym się zajmował, i spojrzał na sylfidę. – Strasznie się boję utraty tego medalionu, Willow. Zbyt dobrze pamiętam, jak się czułem, kiedy ostatnim razem myślałem, że go na zawsze straciłem. Bez niego czuję się taki bezradny.

Willow podeszła i objęła go.

– Nie powinieneś czuć się bezradny, Ben. Nie ty. Ty nigdy nie będziesz sam.

Przycisnął ją mocno i zatopił twarz w jej włosach.

– Wiem. Kiedy jesteś przy mnie, jest inaczej. W zasadzie nie powinienem się przejmować. Coś się musi wydarzyć.

I rzeczywiście. Coś się wydarzyło, ale dopiero wtedy, gdy kończyli kolację, i to nie było to, czego się spodziewali. Proszona kolacja nie okazała się wydarzeniem przyciągającym tłumy. Zadziwiające, że nie pojawiły się gnomy dodomy ani Questor. Bunion wpadł na chwilę, ale zaraz ponownie zniknął, a Parsnip został w kuchni. Ben i Willow siedzieli zatem sami przy wielkim stole w jadalni, jedząc z namaszczeniem i wsłuchując się w ciszę.

Właśnie kończyli, kiedy do sali wpadł Questor Thews z takim wyrazem na twarzy, że Ben z miejsca zerwał się na równe nogi.

– Królu! – zawołał czarodziej, z trudem łapiąc powietrze. – Gdzie jest butelka?

– Butelka? – Ben musiał zastanowić się przez chwilę. – W sali ogrodowej, w gablotce. Co się stało?

Questor z takim trudem oddychał, że Ben i Willow pomogli mu usiąść na krześle. Willow podała mu kieliszek wina, który szybko opróżnił.

– Teraz pamiętam, gdzie widziałem tę butelkę, władco! – powiedział w końcu.

– Zatem widziałeś już ją wcześniej! Gdzie? – ponaglał go Ben.

– Tutaj, panie! Właśnie tutaj!

– Ale przecież nie pamiętałeś tego wcześniej, kiedy ją zobaczyłeś?

– Nie, oczywiście, że nie! To było ponad dwadzieścia lat temu!

Ben potrząsnął głową.

– Nie ma zbyt wiele sensu w tym, co mówisz, Questorze.

Czarodziej, slaniając się, powstał z krzesła.

– Wszystko wam wyjaśnię, jak tylko ta butelka spocznie bezpiecznie w moich rękach! Do tego czasu nie zaznam spokoju! Ta butelka jest wyjątkowo niebezpieczna!

W tej chwili byli już z nimi również Bunion i Parsnip i cała grupa zeszła pospiesznie korytarzami w kierunku sali ogrodowej. Ben próbował dowiedzieć się czegoś więcej po drodze, ale Questor odmówił podania szczegółów. Po chwili byli już na dole. W sali było ciemno, ale ręka Bena dotknęła ściany i zrobiło się jasno.

Ben przemierzył pokój w kierunku gablotki i zajrzał do środka przez szybki.

Butelka zniknęła.

– Co, co u...? – Patrzył z niedowierzaniem w puste miejsce, na którym kiedyś spoczywała butelka. Po chwili zrozumiał. – Phillip i Sot! – Wyrzucił te imiona jak kamienie z procy. – Te przekłete gnomy nie mogły przepuścić okazji! Musiały się przyczaić za drzwiami i podejrzeć, gdzie ją chowam!

Pozostali przeciskali się obok niego, aby zajrzeć do gablotki.

– Gnomy dodomy zabrały butelkę? – zapytał z niedowierzaniem Questor.

– Bunion, idź natychmiast je poszukać – polecił Ben, obawiając się najgorszego. – Jeśli tu jeszcze są, przyprowadź je szybko!

Kobold wyszedł i w chwilę potem był już z powrotem. Na jego małpiej twarzy rysował się grymas bólu, który odsłaniał mu wszystkie zęby.

– Zniknęli! – zawołał z wściekłością Ben.

– Questor pobladł.

– Panie, mam złe wieści dla ciebie.

Ben westchnął spokojnie. Mogło się to wydawać dziwne, ale nie był tym aż tak bardzo zaskoczony.

## GRAUM WYTHE

Abernathy ocknął się ze snu. Właściwie to wcale nie spał.

Pragnął, aby to był sen. Zamknął mocno oczy i wstrzymał oddech, jakby płynął pod wodą. Odnosił jednak wrażenie, że spał, ponieważ dokoła niego rozlewało się wcześniej światło tak intensywne, że mógł czuć jego jaskrawość nawet przy zamkniętych powiekach, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, zniknęło.

Zamrugnął oczami i rozejrzył się. Wszystko tonęło w półmroku. Minęła krótka chwila, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do nowego otoczenia. Przed nim znajdowały się kraty. Zamrugnął jeszcze raz. Kraty były dokoła niego! O rany – przecież to klatka!

Spróbował podźwignąć się z pozycji siedzącej, w której się znalazł, ale klatka nie pozwoliła mu na to. Jego głowa opierała się bezpośrednio o sufit. Z trudem przesunął rękę i dotknął sklepienia, potem krat... Chwileczkę, co to było? Jeszcze raz dotknął krat. Były wtopione w jakieś szkło. W rzeczywistości nie były wcale kratami, ale bardzo ozdobną i skomplikowaną konstrukcją przypominającą witraże. Do tego klatka nie była kwadratowa, ale sześcioboczna!

Czy ktokolwiek słyszał o sześciobocznej klatce?

Spojrzał w dół. Między jego nogami a szkłem wciśnięte zostały dwie delikatne wazy. Wyglądały tak, jakby miały pęknąć przy pierwszym jego oddechu.

Mimo wszystko odetchnął głęboko, głównie ze zdziwienia, że nie znajduje się w klatce, lecz w jakiejś szklanej gablocie!

Przez chwilę był tym tak oszołomiony, że zupełnie nie miał pojęcia, co ma robić. Spojrzał poza kasetkę, w półmrok pomieszczenia. Znajdował się w obszernej sali z kamienia i drewna, wypełnionej szafkami i półkami, na których wystawione były różne archeologiczne znaleziska i dzieła sztuki.

Światło było tak słabe, że z trudnością mógł rozpoznać ich kształty. Nikła jego ilość docierała przez nieliczne małe okienka, umieszczone gdzieś bardzo wysoko. Ściany zdobiły gobeliny rozwieszane w nierównych odstępach, a posadzka z płyt kamiennych była tu i ówdzie pokryta kwadratami, które wyglądały jak tkane ręcznie dywaniki.

Twarz Abernathy'ego zachmurzyła się. W imię wszystkiego, co dobre i zacne na świecie, gdzież ja się znalazłem? Ten przeklęty Questor Thews! Może mimo wszystko wciąż jestem w Sterling Silver, zamknięty w jakimś zapomnianym pomieszczeniu z antykami? Nie, to raczej... Nie miał odwagi dokończyć tej myśli. Czuł, że to raczej mało prawdopodobne.

Jeszcze bardziej się nachmurzył. Ach, ten nieprzytomny czarodziej! Co on narobił?

Na końcu sali otworzyły się drzwi i zaraz potem cicho zamknęły. Abernathy starał się przeniknąć mrok, mrużąc oczy. Ktoś tam był, ale nie mógł dostrzec kto. Wstrzymał oddech

i zaczął nasłuchiwać. Ktokolwiek to był, najwidoczniej jeszcze o nim nie wiedział. Przechadzał się po pokoju powolnym krokiem, zatrzymując od czasu do czasu i oglądając przedmioty. Abernathy doszedł do wniosku, że to ktoś, kto przyszedł popatrzeć na sztukę. Kroki zbliżyły się, teraz słycać je było trochę na lewo od niego. Gablota, w której się znajdował, stała dość daleko od ściany i nie mógł widzieć tego, co znajdowało się za nim, nie odwracając się. Bał się jednak, że jeśli się poruszy, to pęknie gablota. Westchnął. Cóż, może właśnie to powinien zrobić. Nie będzie przecież siedział tutaj bez końca.

Kroki zwolniły, obeszły gablotę dokoła i ucichły. Spojrzał w dół. Przyglądała mu się mała dziewczynka. Nie miała więcej niż dwanaście lat. Była dzieckiem o drobnej budowie, okrągłej twarzy i kręconych, krótkich włosach barwy miodu. Oczy miała niebieskie, a na nosie kilka piegów. Starła się najwidoczniej rozstrzygnąć, z czym ma do czynienia. Abernathy wstrzymał na chwilę oddech, mając nadzieję, że przestanie się nim interesować i odejdzie. Nie odeszła. Spróbował się nie poruszać. Wbrew postanowieniu mrugnął w pewnym momencie i dziewczynka cofnęła się, zaskoczona.

– Och, ty jesteś żywy! – krzyknęła. – Jesteś prawdziwym pieskiem!

Abernathy westchnął. Sprawy przybierały mniej więcej taki obrót, jakiego się spodziewał, zresztą tak jak cały ten dzień.

Dziewczynka ponownie zbliżyła się z szeroko otwartymi oczami.

– Biedactwo! Zamknięte w takiej gablocie bez jedzenia i wody! Biedny szczeniaczek! Kto ci to zrobił?

– Pewien idiota, który uważa siebie za czarodzieja – odpowiedział Abernathy.

Dopiero teraz jej oczy otworzyły się naprawdę.

– Potrafisz mówić! – wyszeptała w konspiracyjnym uniesieniu. – Piesku, ty potrafisz mówić! Abernathy skrzywił się.

– Czy byłabyś uprzejma nie nazywać mnie pieskiem?

– Tak, oczywiście, że tak. – Przynęła się bliżej. – A jak masz na imię, piesku? Och, przepraszam. Jak masz na imię?

– Abernathy.

– A ja jestem Elizabeth. Nie Beth ani Lizzy, ani Liz, ani Libby, ani Liza, ani Betty czy jakoś podobnie, ale po prostu Elizabeth. Nienawidzę tych głupich zdrobnień. Matki i ojcowie przylepiają je, nie pytając się o twoje zdanie, i potem zostają przy tobie na zawsze. To nie są prawdziwe imiona, to niby-imiona. Elizabeth jest prawdziwym imieniem. Moja stryjeczna babka miała na imię Elizabeth. – Przerwała. – Jak nauczyłeś się mówić?

Abernathy skrzywił się jeszcze bardziej.

– Pewnie tak samo jak ty. Chodziłem do szkoły.

– Naprawdę? To psy chodzą do szkoły tam, skąd pochodzisz?



Abernathy z trudem zachował spokój.

– Oczywiście, że nie. Wtedy nie byłem psem. Byłem człowiekiem.

Elizabeth była zachwycona.

– Naprawdę? – Przez chwilę zastanawiała się nad czymś. – Ach, rozumiem, to czarodziej ci to zrobił, czy tak? To tak jak w *Pięknej i Bestii*. Znasz tę historię? Był sobie piękny książę, którego niegodziwe zaklęcie zamieniło w szkaradną bestię i który nie mógł powrócić do swej dawnej postaci, dopóki by go ktoś szczerze nie pokochał. – Zatrzymała się. – Czy właśnie to ci się przytrafiło, Abernathy?

– Cóż...

– Czy to był zły czarodziej?

– Cóż...

– Dlaczego zamienił cię w psa? Jakiej rasy jesteś, Abernathy?

Abernathy oblizał swój nos. Chciało mu się pić.

– Czy sądzisz, że potrafiłabyś otworzyć drzwi tej gabloty i mnie wypuścić? – zapytał.

Rzuciła się do przodu, jej loki zatańczyły wokół głowy.

– Pewnie. – Zatrzymała się. – Abernathy, one są zamknięte na klucz. Te gabloty zawsze są zamknięte na klucz. Michel je zamyka, aby chronić swoje rzeczy. Jest bardzo nieufny. – Nagle zamilkła. – Ojej! Co się stało z butelką, która tam była? Tam była butelka pomalowana na biało z tańczącymi klaunami, a teraz jej nie ma! Co się z nią stało? Siedzisz na niej, Abernathy? Michel będzie wściekły! Może jest gdzieś pod tobą?

Abernathy wywrócił do góry oczy.

– Nie mam pojęcia, Elizabeth. Nie mogę zobaczyć, co jest pode mną, ponieważ nie mogę wykonać żadnego ruchu. Pewnie nigdy tam nie zajrzę, jeśli się stąd nie wydostanę!

– Już ci mówiłam, że drzwi są zamknięte – powtórzyła poważnie Elizabeth. – Ale może uda mi się zdobyć klucz.

– Mój ojciec jest rządcą Graum Wythe. Ma klucze do wszystkiego. Teraz go nie ma, ale pójdę do jego pokoju i sprawdzę, czy ten klucz tam leży. Zaraz wracam! – Ruszyła do drzwi. – Nie martw się, Abernathy. Zaraz wracam.

I wyszła, przemykając przez drzwi jak kot. Abernathy siedział spokojnie w ciszy i myślał. O jakiej butelce ona mówiła, kim jest Michel, gdzie znajduje się Graum Wythe? Znał kiedyś pewnego Michela. Znał też Graum Wythe. Ale to było wiele lat temu, a Michel i Graum Wythe poszli w niepamięć.

Nagły dreszcz wstrząsnął jego ciałem, gdy niemal zapomniane obrazy stanęły mu jeszcze raz przed oczami. Nie, to niemożliwe, powiedział do samego siebie. To po prostu przypadek. Prawdopodobnie źle usłyszał. Pewnie Elizabeth powiedziała coś innego, a on ją opacznie zrozumiał.

Minęło kilka minut, gdy w końcu wróciła. Bezszelestnie przemknęła przez drzwi, zbliżyła się do gabloty, włożyła długi, stalowy klucz w zamek i przekręciła. Drzwi ze szkła i żelaznej siatki otworzyły się i Abernathy był wolny. Ostrożnie wyplątał się z kasetki.

– Dziękuję, Elizabeth – powiedział.

– Nie ma za co, Abernathy – odpowiedziała. Poprawiła stojące wazony, zaczęła przeszukiwać wnętrze, aby znaleźć brakującą butelkę, w końcu jednak zrezygnowała. Zamknęła drzwi gabloty i przekręciła klucz w zamku. – Nie ma tam tej butelki – oznajmiła poważnie.

Abernathy wyprostował się i otrzepał swoje ubranie.

– Daję tobie moje słowo, że nie wiem, gdzie ona jest – oznajmił.

– O, wierzę ci – zapewniła. – Ale Michel może nie uwierzyć. Jest taki nieufny w tych sprawach. Zwykle nie pozwala tutaj nikomu wchodzić, chyba że kogoś zaprosi, ale jak już tu ktoś jest, to nieodstępnie go na krok. Sama mogę tu przychodzić tylko dlatego, że mój ojciec jest rządcą. Lubię tutaj przychodzić i patrzeć na te wszystkie cacka. Czy wiesz, że na ścianie w drugim końcu sali wisi obraz, na którym ludzie naprawdę się poruszają? I pozytywka, która zagra wszystko, o co ją poprosisz? Nie wiem, co to była za butelka, ale musiało być w niej coś szczególnego. Michel nigdy nie pozwala się do niej zbliżyć.

Obraz z ludźmi, którzy się poruszają i pozytywka grająca na żądanie? Czary, pomyślał natychmiast Abernathy.

– Elizabeth – przerwał – gdzie ja się znajduję? Elizabeth spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– W Graum Wythe, oczywiście. Nie mówiłam ci wcześniej?

– Tak, ale... gdzie jest Graum Wythe? Niebieskie oczy zamrugały.

– W Woodinville.

– A gdzie znajduje się Woodinville?

– Na północ od Seattle. W stanie Washington. W Stanach Zjednoczonych Ameryki. – Elizabeth obserwowała, jak wyraz zakłopotania powiększa się na twarzy Abernathy'ego. – Czy to ci nic nie mówi, Abernathy? Nie znasz żadnego z tych miejsc?

Abernathy pokręcił głową.

– Te miejsca nie należą do mojego świata. Niestety, nie znam ich. – Nagle przerwał. W jego głosie słychać było trwogę. – Elizabeth – zaczął powoli – czy słyszałaś kiedykolwiek o miejscu, które się nazywa Chicago?

Elizabeth uśmiechnęła się.

– Jasne. Chicago leży w Illinois. Ale to dość daleko stąd.

Ty, Abernathy, jesteś z Chicago?

Abernathy był zdruzgotany.

– Ja nie, ale król jest stamtąd – a właściwie był! To koszmar! Nie jestem już w Landover!

Zostałem przeniesiony do świata naszego pana! Ten głupi czarodziej! Przerwał przerażony. – O Boże! – Mam medalion! Medalion króla!

Zrozpaczony gmerał przy łańcuchu i medalionie, który zwisał mu z szyi, kiedy Elizabeth zawołała:

– Abernathy, nic się nie stało, wszystko będzie dobrze, nie bój się, proszę! Zaopiekuję się tobą, naprawdę, wierz mi.

– Wszystkim się zajmę. – Przez cały czas głaskała go, próbując uspokoić.

– Elizabeth, ty nic nie rozumiesz! Ten medalion to talizman władcy Landover! Nie może go chronić, jeśli ja go mam w tym świecie! On musi być przy nim w Landover! Ten świat nie jest już jego świa...! – Ponownie przerwał. W jego oczach pojawiło się nowe przerażenie. – Och, wielkie... Jego świat! To jest właśnie jego świat, jego stary świat! Elizabeth! Mówisz, że to miejsce nazywa się Graum Wythe i że jego pan ma na imię Michel. Jak brzmi jego pełne nazwisko, Elizabeth? Powiedz mi, szybko!

– Abernathy, uspokój się! – Elizabeth wciąż próbowała go głaskać. – Nazywa się Michel Ard Rhi.

Abernathy wyglądał, jakby był bliski zawału serca.

– Michel Ard Rhi! – wyszeptał to imię jakby w obawie, że jego serce może nie wytrzymać jego pełnego brzmienia. Wziął głęboki, uspokajający oddech. – Elizabeth, musisz mnie ukryć!

– Ale o co chodzi, Abernathy?

– To całkiem proste, Elizabeth. Michel Ard Rhi jest moim największym wrogiem.

– Ale dlaczego? Co się stało, że staliście się wrogami? – W głowie Elizabeth roilo się od pytań, jej niebieskie oczy biegały nerwowo. – Czy on jest przyjacielem tego czarodzieja, który zamienił cię w psa, Abernathy? Czy jest złym...?

– Elizabeth! – Abernathy starał się ukryć rozpacz w swoim głosie. – Wszystko ci powiem, obiecuję, ale najpierw mnie ukryj! Nie mogą mnie tutaj znaleźć, nie z medalionem, nie z...

– Dobrze, w porządku – zapewniła go szybko dziewczynka. – Powiedziałam, że się tobą zaopiekuję, i zrobię to. Zawsze dotrzymuję słowa. – Zastanawiała się przez chwilę. – Mogę ukryć cię w moim pokoju. Przez jakiś czas będziesz tam bezpieczny. Nikt tam w zasadzie nie przychodzi, z wyjątkiem mojego ojca, ale on wróci dopiero za kilka dni. – Przerwała. – Najpierw musimy jednak znaleźć sposób, aby się tam przedostać. To może nie być takie łatwe, bo tu zawsze ktoś się kręci po korytarzach. Niech pomyślę...

Przyglądała mu się uważnie przez chwilę. Abernathy pragnął stać się niewidzialny. Zaraz potem dziewczynka klasnęła w dłonie, wyraźnie czymś ucieszona.

– Wiem! – Uśmiechnęła się szeroko. – Zabawimy się w przebierańca!

Było to dość upokarzające, ale w końcu jej uległ, gdyż przekonywała go, że to konieczne.

Instynktownie wierzył Elizabeth, tak jak się wierzy dziecku, i nie wątpił, że szczerze chce mu pomóc. Za wszelką cenę pragnął stąd zniknąć i znaleźć się w jakimś ukryciu. Najgorsze, co mogło mu się przytrafić, to być ponownie znalezionym przez Michel a Ard Rhi.

Pozwolił zatem, aby Elizabeth założyła mu na szyję prowizoryczną obrozę ze smyczą, opadł na cztery łapy, wciąż pozostając w jedwabnej todze ze srebrnymi sprzączkami, i wyszedł z pomieszczenia jak prawdziwy pies. Było to bardzo niewygodne, bolesne i upokarzające. Czuł się jak kompletny idiota, niemniej jednak zrobił to. Zgodził się nawet obwąchiwać rzeczy w czasie drogi i merdać swoim serdelkowatym ogonem.

– Cokolwiek się stanie, nie odzywaj się – poleciła Elizabeth, gdy przechodzili przez drzwi prowadzące na korytarz.

Korytarz tonął w półmroku, podobnie jak pokój z dziełami sztuki. Abernathy czuł na rękach i stopach chłód kamiennej posadzki. – Jeśli nas ktoś zobaczy, powiem, że jesteś moim psem i że bawimy się w przebierańca. Myślę, że nie będą zadawać pytań, kiedy zobaczą, w co jesteś ubrany.

Uroczą, pomyślał z rozdrażnieniem Abernathy. Co jej się właściwie nie podoba w moim ubraniu? Nic jednak nie powiedział.

Przemierzali ciąg korytarzy; wszystkie były skąpo oświetlone lampami elektrycznymi, wpadało też trochę światła przez rzadko rozmieszczone okienka. Przejścia zbudowane były z kamieni i drewna. To, co Abernathy zobaczył do tej pory, przekonało go, że Graum Wythe był zamkiem bardzo podobnym do Sterling Silver. Być może Michel chciał ożywić swoje wspomnienia z dzieciństwa. Skrybę korciło, by dowiedzieć się o tym czegoś więcej, ale nie chciał w tej chwili myśleć o Michelu. Bał się, że samo myślenie o nim może sprawić, iż pojawi się tutaj we własnej osobie, więc przestał się tym zajmować.

Przeszli już z Elizabeth wiele korytarzy Graum Wythe, nikogo nie spotkawszy, ale kiedy skręcili w kolejny z nich, stanęli twarzą w twarz z dwójką mężczyzn w czarnych mundurach. Elizabeth zatrzymała się. Abernathy natychmiast skrył się za jej nogami, które okazały się zbyt chude, aby go skutecznie zasłonić. Obwąchiwał dokładnie podłogę i starał się wyglądać jak prawdziwy pies.

– Dzień dobry, Elizabeth – powitali ją mężczyźni.

– Dzień dobry – odpowiedziała Elizabeth.

– To twój pies? – zapytał jeden z nich. Skinęła głową. – Przebrany, co? Założę się, że nie bardzo mu się to podoba.

– Założę się, że nienawidzi tego – dodał drugi.

– Co on ma na nosie, okulary? Gdzie takie znalazłaś, Elizabeth?

– Niezłe cacko jak dla psa – zauważył drugi. Zaczął sięgać ręką w dół, Abernathy zawarczał, w tej samej chwili zdając sobie sprawę z tego, co robi. Mężczyzna cofnął szybko rękę. – Niezbyt

przyjazny, co?

– Po prostu się przestraszył – wyjaśniła Elizabeth. – Nie zna pana.

– Jasne, chyba go rozumiem. – Mężczyzna ruszył. Chodźmy, Bert.

Ten drugi zawahał się.

– Czy twój ojciec wie o tym psie, Elizabeth? – zapytał. – Myślałem, że nie pozwala ci trzymać zwierząt.

– Tak, ale już zmienił zdanie – odparła Elizabeth. Abernathy wysunął się przed nią, ciągnąc smycz. – Muszę już iść. Do widzenia.

– Do widzenia, Elizabeth – powiedział mężczyzna. Zaczął iść, ale po chwili odwrócił się. – Hej, co to jest w ogóle za pies?

– Nie wiem – zawołała Elizabeth. – Zwykły kundel.

Abernathy z trudem się powstrzymał, żeby jej nie ugryźć.

– Nie jestem kundlem – powiedział jej, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, żeby znowu móc rozmawiać. – Tak się składa, że jestem miękkowłosym wheaten terierem. Mam prawdopodobnie lepszych przodków niż ty sama.

Elizabeth zaczerwieniła się.

– Przepraszam, Abernathy – powiedziała łagodnie, spuszczać oczy w dół.

– Och, nic się nie stało – uspokoił ją, próbując przeprosić ją za swój burkliwy ton. – Chciałem jedynie, abyś wiedziała, że mimo sytuacji, w jakiej się znalazłem, jestem psem z rodowodem.

Usiedli na skraju łóżka w jej pokoju, jak na razie bezpieczni.

Pokój był jasny i dobrze nasłoneczniony, inny niż pomieszczenia, które do tej pory widział. Ściany pokrywała boazeria i tapeta, na podłodze leżał dywan, a meble, na których porozstawiano wypchane zwierzęta i lalki, były delikatne i bardzo kobiece. Na jednej ze ścian znajdowała się biblioteczka wypełniona książkami, obok stało małe biurko, gdzieś wisiły obrazki przedstawiające misie. Do drzwi od wewnątrz przymocowany był plakat czegoś lub kogoś nazywającego się Bon Jovi.

– Opowiedz mi o sobie i o Michelu – poprosiła Elizabeth, podnosząc z powrotem oczy.

Abernathy wyprostował się sztywno.

– Michel Ard Rhi jest częściowo odpowiedzialny za to, że jestem psem – powiedział. Zastanawiał się przez chwilę. – Elizabeth, szczerze mówiąc, nie wiem, czy powinienem ci to opowiadać.

– Ale dlaczego, Abernathy?

– Cóż... ponieważ w większość rzeczy, będzie ci trudno uwierzyć.

Elizabeth kiwnęła głową.

– Jak w to, że czarodziej zamienił cię z człowieka w psa? Albo to, że jesteś z innego świata?  
– Potrząsnęła głową i spojrzała na niego z uroczystą miną. – Potrafię uwierzyć w takie rzeczy, Abernathy. Wierzę, że są sprawy, o których inni ludzie nie mają pojęcia. Na przykład czary. Albo zmyślane miejsca, które tak naprawdę nie są wcale zmyślane. Mój tata wciąż mi powtarza, że istnieją rzeczy, w które ludzie nie wierzą, ponieważ ich po prostu nie rozumieją. – Przerwała. – Nikomu o tym nie mówiłam, z wyjątkiem mojej najlepszej przyjaciółki Nity, ale myślę, że gdzieś na innych światach żyją inni ludzie. Naprawdę.

Abernathy popatrzył na nią z szacunkiem.

– I masz rację – powiedział w końcu. – Ten świat, tutaj, nie jest mój, Elizabeth. To nie jest również świat Michela Ard Rhi. Obaj pochodzimy ze świata, który nazywa się Landover, a właściwie to jest królestwo, niezbyt duże, ale położone bardzo daleko stąd. Przez nie prowadzą drogi do krainy mgieł, gdzie mieszkają wróżki. Mgły są źródłem całej mocy magicznej. Wróżki żyją całkowicie pogrążone w świecie czarów; inne światy i ludzie – nie. Przynajmniej nie przez cały czas.

Przerwał, zastanawiając się, o czym jeszcze jej powiedzieć.

Elizabeth patrzyła na niego jak zaczarowana. W jej oczach nie było powątpiewania. Wyciągnął rękę i poprawił sobie okulary na nosie.

– To, co mi się przytrafiło, wydarzyło się ponad dwadzieścia lat temu. Ojciec Michela był wówczas królem Landover.

– Był u schyłku swego życia. Miałem u niego posadę nadwornego pisarza. Michel miał mniej więcej tyle lat, co ty, ale oczywiście w niczym ciebie nie przypominał.

– Czy był zły? – Elizabeth chciała wiedzieć.

– Tak, był.

– Teraz też nie jest zbyt miły.

– Cóż, w takim razie nie zmienił się wiele od czasu, kiedy był w twoim wieku. – Abernathy westchnął. Napłynęły wspomnienia, bolesne obrazy, których trudno było się pozbyć. – Bawiłem się z Michelem, kiedy dorastał. Jego ojciec mnie o to poprosił, więc się zgodziłem. Nie był przyjemnym dzieckiem, zwłaszcza po tym, jak Meeks wziął go pod swoje skrzydła.

– Meeks był poprzednim nadwornym czarodziejem. To był bardzo zły człowiek. Zaprzyjaźnił się z Michelem i trochę uczył go czarów. Michelowi podobało się to. Zawsze udawał, że może zrobić wszystko, co tylko będzie chciał. Kiedy się razem bawiliśmy, zawsze udawał, że ma zamek o nazwie Graum Wythe, twierdzą, która oparłaby się stu wrogim armiom i tuzinowi czarnoksiężników. Bardzo mu się podobało, że ma tak wielką siłę w swoich rękach. – Abernathy potrząsnął głową. – Bawił się w różne gry, a ja na to nie reagowałem. Nie moją sprawą było zastanawiać się, co się dzieje z chłopcem.

– Stary król nie dostrzegał tego tak wyraźnie, jak ja... – Wzruszył ramionami. – Michel był

po prostu małym potworem.

– Czy tobie dokuczał? – zapytała Elizabeth.

– Owszem, ale znacznie bardziej dokuczał innym. Pełniłem ważną funkcję, ponieważ byłem nadwornym pisarzem.

– Inni nie mieli tyle szczęścia. A Michel był szczególnie okrutny wobec zwierząt. Wiele przyjemności, jak się wydaje, sprawiało mu znęcanie się nad nimi. Zwłaszcza nad kotami.

– Z jakichś powodów naprawdę ich nienawidził. Zawsze znajdował jakieś zabłąkane zwierzęta i strącał je z murów zamku...

– Ależ to potworne! – zawołała Elizabeth.

Abernathy skinął głową.

– Też mu to powiedziałem. W końcu któregoś dnia przyłapałem go, jak robił coś tak ohydneho, że nawet teraz nie potrafię o tym mówić. W każdym razie moja cierpliwość się wtedy wyczerpała. Chwyciłem chłopca, przełożyłem przez kolano i zbiłem go batem, aż wył z bólu! Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Po prostu go sprąłem. Kiedy skończyłem, chłopak wybiegł z pokoju, wrzeszcząc, wściekły na mnie za to, co mu zrobiłem.

– Cóż, zasłużył sobie na to – powiedziała Elizabeth, choć nie wiedziała, co takiego właściwie zrobił.

– Był to, niestety, poważny błąd z mojej strony – kontynuował Abernathy. – Powinienem był zostawić chłopca i tylko powiadomić o tym króla, jak tylko by wrócił. Król w tym czasie był nieobecny, rozumiesz, i Michel był pod opieką Meeksa. Dlatego też pobiegł natychmiast do Meeksa i zażądał, abym został ukarany. Chciał, aby odcięto mi rękę. Meeks, jak się później dowiedziałem, roześmiał się i zgodził na to. Meeks w zasadzie nigdy za mną nie przepadał. Podejrzewał, że nastawiam starego króla przeciwko niemu. Michel wezwał zatem strażę, aby mnie odszukały. Nie było nikogo, kto by mnie obronił. Meeks działał jako regent na czas nieobecności króla.

– Z całą pewnością nie miałbym dzisiaj ręki, gdyby mnie wtedy znaleźli.

– Ale nie znaleźli cię. – Elizabeth bardzo chciała przyspieszyć rozwój wydarzeń.

– Nie. Wcześniej znalazł mnie Questor Thews. Questor był przyrodnim bratem Meeksa, również czarodziejem, choć mniej utalentowanym. Gościł wtedy u nas przez tydzień, mając nadzieję, że stary król znajdzie mu gdzieś jakąś posadę. Questor i ja byliśmy przyjaciółmi. Niezbyt lubił swego przyrodniego brata, a także Michela i kiedy usłyszał, co się dzieje, przyszedł mnie ostrzec. Było już za późno na ucieczkę, a na zamku nie było takiego miejsca, gdzie mógłbym się ukryć.

– Michel znał każdy zakątek. Pozwoliłem więc, aby Questor Thews zamienił mnie w psa. I uratował mnie, ale później nie potrafił odwrócić czaru.

– Więc to nie zły czarodziej zamienił cię w psa – powiedziała Elizabeth.

Abernathy potrząsnął głową.

– Nie, Elizabeth.

Elizabeth skinęła poważnie głową, a jej piegowata twarz się zasepiła.

– I przez wszystkie te lata byłeś psem? Przepraszam...

– miękkowłosym wheat terierem?

– Miękkowłosym wheat en terierem. Tak. Z wyjątkiem moich palców, mojego głosu i umysłu, które są wciąż takie same, jak wtedy, gdy byłem człowiekiem.

Elizabeth uśmiechnęła się smutno.

– Szkoda, że nie mogę ci pomóc, Abernathy. To znaczy zamienić cię z powrotem w człowieka.

Abernathy westchnął.

– Ktoś już próbował to zrobić. Przez to wylądowałem tutaj, ściśnięty w tej małej gablocie. Znowu Questor Thews, niestety. Jest tak samo biegły w swojej sztuce, jak trzydzieści lat temu. Sądził, że znalazł w końcu sposób na przywrócenie mi poprzedniej postaci. Niestety, zakłęcie znowu zawiodło i oto jestem tutaj, w zamku mojego największego wroga.

Milczeli przez chwilę, patrząc na siebie. Popołudniowe słońce wpadało przez okna okolone firankami i ogrzewało pokój. Cętkowane fioletowe kwiaty wazonie na szafce pachniały łąkami i wzgórzami. Gdzieś z oddali doszedł ich słaby śmiech i odgłos przesuwanych skrzyń. Abernathy'emu przypomniało to dom.

Elizabeth podjęła rozmowę.

– Mój ojciec powiedział mi kiedyś, że Michel może być okrutny wobec zwierząt i dlatego nie mogę mieć zwierzaka, bo mogłoby mu się coś stać. Nikt w Graum Wythe ich nie ma. Tutaj nie widuje się zwierząt.

– Nie dziwię się – odpowiedział ze smutkiem Abernathy.

– Spojrzała na niego.

– Nie możemy dopuścić, aby Michel cię znalazł.

– O, na pewno nie.

– Ale założę się, że strażnik go zawiadomi, iż mam psa. – Skrzywiła się na tę myśl. – Strażnicy wszystko mu mówią.

Strzegą tego miejsca jak więzienia. Nawet mój ojciec nie wszędzie może wejść, mimo że jest zarządcą Graum Wythe. Michel darzy go całkowitym zaufaniem. Nadzoruje wszystko – no, prawie wszystko. Nie ma kontroli nad strażą. Oni podlegają bezpośrednio Michelowi.

Abernathy skinął głową, nic nie mówiąc, przypomniał sobie nagle o medalionie ukrytym pod tuniką i wyobraził sobie, co by się stało, gdyby go z nim złapano.

Elizabeth westchnęła.

– Niezbyt lubię Michela, mimo że właściwie nigdy mi nic nie zrobił. Nie ma w nim jednak



życzliwości. Zawsze wygląda tak... ciarkowato.

Abernathy nie wiedział, co znaczy „ciarkowato”, ale był pewien, że taki właśnie jest Michel Ard Rhi.

– Muszę się stąd wydostać, Elizabeth. Musisz mi pomóc.

– Ależ Abernathy, dokąd ty pójdziesz? – zapytała go natychmiast.

– To nie ma znaczenia, o ile tylko będzie to daleko stąd – odparł. Przerwał, marszcząc czoło.

– Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego jestem tutaj, a nie gdzie indziej. Jest przecież tyle innych miejsc. Jak to się mogło stać? – Potrząsnął głową.

– Myślę, że powinnam pojechać z tobą – oznajmiła nagle Elizabeth.

– Nie! Nie możesz tego zrobić! – odpowiedział od razu Abernathy. – Nie, nie, Elizabeth, muszę odejść sam.

– Ale ty przecież nawet nie wiesz, dokąd iść!

– Poradzę sobie, wierz mi. Jeśli ma się medalion, można powrócić do Landover. Król mówił mi kiedyś o tym. Miejsce nazywa się Wirginia. Znajdę je.

– Wirginia jest na drugim końcu kraju! – zawołała przerażona Elizabeth. – Jak się tam dostaniesz?

Abernathy utkwiał w niej wzrok. Nie miał oczywiście pojęcia.

– Są sposoby – odparł w końcu. – Najpierw muszę się jednak stąd wydostać. Pomożesz mi? Elizabeth westchnęła.

– Oczywiście, że ci pomogę. – Wstała, podeszła do okna i wyjrzała przez nie. – Muszę znaleźć sposób, żebyś mógł się przedostać przez jedną z tych bram. Sprawdzają wszystkich wychodzących. – Zastanowiła się. – Dzisiaj jest za późno, aby cokolwiek zrobić. Może jutro. Muszę iść do szkoły, ale wracam o czwartej. A może udam, że jestem chora i zostanę w domu.

Mogę cię tutaj ukrywać przez długi czas. – Odwróciła głowę w jego stronę. – Wciąż uważam, że powinnam pójść z tobą.

Abernathy kiwnął głową.

– Wiem. Ale nie możesz, Elizabeth. Jesteś za mała. Byłoby to zbyt niebezpieczne.

Elizabeth zmarszczyła czoło i ponownie odwróciła się do okna.

– Mój tata również nie pozwala mi na wszystko.

– I ma rację.

Elizabeth jeszcze raz się odwróciła z uśmiechem na twarzy. W lustrze umieszczonym za nią Abernathy’emu mignęło własne odbicie. Zobaczył jej oczami siebie – psa w czerwonozłotym ubraniu, siedzącego na jej łóżku, z okularami na kosmatym nosie i brązowymi myślącymi oczami. Nagle pomyślał, jak bardzo śmieszny musi się jej wydawać. Zakłopotany odwrócił wzrok.

Ona go jednak zaskoczyła:

– Czy będziemy dobrymi przyjaciółmi, Abernathy? – zapytała. – Nawet po tym, jak już odejdziesz?

Chętnie by się uśmiechnął, gdyby tylko psy potrafiły to robić.

– Tak, Elizabeth, będziemy.

– Świetnie. Wiesz, cieszę się, że to właśnie ja cię znalazłam.

– Ja również.

– Wciąż chcę, żebyś pozwolił mi pójść z sobą.

– Wiem.

– Zastanowisz się jeszcze nad tym?

– Dobrze, pomyślę nad tym.

– Obiecujesz? Abernathy westchnął.

– Elizabeth.

– Tak?

– Lepiej by mi się myślało, gdybym dostał coś do zjedzenia. I może coś do picia?

Wybiegła w podskokach z pokoju. Abernathy patrzył za nią. Lubił Elizabeth. Musiał przyznać, że bycie przy niej psem nie było czymś specjalnie przykrym.

## MROCZNIAK

– W tej butelce zamknięto coś żywego – powiedział Questor Thews.

Siedział wraz z Benem, Willow i koboldami w sali ogrodowej. Cienie nocy kryły szalem szarości i czerni wszystko, prócz przestrzeni o kształcie koła, któremu blade światło lampy użyczało przytłumionych barw. W kręgu tym siedziała przygarbiona czwórka słuchaczy, czekając w ciszy na dalsze słowa czarodzieja. Poważna jak u sowy twarz Questora była posępna i nieprzenikniona, czoło pokrywały bruzdy głębsze niż kiedykolwiek dotąd, a oczy skrzyły się iskierkami srebra. Dłonie splecione na brzuchu stały się sękatymi patykami, których – zdawałoby się – nic nie jest w stanie rozdzielić.

– Nazywane jest Mroczniakiem. To rodzaj demona.

Jak *Diablik we flaszcze*, pomyślał nagle Ben, przypominając sobie stare opowiadanie Roberta Louisa Stevensona. Przypomniał sobie również, co stworzenie to zrobiło swoim właścicielom i ogarnął go nagle niepokój.

– Mroczniak bardzo przypomina złego dzina z butelki, o którym mówią stare opowieści – kontynuował Questor. Ben poczuł, jak jego niepokój zaczyna ustępować. – Służy właścicielowi butelki, pojawia się na wezwanie, gotowy wykonywać rozkazy swego pana. W tym celu wykorzystuje różne rodzaje magii. – Westchnął. – Niestety, stosowane przez niego czary zawsze przynoszą zło.

– Jak wielkie zło – zapytał cicho Ben. Niepokój powrócił.

– To zależy, panie. – Questor odchrząknął i zaczął rzeczowo wyjaśniać. – Należy zrozumieć naturę magii, którą stosuje Mroczniak. To nie jest samoistna magia; to magia zapośredniczona.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że Mroczniak czerpie swoją siłę od właściciela butelki. Jego czary są karmione siłą charakteru tego, kto go przyzywa; nie tym, co dobre i przyjazne w tym charakterze, ale tym, co złe i szkodliwe. Gniew, egoizm, chciwość, zawiść i wszelkie inne destrukcyjne emocje, które czają się do pewnego stopnia w każdym z nas – właśnie z nich Mroczniak czerpie siłę konieczną do swych czarów.

– Karmi się ludzką słabością – zauważyła łagodnie Willow. – Słyszałam o takich istotach wypędzonych dawno temu z krainy mgieł.

– Nie to jest jednak najgorsze – ciągnął znużonym głosem Questor. Usta wykrzywił do tego stopnia, że jego nos prawie dotykał brody. – Wspomniałem wcześniej, że butelka wydaje mi się skądś znajoma. To było bardzo dawno temu. Upłynęło ponad dwadzieścia lat, od chwili gdy widziałem ją po raz ostatni. Dopiero dziś wieczorem przypomniałem sobie, gdzie to było. – Odchrząknął niespokojnie. – Ostatni raz widziałem ją w rękach mojego przyrodniego brata. Ta butelka należała do niego.

– Och! – jęknął Ben.

– Ale skąd się tutaj wzięła? – zapytała Willow.

– Czarodziej wziął głęboki oddech.

– Żeby to wyjaśnić, muszę się cofnąć w czasie.

– Mam nadzieję, że nie za daleko – błagał Ben.

– Panie, nie cofnę się dalej w przeszłość, niż to jest konieczne, aby uzupełnić wyjaśnienie. – Questor był trochę obruszony. – Musisz zrozumieć, że ilość czasu, którą każdy z nas uważa za konieczną, jest subiektywna, zwłaszcza kiedy...

– No opowiadaj, Questorze, proszę! – ponaglił go Ben, załamując ręce.

Questor się zawahał, wzruszył ramionami, kiwnął głową i powrócił jeszcze raz do przerwanej opowieści. Siedział na ławce bez oparcia i zdawało się, że przy pierwszym wybuchu emocji przewróci się do tyłu. Podciągnął nogi pod suknię, tak jak robią to dzieci, zbliżając je prawie do samej klatki piersiowej, a jego sowa twarz nabrała nieobecnego wyrazu.

Ściągnął brwi i zacisnął wargi. Ben miał wrażenie, że patrzy na człowieka, który właśnie połknął coś niesmacznego.

W końcu był gotowy.

– Pamiętajcie, że mój przyrodni brat był nadwornym czarodziejem starego króla – rozpoczął. Potwierdzili, kiwając głowami, łącznie z koboldami. – Nie miałem stanowiska na zamku, ale od czasu do czasu przyjeżdżałem tutaj. Stary król często dawał mi małe zadania do wykonania w różnych częściach królestwa – zadania, którymi mój przyrodni brat specjalnie się nie interesował. Meeks został mianowany nauczycielem syna starego króla, gdy malec ukończył osiem lat, i dlatego też cały swój czas poświęcał uczeniu chłopca. Niestety, przekazywał mu tylko złą wiedzę. Widział, że stary król opada z sił i szybko się starzeje, cierpiąc na choroby, których nie można było wyleczyć. Domyślał się, iż chłopiec zostanie królem po śmierci ojca. Chciał więc mieć nad nim kontrolę.

Chłopiec miał na imię Michel. Michel Ard Rhi.

Podniósł głowę do góry.

– Michel nigdy nie okazywał zbyt silnego charakteru, nawet jeszcze przed tym, kiedy zaczął spędzać cały swój wolny czas z Meeksem. Ale kiedy mój przyrodni brat wziął go pod opiekę, chłopak momentalnie zaczął nikczemnie postępować.

– Stał się okrutny i małoduszny. Ogromną przyjemność sprawiało mu znęcanie się nad ludźmi i zwierzętami. Magia, którą się posługiwał Meeks, była jego obsesją i wciąż błagał o nią, jak głodny błaga o jedzenie. Meeks używał czarów, aby pozyskać i podporządkować sobie księcia, którego potem miał zamiar usunąć.

– Wybornie – zauważył Ben. – Co to ma jednak wspólnego z butelką, Questorze?

Cóż. – Twarz Questora przybrała typowy dla niego wyraz. – Jedną z rzeczy, jakie Meeks dał

Michelowi do zabawy, była butelka. Michelowi wolno było przywoływać Mrocznika i wydawać mu rozkazy. Demon był niezwykle niebezpieczny, ale nie dla kogoś, kto wiedział, jak go używać. Mój przyrodni brat znał go wystarczająco dobrze, aby mieć nad nim kontrolę, więc zabawy Michela nie stanowiły prawdziwego zagrożenia. Michel używał Mrocznika do dość nieprzyjemnych czynności, często były to okropne zabawy ze zwierzętami. To właśnie w czasie jednej z nich Abernathy stracił panowanie i spuścił chłopcu lanie, a ja potem musiałem zamienić mojego dobrego przyjaciela z człowieka w psa, aby go uchronić przed zemstą. Wkrótce stary król się zorientował, co się dzieje, i przerwał dalsze nauczanie, a Meeksowi zabronił uprawiania magii w obecności chłopca. Wszystkie magiczne zabawki księcia miały zostać zniszczone, zwłaszcza butelka.

– Co jednak, jak już wiemy, nie nastąpiło – wtrącił Ben.

Questor potrząsnął głową.

– Stary król był słaby, ale wciąż chronił go Paladyn. Meeks nie miał zamiaru się sprzeciwiać monarsze. Mojemu przyrodniemu bratu wystarczyło, że poczeka, aż starzec umrze. Już planował swoją przyszłość z chłopcem, chciał opuścić Landover i udać się do innych światów. Wierzył, że z upływem czasu wszystko stanie się jego własnością. Z drugiej strony nie chciał się pozbywać butelki ani już na pewno dopuścić do tego, aby została zniszczona. Nie mógł jej jednak po prostu ukryć; stary król prędzej czy później dowiedziałby się o jego oszustwie. A nawet gdyby butelka została dobrze ukryta, to Meeks po opuszczeniu Landover w żaden sposób nie mógłby później przenieść magii do innego świata, gdyż naturalna kolej rzeczy nie pozwoliłaby na to. Co zatem chciał zrobić?

Questor przerwał, jak gdyby czekał na odpowiedź. Kiedy jej nie uzyskał, pochylił się do przodu i powiedział konspiracyjnym szeptem:

– Kazał Mrocznikowi przenieść się wraz z butelką poza Landover i pozostać w ukryciu, dopóki Meeks nie przyjdzie po niego. Bardzo pomysłowe.

Ben zniecierpliwiony zmarszczył czoło.

– Questorze, co ma piernik do wiatraka? – Questor nie wiedział, o co chodzi. – Co z tą butelką? – zapytał oschle Ben.

Questor wykrzywił usta i podniósł dłonie w błagalnym geście.

– Mój przyrodni brat obiecał ją chłopcu. To była jego ulubiona zabawka. Meeks zapewnił Michela, że butelka nie zostanie zniszczona. Powiedział, iż odnajdą ją później, po śmierci starego króla, gdy obejmą inną rezydencję na innym świecie i zaczną sprzedawać prawa własności do królestwa Landover. To miała być ich tajemnica. – Wzruszył ramionami. Na pewno poinformowałbym o tym króla, gdybym wiedział o tych planach. Poznałem je jednak dopiero po jego śmierci.

Stało się to wówczas, gdy Meeks się zdecydował, że mnie pierwszemu o tym powie.

– On tobie o tym powiedział? – zdziwił się Ben.

Questor wyglądał na zawstydzonego.

– Tak, panie. Dlaczego miał tego nie robić? Nie mogłem w tej sprawie niczego zdziałać. Mój przyrodni brat był bardzo dumny z siebie i musiał się z kimś podzielić radością z osiągniętego sukcesu. Kiedy nadchodził czas, aby obdarzyć kogoś takim honorem, to zawsze mnie wybierał.

Ben myślał nad czymś. Questor rzucił w jego stronę niespokojne spojrzenie.

– Żałuję, że dopiero teraz sobie to wszystko przypomniałem, panie. Wiem, że powinienem dojść do tego wcześniej, ale to się wydarzyło ponad dwadzieścia lat temu. Sama butelka nie od razu skojarzyła mi się z tą sprawą, aż...

– Chwileczkę! – przerwał mu Ben. – Co z butelką? Co się z nią stało?

– Co się z nią stało? – powtórzył Questor.

– Właśnie. Co się z nią stało?

Questor wyglądał tak, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

– Mój przyrodni brat odnalazł ją i oddał Michelowi.

– Oddał Michę... – Ben urwał przerażony.

– Cóż, dlaczegoż miałby jej nie oddawać? – Questor próbował wyjaśnić. – Meeks, jak pamiętasz, obiecał ją chłopcu. Nie stanowiła już tak wielkiego zagrożenia. Znajdowali się już w nowym świecie i czarodziejska moc butelki była o wiele mniejsza, gdyż prawie nikt tam nie wierzył w magię ani jej nie praktykował. Była tam stosunkowo nieszkodliwa i...

– Chwileczkę! – przerwał Ben. – Czy mówimy o moim świecie?

– O twoim starym świecie.

Mój świat! Butelka znajdowała się w moim świecie! Powiedziałeś...! To by znaczyło...! – Ben był zdruzgotany. Szybko zaczerpnął powietrze. – Twoje pomyłkowe zaklęcie spowodowało zamianę, prawda? Sam tak powiedziałeś. Skoro zaklęcie sprowadziło butelkę tutaj, to Abernathy musiał zostać wysłany tam! Coś ty, u licha zrobił, Questorze? Wysłałeś Abernathy'ego do mojego świata! Gorzej, wysłałeś go do tego głupka, Michela, czy nie tak? Questor skinął posępnie głową.

– Razem z moim medalionem, do licha, i teraz nawet nie mogę się tam udać, żeby mu pomóc!

Questor skurczył się ze strachu.

– Tak, królu.

Ben siadł prosto, nic nie mówiąc, spojrzał na Willow, a potem na koboldy. Nikt się nie odzywał. W pokoju było cicho, tylko z dala dochodziły dźwięki nocnych szmerów. Ben się zastanawiał, dlaczego właśnie jemu takie rzeczy ciągle się przytrafiają.

– Musimy odzyskać tę butelkę – powiedział w końcu. Spojrzał na Questora. – A kiedy ją znajdziemy, lepiej żebyś wiedział, jak ją zamienić na Abernathy'ego!

Twarz czarodzieja wykrzywiła się i przypominała teraz supeł.

– Zrobię, co będę mógł, panie.

Ben potrząsnął głową, nie mogąc ukryć rozpacz.

– Mam nadzieję. – Podniósł się. – Cóż, nie możemy zbyt wiele zrobić przed wschodem słońca. Jest za ciemno, aby teraz próbować tropić te przeklęte gnomy. Nawet Bunion miałby kłopoty. Prawie żadnego światła, niebo zachmurzone, bez księżyca. A to pech! – Podeszedł do okien i wrócił. – Dobrze że Phillip i Sot nie wiedzą, co wzięli. Traktują tę butelkę tylko jako ładny przedmiot. Może jej nie otworzą, dopóki ich nie znajdziemy. Może będą tylko siedzieć i na nią patrzeć.

– Może – Questora dręczyły wątpliwości.

– Czy może być też inaczej? – dopytywał się Ben.

– Jest pewien kłopot.

– Jeszcze jeden, Questorze?

– Obawiam się, że tak, panie. – Czarodziej przełknął ślinę. – Mroczniak jest istotą bardzo nieobliczalną.

– To znaczy?

– Czasem sam wychodzi z butelki.

Wcale nie tak daleko od miejsca, w którym Ben Holiday patrzył z przerażeniem na Questora Thewsa, Phillip i Sot leżeli skuleni pod osłoną mroku nocy. Odgrzebali opuszczoną norę borsuka i wchodząc do niej tyłem, centymetr za centymetrem, zanurzali swe pucołowate, kosmate ciała w ziemi, aż nic nie wystawało, z wyjątkiem spiczastych ryjków i błyszczących oczu. Przycupnęli w swojej prowizorycznej jamie, nasłuchując wszelkich dźwięków dochodzących z sąsiedztwa, nieruchomi jak liście zwisające na okolicznych drzewach w tę bezwietrzną, spokojną noc.

– Wyjmiemy ją jeszcze raz? – zapytał cicho Sot.

– Myślę, że powinniśmy trzymać ją w ukryciu – odpowiedział Phillip.

– Tylko na chwilę – argumentował Sot.

– To mogłaby być jej ostatnia chwila – upierał się Phillip.

– Przecież tutaj nie ma światła – nalegał Sot.

– Niektórzy nie potrzebują światła – oznajmił Phillip.

Ponownie zamilkli, połyskując oczami i węsząc dokoła.

Gdzieś daleko ptak krzyknął przeraźliwie.

– Myślisz, że królowi będzie jej żal? – zapytał Sot.

– Powiedział, że żałuje, iż ją kiedykolwiek zobaczył – odparł Phillip. – Dodał, że chciałby, aby zniknęła.

– Jednak wciąż może mu jej brakować – powiedział Sot.

- On ma dużo innych butelek, wazonów i podobnych ładnych rzeczy – powiedział Phillip.
- Myślę, że powinniśmy ją jeszcze raz wyjąć.
- Raczej powinniśmy zostawić ją tam, gdzie ją położyliśmy.
- Tylko żeby popatrzeć na tańczące klauny.
- I pozwolić ją komuś ukraść?

Sot przywarł do ziemi rozdrażniony i zaczął widać się w taki sposób, żeby brat nie miał wątpliwości, iż bardzo mu na tym zależy. Phillip nie zwracał na niego uwagi. Sot wiercił się jeszcze bardziej, po czym westchnął i znowu popatrzył w czerń nocy. Pomyślał o smacznym posiłku i ciepłym łóżku, które zostawili na zamku.

– Powinniśmy zostać u króla aż do rana – powiedział.

– Musieliśmy wyjść od razu, skoro zabraliśmy butelkę – odpowiedział Phillip, znużony gadaniem drugiego. Nos pokrył mu się zmarszczkami. – Obecność butelki przeszkadzała królowi. Samo patrzenie na nią sprawiało mu wiele bólu.

– Przypominała mu o psie. Abernathy był jego przyjacielem, choć muszę przyznać, że nigdy nie rozumiem, jak można zaprzyjaźnić się z psem. Psy są dobre do jedzenia, ale poza tym są bezużyteczne.

- Powinniśmy byli mu powiedzieć, że bierzemy butelkę – klócił się Sot.
- Na pewno bardzo by się zmartwił – odpierał zarzuty Phillip.
- Będzie na nas zły.
- Będzie zadowolony.
- Myślę, że powinniśmy jeszcze raz zerknąć na butelkę.
- Przystaniesz...?
- Tylko żeby się upewnić, że nic się jej nie stało.
- ...prosić w kółko o to samo?
- Tylko dla spokoju.

Phillip westchnął głęboko jak astmatyk, podrywając kurz u wejścia do ich nory. Sot kichnął. Phillip zerknął na niego i mrugnął okiem. Sot odpowiedział mu tym samym.

- Najwyżej na bardzo, bardzo krótką chwilę – powiedział w końcu Phillip.
- Dobrze, tylko na chwilę – zgodził się Sot.

Ich pomarszczone, oblepione brudem palce zaczęły skrobać w stercie patyków i liści zakrywających wąską jamę, którą wykopali naprzeciwko swojej. Kiedy kupka została odgarnięta, obaj sięgnęli i ostrożnie wyciągnęli zawiniątko. Trzymając je blisko siebie, rozwinęli szmaty i wyjęli butelkę.

Postawili ją delikatnie na ziemi, tuż przed swoimi nosami. Jej biała powierzchnia zaświeciła blado, ukazując roztańczone, czerwone arlekiny. Dwie pary oczu zaiskrzyły się.

- Ależ to piękne – wyszeptał Phillip.



– To prawdziwy skarb – zawtórował Sot.

Wpatrywali się w nią jeszcze przez pewien czas. Obiecana chwila rozciągała się coraz bardziej i bardziej. Wciąż się gapili jak sparaliżowani.

– Zastanawiam się, czy w środku coś jest – zadumał się Phillip.

– Ja też – powiedział Sot.

Phillip sięgnął po nią i delikatnie potrząsnął. Arlekiny zatańczyły jakby szybciej.

– Zdaje się, że jest pusta – powiedział.

– Sot również nią wstrząsnął.

– Chyba tak – zgodził się Sot.

– Trudno jednak stwierdzić to bez zagłębienia – rzekł Phillip.

– No, trudno – dodał Sot.

– Może się mylimy – powiedział Phillip.

– Może – powtórzył Sot.

Obwąchiwali ją, skrobali łapami i badali w milczeniu przez dłuższy czas, obracając ją na wszystkie strony, starając się dowiedzieć czegoś więcej o jej zawartości. W końcu Sot zaczął grzebać przy korku. Phillip szybko odsunął butelkę.

– Ustaliliśmy, że otworzymy ją potem – przypomniał.

– Potem będzie za późno – odparował Sot.

– Zgodziliśmy się, że otworzymy ją w domu, kiedy będziemy bezpieczni.

– Dom jest za daleko. Poza tym tutaj jesteśmy zupełnie bezpieczni.

– Przecież ustaliliśmy.

– Możemy ustalić jeszcze raz.

Phillip czuł, że jest coraz mniej stanowczy. Zależało mu tak samo jak Sotowi, aby odkryć, co się znajduje w środku ich cennej butelki. Mogliby ją otworzyć – tylko na moment – a potem zamknąć z powrotem. Mogliby spojrzeć przez szyjkę, tylko zerknąć...

A co będzie, jak to coś z butelki wyleje się w ciemności i przepadnie?

– Nie – powiedział zdecydowanie Phillip. – Będzie tak, jak postanowiliśmy: otworzymy butelkę w domu, nie wcześniej.

Sot popatrzył na niego groźnie, potem westchnął, przyznając się do swojej klęski.

– W domu, nie wcześniej – powtórzył wyraźnie przygnębiony.

Przez jakiś czas leżeli, nic nie mówiąc i wpatrując się w butelkę. Lekko mrużyli oczy, aby ją wyraźniej widzieć, co przy tak słabym wzroku było prawie niemożliwe. Żeby się orientować w terenie, gnomy dodomy polegają niemal wyłącznie na pozostałych zmysłach. Ich oczy były w zasadzie bezużyteczne.

Butelka wciąż tam stała, jak blado świecący owal na czarnym tle. Kiedy korek poruszył się w jedną i w drugą stronę, zupełnie tego nie zauważyli.

– Myślę, że powinniśmy ją odłożyć – powiedział w końcu Phillip.

– Też tak uważam – westchnął Sot.

– Wyciągnęli ręce po butelkę.

– Psyt!

Phillip spojrział na Sota. Sot spojrział na Phillipa. Żaden się nie odezwał.

– Psyt!

To butelka. Syk dochodził z butelki.

– Psyt! Uwolnijcie mnie, panowie!

Phillip i Sot znieruchomieli, na ich lisich twarzach rysowało się przerażenie. Ta butelka mówiła!

– Panowie, otwórzcie butelkę! Wypuście mnie!

Phillip i Sot momentalnie schowali za siebie ręce i wcisnęli się w norę, tak że wystawały tylko czubki ich nosów. Gdyby mogli zagłębić się jeszcze bardziej, zrobiliby to na pewno.

Głos z butelki zaczął jęczeć.

– Proszę, proszę was, wypuście mnie. Nic wam nie zrobię. Jestem waszym przyjacielem. Pokażę wam sztuczki.

– Uwolnijcie mnie. Mogę wam pokazać cudowne rzeczy.

– Jakie cudowne rzeczy? – odważył się zapytać Phillip ze swojej kryjówki. Sot nie odezwał się słowem.

– Rzeczy należące do czystej magii! – powiedziała butelka. Nastąpiła długa chwila ciszy. – Nie skrzywdzę was – powtórzyła butelka.

– Coś ty za jedna? – zapytał Phillip.

– Dlaczego mówisz? – zapytał Sot.

– Butelki nie mówią.

– Butelki nigdy nie mówią.

– Butelka na to:

– To nie butelka do was mówi, panowie. To ja!

– Kto to jest ja? – zapytał Phillip.

– Właśnie, kto? – zawtórował Sot.

– Butelka wahała się przez moment.

– Ja nie mam imienia – brzmiała odpowiedź.

– Phillip wysunął się kilka centymetrów z nory.

– Każdy ma imię – powiedział.

– Sot wysunął się za nim.

– Tak, każdy – potwierdził.

– Ale nie ja – powiedziała ponuro butelka. Zaraz jednak zabrzmiała radośniej. – Może wy

nadacie mi jakieś imię. Tak, jakieś odpowiednie dla mnie imię. Dlaczego nie wypuścicie mnie, aby móc nadać mi imię?

Fillip i Sot wahali się, ale ich strach zaczął już ustępować miejsca ciekawości. Ich wspaniały skarb był nie tylko ładną rzeczą; on był również gadającą rzeczą!

– Jeśli cię wypuścimy, czy będziesz grzeczny? – zapytał Phillip.

– Czy obiecasz, że nas nie skrzywdzisz? – zapytał Sot.

– Skrzywdzić was? Och, nie! – Butelka była wstrząśnięta. – Wy jesteście panami! Nigdy nie mogę skrzywdzić właścicieli butelki. Muszę robić, co mi rozkażą. Zrobię wszystko, o co mnie poprosicie.

Fillip i Sot wciąż nie byli zdecydowani. Wówczas Phillip wyciągnął rękę i dotknął butelki. Była ciepła. Sot zrobił to samo. Spojrzeli po sobie i zmrużyli oczy.

– Mogę pokazać wam cudowne rzeczy – obiecywała butelka. – Pokażę wam prawdziwą magię!

Fillip spojrzał na Sota.

– Otworzymy butelkę? – zapytał szeptem.

– Sot podniósł na niego wzrok.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Mogę dać wam ładne rzeczy – obiecywała butelka. – Mogę dać wam skarby!

To gnomom dodomom wystarczyło w zupełności. Phillip i Sot jednocześnie sięgnęli po butelkę, zacisnęli dłonie wokół szyjki i wyciągnęli korek. Buchnął czerwony dym, w którym migotały zielone punkciki światła, rozległ się dźwięk strzelającego korka i coś małego, czarnego i włochatego wypełzło z butelki. Phillip i Sot momentalnie cofnęli swoje ręce.

To coś wypełzające z butelki wyglądało jak wielki pajak.

– Aaa! – istota na krawędzi butelki westchnęła z zadowoleniem. Usadowiła się i spojrzała na nich w dół. Miała zaledwie trzydzieści centymetrów długości. Mrużyła swoje czerwone oczy niczym kot. Teraz już mniej przypominała pajaka. Miała cztery kończyny, wszystkie podobnej długości, szczurzy ogon wykonujący nagłe ruchy, wygięty tułów pokryty szczecina czarnych włosów, białawe ręce i palce jak u chorowitych dzieci, a jej twarz obrosnięta była włosami i spłaszczona, jakby kiedyś została wepchnięta i już nigdy nie powróciła do swego pierwotnego kształtu. Spiczaste uszy wsłuchiwały się w dźwięki nocy. Usta odsłaniające zęby i okolone pomarszczoną skórą były wygięte w grymasie uśmiechu.

– Panowie! – odezwała się istota, drapiąc się jedną z kończyn, jak gdyby w czarnej sierści ukrywało się coś, co ją drażniło.

– Kim ty jesteś? – zapytał szeptem Phillip. Sot się tylko w nią wpatrywał.

– Jestem tym, kim jestem! – powiedziała istota. Grymas na jej twarzy stał się bardziej wyraźny. – Cudowne dziecko magii i sztuk czarnoksiężskich! Istota znacznie lepsza od tych, które

natchnęły mnie życiem!

– Demon! – wyszeptał nagle Sot z przerażeniem.

Istota skrzywiła się.

– Mroczniak, panowie, biedny nieszczęśnik przypadkowo uczyniony więźniem tego odpychającego ciała. Ale jednocześnie strażnik tej butelki, panowie, strażnik wszystkich jej cudów i rozkoszy!

Fillip i Sot z trudem mogli oddychać.

– Jakie... jakie cuda trzymasz w butelce? – odważył się w końcu zapytać Phillip, bezskutecznie próbując opanować drżenie swego głosu.

– Aaa! – odetchnął Mroczniak.

– Dlaczego... trzymasz je tam? – zapytał Sot. – Dlaczego nie w kieszeni?

– Aaa! – ponownie odezwał się Mroczniak.

– Dlaczego żyjesz w butelce? – zapytał Phillip.

– Właśnie, dlaczego? – zawtórował mu Sot.

Pajęczce ciało wygięło się i obróciło na krawędzi butelki, przypominając pożywiającego się owada.

– Ponieważ... inaczej nie mogę! – głos Mroczniaka syczał z podniecenia. – Jestem do tego zmuszony! Może wy też chcielibyście poznać, jak to jest? Chcecie poczuć butelkę? Mali panowie, spróbujecie? Odważycie się zobaczyć, jak ona formuje, modeluje i przetwarza życie?

Fillip i Sot z każdym jego słowem zanurzali się coraz głębiej w swoją norę, próbując zniknąć zupełnie. Żalowali, że nie zostawili butelki w spokoju, tak jak się wcześniej umówili. Żalowali, iż ją w ogóle otworzyli.

– Ooo! Boicie się? – zapytał nagle Mroczniak, przeciągając każdy wyraz i drażniąc ich w ten sposób. – Lękacie się mnie? Och, nie musicie się lękać. Jesteście moimi panami, a ja jestem jedynie waszym sługą. Rozkazujcie mi, panowie! Poproście mnie o coś, a pokażę wam, na co mnie stać!

Fillip i Sot wpatrywali się w niego bez słowa.

– Powiedzcie słowo, panowie! – błagał Mroczniak. – Każcie mi coś zrobić!

Fillip z trudem przełknął ślinę.

– Pokaż nam coś ładnego – odważył się zaproponować.

– Coś błyszczącego – dodał Sot.

– Ależ to jest bardzo proste zadanie! – skrzywił się Mroczniak. – No, dobrze. Coś ładnego, panowie, coś błyszczącego.

– Proszę bardzo!

Uniósł się lekko na nogach i jakby trochę zwiększył swoją objętość. Strzelił palcami i zaiskrzyły się drobinki zielonego światła. Dookoła zapalały się fruwające owady, stapiając się

w jaskrawe fragmenty tęczy. Konsumowane przez płomień insekty rzucały się jak oszalałe na wszystkie strony, tworząc niewielkie smużki światła, przemykały obok zdziwionych gnomów i tworzyły zawile wzory na niebie.

– Ooo! – gnomy zdziwiły się, sparaliżowane kalejdoskopem kolorów; tylko początkowo czuły dziwną odrazę do tego zjawiska.

Mrocznik uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem i zaśmiał wesoło.

– Proszę, panowie! Więcej kolorów dla was!

Białe jak u kościotrupa palce jeszcze raz strzeliły w nocnym powietrzu i drobinki zielonego światła tym razem poleciały wyżej, eksplodując fontannami jaskrawości, które wybrzuszały się, tworząc tęczę. Jakiś nocny ptak zajął się ogniem; jego przeraźliwy krzyk trwał krótko. Inne skrzydlate stworzenia spotkał ten sam los. Wpadały w jaskrawą tęczę o cudownych i jednocześnie przerażających kolorach i spadały jak gwiazdy z nieba. Gnomy patrzyły na wszystko z coraz większym zadowoleniem, a poczucie, że coś uległo zagładzie, stopniowo traciło znaczenie, kryjąc się gdzieś w zakamarkach ich duszy.

Kiedy ogień pochłoniął już ptaki, Mrocznik popatrzył na Fillipa i Sota. Jego oczy błyszczały przydymioną czerwienią niczym węglaki w przygasającym palenisku. To samo światło – jakby delikatniejszy jego poblask – odbijało się w oczach gnomów.

– Wiele podobnych rzeczy możecie ujrzeć, panowie – wyszeptał Mrocznik, jego syk był pełen obietnic. – Czary z butelki dadzą wam wszystko, czego sobie życycie, wszelkie rozkosze i cuda waszej wyobraźni i wiele więcej! Pragniecie ich? Chcecie się nimi rozkoszować?

– Tak! – wysapał z entuzjazmem Phillip.

– Tak! – dodał Sot.

Mrocznik zgarbił się i najeżył czarne włosy, nabierając jeszcze bardziej dziwnego kształtu. Usłużnie i poufale wyszeptał:

– Tacy dobrzy panowie! Dlaczego mnie nie dotkniecie? Phillip i Sot skinęli posłusznie głowami. Ich ręce wyciągały się już do przodu.

Mrocznik z zadowoleniem przymknął oczy.

## ZAUROCZENIE

Ben Holiday nie spał dobrze tej nocy. Męczyły go sny o butelce i mieszkającym w niej demonie. Śnił, że demon sam wyszedł z naczynia, tak jak ostrzegwał Questor. Było to olbrzymie monstrum, mogące połknąć człowieka w całości. Potwór pożarł Fillipa, Sota i jeszcze kilku innych i już prawie schwycił Bena, kiedy ten na szczęście się zbudził.

Dzień był szary i deszczowy. Niezbyt pomyślna wróżba, pomyślał. Odłożyli poszukiwania gnomów dodomów do rana, aby mieć lepsze warunki do ich tropienia, a wyszło na to, że ciemności zostały zamienione na inną przeszkodę.

Ubierając się, Ben wyrzwał przez okno i zobaczył lejący strugami deszcz. Ziemia błyszczała od kałuż, musiało więc padać już od dłuższego czasu. Ben westchnął głęboko. W taką pogodę trudno będzie znaleźć jakikolwiek ślad.

A jednak Bunion, którego zadaniem było znalezienie tropu gnomów, zdawał się tym nie przejmować. Ben przed wyruszeniem w drogę zszedł do jadalni na śniadanie i zastał kobolda zajętego żarliwą rozmową z Questorem Thewsem na ten właśnie temat. Mógł zrozumieć prawie całą rozmowę, ponieważ spędził z koboldem wystarczająco dużo czasu, aby nauczyć się jego trudnego, gardłowego języka. Bunion zapewniał, iż deszcz nie powinien przysporzyć mu większych kłopotów. Ben skinął im z zadowoleniem głową i zjadł tak duże śniadanie, że aż się sobie dziwił.

Po posiłku udał się z Questorem i Bunionem na przedni dziedziniec. Była już tam Willow; nadzorowała wybór koni oraz załadunek jucznych zwierząt. Ben podziwiał zorganizowanie sylfidy; brała na siebie obowiązki częstokroć do niej nie należące, zawsze doglądała, czy prace zostały porządnie wykonane. Willow uśmiechnęła się i pocałowała go. Deszcz spływał jej po kapturze płaszczu na nos i usta. Ben niezbyt chętnie zapatrywał się na jej udział w wyprawie, obawiając się o jej bezpieczeństwo. Poprzedniego dnia tak długo nalegała, że w końcu się zgodził. Teraz był nawet z tego zadowolony, objął ją i pocałował.

Przewieźli zwierzęta promem na drugi brzeg i nim minał poranek, byli już w drodze. Ben jechał na Jurysdykcji, na swoim ulubionym gniadym wierzchowcu, Questor dosiadał starego siwka z jedną białą „skarpetką”, a Willow wybrała błękitnego deresza. Koboldy jak zwykle szły pieszo, gdyż nie darzyły koni zbyt dużą sympatią i vice versa. Ben lubił żartować, że za każdym razem, kiedy dosiada konia, ma pod sobą jurysdykcję. Dziś rano też to powiedział, ale nie zrobiło to na obecnych żadnego wrażenia. Wszyscy owinęli się w swoje przeciwdeszczowe peleryny, pochylili głowy przed wiatrem i deszczem, skulili ciała od porannego chłodu; nikt nie miał ochoty na żarty. Chcieli przede wszystkim zapomnieć o niewygodach podróży.

Bunion poszedł przodem, zostawiając pozostałych, by podążali za nim wolniejszym krokiem. Ben dobrze wiedział, gdzie się udały gnomy dodomy; były to mało skomplikowane stworzenia.

Z takim skarbem jak butelka mogły się schronić w jedynym bezpiecznym miejscu, jakim były ich nory.

Oznaczało to, że będą się poruszały na północ, przez lasy otaczające Sterling Silver, następnie przez zachodnie rubieże Greenswardu, aż dotrą do wzgórz, które zamieszkuje kolonia gnomów. Były dosyć powolne, nawet w bardzo dobrych warunkach, a teraz musiały zajmować się jeszcze butelką. Ben był niemal przekonany, że istoty te nie zdawały sobie sprawy, iż dokonują kradzieży, nie spodziewają się więc żadnego pościgu. To by znaczyło, że nie będą biec i Bunion bez względu na deszcz ma duże szanse odnaleźć je przed zachodem słońca.

Przedzierali się zatem na północ w deszczu i przez kałuże, czekając cierpliwie na powrót Buniona z dobrą wiadomością. Jeśli kobold zdecydował się już coś tropić, to nie mogło mu to umknąć. Koboldy to czarodziejskie istoty i w okamgnieniu potrafią się przenosić z miejsca na miejsce.

Bunion szybko dogoni gnomy, jeśli tylko natrafi na ich ślad, a zapewniał, iż nastąpi to wkrótce. Ben liczył na to. Myśl o demonie z butelki bardzo go niepokoiła.

Ben próbował sobie wyobrazić Mroczniaka, ale nie znalazł zadowalającego obrazu. Questor nie widział tej istoty od ponad dwudziestu lat, a poza tym jego pamięć była jak zwykle trochę zawodna. Czasami bywał mały, a czasami duży – tak mówił Questor. Ben pokręcił głową, przypominając sobie niezdecydowanie czarodzieja. Trudno powiedzieć, aby to w czymś pomogło. Ważniejsze było to, że Mroczniak posiadał magiczną moc, która nigdy nie wróżyła niczego dobrego każdemu, kto się z nim spotkał. Może jednak Phillip i Sot nie zdążyli jeszcze otworzyć butelki i nie uwolnili Mroczniaka. Być może zdołają powstrzymać swoją ciekawość tak długo, że Ben i pozostali uczestnicy pościgu zdążą przechwycić naczynie z demonem.

Westchnął. Nagły poryw wiatru cisnął mu strugę deszczu prosto w twarz. Skrzywił się i poprawił w siodle. Może by słońce wyszło, gdyby klasnął w dłonie?

– Myślę, że się trochę przejaśnia, królu! – zawołał nagle Questor tuż za jego plecami.

Ben potwierdził to skinieniem głowy, choć ani przez sekundę w to nie wierzył. Będzie pewnie tak padać przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, a oni będą musieli budować pod gołym niebem arkę, zamiast ścigać te stwory o ptasim mózdzku. Minął już prawie dzień, od kiedy Abernathy zniknął wraz z medalionem i Bena zaczynała ogarniać rozpacz.

Jak Abernathy da sobie radę w świecie Bena? Nawet jeśli uda mu się wymknąć Michelowi Ard Rhi, to dokąd pójdzie? Przecież nie zna nikogo. Nie zna podstawowych wiadomości dotyczących geografii świata Bena. A gdy się odezwie, aby kogoś zapytać...

Ben nie chciał myśleć, jaki mógłby być dalszy rozwój wydarzeń. Nie było sensu rozwodzić się nad losem Abernathy'ego i medalionu. Całą swoją energię musiał skoncentrować na odzyskaniu butelki od Phillipa i Sota. Czuł, że nawet bez pomocy Paladyna jest w stanie tego dokonać. Bunion i Parsnip nie tylko dorównywali gnomom, ale także w niejednym ich

prześcigali, a Questor mógł się przeciwstawić swoimi czarami magii demona. Jeśli będą dość szybcy, to odzyskają butelkę, zanim Phillip i Sot się zorientują, o co w ogóle chodzi, przyjemnie byłoby jednak wiedzieć, że można polegać na Paladynie, pomyślał. Ben wciąż pamiętał chwile, gdy się zamieniał w błędnego rycerza: opinająca go szczelnie zbroja, i pobrzękujące paski i klamry, zapach walki i wspomnienie bitwy wypełniały jego zmysły. Dodawało mu to animuszu i jednocześnie przerażało, przyciągało i odpychało. Wciągnął wilgotne, zimne powietrze i jeszcze raz to sobie wyobraził. Były chwile, kiedy się lękał, że to stawanie się Paladynem może mu z czasem wejść w krew...

Odrzucił od siebie tę myśl, wzruszając ramionami. Takie rozważania nie mają teraz żadnego znaczenia. Bez medalionu nie ma mowy o transformacji, a Paladyn jest tylko mrzonką.

Poranek dobiegł końca i zatrzymali się, aby zjeść zimny obiad pod purpurowym klonem. Wciąż nie było śladu Buniona. Nikt o tym nie wspominał, choć wszyscy o nim myśleli.

Czas mijał szybko. Po krótkim odpoczynku znowu ruszyli w drogę i teraz posuwali się w głąb Greensward. Na wschód i północ rozpościerały się długie, trawiaste pasma równiny.

Zgodnie z oczekiwaniami Questora, deszcz zaczął słabnąć, a powietrze trochę się ociepliło. Przez obszerną zasłonę cienkich i zmierzwionych chmur przenikało szare i zamglone światło.

Niedługo potem pojawił się Bunion. Nie przybył, jak oczekiwano, z północy, ale dokładnie z zachodu. Zbliżył się tak błyskawicznie, że zobaczyli go dopiero, gdy się znajdował już przy nich. Jego żyłaste ciało ledwie muskało podmokły teren, poruszając się płynnie do przodu. Oczy miał rozpalone, a twarz, ukazująca wszystkie ostre zęby, była zadowolona jak u dziecka. Odnalazł Phillipa i Sota. Okazało się, że gnomy dodomy nie kierowały się wcale na północ. Tak naprawdę to nigdzie się nie kierowały. Znajdowały się w odległości zaledwie dwóch mil i były pochłonięte oglądaniem spadających z drzew kropli deszczu zmieniających się w świecące, barwne klejnoty.

– Co?! – zawołał z niedowierzaniem Ben, pewny, że źle usłyszał.

Questor pośpiesznie powiedział coś do Buniona, wysłuchał odpowiedzi kobolda i zwrócił się z powrotem do Bena.

– Panie, oni otworzyli butelkę. Uwolnili Mroczeniaka.

– I Mroczeniak zamienia krople deszczu w klejnoty?

– Tak, królu – Questor był wyraźnie zaniepokojony. – Zdaje się, że to bawi gnomy.

– Nie wątpię w to. Te przekłete małe lisy! – Ben zachmurzył się. Dlaczego nic mu się nie układa? – No to problem odzyskania nie otwartej butelki mamy z głowy. Co teraz, Questorze? Czy Mroczeniak będzie próbował nas powstrzymać przed włożeniem go z powrotem do butelki?

Questor z powątpiewaniem pokiwał głową.

– To zależy od Phillipa i Sota, panie. Ten, kto trzyma butelkę, ten ma kontrolę nad demonem.

– Problem zatem leży w tym, czy Phillip i Sot odmówią zwrócenia nam butelki?



- Czary to potężna pokusa, królu.
- Ben pokiwał głową.
- Musimy zatem wymyśleć jakiś plan.

Jego plan był dość prosty. Mieli zbliżyć się do miejsca, w którym znajdują się gnomy. Parsnip zostanie z końmi, a pozostali dalej będą przemieszczali się pieszo. Ben, Questor i Willow podejną do nich otwarcie z przodu, a Bunion przyczai się z tyłu. Gdyby Benowi nie udało się ich przekonać, aby dobrowolnie oddali butelkę, Bunion miał im ją wyrwać, zanim mogliby cokolwiek uczynić.

– Pamiętaj, Bunion, jeśli zauważysz, że pocieram dłonią policzek, to będzie znak dla ciebie – zakończył Ben. – Wpadniesz między nich tak szybko, jak tylko potrafisz, i zabierzesz butelkę!

Kobold uśmiechnął się, szczerząc kły jak wilk.

Skęcili na zachód. Bunion wskazywał drogę, Parsnip szedł z tyłu ze zwierzętami jucznymi. Dotarli do miejsca, gdzie gnomy dodomy bawiły się swoim skarbem. Zatrzymali się pośród kępy jodeł, przed niskim wzniesieniem, pozostając wciąż w ukryciu, zeskoczyli z koni i oddali je Parsnipowi. Buniona wysłali przodem, aby zajął swoje stanowisko, a sami podjęli wspinaczkę na grzbiet wzniesienia. Kiedy dotarli na grań, zatrzymali się na chwilę.

Fillip i Sot siedzieli pod olbrzymią, starą wierzbą, z nogami podwiniętymi pod siebie, z wyciągniętymi rękami, śmiejąc się jak dzieci. Konary drzewa były ciężkie od kropel deszczu, które spadając, zamieniały się w błyszczące klejnoty. Gnomy próbowały łapać te, które spadały w ich pobliżu, ale większość kamieni spadała na ziemię z dala od nich, tworząc lśniące stosy. Błyszczące kamienie były wszędzie, całe sterty, tęcza jaskrawych kolorów w popołudniowej szarości i wilgoci – prawdziwy cud.

Butelka stała na ziemi pomiędzy nimi, zupełnie zapomniana. Brzydkie, podobne do pająka stworzenie tańczyło na krawędzi szyjki butelki, z której wyciągnięto korek, i strzelając palcami, ciskało drobiny zielonego ognia na krople deszczu.

Każda szczypta ognia zamieniała kroplę w klejnot.

Była to najdziwniejsza scena, jaką Ben widział w swoim życiu. Phillip i Sot wyglądali, jakby dostali pomieszania zmysłów.

– No dobrze! Wystarczy już tego! – wrzasnął ostro.

Gnomy dodomy zamarły w bezruchu, kuląc się do ziemi niczym zwiędłe kwiaty. Mrocznik przycupnął na brzegu butelki jak kot, oczy mu się zaiskrzyły. Ben odczekał chwilę, aby mieć pewność, że wszyscy go usłyszeli, i zaczął schodzić w dół stoku, a za nim Questor i Willow. Kiedy się zbliżył do krawędzi szerokiego baldachimu, który tworzyły liście wierzby, dzieliło go od gnomów około dziesięciu metrów.

– Co wy tu wyprawiacie? – zapytał spokojnie.

Phillip i Sot robili wrażenie przerażonych.

– Zostaw nas! – krzyknęli. – Chcemy być sami! – Ich słowa mieszały się ze sobą i Ben nie był w stanie rozpoznać, które należały do kogo.

– Zanim to się stanie, musimy rozwiązać pewien problem – mówił wyważonym tonem. – Macie coś, co nie należy do was, ale do mnie.

– Nie, nie – zaskamlał Phillip.

– My nic nie mamy – jęknął Sot.

– A co z butelką? – zapytał.

W chwili, gdy padło słowo „butelka”, gnomy chwyciły ją rękami i przyciągnęły do siebie. Mroczniak pozostał na krawędzi szyjki, trzymając się jej kurczowo, jakby jego palce były zakończone ssawkami. Teraz Ben mógł się z bliska przyjrzeć stworzeniu; było to małe paskudztwo. Czerwone oczy pałały nienawiścią i Ben czym prędzej odwrócił wzrok.

– Phillip, Sot – starał się panować nad głosem. – Musicie oddać butelkę. Nie należy do was. Wzięliście ją bez pozwolenia.

– Powiedziałeś, że wolałbyś jej nigdy nie widzieć! – zawołał Phillip.

– Powiedziałeś, że chciałbyś, aby zniknęła! – dodał Sot.

– Schowałeś ją!

– Nie chciałeś jej!

– Potężny panie!

– Wszechmocny królu!

Ben szybko podniósł rękę, aby ich uciszyć.

– Musicie ją oddać. O nic więcej nie chodzi. Zakorkujcie ją i natychmiast mi ją dajcie.

Gnomy przyciągnęły butelkę jeszcze bardziej do siebie. Ich oczy się zwiężyły i zaczęło się w nich odbijać coś, co miał w swym spojrzeniu Mroczniak. Pysk Phillipa zaczął się zmieniać i odsłaniać zęby. Sot głaskał wygięty grzbiet demona.

– Butelka należy do nas! – warknął Phillip.

– To nasza butelka! – zazgrzytał Sot.

W ich oczach można było dostrzec przerażenie, ale Ben źle zrozumiał jego sens. Sądził, że to jego się boją, a tak naprawdę bali się utraty butelki.

– Idioci! – mruknął i spojrzał na Questora.

Czarodziej zrobił krok do przodu. Wyprostował się; przypominał teraz stracha na wróble.

– Phillipie i Socie, niniejszym zostajecie oskarżeni o kradzież królewskiej własności i o nieposłuszeństwo! – Odchrząknął konfidencjonalnie. – W tej chwili zwróćcie własność, to znaczy butelkę, a wszystkie zarzuty zostaną oddalone. Jeśli tego nie zrobicie, to zostaniecie aresztowani i osadzeni w lochach zamku. – Przerwał z nadzieją w oczach. – Chyba tego nie chcecie, prawda?

Gnomy dodomy przywarły do ziemi. Gdy były pochylone nad butelką, Mroczniak szepnął im

coś do uszu. Kiedy podniosły wzrok, było wiadomo, że będą stawiać opór.

- Okłamujecie nas! – oświadczył Phillip.
- Chcecie nas skrzywdzić! – oznajmił Sot.
- Chcecie mieć tę butelkę dla siebie!
- I te wszystkie skarby!
- Próbujecie nas oszukać!
- Stosujecie ohydne sztuczki!

Wstali już na nogi i trzymając butelkę między sobą, wycofywali się powoli w stronę pnia drzewa. Ben był przerażony. Nigdy nie widział gnomów w takim stanie. To nie do wiary, były gotowe walczyć!

- O co tu chodzi? – szepnął nerwowo.
- To demon, panie! – odpowiedział mu szeptem Questor. – Zatruewa każdego, kogo dotknie!

Ben pożałował, że zwracał sobie głowę próbami pertraktowania z nimi. Mądrzej byłoby po prostu wysłać Buniona, kazać mu zabrać tę przeklętą rzecz i byłoby po kłopotcie.

Po jego drugiej stronie pojawiła się nagle Willow.

– Phillipie! – zawołała. – Socie! Proszę was, nie róbcie tego naszemu królowi! Pamiętacie, jak do was przyszedł, kiedy wszyscy inni o was zapomnieli? Pamiętacie, jak wam pomógł? – Zaczęła przemawiać jeszcze łagodniejszym głosem. – Zawsze służył wam pomocą, kiedy tylko jej potrzebowaliście, pomyślcie, jak wiele mu zawdzięczacie. Oddajcie mu tę butelkę. Potrzebuje jej do znalezienia Abernathy’ego i do bezpiecznego sprowadzenia go tutaj. Nie przeszkadzajcie mu w jego planach. Posłuchajcie swego wewnętrznego głosu.

Zwróćcie butelkę.

Przez chwilę Ben myślał, że to zrobią. Wydawało się, że Willow potrafi ich przekonać. Wyglądali na zakłopotanych i winnych. Zrobili krok lub dwa do przodu, szurając niezdecydowanie nogami i mrużąc coś niezrozumiałego. Wtem Mrocznik skoczył z butelki najpierw na ramię Phillipa, a następnie Sota, chytrze coś sycząc, po czym zeskoczył z powrotem, tańcząc jak szaleniec. Phillip i Sot od razu się zatrzymali i zaczęli ponownie się wycofywać. Na ich twarze powrócił strach i wyraz nieposłuszeństwa.

Ben miał już tego dość. Najwyższy czas przywołać Buniona. Podniósł dłoń na wysokość policzka i potarł nią, jakby się nad czymś zastanawiał.

Bunion wystrzelił niewiadomo skąd, ciemna kometa na tle szarej mgiełki deszczu. Phillip i Sot nawet go nie zauważyli. Wskoczył na nich, zanim się zorientowali, co się dzieje.

Jednakże próba odbicia butelki się nie powiodła. W jednej chwili zdawało się, że Bunion trzyma butelkę w swoich rękach, ułamek sekundy później został odrzucony w tył przez niewidoczną siłę. Niewiarygodne, ale Mrocznik sam się wszystkim zajął. Demon zasyczał, prychnął jak kot i cisnął olbrzymi piorun zielonego ognia w kobolda. Bunion jeszcze raz został

uniesiony i rzucony w powietrze, aż zupełnie zniknął z pola widzenia.

Ben biegł już do przodu, ale był zbyt wolny. Gnomy dodomy krzyknęły ostrzegawczo i nie trzeba było długo czekać na reakcję Mroczniaka. Obrócił się w kierunku Bena i strzelił palcami w powietrze. Krople zamieniły się w noże i śmiertelna tyraliera opadła ze świstem na króla. Ben nie mógł jej w żaden sposób uniknąć.

Na szczęście nie musiał tego robić. Przynajmniej raz czary Questora Thewsa zadziałały natychmiast i noże w ostatniej chwili się rozsunęły, omijając Bena. Ben zmrużył oczy, odruchowo zamarł i po chwili doszedł do siebie, zdając sobie sprawę, że mimo wszystko nie stał się poduszką na szpilki. Nagle wrzasnął na Questora i Willow, aby uciekali. Mroczniak znów atakował, tym razem jak gdyby ręką jakiegoś olbrzyma, ciskał seriami kamieni i skał wrywanymi z ziemi. Zapora postawiona przez Questora wciąż jednak wytrzymywała oszałamiający napór i trójka przyjaciół mogła się szybko wycofać.

Kamienie zostały nagle przysłonięte gwałtownym gradobiciem i ulewą deszczu ze śniegiem, które powstały z dotychczasowego opadu. Wszystko to spadło na nich swym bezlitosnym ciężarem. Questor zawołał coś głośno, wyrzucił w przód ręce i błysk oślepiającego światła wszystko zasłonił.

Ochronna tarcza słabła jednak i zaczęła przepuszczać grad.

Dosięgli ich kłujące, bolesne uderzenia. Gdy wdrapywali się na szczyt wzniesienia, Ben zachwiał się, próbując osłonić Willow.

– Na dół, panie! – usłyszał przeraźliwy krzyk Questora.

Przyciągając bliżej Willow, stanął na szczycie i zaraz potem ruszyli w dół stoku. Zasłona Questora ustąpiła zupełnie. Grad i deszcz ze śniegiem były wszędzie. Biała ulewa cięła w nich z całą zaciekłością. Ben upadł na ziemię i potoczył się, za nim sunęła przez zarośla i nagą ziemię Willow.

Wtem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, deszcz ze śniegiem i grad ustąpiły. Znow zaczął padać delikatny deszcz, a dzień stał się szary i spokojny. Ben otworzył powoli oczy i napotkał wzrok Willow, po czym dostrzegł przez jej ramię Questora, który z trudem wstawał i otrząpywał swoje szaty.

Nie było śladu gnomów ani demona.

Ben cały się trząsł. Był przerażony, wściekły, a jednocześnie wdzięczny za to, że żyje. Niewiele brakowało, a Mroczniak zabiłby ich. Podniósł się z ziemi i instynktownie przytulił Willow.

Kilkaset metrów dalej znaleźli Buniona zaplątanego w jakichś krzakach, posiniaczonego i zmaltretowanego, ale przytomnego. Biorąc pod uwagę cięgi, które zebrał, powinien już nie żyć, ale koboldy to wyjątkowo wytrzymałe istoty. Willow zajęła się nim troskliwie, używając swoich

zdolności uzdrowicielskich, którymi były obarczone istoty z krainy jezior. Samym dotykem swych delikatnych dłoni potrafiła odjąć najgorszy ból. Nie minęło pół godziny, a Bunion chociaż sztywny i obolały, ale za to z szelmowskim uśmiechem na twarzy, stanął już na nogi. Kobold szepnął coś Questorowi, łatwo odgadnąć co: chciał jeszcze raz się zmierzyć z demonem.

Mroczniak zniknął jednak wraz z butelką, Phillipem i Sotem, i nic nie wskazywało na miejsce, do którego mogli się udać.

Ben i reszta kręcili się przez jakiś czas, przetrząsając okolice w poszukiwaniu ich śladu. Niczego nie znaleźli. Najwidoczniej demon użył czarów, aby je wszystkie zatrzeć.

– A może po prostu stąd odlecieli, panie – szukał wyjaśnienia Questor. – Mroczniak posiada takie zdolności.

– Czy są jakieś granice, których to coś nie może przekroczyć? – zapytał Ben.

– Jediną granicą, z jaką musi się liczyć, jest granica, którą stanowi charakter właściciela butelki. Im gorszy charakter, tym większa siła demona. – Questor westchnął. – Phillip i Sot nie są tak naprawdę złymi istotami. Siła, którą Mroczniak z nich bierze, powinna się szybko wyczerpać.

– Żal mi ich, Ben – powiedziała cicho Willow. – Chodzi mi o Phillipa i Sota.

Spojrzał na nią zdziwiony, a po chwili skinął głową ze znużeniem.

– Mnie chyba też. Nie wydaje mi się, aby sobie zdawali sprawę, co się z nimi stało. – Odwrócił się. – Parsnip, przyprowadź konie!

Kobold szybko się oddalił. Ben popatrzył przez chwilę na niebo, zastanawiając się nad czymś. Deszcz ustawał, dzień szybko dobiegał końca. Niewiele zostało czasu, aby móc cokolwiek zrobić przed nadejściem nocy.

– Co będziemy teraz robić, królu? – zapytał go Questor.

Pozostali zgromadzili się wokół nich.

Mięśnie twarzy Bena wyrażały determinację.

– Wiesz, co zrobimy, Questorze? Poczekamy do rana.

Wtedy wyruszymy za Phillipem i Sotem. Będziemy ich tropić, dopóki ich nie znajdziemy, a kiedy już dostaniemy gnomy dodomy, odbierzemy im butelkę i zamknijemy Mroczniaka raz na zawsze!

Spojrzał na uśmiechającego się Buniona.

– Następnym razem dobierzemy się do skóry temu obrzydliwemu potworowi!

## MICHEL ARD RHI

Swój kolejny dzień w świecie Bena Abernathy spędził zamknięty w pokoju Elizabeth i tam dopiero zdał sobie sprawę, w jak trudnej sytuacji się znalazł. Elizabeth zastanawiała się, czy nie zostać w domu i zaopiekować się nim, tłumacząc się chorobą. Ale porzuciła ten pomysł, kiedy uświadomiła sobie, że w ten sposób sprowadziłaby gospodynię z kruczatą miłosierdzia, w trakcie której na pewno Abernathy zostałby odkryty. Poza tym nie miała pomysłu, jak go przemycić poza bramy Graum Wythe. Potrzebowała więc czasu, aby dobrze tę sprawę przemyśleć.

Poszła więc do szkoły, a Abernathy w tym czasie ukrywał się w pokoju, przeglądając stare czasopisma i gazety. Przed wyjściem poprosił ją o coś do czytania, więc przyniosła mu je z gabinetu swojego ojca. Abernathy był nie tylko nadwornym skrybą, ale również nadwornym historykiem i znał dzieje zarówno swojego, jak i innych światów. Kiedy Meeks przeniósł się do świata Bena i zaczął szukać ludzi chętnych zapłacić za tron w Landover, Abernathy uznał za stosowne poznać historię również tego świata. Była to dość przerażająca lektura.

Większość z tego, co Abernathy zapamiętał, wiązało się z maszynami, nauką i mnóstwem różnych wojen. Ponieważ nosił medalion, mógł czytać i mówić w języku każdego świata, w którym się znajdował, zatem zdobywanie bliższych informacji o świecie Bena nie było trudne. Było wręcz konieczne, jeśli marzył o znalezieniu drogi powrotnej do Landover.

Leżał podparty na łóżku Elizabeth, pośród pluszowych zabawek i lalek i przeglądał stertę czasopism, próbując się zorientować w sprawach tego świata. Większa część jego lektury była zbyteczna. Dużo było o wojnach i zabijaniu, a przyczyną większości z nich były polityka i ekonomia. Wiele spośród nich nie miało w ogóle racjonalnych źródeł. Sporo artykułów dotyczyło różnego rodzaju śledztw. Abernathy przeczytał kilka z nich i dał sobie spokój, dochodząc do wniosku, że został uwięziony w świecie, w którym roi się od złodziei i oszustów. Niektóre czasopisma oferowały historie poświęcone miłości i przygodzie, ale te sobie podarował. Skupił natomiast uwagę na czytaniu ogłoszeń, tak je bodajże nazywano, i własne z nich uzyskał najwięcej wiadomości.

Z ogłoszeń wyczytał między innymi, jakie dobra i usługi są na sprzedaż. Odkrył, że nikt nie podróżuje konno lub zaprzęgiem, wszyscy jeździli lub latali maszynami stworzonymi przez naukę. Dowiedział się, iż aby używać tych maszyn, trzeba za ten przywilej płacić pieniędzmi lub czymś, co nazywano kartą kredytową, a on, oczywiście, nie posiadał żadnej z tych rzeczy. W końcu mógł się też przekonać, że nikt nie ubierał się w podobny do niego sposób, nikt nie mówił tak jak on, ani też nie posiadał podobnych do niego społecznych, ekonomicznych czy kulturalnych przyzwyczajień. Poza murami Graum Wythe odróżniałby się od innych jak noc od dnia.

W jednym z czasopism znalazł mapę Stanów Zjednoczonych i szybko zdał sobie sprawę, że

jest to kraj Bena. Odnalazł stan Washington, w którym się teraz znajdował i stan Wirginia, dokąd miał się udać. Mapa dobrze przedstawiała topografię terenów leżących pomiędzy nimi. Na podstawie legendy zorientował się, jaką odległość musiałyby przebyć.

Elizabeth miała rację – stąd do tamtego miejsca była bardzo długa droga. Mógł ją przebyć pieszo, ale zajęłoby mu to chyba wieczność.

Po jakimś czasie odłożył czasopisma i gazety, zszedł z łóżka, podreptał do podwójnego okna, które wychodziło na południe i wyjrzał przez nie. Tereny przylegające bezpośrednio do zamku porośnięte były winnicami. Było tam kilka małych skrawków otwartej przestrzeni, niewielki strumyk, który wił się pośród nich, a w oddali stało kilka domów urozmaicających krajobraz. Abernathy'ego zaintrygowały domy. W czasopismach widział zdjęcia różnych budynków, ale ani te, ani tamte, w niczym nie przypominały domów na Landover.

Graum Wythe wydawał się zupełnie nie pasować do tego typu budowli, jak gdyby ktoś rzucił go na ziemię, bez zastanawiania się, czy tu jest jego miejsce, czy też nie. Abernathy przypuszczał, że jedynym powodem jego obecności w tym miejscu było pragnienie Michela Ard Rhi, aby zrealizować dziecięce marzenia o fortecy – coś, o czym zawsze marzył.

Wokół zamku znajdowała się fosa, na obu końcach przerzuconego przez nią mostu zwodzonego były wartownie, a na zewnątrz, niski mur kamienny z drutem kolczastym oraz brama. Abernathy pokręcił głową. Michel się nie zmienił.

Elizabeth przygotowała dla Abernathy'ego kanapkę i coś, co nazwała chipsami ziemniaczanymi. Abernathy zjadł to wszystko w południe i ponownie zasiadł do lektury gazet. Nie minęło kilka minut, gdy usłyszał kroki zbliżające się do sypialni, zobaczył przekręcającą się klamkę i patrzył z przerażeniem na otwierające się drzwi.

Nie było czasu, żeby się schować. Nie było czasu na nic innego, jak tylko położyć się pośród gazet i udawać nieżywego. To właśnie Abernathy zrobił.

Do pokoju weszła kobieta, niosąc naręczę czegoś, co wyglądało jak przyrządy do sprzątanania. Abernathy widział to przez szparki zmrużonych oczu. Nuciała sobie coś, nie zdając sobie sprawy z obecności kogoś innego w pokoju. Abernathy zwinął się w kłębek, próbując upodobnić się do pluszowych zabawek. Czy była to ta gospodyni, którą lękała się spotkać Elizabeth, gdyby udawała chorą i nie poszła do szkoły? Dlaczego Elizabeth nie ostrzegła go, że i bez tego może przyjść do pokoju? Z całych sił próbował nie oddychać. Może go nie zauważy. Może wyjdzie, jeśli tylko on...

Kobieta obróciła się i spojrzała prosto na niego. Zaskoczona zamarła na moment, po czym wzięła się pod boki.

– A cóż to? Co ty tutaj robisz? Tu nie powinno być żadnych psów! Ach, ta Elizabeth!

Uśmiechnęła się, potem głośno zaśmiała. To pewnie jakiś jej osobisty żart, pomyślał Abernathy. Nic już teraz nie mógł zrobić, tylko dalej ciągnąć tę grę. Leżał i merdał swoim

krótkim ogonem, jak tylko mógł najlepiej, starając się wyglądać jak normalny pies.

– No, no! Jesteś śliczniutki! Ubrany jak laleczka! – Sprzątaczką podeszła do łóżka, wyciągnęła dłonie i przytuliła go z całych sił. Była raczej tęgą osobą i Abernathy poczuł jak szybko uchodzi z niego powietrze. – Co ja mam teraz z tobą zrobić? – ciągnęła, cofając się krok i dokładnie mu się przyglądając. – Założę się, że nikt inny nie wie, że tu jesteś.

Abernathy wciąż walił swoim ogonem o łóżko, wdzięcząc się do niej.

– Ładnego bałaganu narobiłeś w tym pokoju, spójrz na te gazety! – Kobieta zaczęła się krzątać, podnosząc je i porządkując. – To ty zjadłeś tę kanapkę? Skąd ją wziąłeś? Ach, ta Elizabeth! – Znowu się zaśmiała.

Abernathy leżał cierpliwie, czekając, aż kobieta przestanie się kręcić. Kiedy skończyła, podeszła do niego i poklepała go po głowie.

– To nie moja sprawa – powiedziała półgłosem i znowu go pogłaskała. – Wiesz co? – powiedziała konspiracyjnym tonem. – Zostań tutaj i nie ruszaj się. Posprzątam ten pokój, tak jak zawsze, i pójdę sobie. To nie moja sprawa martwić się o ciebie. Zostawię to Elizabeth. Dobrze?

Abernathy uderzył ogonem kilka razy, żałując, że nie jest on dłuższy. Sprzątaczką włożyła sznurek w ścianę i przez jakiś czas ciągnęła jakąś hałaśliwą maszynę po podłodze i dywanikach, potem przeciągnęła szmatką po meblach, przestawiła kilka rzeczy i wkrótce skończyła.

Znowu podeszła do niego.

– A teraz bądź grzeczny – upomniała go, lekko pociągając za uszy. – Niech nikt się nie dowie, że tu jesteś. Zatrzymam to w tajemnicy, jeśli chcesz, dobrze? A teraz daj mi buziaka. O, tutaj. – Nachyliła się, nadstawiając policzek. – No śmiało, tylko jeden mały całus.

Abernathy polizał sumiennie jej policzek.

– Dobry piesek! – Pogłaskała go po głowie i potarła pysk.

Następnie podniosła swoje rzeczy do sprzątania i skierowała się do drzwi. – Cześć, staruszkule! – zawołała.

Drzwi się cicho zamknęły, a kroki poczęły się oddalać.

Abernathy żałował, że nie może niczym wypłukać ust.

Elizabeth wróciła wczesnym popołudniem, wciąż w dobrym humorze.

– Cześć, Abernathy! – przywitała go, przeciskając się przez drzwi i zamykając je dokładnie za sobą. – Jak ci minął dzień?

– Minałby lepiej – odpowiedział zaczepnie Abernathy – gdybyś pomyślała wcześniej, aby mnie ostrzec, że gospodyni może przyjść sprzątać!

– Ach, racja, przecież dzisiaj poniedziałek! – jęknęła Elizabeth i z hukiem upuściła książki na biurko. – Przepraszam cię za to. Czy widziała cię?

– Widziała. Myślała jednak, że jestem twoim psem i stwierdziła, że to twoja sprawa, nie jej.



Nie sędę, aby miała o tym komuś powiedzieć.

Elizabeth skinęła głową z uroczystą powagą.

– Pani Allen jest moją przyjaciółką. Kiedy daje słowo, to go dotrzymuje. Nie tak jak inni. – Na jej twarzy pojawił się groźny grymas. – Nita Coles była moją przyjaciółką, ale już nią nie jest. Wiesz dlaczego? Ponieważ rozpowiedziała wszystkim, że lubię Tommy’ego Samuelsona. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. On nie jest nawet moim chłopakiem, ani kimś takim.

– Powiedziałam tylko, że go lubię. Jest miły. W każdym razie powiedziała o tym Donnie Helms, a Donna mówi każdemu o wszystkim, więc oczywiście cała szkoła mówi o mnie i o Tommym Samuelsonie, a ja jestem zrozpaczona! Założę się, że nawet pan Mack, mój nauczyciel, wie o tym! Powiedziałam mojej starej przyjaciółce, Evie Richards, że jeśli Nita tego i wszystkiego natychmiast nie odwoła, to nie będę...

– Elizabeth! – Abernathy przerwał jej ostro w sposób, który przypominał warknięcie. – Elizabeth – jeszcze raz wymówił jej imię, tym razem łagodniej. Wlepiała w niego swoje oczy. – Czy wymyśliłaś już, jak się mam stąd wydostać?

– Jasne – powiedziała to z taką pewnością siebie, jak gdyby tego problemu nigdy nie było. Opadła na łóżko obok niego. – I Znalazłam bardzo dobry sposób, Abernathy.

– Jaki, Elizabeth? Uśmiechnęła się szeroko.

– Wyślemy ciebie razem z praniem! – Jej uśmiech zamarł, gdy zobaczyła wyraz twarzy Abernathy’ego. – Słuchaj, to naprawdę proste. Furgonetka z pralni zabiera pranie w każdy wtorek. To już jutro. Wyjedzie kilka dużych koszy pełnych prześcieradeł i tym podobnych rzeczy. Możesz się schować w jednym z nich. Strażnicy nigdy ich nie sprawdzają. Wyjedziesz na tyle furgonetki, a kiedy się zatrzymają, aby wyładować rzeczy, ty wyskoczysz. Będziesz wtedy wiele kilometrów od tego miejsca. – Znowu się uśmiechnęła. – Co o tym myślisz?

Abernathy zastanawiał się.

– Myślę, że to może zdać egzamin. Ale co z załadunkiem? Czy nie zauważą, że pranie jest zbyt ciężkie?

Elizabeth pokręciła zdecydowanie głową.

– Niemożliwe. Ręczniki i pozostałe rzeczy są zawsze mokre. Ważą tony. Słyszałam, jak pan Abbott tak mówił. To kierowca. Wkładając cię na samochód, na pewno niczego nie zauważy. Pomyśli najwyżej, że jesteś pakunkiem mokrych ręczników, albo czymś takim.

– Rozumiem – powiedział Abernathy bez przekonania.

– Uwierz mi, to się powiedzie – zapewniała go Elizabeth. – Jedyne, co musisz zrobić, to zakraść się wcześniej rano do magazynu z praniem. Pójdę tam z tobą. Jeśli pójdziemy o świcie, to na nikogo się nie natkniemy. Mogę nastawić budzik.

– Taki zegarek – dodała, wskazując ręką przyrząd.

Abernathy spojrział z powątpiewaniem na urządzenie pokazujące czas, potem z powrotem na

dziewczynkę.

– Czy możesz dać mi na drogę porządną mapę kraju, Elizabeth, coś, co pomoże znaleźć mi drogę do Wirginii?

Elizabeth pokręciła przecząco głową.

– Na to też mam pomysł, Abernathy. Nie możesz wędrować pieszo przez cały kraj aż do Wirginii. To po prostu za daleko. Po drodze znajdują się góry, a jest już prawie zima.

Mógłbyś zamarznąć! – Wyciągnęła rękę i położyła mu ją na głowie. – Mam trochę oszczędności. Chcę ci je dać. Będę musiała wymyślić, co powiem tacie, ale to się da zrobić. Dam ci te pieniądze, a ty owiniesz się w bandaże, aby nikt nie widział, jak wyglądasz. Będą myśleli, że jesteś poparzony albo coś takiego. Pójdiesz wtedy na lotnisko i kupisz pierwszy wolny bilet do Wirginii. Takie bilety bez rezerwacji są bardzo tanie. Pokażę ci, jak się to robi. Lot zajmie kilka godzin. Kiedy już się tam dostaniesz, będziesz musiał trochę iść pieszo, ale to już nie będzie taka odległość jak stąd, może ze sto pięćdziesiąt kilometrów. Tam jednak jest ciepło, więc nie zamarzniesz.

Abernathy nie wiedział, co powiedzieć. Przez chwilę spoglądał tylko na nią.

– Elizabeth, ja nie mogę wziąć twoich pieniędzy...

– Możesz, oczywiście, że możesz. Nawet musisz. Nie będę mogła zasnąć, myśląc, jak wędrujesz przez cały kraj. Muszę mieć pewność, że nic ci się nie stanie. Powinam z tobą pojechać, naprawdę. Ale skoro mi nie pozwalasz, weź przynajmniej te pieniądze. – Przerwała. – Możesz mi je oddać później, jeśli chcesz.

Abernathy czuł się zawstydzony.

– Dziękuję, Elizabeth – powiedział cicho.

Elizabeth nachyliła się i mocno go uściśnęła. Było to znacznie przyjemniejsze od tego, co mu zaserwowała pani Allen.

Abernathy został w pokoju Elizabeth, gdy ta zeszła na dół zjeść obiad. Czekał cierpliwie, aż przyniesie mu jakieś normalne jedzenie. Dla zabicia czasu czytał coś, co się nazywało *Program TV*, ale nic z tego nie rozumiał. Oczekiwał, że Elizabeth szybko wróci, tak jak poprzedniego wieczoru, ale minuty mijały, a ona się nie pojawiała. Zaczął nasłuchiwać przy drzwiach, a nawet zaryzykował i wyjrzał na ułamek sekundy na pusty korytarz. Ani śladu Elizabeth.

Kiedy się w końcu zjawiała, była biała jak prześcieradło i wyraźnie strapiona.

– Abernathy! – zawołała z sykiem, zamykając szybko za sobą drzwi. – Musisz stąd natychmiast uciekać! Michel już wie o tobie!

Abernathy zeszywniał.

– Jak się dowiedział?

Elizabeth z bólem pokręciła głową, łzy popłynęły po policzkach.

– To moja wina, Abernathy – zaszlochała. – Ja mu powiedziałam! Musiałam!

– No już dobrze – uspokajał ją, siadając przed nią i opierając łapy na jej ramionach. Nie pragnął niczego bardziej, niż uciec z tego pokoju najszybciej, jak tylko mógł, ale najpierw musiał się dowiedzieć, co on zamierzał zrobić. – Powiedz mi, co się właściwie stało – mówił, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

Elizabeth pociągnęła nosem, zdusiła szloch i spojrzała mu w oczy.

– Strażnicy powiedzieli mi o tobie, tak jak się tego obawiałam. Podeszli do nas zaraz po kolacji, aby zdać raport, i wspomnieli o tym. Przypomnieli to sobie, gdy mnie zobaczyli, i zapytali, czy wciąż mam tego psa. Wspomnieli także o dziwnym ubraniu, które miałeś na sobie i o tym, że twoje łapy wcale nie wyglądały jak łapy. Dokładnie ciebie opisali.

Twarz Michela dziwnie się zmieniła i zaczął zadawać mi pytania. Pytał się, gdzie ciebie znalazłam, a ja... Wiesz, nie potrafiłam kłamać przed nim, Abernathy, naprawdę nie mogłam! To jego spojrzenie jest tak przenikliwe! Wydaje się, że wszystko może zobaczyć...

Znowu zaczęła szlochać i Abernathy szybko przytulił ją, czekając, aż łzy przestaną płynąć.

– Mów dalej – ponaglił ją.

– Powiedziałam mu więc, że znalazłam ciebie w pobliżu sali z dziełami sztuki. Nie powiedziałam mu, że byłeś w środku, ani nic takiego, ale to nie miało znaczenia. Poszedł prosto do tej sali, a mnie kazał zostać na miejscu. Kiedy wrócił, był wściekły! Chciał wiedzieć, co się stało z butelką. Powiedziałam, że nie wiem. Chciał wiedzieć, co się stało z tobą! Powiedziałam, że również nie wiem. Zaczęłam płakać. Powiedziałam mu, że chciałam tylko się z kimś pobawić w przebierańca i że kiedy spotkałam ciebie, przechadzałeś się w tych starych ciuchach, więc wzięłam cię na smycz i poszłam z tobą na spacer, a on... Wtedy zapytał, czy powiedziałeś coś do mnie! Abernathy, on wiedział, że ty potrafisz mówić!

Abernathy miał wrażenie, że sufit wali mu się na głowę.

– Pośpiesz się, Elizabeth – ponaglił. – Opowiedz mi wszystko jak najszybciej!

Wzięła głęboki, uspokajający oddech.

– Tak jak ci powiedziałam, nie potrafiłam go okłamać, w każdym razie nie we wszystkim. Więc odparłam: Tak, powiedział!, jak gdybym była zaskoczona tym, że on o tym wie.

Powiedziałam, iż dlatego ciebie wygoniłam, bo się ciebie bałam. Poluzowałam smycz i ty uciekłeś. Dodałam, że od tej pory nie widziałam ciebie i że nie mówiłam o tym nikomu, bo i tak nikt by mi nie uwierzył. Powiedziałam, że czekałam, aby opowiedzieć o tym ojcu, kiedy wróci w srode. – Chwyciła go rękami. – Myślę, że mi uwierzył. Powiedział mi tylko, abym poszła do swojego pokoju i tam na niego zaczekała.

Rozkazał strażom rozpocząć poszukiwania. Wrzeszczał na nich jak oszalały, Abernathy! Musisz stąd uciekać!

Abernathy skinął ciężko głową.

– Jak mam to zrobić, Elizabeth?

Dłonie dziewczynki mocniej się zacisnęły na jego ramionach.

– W taki sam sposób, o jakim mówiliśmy wcześniej, z jednym tylko wyjątkiem, musisz zejść do pralni w tej chwili!

– Elizabeth, przecież powiedziałaś przed chwilą, że mnie szukają!

– Nie, Abernathy, posłuchaj mnie! – Jej okrągła twarz zbliżyła się, czoło zmarszczyło, wyrażając determinację. Piegi na jej nosie zdawały się tańczyć. – Oni już przeszukali pralnię.

– Tam właśnie zaczęli. Powiedziałam, że tam ciebie zostawiłam. Nie ma tam już nikogo. Przeszukują wszystkie inne miejsca. Pralnia jest na parterze, za rogiem w prawo, niedaleko.

– Jeśli wyjdiesz przez okno... słuchaj mnie... jeśli wyjdiesz przez okno i zejdziesz w dół po winoroślach, możesz przemknąć za róg, a potem wskoczyć przez okno!

– Elizabeth, ja nie potrafię się wspinać...

Okno nie jest zamknięte, Abernathy! Otworzyłam je w czasie weekendu, gdy bawiłam się w chowanego z panią Allen! Wśliznij się przez okno, wejdź od razu do jednego z koszy i czekaj! Jeśli jest zamknięte, to zaczekaj na mnie w krzakach. Zejdę i otworzę je najszybciej, jak tylko będę mogła! Och, wybacz mi, Abernathy! To wszystko moja wina! Musisz już iść! Pospiesz się! Jeśli znajdą cię tutaj, będą wiedzieć, że kłamałam i że ci pomagałam...

Z korytarza doszedł ich odgłos szybko zbliżających się kroków.

– Abernathy! – szepnęła z przerażeniem Elizabeth.

Abernathy kierował się w stronę okna. Przekreślił klamkę, pchnął oba skrzydła i spojrzał w dół. Było ciemno, ale mógł dostrzec gęstą płataninę pnących się winorośli. Wydawały się na tyle mocne, że mogłyby go utrzymać. Odwrócił się do Elizabeth.

– Zegnaj, Elizabeth – wyszeptał. – Dziękuję za pomoc.

– To będzie piąte okno za rogiem! – szepnęła w odpowiedzi. Nagle z przerażeniem przycisnęła ręce do ust. – Abernathy, nie dałam ci pieniędzy na bilet!

– To nic – odpowiedział, wychodząc przez okno i sprawdzając swoją wagę na winorośli. Jego łapy zakończone palcami nie potrafiły ich zbyt dobrze chwycić. Będzie miał szczęście, jeśli nie skręci sobie karku.

– Ależ nie, ty musisz mieć pieniądze! – nalegała. – Już wiem! Przyjdź jutro w południe pod szkołę – Podstawowa imienia Franklina! Będę je miała ze sobą!

Usłyszeli pukanie do drzwi.

– Elizabeth! Otwórz drzwi.

Abernathy natychmiast rozpoznał ten głos.

– Żegnaj, Elizabeth! – szepnął raz jeszcze.

– Żegnaj! – odpowiedziała szeptem.

Okno zamknęło się nad nim po cichu, zostawiając go wiszącego w ciemności.

Abernathy miał wrażenie, że schodzenie zajęło mu zbyt dużo czasu. Bardzo się bał, że złapią go tutaj, ale w takim samym stopniu bał się upadku. Wypadkową tych dwóch lęków było opuszczanie się na dół w istic żółwym tempie. Posuwając się po winorośli, szukał powoli miejsca, którego mógłby się chwycić lub gdzie mógłby oprzeć łapę, starając się jednocześnie trzymać jak najbliżej kamiennej ściany. Na dziedzińcu poniżej zapaliły się światła, lampy elektryczne – czytał o nich w gazecie – i ciemność nie chroniła go już tak dobrze.

Czuł się jak mucha, która czeka, aż jakieś pacnięcie zakończy jej bezsensowne życie.

Pacnięcia jednak nie było i w końcu poczuł uspokajającą stałość gruntu pod nogami. Natychmiast przykucnął, wodząc oczami po dziedzińcu, szukając jakiegokolwiek ruchu. Niczego nie zauważył. Szybko ruszył wzdłuż muru, starając się pozostać w jego cieniu, poza światłem lamp. Gdzieś z tyłu otworzyły się drzwi i usłyszał głosy. Popędził co sił w nogach, dobiegając do załomu muru, za którym miał trafić na upragnione okno do pralni. Było tutaj ciemniej, ściana zakreślała, tworząc głęboką, zacienioną niszę. Bezszelestnie sunął wzdłuż niej, licząc po drodze okna. Elizabeth powiedziała piąte.

Pierwsze, drugie...

Za nim, w ciemności, rozbłysł promień światła, ogarniając dziedziniec aż do niskiego muru zewnętrznego, fosy, i z powrotem. Latarka, pomyślał Abernathy. O tym również czytał. Latarka znaczyła, że ktoś tam był i przeszukiwał teren.

Rzucił się w panice do przodu, licząc: trzy, cztery... pięć!

Zatrzymał się z poślizgiem, niemal mijając okno numer pięć, ponieważ było częściowo zasłonięte kępą krzaków. Spojrzał na nie. Było mniejsze od poprzednich czterech, mniejsze również od następnych. Czy to właściwe okno? A może nie powinien go liczyć? W środku paliło się światło, ale w następnym też było światło. Zaczął wpadać w panikę. Nachylił się i nasłuchiwał. Czyżby jakieś głosy dochodziły ze środka? Rzucił do tyłu przerażone spojrzenie. Światło latarki było coraz bliżej, dźwięki głosów również.

Z rozpaczą w oczach spojrzał na okno. Trzeba ryzykować, zdecydował. Jeśli zostanie tu, gdzie jest, to go na pewno złapią. Schylił się i pchnął ostrożnie okno do wewnątrz.

Okno bez trudu ustąpiło. Zauważył płótno w koszu. Uczucie ulgi wypełniło całe jego ciało. Szybko ukląkł i zaczął się wczołgiwać do środka.

Kilka par rąk wyciągnęło się, aby mu pomóc.

– Złapaliśmy go, gdy się chyłkiem przeciskał przez okno pralni – powiedział strażnik, jeden z trójki, która ujęła Abernathy'ego. Trzymali go mocno za łapy. – Mieliśmy szczęście, że tam wróciliśmy, bo inaczej byśmy go nie znaleźli. Za pierwszym razem niczego tam nie zauważyliśmy, ale Jeff powiedział, że jedno okno było chyba niedomknięte i że może warto byłoby jeszcze raz sprawdzić. Więc wróciliśmy i złapaliśmy go, jak się zakradał.

Stali w gabinecie, pokoju wypełnionym książkami i dokumentami, biurkami i sekretarzykami

– Abernathy, strażnicy i Michel Ard Rhi.

Strażnik spojrział niepewnie na Abernathy'ego i zapytał:

– Co to właściwie za stworzenie, panie Ard Rhi? Michel Ard Rhi zignorował pytanie, całą uwagę skupił na Abernathym. Był wysokim, kościstym mężczyzną z czupryną czarnych włosów i wąską, ściągniętą twarzą, która zdawała się mówić, że właśnie zjadł coś kwaśnego. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości, czoło miał pokryte zmarszczkami, a cerę ziemistą. Ciemne, nieprzyjemne oczy spoglądały na wszystko z dezaprobatą. Stał wyprostowany jak kij, roztaczając aurę absolutnej wyższości.

– Abernathy – wyszeptał prawie bezdźwięcznie, jak gdyby w odpowiedzi na pytanie strażnika.

Jeszcze przez chwilę oglądał jeńca, po czym powiedział do strażników, nie odwracając się nawet do nich:

– Zaczekajcie za drzwiami.

Straż wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi. Michel Ard Rhi zostawił Abernathy'ego tam, gdzie stał, a sam poszedł usiąść za olbrzymim, polerowanym, dębowym biurkiem pokrytym stertą papierów.

– Abernathy – powiedział jeszcze raz, jak gdyby nie mógł jeszcze w to uwierzyć. – Co ty tutaj robisz?

Abernathy przestał się trząść. Kiedy złapali go strażnicy, tak się trząsł, że z trudem mógł ustać na własnych nogach.

Teraz pogodził się już z tą sytuacją niczym skazaniec z wyrokiem, co dodało mu trochę sił. Starał się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

– Questor Thews wysłał mnie tutaj przez pomyłkę. Próbował coś zrobić, używając swoich czarów.

– O! – zainteresowało to Michela. – Czego tym razem próbował ten stary głupiec?

Abernathy nie pokazywał niczego po sobie.

– Próbował zamienić mnie z powrotem w człowieka.

Michel Ard Rhi spojrział na niego z niedowierzaniem, a potem się roześmiał.

– Pamiętasz, Abernathy, jak za pierwszym razem zamienił cię w psa? Pamiętasz, jak to spartaczył? Dziwię się, że pozwoliłeś mu się zbliżyć do siebie. – Pokręcił głową z politowaniem.

– Questor Thews nigdy niczego nie potrafił zrobić poprawnie, prawda?

Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. Abernathy nic nie odpowiedział. Myślał o medalionie wielkiego władcy, ukrytym pod tuniką. Cokolwiek się wydarzy, Michel Ard Rhi nie może się dowiedzieć, że ma go przy sobie.

Michel zdawał się czytać w jego myślach.

– Cóż – zastanawiał się, przeciągając słowa. – Znalazłeś się tutaj, jak twierdzisz, za sprawą

swego niedorzecznego obrońcy. Ileż w tym ironii losu. Ale wiesz co, Abernathy? Coś mi w tym nie pasuje. Żaden człowiek ani pies nie może się przedostać przez czarodziejskie mgły bez medalionu, prawda, Abernathy?

Czekał. Abernathy zaprzeczył, kręcąc stanowczo głową.

– Czary...

– Czary? – przerwał natychmiast Michel. – Czary Questora Thewsa? Chcesz, abym uwierzył, że z powodu czarów przedostałeś się z Landover na ten świat? Niewiarygodne! – Zastanawiał się przez moment, po czym uśmiechnął się zjadliwie. – Nie wierzę w to. Dlaczego mi tego nie udowodnisz? Dlaczego nie zaspokoisz mojej ciekawości? Rozwiąż tunikę.

Zimny pot oblał Abernathy'ego.

– Powiedziałem ci już...

– Tunika. Rozwiąż ją.

Abernathy poddał się. Powoli rozluźnił przód tuniki. Michel pochylił się do przodu. Przed jego oczami pojawił się srebrny medalion.

– Ha! – zawołał. – Więc to jednak medalion. – Wstał od biurka i podszedł do Abernathy'ego. Na twarzy miał wciąż zgryźliwy uśmieszek.

– Gdzie jest moja butelka? – zapytał łagodnie.

– Abernathy stał w miejscu, choć miał ochotę się cofnąć.

– O jakiej butelce mówisz, Michel?

– O butelce z gabloty, Abernathy! Gdzie ona jest? Ty wiesz i zaraz mi powiesz. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że zjawiłeś się w moim zamku ot tak, przez przypadek. Nie wierzę, że jest to rezultat błędu w czarach. Myślisz, że jestem głupcem? To medalion sprowadził ciebie z Landover. Przybyłeś do Graum Wythe, aby ukraść butelkę. A ja chcę dowiedzieć się, gdzie ją ukryłeś. – Zamyślił się przez chwilę. – Może jest w pokoju Elizabeth. Czy tam właśnie jest, Abernathy? Czy Elizabeth jest twoją współniczką?

Abernathy starał się, aby w jego głosie nie było słychać lęku o Elizabeth.

– Ta mała dziewczynka? Przypadkowo natknęła się na mnie i musiałem trochę przy niej poudawać. Jeśli chcesz, przeszukaj jej pokój, Michel. – Starał się robić wrażenie, że jest mu to obojętne.

Michel obserwował go niczym jastrząb. Pochylił się trochę do przodu.

– Wiesz, co z tobą zrobię? Abernathy lekko zeszywniał.

– Jestem pewien, że mi powiesz – odpowiedział.

– Wsadzę cię do klatki, Abernathy. Wsadzę cię tam, gdzie wsadzam każde zabląkane zwierzę. Dostaniesz jedzenie dla psa, wodę i słomę do spania. I zostaniesz tam, Abernathy. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Dopóty – dopóki mi nie powiesz, gdzie jest butelka i... – zrobił pauzę – dopóki nie zdejmiesz medalionu i mi go nie oddasz. – Nachylił się jeszcze bardziej.

Abernathy czuł jego oddech w nozdrzach. – Znam prawo medalionu. Nie mogę ci go zabrać. Musisz sam mi go dać. Musi być przekazany dobrowolnie, inaczej straci swoją moc. Zrobisz to, Abernathy. Dasz mi ten medalion z własnej woli. Zmęczył już mnie ten świat. Myślę, że mógłbym na jakiś czas wrócić do Landover. Myślę, że z przyjemnością bym sobie teraz pokrólował. – Patrzył przez chwilę Abernathy’emu w oczy, szukając ukrytego w nich strachu. Gdy go dostrzegł, cofnął się zadowolony. – Jeśli nie dasz mi medalionu i butelki, Abernathy, zgnijesz w tej klatce. – Przerwał i po chwili dodał: – A to trochę potrwa.

Abernathy nie odezwał się słowem. Stał sparaliżowany.

– Straż! – zawołał Michel Ard Rhi. Natychmiast weszło dwóch mężczyzn. – Zabierzcie go do piwnicy i zamknijcie w klatce. Podawajcie mu wodę i jedzenie dla psów dwa razy dziennie, i nic więcej. Niech nikt się do niego nie zbliża. Wyciągnięto go brutalnie przez drzwi. Usłyszał za sobą, jak Michel mówi melodyjnym, sarkastycznym tonem: – Nie powinieneś być tu przybywać, Abernathy!

Abernathy był skłonny się z nim zgodzić.



## WYRZUTY SUMIENIA

Fillip i Sot uciekli z butelką na północ, chcąc za wszelką cenę oddalić się od króla na jak największą odległość. Udało im się zbiec z pola bitwy dzięki Mroczeniakowi, który przeniósł ich w jakieś miejsce oddalone o kilka kilometrów na północ, spowijając ich ciała całunem dymu i jasnokolorowych świateł. Dokonał tego z łatwością, na jaką pozwala tylko prawdziwa magia. Nie mieli pojęcia, co się stało z Benem Holidayem i jego towarzyszami, a szczerze mówiąc, nie chcieli wcale wiedzieć. Nie mieli ochoty nawet o tym myśleć.

W końcu zaczęli się nad tym zastanawiać. Podczas marszu na północ ich myśli krążyły wokół króla Landover, ale nie zdradzali swych myśli przed sobą nawet ukradkowym spojrzeniem czy też podejrzanym gestem. Jednakże nieustannie gnębiła ich ta sprawa. Zrobili coś tak niewybaczalnego i zdradzieckiego, że sami nie mogli w to uwierzyć – zbuntowali się przeciwko swemu ukochanemu królowi. Nawet gorzej – zaatakowali go! Nie bezpośrednio, bo atakował Mroczeniak, ale to wszystko działo się na ich rozkaz, a to tak, jakby sami zadali ten cios. Nie mogli sobie wytłumaczyć, dlaczego zrobili coś takiego. W głowach im się nie mieściło, jak mogli do tego dopuścić. Nigdy przedtem nie przyśniło im się nawet, aby się przeciwstawić rozkazom króla. To było nie do pomyślenia!

Teraz było już po wszystkim; nie można odwrócić biegu wydarzeń. Uciekali, ponieważ nic innego nie przyszło im do głowy. Wiedzieli, że Ben Holiday będzie ich ścigał, wściekły na nich za to, co zrobili. Lękali się kary. Sądzieli, że jedynym wyjściem jest ucieczka i ukrywanie się.

Ale dokąd uciekać i gdzie się ukryć?

Pytanie to do końca dnia nie znalazło odpowiedzi. Gdy zmrok i wyczerpanie zmusiły ich do postoju, zakradli się do porzuconej nory borsuka i legli w ciemnościach, słuchając bicia swoich serc i głosu sumienia. Przed nimi stała otwarta butelka. Mroczeniak usadowił się na jej brzegu, bawiąc się dwiema szalejącymi ćmami, które schwycił i unieruchomił za pomocą długich nitek babiego lata. Księżyc i gwiazdy skrywały się za pierzyną nisko wiszących chmur, a odgłosy nocy były dziwnie przytłumione i odległe.

Fillip i Sot chwycili się za ręce i czekali, aż opuści ich strach; on jednak się nie ustępował.

– Chciałbym być w domu! – jęczał co chwila Sot, a Phillip za każdym razem odpowiadał tylko kiwnięciem głowy.

Wtulili się w siebie, zbyt przerażeni, aby myśleć o jedzeniu i spaniu, choć byli głodni i zmęczeni. Skuleni, rozmyślali o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Patrzyli, jak Mroczeniak bryka po butelce, podrzucając ćmy niczym małe latawce, obracając je w jedną lub drugą stronę, tak jak mu na to przychodziła ochota.

Obserwowali go, ale inaczej niż zeszłej nocy. Demon i butelka nie wydawały im się już takim cudownym skarbem.

– Myślę, że zrobiliśmy coś strasznego – wyszeptał w końcu przestraszony Phillip.

Sot spojrział na niego.

– Też tak myślę.

– Popelniliśmy duży błąd – ciągnął Phillip.

– Masz rację – powtórzył Sot.

– Nie powinniśmy zabierać tej butelki – zakończył Phillip.

Sot tym razem kiwnął tylko głową.

Rzucili okiem na Mroczniaka, który porzucił zabawę z ćmami i przyglądał im się teraz z uwagą.

– Może nie jest jeszcze za późno, aby oddać butelkę królowi – zaproponował nieśmiało Phillip.

– Chyba nie jest – zgodził się Sot.

W ciemnościach oczy Mroczniaka rozbłysły czerwienią, mrugnęły i znowu spoczęły na nich.

– Pan może by nam przebaczył, gdybyśmy zwrócili butelkę – powiedział Phillip.

– I byłby nam wdzięczny – dodał Sot.

– Moglibyśmy wyjaśnić, że nie zdawaliśmy sobie sprawy, co robimy – ciągnął Phillip.

– Powiedzielibyśmy, że jest nam bardzo przykro – dodał Sot.

Pociągali trochę nosami i ocierali oczy. Mroczniak wskazał palcem na ćmy i zamienił je w kawałki niebieskiego ognia, który mignął i zniknął.

– Nie chcę, aby król nienawidził nas – rzekł łagodnie Phillip.

– Ani ja – zgodził się Sot.

– Jest naszym przyjacielem – powiedział Phillip.

– Naszym przyjacielem – zawtórował Sot.

Mroczniak zakręcił się nagle na krawędzi butelki, ciskając drobiny kolorowego światła w ciemność. Światło zaiskrzyło się i eksplodowało błyszczącymi serpentynami. Tworzyły się dziwne kształty, ginęły i powstawały na nowo. Gnomy dodomy na nowo zaintrygowane zaczęły obserwować popisy.

Demon zaśmiał się, zatańczył i z góry zaczął spadać deszcz klejnotów; fruujące ćmy zamieniały się w kryształy.

– Butelka jest taka piękna – powiedział z lękiem w głosie Phillip.

– Czary są cudowne – westchnął Sot.

– Może moglibyśmy zatrzymać ją jeszcze trochę – odważył się Phillip.

– Tylko na dzień lub dwa – zgodził się Sot.

– Co to szkodzi?

– Komu to by szkodziło?

– Być może...

– Może...

Zacząli mówić i w tym samym momencie urwali, obracając się do siebie, dostrzegając czerwony żar oczu demona odbijający się w ich własnych; wzdrygnęli się na to. Mocniej zacisnęli dłonie i zmrużyli oczy oszołomieni tym, że nie wiedzą, co się z nimi dzieje.

– Boję się – powiedział Sot ze łzami w oczach.

– Wcale mi się już nie podoba ta butelka – rzekł z sykiem Phillip. – Nie podoba mi się to, że przy niej zaczynam się czuć tak dziwnie!

Sot skinął głową bez słowa. Mroczniak ich obserwował.

Światła, kolory i obrazy z powrotem rozplynęły się w ciemności. Demon skulił się na krawędzi szyjki butelki, a jego czerwone oczy zwężyły się, tworząc tylko szparki.

– Włóżmy go z powrotem do butelki – zaproponował cicho Phillip.

– Dobrze – zgodził się Sot.

Demon zwinął się w kłębek i nagle prychnął.

– Znikaj! – powiedział odważnie Phillip, przeganiając go ruchem ręki.

– Właśnie, znikaj! – zawtórował Sot.

Demon syknął ostro.

– Gdzie mam sobie pójść, moi dobrzy panowie? – zapytał, lekko skamłając.

– Z powrotem do butelki! – odpowiedział Phillip.

– Tak, schowaj się do butelki! – potwierdził Sot.

Demon patrzył na nich jeszcze przez moment, po czym dziwne ciało przypominające pająka zsunęło się do butelki i zniknęło. Phillip i Sot wstali jednocześnie, chwycili kurczowo butelkę i wetknęli korek na miejsce.

Trzęsły im się ręce.

Po chwili postawili butelkę ponownie przed sobą na ziemi i przykryli ją liśćmi i gałązkami. Patrzyli na nią w ciszy przez jakiś czas, po czym ich zmęczone powieki zaczęły opadać i ogarnęła ich senność.

– Jutro zwrócimy butelkę królowi – wymamrotał Phillip.

– Oddamy ją na pewno – ziewnął Sot.

W chwilę później spali, pewni, że wszystko skończy się dobrze. Wkrótce ich chrapanie stało się miarowe, a oddech głęboki.

W tej samej chwili z butelki zaczęło emanować przyćmione, czerwone światło.

Sotowi śniły się jaskrawo lśniące klejnoty. Śnił, że spadają wokół niego jak krople deszczu, skrząc się na tle wysadzanych tęczą kłębiastych chmur i błękitnego nieba. Siedział na pagórku wśród zapachów traw, polnych kwiatów i patrzył, jak piętrzą się wokół niego kopce. Ogrzewało go prześwitujące skądś słońce i panowała atmosfera niczym nie zakłóconego spokoju.

Obok niego stała butelka – jego cudowna, drogocenna butelka. To dzięki butelce

i zamkniętemu w niej Mroczniakowi spadały klejnoty.

– Uwolnij mnie, mój mały panie! – zaczął nagle błagać Mroczniak głosem cichym i przestraszonym. – Proszę, mój panie!

Poruszyło to śniącego Sota, bowiem zdawał sobie sprawę, że jeśli zrobi to, o co go demon prosi, ilość i piękno spadających klejnotów zwiększy się w niewyobrażalny sposób. Wiedział, że jeśli posłucha, demon da mu rzeczy, których wartość trudno ocenić.

To wszystko wydawało się takie proste i słuszne.

Przez sen wyciągnął rękę i wyjął korek...

Kiedy Phillip i Sot się obudzili, niebo było ołowiane i zachmurzone. Deszcz padał dużymi, ciężkimi kroplami, które głośno pluskały, uderzając o ziemię. Potworzyły się już kałuże i strumienie – zwiędła srebro i smug szarości. Zaczynało dopiero świtać i w mgiełce wilgoci i porannego światła wszystko było jedynie lśnieniem nieuchwytnych obrazów i zjaw.

Grube, chropowate dłonie wyrwały Phillipa i Sota ze snu i brutalnie postawiły na nogi. Gnomy dodomy stały, drżąc z zimna i mrużyły swoje słabe oczy, zupełnie zdezorientowane. Otaczały ich potężne, ciemne kształty jak pierścien groteskowych cieni, które trudno było zdefiniować. Phillip i Sot wili się i kurczyli, próbując się uwolnić, ale ręce trzymały ich mocno.

Jeden z kształtów odłączył się od pierścienia. Pochylił się nisko nad nimi. Jego ciało było ciężkie od niekształtnych kończyn, grzbiet miał przygięty, a zamazana twarz ukrywała się pod grubą skórą. Cała głowa porośnięta była matowymi, ciemnymi włosami.

– Dzień dobry, gnomiki – przywitał ich troll chrapliwym, gardłowym głosem.

Phillip i Sot cofnęli się, a otaczające ich trolle zaśmiały się wesoło.

– Czy nie potraficie mówić? – zapytał z udawanym smutkiem.

– Puście nas! – chóralnie błagały gnomy.

– Dopiero was znaleźliśmy! – powiedział inny troll, urażony ich pośpiechem. – Już musicie uciekać? Koniecznie chcecie gdzieś iść? – Nastąpiła wymowna pauza. – A może przed kimś uciekacie?

Phillip i Sot energicznie zaprzeczyli głowami.

– Przed kimś, kto szuka właśnie tego? – zapytał chytrze troll.

Wyciągnął przed siebie masywną rękę. Trzymał w niej ich drogocenną butelkę, ponownie odkorkowaną, a na jej krawędzi tańczył Mroczniak, klaszcząc wesoło skurczonymi, dziecięcymi rączkami.

– To nasza butelka! – krzyknął ze złością Phillip.

– Oddajcie ją nam! – jęknął Sot.

– Oddać? – powiedział troll z niedowierzaniem. – Tak cudowną rzecz, jak to? Och, raczej nie!

Phillip i Sot miotali się i wierzgali nogami jak schwyte zwierzęta, ale trolle wzmocniły swój

uścisk. Przemawiający był większy od pozostałych, był przywódcą. Nagle wyciągnął wolną rękę i grzmotnął gnomy po głowach, aby je uciszyć. Siła uderzenia rzuciła gnomy na kolana.

– Wydaje mi się, że znowu kradliście – ciągnął troll z zadumą. – Zabraliście coś, co nie należy do was. – Gnomy jeszcze raz zaprzeczyły, potrząsając głowami, ale troll je zignorował. – Moim zdaniem ta butelka nie może być waszą własnością. Myślę, że należy do kogoś innego i kimkolwiek on jest, z pewnością przysporzyliście mu niemało zmartwień. – Nagle się ożywił. – Czyjś pech nie musi być jednak zaraźliwy. Jeden traci, drugi zyskuje, jak mówi stare porzekadło. Nie możemy mieć pewności, do kogo wcześniej należała ta butelka. Najlepiej chyba się stanie, jeśli teraz należeć będzie do mnie!

Fillip i Sot spojrzeli po sobie. Te trolle to padlinożercy, zwykli złodzieje! Rzucili szybko okiem na Mrocznika, który tańczył na krawędzi szyjki ich drogocennej butelki.

– Nie pozwól im na to! – błagał z rozpaczą w głosie Phillip.

– Każ im nam siebie zwrócić! – prosił Sot.

– Powstrzymaj ich! Powstrzymaj! – krzyczeli jednocześnie.

Demon stawał na rękach, skakał do tyłu i obserwował ich przez przymknięte, lśniące czerwienią oczy. Z końca palców jednej ręki trysnęła szczypta kolorowego ognia, zalewając ich prysznicem iskier, które rozbłysły, zgasły i zamieniły się w popiół; gnomy zaczęły od niego kasłać, dusić się, aż w końcu zamilkły.

Troll, który trzymał butelkę, spojrział w dół na Mrocznika.

– Czy należysz do tych gnomów, mały kolego? – zapytał z troską w głosie.

Mrocznik spoważniał.

– Nie, mój panie. Należę tylko do tego, kto ma butelkę.

Należę tylko do ciebie!

– Nie, nie! – jęknęli Phillip z Sotem. – Należysz do nas! Pozostałe trolle roześmiały się na całe gardło. Był to dźwięk tak chłodny, jak padający wokoło deszcz.

Przywódcą pochylił się nad nimi.

– Nic nie należy do gnomów dodomów, durnie! Nigdy nie należało i nigdy nie będzie należeć! Nie nauczyliście się trzymać swoich rzeczy w bezpiecznym miejscu! Jak sądzicie, jak was znaleźliśmy? Kto, waszym zdaniem, nas tutaj sprowadził? Otóż, gnomy, to ta właśnie istota, którą teraz prosicie o pomoc! Zasypał niebo swoim jaskrawokolorowym ogniem! Prosił nas, abyśmy go od was zabrali! Błagał, bo nie chciał być już dłużej waszym więźniem!

Gnomy dodomy wytrzeszczyły oczy, nie mówiąc już ani słowa. Ich ostatnia deska ratunku przepadła. Mrocznik – ich przyjaciel, ten który obdarzył ich cudownymi czarami – zdradził. Sprzedał ich najgorszym wrogom.

– Aaa, hm! – westchnął olbrzym, ziewając. – Chyba już czas się was pozbyć.

Inne trolle pomrukiem wyraziły zgodę i niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. Ta gra

zaczynała ich nudzić. Phillip i Sot na nowo zaczęli się wrywać.

– Co z nimi zrobimy? – zastanawiał się przemawiający.

Rzucił spojrzenie w kierunku pozostałych. – Podetniemy im gardła, a głowy nadziejemy na pale? Powyrywamy im palce u rąk i nóg? Spalimy ich żywcem?

Zewsząd rozległy się porykiwania wyrażające aprobatę, a gnomy dodomy przywarły do ziemi niczym dwie małe kałuże rozpaczy.

Przywódca trollów pokręcił głową.

– Nie, stać nas chyba na coś więcej! – Zerknął na dół na brykającego demona. – Kolego, co twoim zdaniem powinno się zrobić z nimi?

Mrocznik tańczył raz na rękach, raz na nogach, balansując swoim paskudnym, pajęczym kształtem, trzymając się kurczowo gładkiej powierzchni butelki.

– Byliby dobrym pożywieniem dla leśnych zwierząt – zasugerował.

– Aaa! – zawołał przywódca trollów. Pozostali zgodnym, ochrypłym chórem wyrazili swoją aprobatę, rozpraszając poranną ciszę.

Wyrok zapadł. Phillip i Sot zostali powaleni na ziemię, związano im ręce i stopy sznurem i podciągnięto ich do góry za pomocą liny przerzuconej przez niską gałąź pobliskiego drzewa hikory. Pozostali tak, dyndając głowami w dół jakiś metr nad ziemią.

– Za wysoko, abyście utonęli w wodach deszczu, za nisko, aby padlinożercy nie mogli was dosięgnąć – wyjaśnił przywódca. Trolle ruszyły na północ. – Zegnajcie, gnomiki.

Głowy do góry!

Banda wybuchnęła śmiechem i wesoło poszturchując się nawzajem, ruszyła w drogę. Mrocznik usadowił się na szerokim ramieniu olbrzyma i obejrzał się z nieukrywaną satysfakcją.

Po chwili Phillip i Sot zostali sami, zawieszeni do góry nogami na drzewie hikory. Kołysali się delikatnie na deszczu i wietrze, płacząc jak niemowlęta.

## **BILET W JEDNĄ STRONĘ**

Padalo i wiało również tam, gdzie Ben Holiday rozpoczął swój dzień, jakieś trzydzieści kilometrów na południe od miejsca, gdzie gnomy dodomy wisiały zawieszane nogami do góry. Ben wysliznął się z ciepłego śpiwora, w którym spał z Willow, i gdy się ubierał, cały dygotał od chłodu wczesnego poranka. Rozbili się obozem pod olbrzymią jodłą rosnącą przy skalnym urwisku, ale wilgoć i tutaj docierała. Koboldy wstały i krzątały się, a Bunion kończył już przygotowania przed wyruszeniem na rekonesans za uciekającymi gnomami. Questor słaniał się na nogach zaspany, próbował przygotować śniadanie przy pomocy swoich czarów. Udało mu się wyczarować pięć żywych kurczaków, które trzepotały dziko skrzydłami, oraz krowę, która staranowała Parsnipowi zestaw do gotowania. Nie minęła chwila, a czarodziej i kobold wydzierali się wściekle na siebie. Ben zapragnął znaleźć się z powrotem w Sterling Silver, w zaciszu swojej wygodnej sypialni.

Nie było jednak większego sensu marzyć o czymś, czego w tej chwili nie mógł mieć. Zjadł zatem łydęgę bonnie blues, popił odrobiną wody, osiodłał Jurysdykcję i ruszył z pozostałymi w drogę. Bunion pomknął naprzód, znikając w półmroku niczym widmo. Inni podążyli za nim, trzymając się w jednej linii, Ben na przodzie, później Willow i Questor. Pochód zamykał Parsnip, który prowadził juczne zwierzęta.

Poruszali się w milczeniu. Było zimno, deszczowo i mroczno. Nikt nie miał ochoty na rozmowy. Pogoda tego dnia była taka, jakiej się życzy swoim wrogom, będąc pewnym, że samemu będzie się siedziało wygodnie w domu przy ciepłym kominku. Na pewno nie był to dzień na podróżowanie. Ben siedział na grzbiecie Jurysdykcji i zastanawiał się, dlaczego sprawy się ułożyły w ten sposób. Kilka minut po wyruszeniu całkowicie zmienił mu się humor i ogarnęło go przygnębienie. Odzież przeciwdeszczowa chroniła jego ciało przed wodą, ale nie przed wilgocią i chłodem. Palce w butach i w rękawiczkach zupełnie mu skostniały. Czy były jakieś dobre myśli mogące ożywić przemoczonego człowieka, który przez cały czas mijał tylko kałuże i strumienie wody?

Zamyślił się nad swoim życiem.

Oczywiście, lubił je. Podobało mu się, że jest królem Landover, panem królestwa fantazji, w którym istoty mityczne żyły naprawdę, a czary były czymś rzeczywistym. Lubił wyzwania stawiane mu przez tutejsze życie, ich różnorodność oraz to, że powodowały nieustanną huśtawkę uczuć.

Lubił swoich przyjaciół, nawet z ich wadami. Byli dobrzy i lojalni, szczerze troszczyli się o siebie nawzajem, tak samo jak o niego. Lubił świat, do którego się przeniósł i nie zamieniłby go za żadne skarby na ten porzucony kiedyś, nawet w godzinie najczarniejszej rozpacz. Bardziej niepokojące było jednak to, że w tak małym stopniu czuł się tym, kim miał być, to znaczy

królem.

Jurysdykcja parsknęła i potrząsnęła leniwie łbem. Strumień wody chlusnął prosto w twarz Bena. Otarł policzki ręką i z wyrzutem spiął konia butami. Jurysdykcja zignorowała go, posuwając się ciężko do przodu własnym rytmem, mrużąc przy tym oczy przed deszczem.

Ben westchnął. Po prostu nie czuję, że jestem prawdziwym monarchą, pomyślał ponuro, podejmując na nowo wątek swoich myśli. Czuł, że to tylko gra, że tylko zastępuje prawdziwego króla, który został nieoczekiwanie dokądś wezwany, ale który pewnego dnia wróci i pokaże, na czym polega prawdziwe królowanie. Nie chodziło o to, iż Ben nie stara się dobrze wykonywać swych zadań, bo się starał. Nie chodziło także o to, że nie zdaje sobie sprawy z zadań, jakie przed nim stoją, bo dobrze zdawał sobie sprawę. Problem polegał raczej na tym, że nie potrafił nad wszystkim zapanować. Zdawało się, że przez cały czas próbuje wyrwać się z sytuacji, których powinien był uniknąć. Wystarczy spojrzeć na całe to ostatnie zamieszanie: Abernathy wysłany Bóg raczy wiedzieć dokąd, jego medalion stracony w ten sam sposób, a gnomy dodomy uciekają z butelką. Jaki król dopuściłby do tego wszystkiego? Mógł się tłumaczyć i zrzucać odpowiedzialność za to wszystko na wydarzenia, których nie można kontrolować, ale czy to nie jest trochę śmieszne, próbować zrzucać całą winę na jedno kichnięcie?

Ponownie westchnął. Z pewnością było to śmieszne. Musiał zatem wziąć całą odpowiedzialność na siebie. Właśnie po to są królowie. Jednak już chwilę później stanął ponownie w obliczu tego nie dającego spokoju uczucia nieadekwatności, przeświadczenia, że tak naprawdę nigdy nie potrafił nad wszystkim zapanować i nigdy nie będzie do tego zdolny.

Mógłby tak dalej poniżać siebie samego, ale na szczęście nadjechała Willow, uśmiechając się wesoło.

– Wyglądasz na samotnego – powiedziała.

– Pograżyłem się w myślach. – Odwzajemnił się jej uśmiechem. – Ten dzień mnie przygnębia.

– Nie pozwól na to – powiedziała. – Musisz odpędzić od siebie wszystko, co niemiłe. Pomyśl o tym, jak przyjemnie będzie świecić słońce, gdy tylko minie deszcz. Pomyśl, jak przyjemnie będzie grzać się w jego ciepłe.

Poruszył się trochę w siodle i przeciągnął.

– Wiem, ale chciałbym, aby ta odrobina słońca i ciepła nie zwlekała z przybyciem, żeby była już teraz.

Patrzyła przez jakiś czas w dal, po czym znowu odwróciła się do niego.

– Martwisz się butelką i gnomami? Skinął głową.

– Tym też. Ale także Abernathym, medalionem i tuzinem innych rzeczy, głównie jednak tym, że, jak mi się wydaje, nie sprawdzam się jako król. Chyba źle mi to wychodzi, Willow.

– Płaczę się jakoś w tym wszystkim, próbuję różnych sposobów, aby wydostać się



z tarapatów, w które w ogóle nie powinienem był popaść.

– A czego się spodziewałeś? – Jej twarz się zachmurzyła i wydała się pod tym podróżnym kapturem jakaś odległa.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, czego się spodziewałem. Chociaż może jednak wiedziałem, że tak będzie, przynajmniej wtedy, kiedy się już tutaj znalazłem. Nie w tym jednak rzecz. Problem polega na tym, że takie rzeczy się wciąż powtarzają, a ja nie mogę nad nimi zapanować. Gdybym był prawdziwym królem, pomazańcem bożym, to coś takiego by się nie przytrafiło, czyż nie tak? Czyż nie mógłbym przewidywać i uprzedzać pewnych wydarzeń? Czyż nie lepiej bym sobie w tym wszystkim wtedy radził?

– Ben – wymówiła cicho jego imię i przez moment nie odzywała się, jadąc obok niego i patrząc przed siebie. – Jak długo, twoim zdaniem, Questor Thews stara się znaleźć właściwe zaklęcie?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że jesteś królem o wiele krócej niż Questor jest czarodziejem. Czy powinieneś wymagać od siebie tak wiele, skoro widzisz, ile wysiłku kosztuje to jego? Nie można szybko opanować prawd o rzeczach, których wykonania się podejmujemy. Nikt nie rodzi się z gotową wiedzą i każdy musi się tego sam nauczyć. – Wyciągnęła rękę i musnęła go lekko po policzku. – Poza tym, czy był kiedykolwiek w twoim życiu moment, kiedy rzeczy nieprzewidywalne i nie poddające się kontroli nie kolidowały z twoimi planami i ich nie burzyły? Dlaczego teraz miałyby się to zmienić?

Poczuł się nagle trochę głupio.

– Chyba masz rację. Wiem, że nie powinienem się pograżać w czarnych myślach, ale wydaje mi się, iż nie jestem taki, jakim mnie widzą ludzie. Jestem po prostu... sobą.

Uśmiechnęła się ponownie.

– Tacy już jesteśmy, Ben, ty i ja. To jednak nie powinno przeszkadzać w tym, aby inni oczekiwali od nas czegoś więcej.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Ludzie powinni być bardziej rozsądni.

Jechali dalej w milczeniu, a on odepchnął od siebie swoje rozmyślenia i skoncentrował na tworzeniu planu odebrania Phillipowi i Sotowi skradzionej butelki. Poranek mijał bez żadnych przygód i właśnie zbliżało się południe, kiedy z mgły wysunął się Bunion.

– Znalazł gnomy, królu – oznajmił pośpiesznie Questor po krótkiej rozmowie z tropicielem. – Zdaje się, że mają jakieś kłopoty!

Spięli konie i pognali przez mrok, deszcz i wiatr, który wiał im prosto w twarz. Starali się

nie stracie Buniona z oczu. Jechali grzbietem wzniesienia, potem w dół, przez błoto, aż do pagórka porośniętego trawą. Bunion zatrzymał ich u jego podnóża i wskazał coś ręką.

W połowie drogi do góry, z wiekowego drzewa hikory zwisały ku dołowi głowy Fillipa i Sota. Gnomy dodomy dyndały na wietrze jak para dziwnych strąków.

– Co, u licha, się tutaj dzieje?! – zawołał Ben.

Trącił nogą Jurysdykcję i ruszył do przodu, powoli, ostrożnie, za nim pozostali. Kiedy znajdował się w odległości kilkudziesięciu metrów od nich, zsiadł z konia i rozejrzał się niepewnie dokoła.

– Bunion twierdzi, że są sami – powiedział przez ramię Questor. Jego zamyślona twarz wystawała spod kaptura płaszcza przeciwdeszczowego. – Butelka i Mroczniak najwyraźniej zniknęli.

– Potężny panie! – zawołał słabym głosem Phillip.

– Wszechmocny królu! – zawtórował Sot.

Ich głosy brzmiały tak, jakby mieli zaraz wyzionąć ducha.

Byli przemoczeni, powalani błotem i prezentowali sobą tak żalosny widok, że Ben z trudem mógł na nich patrzeć.

– Powiniennem ich tak zostawić – powiedział półgłosem, myśląc o zaginionej butelce.

Wdawało się, że go usłyszeli.

– Nie zostawiaj nas, królu, prosimy, nie zostawiaj! – błagali jednym głosem, skamłając jak bite szczeniaki.

Ben poczuł obrzydzenie. Pokręcił bezradnie głową, a potem spojrział na Buniona.

– No dobrze, Bunion. Odetnij ich.

Bunion przemknął obok, wspiął się na drzewo hikory i odciął liny, na których wisały gnomy. Phillip i Sot spadli głowami w błoto. Dobrze im tak, pomyślał ponuro Ben.

Willow ruszyła szybko do przodu, wykulała ich z błota i przecięła więzy splatające ręce i nogi. Pomogła im usiąść i rozetrzeć zbolące nadgarstki i kostki, przywracając prawidłowe krążenie krwi. Gnomy płakały jak niemowlęta.

– Przepraszamy, potężny panie – zakwilił Phillip.

– Nie chcieliśmy tego, wszechmocny królu – pisnął Sot.

– Wszystko przez tę butelkę, była taka piękna.

– To przez to stworzenie, potrafiło dokonywać takich cudownych rzeczy!

– Ale usłyszało, jak rozmawialiśmy o tym, żeby zwrócić butelkę.

– We śnie nakłoniło nas, abyśmy ją odkorkowali!

– A potem wezwało trolle, królu!

– Pokazało im drogę swoimi magicznymi światłami!

– A tamci nas pojмали!

– I związali, jak byśmy byli psami!

– I powiesili...!

– I zostawili...!

Ben podniósł szybko ręce do góry.

– No, już dosyć tego! Nic z waszego gadania nie rozumiem! Powiedzcie mi, co się stało, ale powoli, bardzo proszę. Przede wszystkim powiedzcie mi, gdzie jest teraz butelka!

Gnomy dodomy opowiedziały mu wszystko, co chwilę wybuchając płaczem, ale w końcu dobrnęły do końca. Ben słuchał cierpliwie, rzucając spojrzenia w kierunku Questora i Willow, zastanawiając się już chyba po raz setny w ciągu tych kilku ostatnich dni, dlaczego to właśnie jemu zawsze przytrafiają się takie rzeczy.

Kiedy gnomy skończyły i znowu zalały się łzami, Questor szepnął coś do Buniona i tamten zniknął na kilka chwil.

Gdy wrócił, porozmawiał z czarodziejem, a ten zwrócił się do Bena.

– Trolle wyruszyły w drogę prawdopodobnie kilka godzin temu. Nie wiadomo jednak, dokąd poszły. Ich ślady prowadzą w różne strony. – Questor przerwał, wyraźnie czymś zaniepokojony. – Najwidoczniej Mrocznik wie, że go ścigamy i wykorzystuje swoje czary, aby nas zmylić.

Ben skinął głową. Trudno było się temu dziwić, pomyślał.

Prawo Murphy’ego sprawdziło się tutaj szczególnie dobrze.

Poprosił Willow, aby pomogła dojść do siebie wytraconym z równowagi gnomom, po czym wstał i odszedł, chcąc popatrzeć w mrok i pomyśleć.

Co teraz robić?

Nagle poczuł, że odżywa w nim ta sama niepewność, która nękała go wcześniej. Do licha! To go zaprowadzi donikąd! Im dłużej bląkali się po okolicy w poszukiwaniu butelki, tym bardziej się oddalała! Z goryczą przypomniał sobie Abernathy’ego i medalion. Bóg jeden raczy wiedzieć, co się z nim do tego czasu stało, w świecie, gdzie zwierzęta służą do zabawy, a na medaliony patrzy się z pogardą jak na narzędzia diabła. Jak długo Abernathy może tam przeżyć, zanim przydarzy mu się coś takiego, czego Ben nigdy nie będzie mógł sobie wybaczyć?

Wciągnął chłodne powietrze, aby pomogło rozjaśnić mu jego myśli, wystawił twarz na deszcz, żeby się trochę orzeźwić. Nie było sensu wymyślać samemu sobie. Absurdem było stać tutaj i żałować, że sprawy nie ułożyły się inaczej, że nie jest lepszym królem i że nie potrafi lepiej sobie radzić w trudnych sytuacjach. Trzeba po prostu wepchnąć niepewności i wątpliwości z powrotem do kąta i niech tam już zostaną, upomniał samego siebie. Zdecyduj się na coś i wykonaj to!

– Królu! – zabrzmiał gdzieś z tyłu głos Questora.

– Za chwilę – odpowiedział Ben.

Doszedł do wniosku, że zabrał się do tej sprawy od złej strony, że odwrócił kolejność

priorytetów. Ważniejszą sprawą było odbić Abernathy'ego i medalion, niż starać się odzyskać skradzioną butelkę. Żeby wysledzić demona i zmusić go do wejścia z powrotem do butelki, potrzeba trochę czasu, a Abernathy go po prostu nie ma. Poza tym tylko dzięki szczęściu lub czarom można ujarzmić Mroczniaka, a jego zdaniem, na to pierwsze nie mógł liczyć. Potrzebował do tego medalionu.

Powstał zatem problem, jak ściągnąć Abernathy'ego i medalion, nie wymieniając go za butelkę?

– Questorze! – zawołał nagle, odwracając się w stronę, gdzie pozostali, zbici w ciasną grupę, stali zgromadzeni pod drzewem hikory. Zobaczył, że dzięki Willow, Phillip i Sot stali już na własnych nogach i przestali płakać. Sylfida przemawiała do nich cichym, łagodnym głosem, ale natychmiast odwróciła głowę, gdy usłyszała zawołanie Bena.

Questor Thews szybko podszedł, powłócząc nogami. Jego wysoka postać pochylała się do przodu, przeciwstawiając się sile wiatru, a z jego haczykowatego nosa skapywały krople deszczu.

– Panie?

Ben spojrzał na niego z nieufnością.

– Czy posiadasz wystarczającą moc, aby wysłać mnie tam, gdzie znajduje się Abernathy? Czy mógłbyś wykorzystać podobny rodzaj magii jak w jego wypadku? Czy też musisz mieć do tego medalion? Czy medalion to jedyny sposób, aby się tam znaleźć?

– Królu...

– Czy medalion jest niezbędny, Questorze? Tak czy nie? Questor potrząsnął głową.

– Nie. Medalionu potrzebowałem do zaklęcia, które miało oddzielić w Abernathym zwierzę od człowieka. To była najtrudniejsza część czarów. Zwykle wysłanie kogoś dokądkolwiek jest stosunkowo prostą sprawą.

Na twarzy Bena pojawił się grymas.

– Proszę, nie mów mi takich rzeczy. Zawsze się martwię, kiedy twierdzisz, że czary przebiegną bezproblemowo. Powiedz tylko, że potrafisz mnie przenieść tam, gdzie jest Abernathy. Możesz to zrobić? Bez kichania, bez pomyłek; zwyczajnie wysłać mnie całego, dokładnie w to miejsce, w którym on się znajduje?

Czarodziej się wahał.

– Królu, nie uważam, aby to był dobry...

– Bez komentarzy, Questorze – przerwał szybko Ben. – Bez dyskusji. Po prostu odpowiedz jasno na pytanie.

Questor potarł swoją przemoczoną brodę, pociągnął się za ucho i westchnął.

– Odpowiedź brzmi: tak.

– Świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć.

– Ale...

– Ale co?

– Ale ja mogę ciebie tylko tam wysłać; nie potrafię natomiast sprowadzić cię z powrotem. – Questor wzruszył bezradnie ramionami. – Tylko tyle zdążyłem się nauczyć w tej dziedzinie czarów. Gdybym wiedział więcej, to mógłbym przecież samemu sprowadzić Abernathy’ego i medalion, prawda?

Nie da się ukryć, pomyślał posepnie Ben. Cóż, ryzykuję tyle samo w tym świecie, jak w każdym innym.

– Panie, naprawdę uważam, że powinienes to prze...

Ben podniósł szybko palec do góry i syknął, uciszając go.

– Niech pomyślę nad tym przez chwilę, Questorze, proszę.

Spojrzał kolejny raz w mrok. Gdyby to zrobił, nie mógłby wrócić ze starego świata, dopóki nie odzyska medalionu.

Musiałby zostać w swoim starym świecie do czasu jego zlokalizowania. To wszystko, oczywiście, stałoby się przy założeniu, że Questorowi tym razem się powiedzie i wyśle go tam, gdzie trzeba, a nie w jakieś inne miejsce w innym czasie.

Spojrzał ponownie na czarodzieja, przyglądając się jego sowej twarzy. Questor Thews. Nadworny czarodziej. Musiałby przekazać Questorowi kontrolę nad sprawami Landover. Sama myśl o tym napawała go lękiem. Raz już pozwolił Questorowi występować w swoim imieniu, kiedy był zmuszony powrócić do swojego starego świata, ale wtedy nie było go tylko trzy dni. Tym razem zniknie prawdopodobnie na dłużej. Może na zawsze.

Z drugiej strony, któż inny mógłby wziąć na siebie obowiązki związane z zasiadaniem na tronie? Na pewno nie Kallendbor, ani żaden z pozostałych władców Greenswardu.

Z pewnością nie Władca Rzek, ani wróżki z krainy jezior.

W żadnym wypadku nie Nocny Cień, wiedźma z Wielkiej Czułości. Może zatem Willow? Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Doszedł jednak do wniosku, że Willow ustąpiłaby Questorowi. Poza tym jego ambicja zostałaby śmiertelnie urażona, gdyby nie otrzymał tego stanowiska na czas nieobecności Bena. Nadworny czarodziej powinien być przecież drugą pod względem ważności figurą w hierarchii dworu.

Powinien być. Były to jednak tylko słowa, pomyślał Ben z grymasem. Prawda mogłaby wyglądać zupełnie inaczej.

Cóż, Questor Thews był jego przyjacielem, kiedy inni się od niego odwracali. Questor stał przy nim przez cały czas, gdy innym wydawało się to głupie. Robił wszystko, o co Ben go poprosił, a czasem nawet i więcej. Może nadszedł czas, aby odplacić mu się odrobiną zaufania za tę lojalność.

Zbliżył ręce do wąskich ramion czarodzieja i mocno je ścisnął.

– Podjąłem decyzję – powiedział cicho. – Chcę, Questorze, żebyś to zrobił. Chcę, żebyś mnie

tam przeniósł. – Wytrzymał mocne spojrzenie tamtego, czekając na reakcję. Questor zawahał się jeszcze raz, potem skinął głową.

– Dobrze, królu. Będzie tak, jak chcesz.

Ben podszedł z nim do miejsca, gdzie wszyscy stali i zebrał ich dokoła siebie. Phillip i Sot znowu zaczęli szlochać, ale uciszył ich szybko zapewnieniem, że wszystko zostało im wybaczone. Bunion i Parsnip przykucnęli oparci o pień drzewa. Ich sękaty, wykrzywione ciała połyskiwały kroplami wody. Willow stała na uboczu, w jej oczach można było dostrzec niepokój. W spojrzeniu Bena odkryła coś, czego nie lubiła.

– Poprosiłem Questora, aby za pomocą swoich czarów wysłał mnie w ślad za Abernathym – oznajmił szorstko Ben. – Zgodził się na to. – Starał się uniknąć przestraszonego wzroku Willow. – Muszę pomóc Abernathy’emu i odzyskać mój medalion. Gdy tylko to zrobię, zaraz do was powrócę.

– Oh, potężny królu! – zawołał z melancholią w głosie Phillip.

– Wszchemocny królu! – zaszlochał Sot.

– Tak nam przykro, panie!

– O, tak, wierz nam!

Ben poklepał ich po głowach.

– Na czas mojej nieobecności Questor przejmie obowiązki panującego. Chcę, abyście pomagali mu, jak tylko możecie. – Spojrzał na nadwornego czarodzieja. – Questorze, chcę, abyś kontynuował pościg za Mroczeniakiem i spróbował zmusić go do wejścia do butelki. Ten mały potwór jest zbyt niebezpieczny, aby mógł pozostawać na wolności. Sprawdź, czy lord Kallendbor lub Władca Rzek zgodzą się tobie pomóc. Bądź ze wszech miar ostrożny.

Questor skinął głową bez słowa. Pozostali wciąż się w niego wpatrywali, oczekując dalszego ciągu.

– To chyba wszystko, co miałem do powiedzenia – zakończył.

Wtedy podeszła do niego Willow z wyraźnie widoczną na twarzy determinacją.

– Przenoszę się razem z tobą, Ben.

– O, nie. – Ben potrząsnął szybko głową. – To byłoby zbyt niebezpieczne. Mógłbym tam utknąć i nigdy nie wrócić. Gdybyś była ze mną, spotkałoby cię to samo.

– Dlatego właśnie muszę być z tobą, Ben. Nie mogę ryzykować, żeby nas coś rozdzieliło na wieki. Co się przytrafi tobie, przytrafi się również mnie. Jesteśmy jedną osobą, Ben. To zostało przepowiedziane. Pamiętasz przepowiednię z kwiatów w ogrodzie, w którym zostałam poczęta? Nawet Matka Ziemia wie o tym. – Wzięła jego dłonie w swoje. – Przypominasz sobie jej przestrożę? Pamiętasz, co powiedziała? – Zaczekała, aż on potwierdzi to skinieniem głowy. Zapomniał o Matce Ziemi, o duchu, który wspomagał ich w poszukiwaniach czarnego jednorożca. Nagle ręce Willow zacisnęły się mocniej. – Masz być moim obrońcą – tak

powiedziała, a ja muszę być twoją obrończynią, Ben. Muszę, bo jeśli nie, to moja miłość do ciebie będzie pozbawiona treści. Niczym mnie od tego nie odwiedzisz. Jadę z tobą.

Patrzył na nią w tej chwili z miłością tak wielką, że aż jego samego przejęło to zdziwieniem. Willow rzeczywiście była jego drugą połową. Doszło do tego właściwie bezwiednie.

Więzy między nimi stopniowo się wzmacniały, uczucia i emocje stawały się wspólne, ich życia stapiały się w jedno.

Uświadomił sobie tę prawdę i zdumiało go, że coś takiego jest możliwe.

– Willow, ja...

– Nie, Ben. – Położyła palec na jego ustach, a jej piękna, nieskazitelna twarz zbliżyła się, aby go pocałować. – To już postanowione.

Ben też ją pocałował i przytulił. Chyba miała rację.

Postanowił, że wyruszą od razu.

Kazał Questorowi sprawić im obojgu, za pomocą czarów, dresy do biegania i adidasy. Willow miał dodatkowo wyczarować opaskę, aby spięła swoje długie włosy oraz okulary przeciwsłoneczne, aby ukryła niesamowicie błyszczące oczy.

Na jej zieloną cerę niestety nic nie można było poradzić. Ben nie chciał pozwolić Questorowi, aby wypróbował na niej swoje sztuczki. Coś wymyśla, gdyby ktoś ich o to pytał. Czarodziej musiał także wyczarować trochę pieniędzy na wydatki związane z poszukiwaniem Abernathy'ego. Miał nadzieję, że nic nieprzewidzianego się nie wydarzy i że zaraz po przybyciu odnajdą zaginionego pisarza wraz z medalionem. Wątpił jednak, czy rzeczywiście dopisze im takie szczęście. Jak dotąd nie miał zbyt wiele szczęścia w porządkowaniu tego całego bałaganu.

Questor spisał się na medal, ubierając ich w bluzy i buty do biegania, na których nie brakowało nawet firmowych naszywek. Popisał się również przy produkcji pieniędzy, które wyglądały jak prawdziwe. Dobrze, że wcześniej pokazał czarodziejowi kilka próbek, pomyślał Ben. Rzucił szybko okiem na pieniądze i wsunął je do kieszeni.

– Jeszcze jedno, Questorze. Zrób coś z Willow, aby mówiła po angielsku, kiedy już się tam dostaniemy – dodał.

Willow podeszła i stanęła obok niego. Jej szczupłe ramiona objęły go w pasie. Miał ochotę zapytać się jej jeszcze raz, czy nadal chce się z nim wybrać, ale zaniechał tego. To pytanie nie miało już teraz sensu.

– Jesteśmy gotowi, Questorze – oznajmił. – Rozejrzał się dokoła na otaczający ich mrok, wilgoć, szarą i lepłą mgiełkę.

Popatrzył na łąki w dole, na wzgórze i lasy. Żałował, że nie może tego wszystkiego obejrzieć w pełnym świetle, w słońcu, w żywych kolorach. Pragnął zapamiętać ten widok. Obawiał się, że może już tego nigdy nie zobaczyć.

Questor kazał pozostałym odsunąć się aż pod pień hikory.

Koboldy uśmiechały się z jakimś grymasem bólu na twarzy, gnomy jęczały, jakby miały znowu zostać powieszona na drzewie. Questor podciągnął rękawy swoich szat i uniósł ręce.

– Tylko bądź ostrożny – powiedział po cichu Ben, mocniej obejmując Willow.

Czarnoksiężnik skinął głową.

– Życzę powodzenia, panie.

Rozpoczął wymawianie zaklęcia. Magiczne słowa wylewały się równomiernym strumieniem nic nie znaczącej retoryki. Po chwili dołączyły do tego gesty rąk i nagle pojawił się srebrny kurz i światło. Deszcz i mrok ustąpiły, zabierając z sobą koboldy i gnomy, a potem także Questora Thewsa. Ben i Willow pozostali sami, trzymając się blisko siebie.

– Kocham cię, Ben – usłyszał głos sylfidy.

W tym momencie wszystko zniknęło w błysku światła i musieli mocno zamknąć oczy, aby ochronie je przed porażającą jasnością.

Przez jakiś czas unosili się swobodnie, bez określonego kierunku czy celu, tak jak we śnie, gdy stopniowo zbliża się moment przebudzenia. Nagle światło stało się mniej intensywne, ustał ruch, a świat wokół nich znowu nabrał kształtów.

Stali na rogu ulicy jakiegoś miasta, powietrze wypełniały odgłosy samochodów i ludzi. Willow przyłgnęła do Bena, przytulając twarz do jego piersi. Ben szybko rozejrzał się dokoła zdezorientowany nagłym pojawieniem się hałasu.

Rany, ale gorąco! Wydawało się, że jest to środek lata, a nie jesieni! To przecież nie jest...

– Święta makrelo! – wysapał.

Wiedział dokładnie, gdzie jest. To miejsce poznałby zawsze, bez względu na okoliczności.

Znajdował się dokładnie w centrum Las Vegas.



## ZAMKI I KLATKI

Questor Thews patrzył się z niepokojem na pustą przestrzeń, w której jeszcze przed sekundą znajdowali się Ben Holiday i Willow, po czym z zadowoleniem zatarł dłonie i powiedział:

– Cóż, myślę, że bezpiecznie zbliżają się do celu.

Bunion i Parsnip wysunęli się do przodu. Zerknęli na opustoszałe miejsce i swoim sykiem potwierdzili jego opinię. Wyszczерzyli zęby, a ich żółte oczy mrugnęły niczym światła ostrzegawcze.

– Potężny król – zakwilił Phillip gdzieś z cienia za nimi.

– Wszechmocny król – zaskomlał Sot.

– Przestańcie! Król jest cały i zdrow – zapewnił ich Questor, zastanawiając się przez krótką chwilę, czy dobrze zapamiętał wszystkie słowa i gesty wiążące się z miejscem, do którego ich wysłał. Tak, był pewien, że pamiętał. W każdym razie prawie pewien. – Musimy się skupić na naszych sprawach – powiedział bardziej do siebie niż do pozostałych. – Hm, niech pomyślę.

Wyprostował swoje ciało pod togą, poskubał się w brodę i spojrzał w mrok. Wciąż mocno padało. Krople się rozpryskiwały w stale powiększających się kałużach i potokach, które poprzecinały cały krajobraz aż po horyzont. Chmury wisiały nisko nad ziemią i miało się wrażenie, że coraz bardziej się ściemnia. Mgła, która od świtu pokrywała całunem całą dolinę, gęstniała.

Questor zmarszczył czoło. Sensowne byłoby wrócić do Sterling Silver i zaniechać pościgu tego przeklętego demona.

Z drugiej strony, w Sterling Silver nie czekało na nich nic takiego, co nie mogłoby poczekać jeszcze kilka dni, a poza tym obiecał panu, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby odzyskać butelkę. Wiedział przecież, choć niezbyt mu zależało na podkreśleniu tego, iż przynajmniej częściowo był odpowiedzialny za to, że butelka znalazła się w Landover; dlatego też powinien się zmobilizować i wszystko naprawić – zwłaszcza po tym, jak król obdarzył go tak wielkim zaufaniem.

– Myślę, że powinniśmy kontynuować nasze poszukiwania – oznajmił. – Bunionie, Parsnipie, czy możemy jeszcze przez jakiś czas podążać za Mroczeniakiem?

Koboldy spojrzwały na siebie i wyszczerzyły swoją aprobacę.

– Świetnie! – Questor zwrócił się do gnomów dodomów. – Gdyby to ode mnie zależało, to na pewno nie postąpiono by z wami tak wspaniałomyślnie. Król przebaczył wam jednak, zatem jesteście wolni.

Phillip i Sot przestali skomleć i drzeć, spojrzeli na szary, pusty krajobraz, potem na siebie. Ich oczy zrobiły się wielkie z przerażenia.

– Dobry i łaskawy Questorze Thewsie! – powiedział Phillip.

– Cudowny czarodzieju! – zawołał Sot.

– Zostaniemy z tobą!

– Pomożemy ci!

– Pozwól nam zostać, prosimy!

– Bardzo prosimy!

Questor Thews spojrział na nich z nie ukrywaną podejrzliwością. Gnomy nie chciały odchodzić tylko dlatego, że bały się zostać same w nocy, wiedząc, iż Mroczniak jest wciąż wolny. Questor wahał się przez moment, po czym wzruszył ramionami. Cóż, czego można się było po was spodziewać?

– Uważajcie tylko, abyście nie wchodzili nam w drogę, gdy się natkniemy na trolle i tę butelkę – ostrzegł ich swym surowym głosem.

Gnomy wyprzedzały się w zapewnieniach, że tak właśnie będzie. Questor musiał się uśmiechnąć, wbrew samemu sobie. Był zupełnie pewny, iż tym razem mówią prawdę.

Ruszyli zatem szybko na północ przez deszcz, chłód i mgłę.

Bunion przetrząsał teren przed nimi, szukając śladów oddalił łajzących się trolli, Questor i pozostali podążali za nim, zbytnio się nie spiesząc. Czarodziej dosiadał swego starego siwka, za nim szły gnomy oraz Parsnip, który prowadził Jurysdykcję, klacz Willow i juczne zwierzęta. Deszcz nie przestawał padać, szara para mieszała się z mgłą i oplatała ziemię wstęgami cieni. Światło dnia rozmywało się wraz ze zbliżaniem się nocy. Wciąż nie było widać śladu trolli.

Bunion wrócił o zachodzie słońca i całe towarzystwo rozbiło obóz pod kępą uginających się od wody cyprysów, tuż nad rzeką, której wezbrane wody pieniały się i pluskały w ospałym, monotonnym rytmie. Pod ogromnymi, wiszącymi konarami było stosunkowo sucho. Questorowi udało się wyczarować małe, podnoszące na duchu ognisko. Parsnip przygotował przepyszną kolację, którą szybko zjedzono. Następnie Questor, zachęcony wcześniejszym sukcesem, ponownie posłużył się magią i wyczarował koce oraz poduszki. Lepiej by zrobił, gdyby zostawił wszystko tak jak było, ale postanowił spróbować jeszcze jednego zaklęcia, za pomocą którego chciał stworzyć zamknięte, ogrzewane i wodoszczelne pomieszczenie wraz z łazienką. Próba okazała się katastrofą. Jedno z drzew runęło na ziemię, deszcz zagasił ognisko, a cała ich paczka znalazła się w strugach wody. Musieli przesunąć obóz do tyłu, w stronę pozostałych drzew, ratując co się dało z przemoczonych koców i poduszek.

Questor przeproszał wszystkich, jak tylko mógł, ale tego co się stało, nie można było już odwrócić. Sytuacja była dla niego wyjątkowo żenująca. Kiedy inni już spali, Questor Thews leżał pod swoimi kocami i myślał długo i intensywnie o zmiennych kolejach losu czarownika. Nie jest rzeczą łatwą samemu zgłębiać tajniki posługiwania się czarami, uzał się.

Mimo wszystko musi to robić dalej. W końcu zastępuje teraz króla i jest odpowiedzialny za szczęście mieszkańców całego Landover.

Ranek przywitał ich jeszcze silniejszym deszczem. Świt miał barwę stalowoszarą i był gęsty od mgły maconej co jakiś czas przez niemrawe wiatry. Chłód powietrza mieszał się z ciepłem, którym promieniowała ziemia. Zjedli śniadanie i wyruszyli, znowu przemierzając trawiaste równiny Greenswardu. Bunion powędrował naprzód, wciąż szukając jakichkolwiek śladów trolli, a reszta wolno podążyła za nim. Wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki i nie mieli najlepszych nastrojów. Questor przez chwilę się zastanawiał, czy nie osuszyć ich za pomocą czarów, ale zaraz potem zdecydował, że będzie lepiej, jeśli się powstrzyma. Ostatniej nocy postanowił, że będzie używał czarów tylko w wyjątkowych sytuacjach, wtedy gdy będzie pewien ich wyniku i tylko gdy będzie to konieczne. Musi oszczędzać swoje siły i używać ich tylko do określonych czarów. Sądził, że w ten sposób najlepiej wykorzysta swoje możliwości.

Minęło południe. Byli już głęboko w krainie traw, daleko na północny wschód od Sterling Silver, w krainie władców Greenswardu. Krajobraz zdobiła szachownica zaoranych pól, gdyż większość plonów została już z nich zebrana. Czarna gleba prezentowała dość surowy wygląd. Gdzieś tam było widać zabudowania gospodarskie i wiejskie domki, które ubarwiały ogrody i żywopłoty, kwitnące tysiącem migoczących kolorów i kształtów, a w poprzek szarej, złanej deszczem krainy rozciągały się smugi tęczy.

Oczy Questora uważnie badały zamglony krajobraz. Około dwunastu mil stąd znajdował się Rhyndweir, zamek lorda Kallendbora, najpotężniejszego z władców Greenswardu.

Czarodziej westchnął. Miał nadzieję, że dziś wieczorem będą spali pod dachem, w ciepłych łóżkach, a parująca kąpiel usunie z ich pamięci wspomnienie wilgoci i chłodu.

Było już dobrze po południu, kiedy z mgły niespodziewanie wyłonił się Bunion. Jego mocne, ciemne ciało połyskiwało wodą. Zbliżył się, prawie biegnąc, niezwykle jak na niego zachowanie, i z pośpiechem zaczął mówić do Questora. Spomiędzy ostrych zębów wydostawał się przyspieszony, syczący oddech, a jego zmrużone oczy rzucały naokoło ukradkowe spojrzenia.

Czarodziej wstrzymał na moment oddech. Bunion odnalazł trolle, ale nie w takich okolicznościach, jakich się spodziewał.

Grupa zwiększyła tempo marszu. Questor nie zdążył nic powiedzieć pozostałym, wciąż oszołomiony wiadomością przekazaną mu przez Buniona. Minęli kilka pól, bystro płynący strumyczek i zbliżyli się do miejsca, na którym składowano ścięte drewno.

Pośród stosów zgromadzonej sosny leżały trolle, wszystkie martwe, co do jednego. Ich ciała były rozrzucone na mokrej ziemi, ułożone w groteskowych pozycjach, z poderżniętymi gardłami, pokłute nożami, splątane w śmiertelnej orgii.

Gnomy dodomy przyglądały się temu przez krótką chwilę i cofnęły się aż za zwierzęta juczne, jęcząc z przerażenia.

Nawet Parsnip zląkł się i zrobił krok do tyłu. Questor podszedł bliżej z Bunionem, gdyż tego wymagała od nich sytuacja. Bunion powtórzył szeptem to, co już wcześniej powiedział. Tragedii

tej nie spowodował ktoś trzeci. Wszystko wskazywało na to, że trolle zaatakowały same siebie i się pozabijały.

Questor wysłuchał tego w ciszy, nic nie mówiąc. Domyślił się jednak, co się tutaj rozegrało. Już wcześniej zdawał sobie sprawę, do czego może być zdolny Mroczniak. Przeniknął go dogłębny chłód. Ogarnęło go nagłe przerażenie.

Bunion wyciągnął przed siebie rękę, wskazując w stronę mroku. Jednemu z trolli udało się uniknąć masakry. Jakoś ją przeżył i w tej chwili, na chwiejących się nogach, kierował się w stronę lasu. To on unosił ze sobą butelkę.

– O rany – wyszeptał Questor Thews.

Ranny troll kierował się prosto do Rhyndweir.

– Abernathy! – Pisarz podniósł głowę ze słomy, na której leżał, aby spojrzeć w mrok.

– Elizabeth?

Wyszła z cienia niszy znajdującej się w ścianie po drugiej stronie pomieszczenia, przeciskając się przez szczelinę w murze, której – mógł przysiąc – jeszcze przed chwilą nie było.

Przemierzyła korytarz lochu na palcach i przyłożyła twarz do krat klatki. Abernathy, nie mogąc się wyprostować w małej klatce, podczołgał się na czterech łapach i przywitał z nią.

Widział tylko jej okrągłą buzię z kilkoma piegami na nosie.

– Przepraszam, ale nie mogłam przyjść wcześniej – wyszeptała, rozglądając się uważnie na prawo i lewo. – Nie mogłam ryzykować. Nie chciałam, aby mój tata lub Michel się dowiedzieli, że zależy mi na tobie, bo staliby się podejrzliwi.

Myślę, że Michel i tak coś podejrzewa.

Abernathy kiwnął głową, wdzięczny, że w ogóle przyszła.

– Jak się tutaj dostałaś, Elizabeth?

– Przez tajemne przejście! – Uśmiechnęła się. – O, tam! – Wskazała ręką za siebie, na otwór w ścianie, gdzie na tle wszechogarniającego mroku, widoczna była smuzka słabego światła. – Odkryłam je wiele miesięcy temu, kiedy sprawdzałam te rejony. Wątpię, aby kto inny wiedział o jego istnieniu. Prowadzi w górę i w dół południowej ściany. – Zawahała się. – Nie wiedziałam na początku, jak się do ciebie dostać. Nie wiedziałam nawet, gdzie się znajdujesz. Dowiedziałam się tego dopiero dziś po południu.

– Dziś po południu? Zatem teraz jest wieczór? – zapytał Abernathy. Stracił już zupełnie poczucie czasu.

– Uhm. Już prawie czas na spanie, dlatego muszę się spieszyć. Proszę, przyniosłam ci coś do jedzenia.

Zobaczył, że miała ze sobą papierową torbę. Sięgnęła do niej i wyciągnęła kilka kanapek, jakieś surowe warzywa, świeże owoce, trochę chipsów i kartonik zimnego mleka.

– Elizabeth! – zawołał z wdzięcznością.

Podawała mu wszystkie rzeczy, a on wepchnął je pod słomę – wszystko oprócz jednej kanapki, którą zaczął łapczywie pochłaniać. Od prawie trzech dni, cały okres, przez który był uwięziony, dostawał do jedzenia jedynie suche pożywienie dla psów i odrobinę wody. Był zamknięty w trzewiach Graum Wythe, zupełnie zapomniany. Tylko sporadycznie przychodzili tu niezbyt rozmowni strażnicy więzienni, aby się upewnić, czy jeszcze tam jest, albo wydzielić mu skąpe racje żywnościowe. Przez cały ten czas nie widział światła dziennego. Nie widział również Michela Ard Rhi.

– Jak się czujesz, Abernathy? – zapytała Elizabeth, kiedy już zjadł kanapkę. – Chyba cię nie skrzywdzili, co?

Potrząsnął głową i dalej przeżuwał. Szynka z serem – jego ulubiona kanapka.

– Rozmawiałam trochę z moim ojcem o tobie – rzekła po chwili. Zaraz jednak dodała: – Nic mu jednak nie powiedziałam o nas. Powiedziałam tylko, że spotkałam ciebie, spacerując po zamku i że chyba nie spodobałeś się Michelowi, więc martwię się o ciebie. Powiedziałam mu, że to, co robi Michel, uważam za coś złego. Zgodził się, ale powiedział, że nic nie można w tej sprawie zrobić. Dodał, że nie powinnam się była w to mieszać, skoro wiedziałam, jaki jest Michel. Ja mu na to, że czasami człowiek musi się mieszać. – Pochyliła się zatroskana. – Wiem, że nie dostajesz jedzenia. Powiedział mi to jeden strażnik, prawie mój przyjaciel. – Przygryzła wargi. – Dlaczego Michel ci to robi? Dlaczego jest taki nikczemny? Czy wciąż cię tak samo nienawidzi?

Abernathy przestał żuć przez chwilę, przelknął i odłożył to, co zostało z kanapki. Nie mógłby jej zjeść, gdyby nie był taki głodny. Kłatkę przenikał zapach chorych zwierząt i odchodów, a jej ściany były ciemne od pleśni.

– To bardzo proste. On chce czegoś ode mnie. – Zdecydował, że nic się nie stanie, jeśli powie jej prawdę. – Chce dostać ten medalion, który mam na sobie. Nie może mi go jednak zabrać. Muszę mu sam go dać. Zamknął mnie więc tutaj na dole, aż skruszeję, i się na to zgodzę. – Strzepnął łapą słomę z pyska. – Ale medalion nie należy do niego; nie jest nawet mój. Został mi jedynie pożyczony i muszę go zwrócić właścicielowi.

Po raz pierwszy od dłuższego już czasu pomyślał o królu i o problemach, przed którymi musiał stanąć na Landover pozbawiony medalionu, który miał go chronić. Westchnął i ponownie zaczął jeść.

Elizabeth patrzyła na niego przez chwilę, po czym powoli skinęła głową.

– Rozmawiałam dzisiaj o tobie z Nitą Coles. Wiesz, znowu jesteśmy przyjaciółkami. Wyjaśniła tę całą historię z Tommym Samuelsonem i przeprosiła mnie. No więc powiedziałam jej o tobie, bo my wszystko sobie mówimy. Wszystko oczywiście w sekrecie. No, prawie wszystko. Przysięgłyśmy dwa razy, że nikomu tego nie zdradzimy, więc żadna z nas nic nie

może powiedzieć, bo inaczej będzie miała siedem lat nieszczęścia albo potwora za męża do końca życia! Ona, oczywiście, mówi, że nie możesz być prawdziwy, ale ja powiedziałam jej, I że jesteś i że potrzebujesz naszej pomocy. Na to ona, że pomyśli nad tym i ja też powiedziałam, że nad tym pomyślę. – Przerwała. – Musimy cię stąd wydostać, Abernathy.

Abernathy wepchnął ostatni kawałek kanapki do pyska i gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie, nie, Elizabeth. To się stało zbyt niebezpieczne dla ciebie. Jeśli Michel odkryje, że...

– Wiem – przerwała. – Ale nie mogę przecież do końca życia ci przynosić jedzenia w ten sposób. Michel w końcu odkryje, że nie jesteś głodny, ani nic takiego, i że ktoś cię dokarmia. Jak chcesz się stąd wydostać bez mojej pomocy?

Abernathy westchnął.

– Znajdę jakiś sposób – upierał się.

– Nie, nie znajdziesz – oświadczyła Elizabeth z równym uporem. – Zostaniesz tutaj na dole w klatce na zawsze!

Nagle gdzieś z końca korytarza do ich uszu doszło szczekanie. Abernathy i Elizabeth spojrzeli w tamtą stronę, zastygając w bezruchu. Szczekanie trwało tylko kilka sekund i ucichło.

– Prawdziwe psy – wyszeptał po chwili Abernathy. – Michel trzyma je tutaj w zamknięciu. Biedne stworzenia. Boję się nawet myśleć, w jaki sposób się tutaj znalazły. Czasami słyszę, jak wołają. Potrafię zrozumieć niektóre rzeczy z tego, co mówią...

Jego myśli zaczęły wędrować gdzie indziej. Szybko jednak skierował wzrok z powrotem na dziewczynkę.

– Musisz się trzymać z dala od tego, Elizabeth – nalegał. – Michel Ard Rhi jest bardzo niebezpieczny. Z pewnością by cię skrzywdził, gdyby się dowiedział, co robisz, nawet gdyby cię tylko o to podejrzewał! Dla niego nie ma żadnego znaczenia, że jesteś małą dziewczynką. I tak by ci coś zrobił, a twój ojciec może by mu w tym pomógł.

Kiedy wspomniał o zagrożeniu ze strony ojca, w jej oczach natychmiast pojawił się niepokój. Miał wyrzuty, że sugerował coś takiego, ale chciał mieć pewność, że nie będzie z jego powodu podejmowała dalszego ryzyka. Dobrze wiedział, na co stać Michela Ard Rhi.

Elizabeth spojrzała na niego uważnie.

– Dlaczego próbujesz mnie przestraszyć w ten sposób, Abernathy? – zapytała nagle, jakby potrafiła czytać w jego myślach. – Chcesz mnie przestraszyć, prawda?

Nie mógł tego dłużej ukrywać.

– Tak, oczywiście, że chcę, Elizabeth – odpowiedział bez wahania. – I powinnaś się bać. To nie jest zabawa dla dzieci!

– Tylko dla psów i czarodziejów, co? – odgryzła się ze złością.

– Elizabeth...

– Nie próbuj mnie nabierać! – W jej oczach było widać urazę. – Nie jestem dzieckiem,

Abemathy! Nie powinienes mnie tak nazywać!

– Próbowałem tylko wytłumaczyć. Myślę, że...

– Jak chcesz się stąd wydostać bez mojej pomocy? – ponownie zażądała od niego odpowiedzi, przerywając mu szybko.

– Są pewne sposoby, które...

– Są? Jakie? Wymień choćby jeden. Powiedz mi, jak się stąd zamierzasz wydostać. No powiedz!

Wziął głęboki oddech, ale opuściły go wszystkie siły.

– Nie wiem – przyznał niechętnie.

– Skinęła głową z zadowoleniem.

– Czy ty mnie jeszcze lubisz, Abemathy?

– Oczywiście, że cię lubię, Elizabeth.

– I pomógłbyś mi, gdybym potrzebowała pomocy, bez względu na okoliczności?

– Tak, oczywiście.

Nachyliła się nad kratami klatki, aż jej nos znalazł się kilkanaście centymetrów od jego.

– Więc ja w tej chwili czuję dokładnie to samo do ciebie, rozumiesz? Dlatego nie mogę cię tutaj zostawić!

Psy znowu zaczęły szczekać, tym razem bardziej uporczywie i dało się słyszeć głos, który próbował je uciszyć. Elizabeth zaczęła się wycofywać w kierunku niszy.

– Zjedz wszystko, abyś miał siły, Abemathy! – szepnęła w pośpiechu. – Ciii! – uciszyła go, gdy próbował coś powiedzieć. – Bądź cierpliwy! Znajdę sposób, żeby cię stąd wydostać!

Zniknęła do połowy w otworze ściany. Stała się teraz nikłym cieniem w półmroku.

– Nie martw się, Abernathy! To się uda!

Zniknęła. Otwór zlał się z otaczającą go ciemnością.

Szczekanie w końcu korytarza ucichło po kilku ostrych skowytach i znowu zapanowała cisza. Abernathy wsłuchiwał się w nią przez jakiś czas, po czym wyciągnął medalion spod tuniki i obejrzał go w skupieniu.

Potwornie się lękał o bezpieczeństwo Elizabeth. Chciałby wiedzieć, co z nią zrobić. Pragnął znaleźć sposób, aby ją ochronić.

Po krótkiej chwili schował medalion z powrotem na miejsce. Odkopał resztę swego pożywienia i zaczął powoli jeść.

## SZARADY

Ben Holiday zmrużył oczy i popatrzył oniemiały na falujące od gorąca powietrze Newady. Wzdłuż ulicy ciągnęły się w obu kierunkach olbrzymie napisy nazw hoteli i salonów gier; szyldy sterczały na tle bezchmurnego pustynnego krajobrazu jak jakiś dziwny dwudziestowieczny Stonehenge druidów, oślepiający nawet bez tańca jasnych, migoczących świateł, które rozblęsną z nadejściem zmroku. „The Sands”.

„Caesar’s Palace”. „The Flamingo”.

– Las Vegas – wyszeptał. – Co my, u licha, robimy w Las Vegas?

Jego umysł zaczął intensywnie pracować. Wcześniej przypuszczał, że jak zwykle zostanie przeniesiony z zaczarowanych mgieł prosto w Blue Ridge Mountains w Wirginii. Myślał, że w to samo miejsce został wysłany również Abernathy.

Jak się jednak okazało, mylił się zarówno co do jednego, jak i drugiego. Czary zostały tak dalece spartaczone, że oboje zostali wysłani w inny kraniec kraju!

A jeśli...

Och, nie, pomyślał Ben. A jeśli Questor powikłał wszystko jeszcze bardziej i wysłał Abernathy’ego w jedno miejsce, a Willow i jego w inne?

Sytuacja go zaskoczyła. Nie przemyślał tego zbyt dokładnie. Czary wymieniły Abernathy’ego i medalion za butelkę i Mroczniaka. Abernathy mógł zostać wysłany dokądkolwiek, na przykład tam, gdzie Michel Ard Rhi trzymał butelkę, zakładając, że to Michel ją miał. W każdym razie Abernathy został wysłany do kogoś, kto był właścicielem butelki. Ben chciał, aby Questor wysłał go tam, gdzie był Abernathy. Może więc Las Vegas było właśnie tym miejscem, w którym powinien się znaleźć.

Willow wciąż się w niego wtulała, szukając ochrony, ale oderwała twarz od jego piersi na tyle, aby móc wyszeptać:

– Ben, nie podoba mi się cały ten hałas!

Na ulicy roiło się od samochodów. Mimo że było południe, powietrze wypełniały odgłosy pracujących silników, klaksonów, hamulców i pisku opon. Zewsząd dochodziły pokrzykiwania i wołania. Taksówki mijały ich ze świstem, a nad głowami przeleciał z przerażającym rykiem samolot pasażerski.

Ben rozejrzał się raz jeszcze, wciąż nie mogąc wyjść z osłupienia. Przechodnie i taksówkarze zaczęli zwracać na nich uwagę. Pewnie z powodu strojów, pomyślał w pierwszej chwili. Potem jednak zdał sobie sprawę, że nie o to wcale chodzi.

To z powodu Willow – dziewczyny o szmaragdowozielonych włosach, opadających jej do pasa i nieskazitelnie gładkiej skórze w kolorze morskiej zieleni. Nawet w Las Vegas Willow



wyglądała na dziwoląga.

– Chodźmy – powiedział ostro i zaczął prowadzić ją ulicą kierującą się na południe. Tabliczka informowała, że się znajdują na bulwarze Las Vegas. Próbował przypomnieć sobie coś pożytecznego o tym mieście, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Był tutaj tylko raz czy dwa w swoim życiu, zawsze w interesach. Odwiedził wtedy kilka kasyn, ale to i tak nie odświeżyło mu pamięci.

Dotarli do skrzyżowania bulwaru Las Vegas z Flamingo Road. Hotel „Caesar’s Palace” znajdował się po lewej stronie, a „Flamingo”, po prawej. Ruszyli przez przejście dla pieszych, przeciskając się przez tłum nadciągający z przeciwka.

– Niezły odlot, kochanie! – ktoś zawołał i gwizdnął.

– Co słyhać w Szmaragdowym Mieście? – zapytał ktoś inny.

Świetnie, pomyślał Ben. Tego nam właśnie trzeba.

Pociągnął Willow za sobą, nie zwracając uwagi na głosy, aż zostawili ich daleko z tyłu. Muszę coś wymyślić, pomyślał, zdenerwowany obrotem sprawy. Nie mogli się bez końca włóczyć po mieście. Spojrzał na dwa ogromne hotele przylegające do bulwaru od południowej strony skrzyżowania:

„The Dunes” i „Bally’s”. Zbyt duże. Za dużo ludzi, zbyt wiele się dzieje, za dużo... wszystkiego.

– Którędy do cyrku, laleczko? – usłyszał jak woła ktoś inny.

– Ben – wyszeptła pośpiesznie Willow, czepiając się go jeszcze mocniej.

Questorze, Questorze! Lepiej, żeby to było właściwe miejsce! Ben przyspieszył kroku, osłaniając Willow najlepiej, jak tylko mógł, odciągając ją na mniej zatłoczoną część chodnika. Szybko przedarli się przez tłum ludzi wchodzących i wychodzących z hotelu „Bally’s”.

Przed nimi wyłoniła się sylwetka „Shangri-La”, a dalej „Aladdina” i „Tropicany”. Musi wybrać jeden z nich, przyznał ze zniecierpliwieniem. Gdzieś muszą spędzić noc, zastanowić się, co robić dalej, zdecydować, z którego miejsca mają zacząć poszukiwania Abernathy’ego. Może zrobiłby lepiej, gdyby wybrał większy hotel. Nie byłiby tacy widoczni, łatwiej dałoby się wtopić w tłum innych dziwaków...

Szybko obrócił Willow w prawo i skierował ją do wejścia „Shangri-La”.

Cały hol był zatłoczony. Kasyno znajdujące się tuż za nim – również. Wszędzie było pełno ludzi. Podekscytowane głosy graczy mieszały się z odgłosami kart, kostek, ruletek i „jednorekich bandytów”, tworząc jednolity zgiełk. Ben przeprowadził Willow przez ten cały gąszcz, nie zwracając uwagi na odprowadzające ich zaciekawione spojrzenia i skierował się prosto do recepcji.

– Mam rezerwację na nazwisko... – zawahał się – Bennett, Miles Bennett.

Recepcjonista podniósł leniwie wzrok, opuścił go, lecz zobaczywszy Willow, szybko

podniósł go jeszcze raz, skinął głową i powiedział:

– Zaraz sprawdzę, panie Bennett.

Willow zdziwiona nowym nazwiskiem, odezwała się:

– Ben, nie rozumiem...

– Cii... – uciszył ją delikatnie.

Recepcjonista sprawdził listę rezerwacji i ponownie spojrzał na nich.

– Przykro mi, ale nie mam dla pana rezerwacji.

Ben się wyprostował.

– Jak to pan nie ma? A może jest na nazwisko Fisher? Panna Caroline Fisher. Apartament.

Wziął głęboki oddech. Mężczyzna zabrał się do ponownego sprawdzania. Wynik był, oczywiście, taki sam.

– Przykro mi, panie Bennett, ale dla panny Fisher również nie ma rezerwacji. – Uśmiechnął się przepaszająco do Willow i przez dłuższy czas nie odrywał od niej wzroku.

Ben się wyprężył, dobrze udając zdenerwowanie.

– Zarezerwowaliśmy ten apartament kilka miesięcy temu! – Podniósł swój głos na tyle, aby zwrócić uwagę innych. Niektórzy z przechodzących obok ludzi zatrzymali się i zaczęli przyglądać całej scenie. – Jak to możliwe, żeby nie miał pan żadnego śladu tej rezerwacji? W zeszłym tygodniu jeszcze ją potwierdziliśmy! Mamy bardzo napięty program pobytu, który zaczyna się o piątej rano i nie mogę marnować czasu na takie sprawy!

– Tak, rozumiem pana – powiedział recepcjonista, rozumiejąc tylko tyle, że gdzieś tkwi błąd, za który nie on odpowiada.

Ben wyciągnął plik banknotów, które dał mu Questor i zaczął mechanicznie przebierać po nich kciukiem.

– Cóż, za chwilę przybędą tutaj nasze bagaże z lotniska, więc nie widzę sensu, abyśmy się dalej o to kłócili. Proszę nam dać, co pan może, a z kierownikiem porozmawiam później.

Recepcjonista skinął głową i ponownie zajrzał do listy gości, potem na rezerwacje w komputerze, po czym powiedział:

– Przepraszam pana na chwilę, panie Bennett.

Wyszedł, a Ben, Willow i mała grupka ludzi zgromadzona za nimi czekali z ciekawości na dalszy przebieg wydarzeń. Po chwili wrócił, prowadząc ze sobą mężczyznę. Ben miał nadzieję, że to ktoś z kierownictwa.

Nie był rozczarowany.

– Panie Bennett, nazywam się Winston Allison i jestem zastępcą kierownika. Rozumiem, że nastąpiło tu jakieś niedopatrzenie w związku z rezerwacją pańskich miejsc w naszym hotelu. Bardzo pana za to przepraszamy. Oczywiście znajdziemy jakieś pokoje dla pana i panny Fisher. – Uśmiechnął się szeroko do Willow, najwidoczniej dochodząc do wniosku, że ma do czynienia

z gwiazdą. – Czy wciąż państwu zależy na apartamencie?

– Tak, panie Allison – odpowiedział Ben. – Pannie Fisher i mnie bardzo na tym zależy.

– Zatem w porządku. – Allison powiedział coś po cichu do recepcjonisty, który skinął głową.

– Na jak długo chciałby pan ten apartament, panie Bennett? – zapytał.

– Najwyżej na tydzień. – Ben uśmiechnął się. – Program nasz przewiduje pobyt trzy, może czterodniowy.

Recepcjonista zaczął coś pisać, po czym podsunął Benowi formularze hotelowe. Ben szybko zaczął je wypełniać, wpisując w rubryce „zatrudnienie” zmyśloną nazwę biura i zwrócił formularze. Tłum za nim zaczął topnieć; gapie udawali się na poszukiwanie nowej sensacji.

– Mam nadzieję, że będzie się państwu u nas podobało – powiedział Allison. Uśmiechnął się jeszcze raz i wrócił do siebie.

– Apartament kosztuje czterysta pięćdziesiąt dolarów za noc, panie Bennett – powiedział recepcjonista, z powagą sprawdzając formularz. – Jak pan będzie płacił?

– Gotówką – odpowiedział nonszalancko Ben i zaczął kciukiem przeliczać plik banknotów. – Czy tysiąc dolarów wystarczy jako depozyt?

Recepcjonista skinął głową, zerkając ukradkiem na Willow. Uśmiechnął się do niej serdecznie, gdy zauważyła na sobie jego wzrok.

Ben przystąpił do odliczania pięciuset dolarów w banknotach po pięćdziesiąt, gdy nagle na jednym z nich zauważył coś dziwnego. Przerwał liczenie, powoli wyciągnął ze zwitka jeden banknot i uważnie przyjrzał się pierwszej stronie.

Na banknocie nie było twarzy Ulyssesa Granta. Zamiast niej była twarz Bena.

Nie wzbudzając niczyjego zainteresowania sprawdził kolejny banknot i jeszcze jeden. Jego wizerunek znajdował się na każdym z nich i w niczym nie przypominał Granta. Czuł, że serce przestaje mu bić. Questor znowu coś sknocił!

Recepcjonista patrzył teraz na niego, czując, że coś jest nie w porządku. Ben zawahał się; wtem, nie mogąc wymyślić nic innego, zatoczył się w stronę kontuaru, zaciskając dłonie na banknotach i z trudem łapiąc oddech.

– Panie Bennett! – krzyknął recepcjonista, wyciągając ręce, aby go złapać.

Również ręce Willow zdążyły go chwycić.

– Ben! – zawołała, zanim mógł cokolwiek zrobić, aby ją powstrzymać.

– Nie, nie, nic mi nie jest – zapewnił ich oboje, modląc się, aby mężczyzna nie zauważył imienia, którym się do niego zwróciła. – Chyba... pójdę prosto do mojego pokoju i położę się na chwilę. Możemy skończyć z tym później? To chyba przez to dzisiejsze słońce.

– Oczywiście, panie Bennett – szybko zgodził się recepcjonista, natychmiast przywołując gońca hotelowego. – Czy na pewno nie potrzebuje pan pomocy lekarskiej? Mamy tutaj...

– Nie, dziękuję. Poczuję się lepiej, jak tylko trochę odpocznę. Mam ze sobą swoje lekarstwa.

Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Uśmiechnął się lekko, włożył pieniądze do kieszeni i cicho odetchnął z ulgą. Przytrzymywany przez Willow i gońca hotelowego, poszedł prosto przez zatłoczony hol. Jeszcze jedna srebrna kula chybiła, pomyślał z zadowoleniem.

Modlił się o to, aby Abernathy miał tyle samo szczęścia, co on.

– Już dobrze. Proszę wszystkich uczniów o spokój! Niech wszyscy usiądą! Proszę o uwagę!

Młody, energiczny dyrektor szkoły podstawowej imienia Franklina w Woodinville w stanie Washington wyszedł na środek sali gimnastycznej. W jednej ręce trzymał mikrofon, druga, uniesiona wysoko w górze, przywoływała wszystkich do porządku, a jego głos grzmiał z głośników. Uczniowie wszystkich klas, od zerówki do szóstoklasistów włącznie, powoli się uciszali i harmider przechodził w lekki szmer wypełniony oczekiwaniem. Elizabeth siedziała w szóstym rzędzie razem z Evą Richards. Patrzyła, jak dyrektor spogląda na mężczyznę stojącego z boku. Dryblas poruszył się niezdarnie, a na jego twarzy pokrytej zarostem pojawił się uśmiech. Mężczyzna pochylił się i podrapał za uszami czarnego pudełka, który siedział posłusznie tuż obok swego pana.

– Na dzisiejsze popołudnie przygotowaliśmy dla was coś specjalnego. Niektórzy z was już pewnie widzieli kiedyś podobne widowisko – oznajmił dyrektor, rozglądając się dokoła z szerokim uśmiechem na twarzy. – Ilu z was lubi psy?

Z wszystkich miejsc sali wystrzełyły w górę ręce. Mężczyzna z psem znowu się uśmiechnął i pomachał do grupy uczniów siedzących nie opodal. Tamci entuzjastycznie odpowiedzieli mu tym samym.

– Zobaczycie dzisiaj kilka wyjątkowych psów; potrafią one robie rzeczy, na które was na pewno nie stać! – Na sali rozległ się chichot. Elizabeth skrzywiła się. – Chcę, abyście uważnie patrzyli i słuchali tego, co nasz gość ma wam do powiedzenia. Dzieci, przywitajcie pana Davisa Whitsella i jego psią rewie!

Zewsząd rozległy się oklaski i gwizdy. Davis Whitsell wziął mikrofon z ręki wycofującego się dyrektora, pomachał wszystkim i udał, że nie widzi, jak czarny pudełek podąża za nim krok w krok.

– Dzień dobry, wszystkim! – przywitał się. – Co za entuzjazm! Cieszę się, że jesteście tutaj ze mną, nawet jeśli musieliście tu przyjść, bo jest to jedno z naszych obowiązkowych szkolnych spotkań. – Zrobił minę i sala wybuchnęła śmiechem. – Może jednak nie będzie tak źle i trochę się rozerwiemy. Przyszedłem, aby opowiedzieć wam trochę o psach, a tak, właśnie o psach!

Wyrzucił ręce do góry i wszyscy zaczęli klaskać.

– Uwaga! Chcę, abyście się skupili, bo mam wam do powiedzenia coś ważnego. Muszę wam powiedzieć... – przerwał. Wyglądał tak, jakby dopiero teraz zauważył, że pies natarczywie

ciągnie go za nogawkę spodni. – Hej, co to ma znaczyć? Puszczaj Sophie, no puść wreszcie!

Czarny pudełek zwolnił uścisk i z powrotem usiadł.

– Tak więc, jak już mówiłem, mam wam coś ważnego do powiedzenia.

Sophie ponownie zaczęła go szarpać. Elizabeth roześmiała się razem ze wszystkimi. Davis Whitsell spoznał w dół, aby sprawdzić, dlaczego znowu przerwano jego mowę.

– Sophie, o co chodzi? Chcesz pierwsza coś powiedzieć? – Sophie szczeękła. – To dlaczego tego od razu nie powiedziałaś? Powiedziałaś? Cóż, dzieci tego jednak nie usłyszały.

Może powiedz to jeszcze raz. – Sophie szczeękła ponownie. – Co, chcesz im pokazać jaka jesteś mądra? – Sophie szczeękła. – Jak mądre są wszystkie psy podobne do ciebie? – Podniósł wzrok na rzędy ławek. – Co wy na to, dzieciaki? Chcecie zobaczyć, jak mądra jest Sophie?

Wszyscy oczywiście wrzasnęli, że chcą. Rozłożył bezradnie ramiona.

– Dobrze. Zobaczmy, co potrafisz, Sophie. Potrafisz skakać? – Sophie podskoczyła. – A potrafisz wyżej? – Sophie podskoczyła prawie na wysokość jego ramienia. – Brawo! Założę się jednak, że nie potrafisz robić koziołków do tyłu. – Sophie wykonała przewrót w tył. – No, no! Co wy na to, dzieciaki? Całkiem nieźle, prawda? No dobrze, a teraz może...

Pozwolił jej zaprezentować cały zestaw sztuczek: skoki przez obręcze i płotki, różnorodne koziołki, aportowanie i wiele innych wspaniałych sztuczek. Kiedy zakończyła, uczniowie zgotowali jej gorący aplauz, po czym Davis Whitsell pozwolił jej opuścić salę. Zaraz potem zaczął opowiadać o potrzebie dbania o zwierzęta domowe. Podał kilka cyfr, mówił o pracy Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt, podkreślał, jak odrobina miłości i zrozumienia może wpłynąć na życie zwierzęcia oraz wskazał na konieczność zaangażowania się każdego chłopca i dziewczynki w to nieustające zadanie.

Elizabeth słuchała z przejęciem.

Potem jeszcze raz pojawiła się Sophie. Weszła do sali, prowadząc na smyczy dużego, żółtobrazowego boksera. Davis Whitsell udał zaskoczonego, po czym jeszcze raz odegrał to samo, pytając Sophie, co tutaj robi z Bruno i udając, że rozumie jej szczekanie, rozmawiał z nią, jak gdyby była człowiekiem.

Elizabeth zaczęła się zastanawiać.

Potem nastąpił występ, w czasie którego Sophie, a także Bruno, wystąpili z całkiem nowym repertuarem sztuczek: jedno jechało na drugim, potem zwierzęta skakały przez obręcze i płotki, urządzały wyścigi, bawiły się w berka i wykonywały całą gamę różnych popisów i sztuczek.

Na zakończenie mężczyzna przypomniał, jak ważna jest odpowiedzialność za zwierzęta oraz życzył wszystkim dobrych wyników w nauce. Whitsell schodził ze środka sali, machając do wiwatujących uczniów. Sophie i Bruno szli tuż za nim. Dyrektor uściśnął mu dłoń, wziął mikrofon, podziękował jeszcze raz i kazał uczniom wracać do swoich klas.

Elizabeth podjęła w tej chwili decyzję.

Gdy dzieci wychodziły, jedno za drugim, dziewczynka została na swoim miejscu. Eva Richards też próbowała z nią zostać, ale Elizabeth obiecała, że ją zaraz dogoni. Davis Whitsell patrzył na mijających go uczniów, odwzajemniając ich uśmiechy. Elizabeth cierpliwie czekała. Dyrektor jeszcze raz podszedł do Whitsella i podziękował mu, mówiąc, że ma nadzieję, iż w przyszłym roku również do nich przyjedzie.

Whitsell zapewnił go, że na pewno tak się stanie.

Dyrektor odszedł i Davis Whitsell został sam.

Elizabeth wzięła głęboki oddech i zbliżyła się do niego.

Kiedy spojrzał na nią, powiedziała:

– Panie Whitsell, czy mógłby pan coś zrobić dla mojego przyjaciela?

Brodaty mężczyzna uśmiechnął się.

– To zależy. Kim jest twój przyjaciel?

– Nazywa się Abernathy. Jest psem.

– Ach, pies. Nie ma sprawy. Co to za problem?

– Musi pojechać do Wirginii.

– Uśmiechnął się jeszcze bardziej.

– Naprawdę musi? A jak ty masz na imię?

– Elizabeth.

– Słuchaj, Elizabeth. – Whitsell oparł dłonie na kolanach i nachylił się, jakby chciał jej przekazać coś poufnego. – Może on wcale nie musi jechać do Wirginii. Może po prostu musi się przyzwyczaić do życia w Washingtonie. Powiedz mi, czy ty planujesz wrócić razem z nim do Wirginii? Ty też tam kiedyś mieszkałaś?

Elizabeth zdecydowanym ruchem głowy zaprzeczyła.

– Nie, panie Whitsell. Pan nie rozumie. Ja znam Abernathy’ego nie dłużej niż tydzień. Poza tym on nie jest prawdziwym psem. Jest człowiekiem zamienionym w psa. Za pomocą czarów.

Davis Whitsell wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

Szybko zaczęła wyjaśniać.

– On potrafi mówić, panie Whitsell. Naprawdę. W tej chwili jest uwięziony w...

– Hej, chwileczkę! – przerwał jej szybko tamten. Przykucnął. – Co ty mówisz? Chcesz mi powiedzieć, że ten pies potrafi mówić?

Elizabeth cofnęła się o krok, zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, przychodząc do tego mężczyzny.

– Tak, dokładnie tak jak pan i ja.

Brodacz przekrzywił głowę, zastanawiając się nad czymś.

– Coś ci się chyba przywidziało, Elizabeth.

Dziewczynce zrobiło się głupio.

– Ja tego nie zmyślam, panie Whitsell. Abernathy naprawdę potrafi mówić. Chodzi tylko o to, że musi się dostać do Wirginii, a nie wie jak. Pomyślałam, że może pan mógłby mu pomóc. Słuchałam tego, co pan mówił, o tym, że psy potrzebują właściwej opieki i że my sami powinniśmy bardziej o nie dbać. Cóż, Abernathy jest moim przyjacielem, a ja chcę mieć pewność, że dobrze o niego dbam, nawet jeśli nie jest prawdziwym psem, i pomyślałam...

Davis Whitsell podniósł szybko jedną dłoń i dziewczynka zamilkła. Wstał i rozejrzał się po sali gimnastycznej. Elizabeth zrobiła to samo. Ostatni uczniowie opuszczali pomieszczenie.

– Muszę już iść – powiedziała cicho. – Pomoże pan Abernathy’emu?

Mężczyzna przez chwilę się zastanawiał.

– Wiesz co? – powiedział nagle. Wyjął pogiętą kartkę z wydrukowanym własnym nazwiskiem i adresem. – Przyrowadź do mnie tego gadającego psa; jeśli gada naprawdę, pomogę mu na sto procent. Zabiorę go wszędzie, gdzie tylko będzie chciał. Zgoda?

Elizabeth promieniowała szczęściem.

– Obiecuję pan?

Whitsell wzruszył nonszalancko ramionami.

– Jasne.

Dziewczynka rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Dziękuję panu, panie Whitsell! Bardzo dziękuję! – Przycisnęła książki do piersi i pognała do wyjścia.

W chwili, gdy odwróciła się od niego, Whitsell przestał myśleć o całej tej sprawie i tylko kręcił głową z niedowierzaniem.

Miles Bennett, prawnik pracujący na własną rękę, siedział w swoim gabinecie w domu na przedmieściach Chicago pośród rozrzuconych wokoło egzemplarzy „Przeglądu Prawniczego” i „Północno-wschodnich Reporterów”, zastanawiając się coraz poważniej, czy nie napić się drinka. Od zeszłego tygodnia pracował nad tą przekłętą sprawą oszacowania podatku przedsiębiorstwa i nie posunął się ani o krok w rozwiązaniu zawitych dylematów prawniczych. Siedział nad tym dzień i noc, w biurze i w domu, żył, spał i jadł z tym problemem, był już od tego dosłownie i w przenośni chory.

Wczoraj zaraził się grypą, jakąś paskudną odmianą, która atakuje z obu stron, i właśnie teraz zaczynał odczuwać jej skutki. Cały dzień spędził, włócząc się po terenach klienta – olbrzymim kompleksie w Oak Brook – znosząc wszelkie niewygody, a teraz próbował odszyfrować swoje notatki przyniesione do domu, kiedy jeszcze wszystko miał świeżo w pamięci.

Czy cośkolwiek świeżego jeszcze może być w mojej głowie? – pomyślał ponuro.

Osunął się na oparcie obitego skórą krzesła przy biurku.

Jego zwaliste ciało ugięło się pod własnym ciężarem. Był to duży mężczyzna o gęstych, ciemnych włosach i wąsach sprawiających wrażenie, jakby były przyklejone do twarzy, która w lepszych czasach była twarzą cherubina. Półprzymknięte oczy spoglądały na świat ze znużoną rezygnacją i sardonicznym uśmiechem. Nawet pracowitemu, sumiennemu prawnikowi jak on, świat wydawał się ciągle podejrzany. Nie przeszkadzało mu to jednak. Była to cena, jaką musiał zapłacić za robienie czegoś, co naprawdę kochał.

Nagle uśmiechnął się ironicznie. Kiedyś kochał to bardziej niż inni.

Ta myśl nieoczekiwanie przypomniała mu Bena Holidaya, jego dawnego partnera ze spółki Holiday & Bennett, z czasów, kiedy Ben i on sami stawali do walki z całym światem.

Jego uśmiech zastygł. Doktorek Holiday, mistrz wokandy sądowej. Pokręcił głową. Teraz doktorek był Bóg raczy wiedzieć gdzie; pewnie walczy ze smokami i ratuje młode panny w jakimś wymyślonym świecie, który prawdopodobnie istnieje tylko w jego własnej głowie...

A może naprawdę taki świat istnieje? Miles zmarszczył brwi i zadumał się, zastanawiając się nad tym. Nigdy nie był tego pewien. I najprawdopodobniej nigdy nie będzie.

Odsunął od siebie rozprasające go myśli i ponownie pochylił się nad księgami prawniczymi i żółtymi kartkami.

Zmrużył oczy ze zmęczenia. Jego notatki zaczynały się rozmazywać. Chciał to skończyć i pójść spać.

Zadzwonił telefon. Spojrzał w stronę aparatu stojącego na stole obok krzesła do czytania. Pozwolił, aby aparat zadzwonił jeszcze raz. Marge była na brydżu, a dzieciaki w domu Wilsonów w tej samej dzielnicy. W domu był tylko on. Telefon zadzwonił trzeci raz.

– Niech to szlag! – zaklął, podnosząc się ciężko zza biurka. Telefony nigdy nie były do niego, zawsze do dzieciaków lub Marge, a nawet jeśli ktoś do niego dzwonił, to zwykle jakiś durny klient, nie mający za grosz taktu, niepokojąc go sprawami, które mogły spokojnie zaczekać do poniedziałku.

Gdy wyciągał rękę po słuchawkę, telefon zadzwonił ostatni raz.

– Bennett, słucham – zagrzmiał do słuchawki.

– Miles, tu Ben Holiday.

Miles zeszytniał, kompletnie zaskoczony.

– Doktorku, to ty? O rany, właśnie o tobie myślałem! Jak się masz? Skąd dzwonisz?

– Z Las Vegas.

– Las Vegas?

– Próbowałem cię złapać w biurze, ale powiedzieli mi, że nie będzie cię przez cały dzień.

– Eee... tak, włączyłem się po jakichś dziurach.

– Słuchaj, Miles. Chcę, żebyś zrobił dla mnie coś ważnego. – Głos Bena zakłóciły trzaski w słuchawce. – Będziesz chyba musiał rzucić wszystko, czym się teraz zajmujesz, aż do końca



tygodnia, ale wierz mi, to naprawdę jest ważne.

– Inaczej bym nie prosił.

Miles zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. Stary doktorek w ogóle się nie zmienił.

– Dobra, dobra, nie bajeruj mnie. Powiedz, czego potrzebujesz?

– Na początek pieniędzy. Mieszkam z przyjaciółką w hotelu „Shangri-La”, ale nie mamy go czym opłacić.

Teraz Miles śmiał się już na głos.

– Na miłość boską, doktorku, przecież jesteś milionerem! Jak to nie masz pieniędzy?

– To znaczy, że nie mam żadnych przy sobie! Musisz mi więc przesłać telegraficznie kilka tysięcy, zaraz z samego rana.

– Ale słuchaj, musisz je przesłać na siebie samego, na Milesa Bennetta. Pod takim nazwiskiem się zameldowałem.

– Co? Używasz mego nazwiska?

– Nie potrafiłem na poczekaniu wymyślić nic innego, a nie chciałem używać własnego. Ale nie martw się, nie wplątałem cię w żadne kłopoty.

– Jak na razie.

– Wyślij je prosto do hotelu na moje konto, to znaczy twoje. Możesz to zrobić?

– Pewnie, nie ma sprawy. – Miles pokręcił głową rozbawiony tym wszystkim, sadwiąc się wygodnie w swoim krześle do czytania. – Czy tylko o pieniądze chciałeś mnie prosić?

Częściowo – głos Bena brzmiał teraz ciszej i wydawał się bardziej odległy. – Miles, pamiętasz, jak zawsze chciałeś wiedzieć, co się ze mną stało, kiedy porzuciłem praktykę? Cóż, teraz masz okazję. Mój przyjaciel ma kłopoty, tutaj w Stanach, tak przypuszczam, choć równie dobrze może być gdzie indziej, i musimy go znaleźć. Chcę, żebyś zadzwonił do którejś z naszych agencji detektywistycznych i kazał im dowiedzieć się wszystkiego o człowieku, który się nazywa Michel Ard Rhi. – Przeliterował nazwisko, a Miles pośpiesznie je zapisał. – Myślę, że mieszka w USA, ale nie jestem pewny.

Powinien być dość bogaty, być może prowadzi życie odludka. Lubi jednak robić użytek ze swoich pieniędzy. Zapisałeś wszystko?

– Tak, doktorku, zapisałem. – Miles zmarszczył czoło.

– Dobra. A teraz reszta, ale nie przerywaj. Chcę, abyś sprawdził, czy są jakieś wiadomości, to może być cokolwiek: plotki, domysły na temat psa, który mówi.

– Co?

– O psie, który mówi. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale to właśnie ten przyjaciel, którego szukam. Nazywa się Abernathy. Jest miękkowłosym wheaten terierem i mówi ludzkim głosem. Masz to?

Miles pośpiesznie zapisywał, cały czas kręcąc głową.

– Doktorku, mam nadzieję, że to nie jest jakiś żart.

– Jestem śmiertelnie poważny. Abernathy był człowiekiem, którego zamieniono w psa. Wyjaśnię ci to później. Zdobądź, co możesz odnośnie tych dwóch spraw i jak najszybciej złap samolot do mnie. Przywieź wszystkie informacje, jakie zdobędą detektywi. Powiedz im, że potrzebujesz ich natychmiast.

– Najpóźniej w pierwszy dzień po weekendzie – zrobił krótką pauzę. – Wiem, że to nie będzie łatwe, ale zrób, co możesz, Miles. To naprawdę ważne.

Miles aż się zaniósł od tłumionego chichotu.

– Najtrudniejsze w tym wszystkim będzie znaleźć sposób na to, jak poinformować detektywów, że mają szukać gadającego psa! Jezu, doktorku!

– Po prostu zbierz wszystkie informacje o psie, który przypuszczalnie mówi. Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale może dopisze nam szczęście. Czy możesz się wyrwać i przylecieć?

– Jasne. Właściwie to dobrze mi to zrobi. Pracuję nad oszacowaniem podatków i jestem zakopany po uszy w matematyce. Mieszkasz zatem w „Shangri-La”? Kto jest z tobą?

Nastąpiła krótka pauza.

– Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedział, Miles. Przyjedź, to zobaczysz, dobrze? I nie zapomnij przysłać pieniędzy! Możemy przeżyć tylko dzięki obsłudze, która przynosi nam jedzenie do pokoju!

– Nie martw się, nie zapomnę. Hej! – Miles zawahał się, słuchając trzasków na linii. – Nic ci nie jest, doktorku? To znaczy coś oprócz tego, o czym mówiliśmy? Dobrze się czujesz?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Nic mi nie jest, Miles, naprawdę. Wkrótce porozmawiamy, dobrze? Możesz mnie tutaj znaleźć, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Pamiętaj, żeby pytać się o siebie. Nie popłacz czegoś.

Miles ryknął:

– Już teraz mam od tego wszystkiego mętlik w głowie, doktorku!

– Tak przypuszczałem. Trzymaj się, Miles. I dziękuję.

– Do szybkiego zobaczenia, doktorku.

Na linii zapanowała cisza. Miles odłożył słuchawkę na widełki i podniósł się. To ci dopiero! – pomyślał, uśmiechając się. A to ci numer!

Mrucząc wesoło podszedł do szafki i wyjął butelkę glenliveta, szkocką whisky, za którą Ben Holiday tak przepadał.

Do diabła z tym wszystkim, strzelę sobie jednego!

## UCIECZKA

Abernathy leżał w ciemnej klatce i co jakiś czas wracał w marzeniach do słońca i zielonych łąk Landover. Przez ostatnie dwa dni nie czuł się zbyt dobrze. Przyczyną tego stanu było uwięzienie i pożywienie, a właściwie jego brak. Miał niejasne przeczucie, że w tutejszym świecie jest coś, co wysysa z niego wszystkie siły, coś, czego nie można było sprowadzić tylko do sytuacji, w której się obecnie znajdował. Nie było jednak sposobu, aby sprawdzić tę teorię. W każdym razie przez większość czasu drzemał, znajdując w marzeniach o lepszych czasach i lepszym miejscu niewielką ucieczkę od teraźniejszości.

Elizabeth nie odwiedzała go od ponad dwóch dni. Zauważył, że strażnicy częściej przychodzą sprawdzać go i przypuszczał, że może lęk przed wpadnięciem w ich ręce był przyczyną jej nieobecności. Raz przyszedł nawet Michel Ard Rhi.

To też wydarzyło się co najmniej dwa dni temu. Spojrzał tylko na więźnia beznamiętnym wzrokiem i zapytał go, czy chce mu coś dać, po czym wyszedł, gdy tylko Abernathy zasugerował w niedwuznaczny sposób, że traci swój czas.

Nikt inny już nie przychodził.

W Abernathym począł narastać strach. Zaczynał wierzyć, że naprawdę zostanie tutaj aż do swojej śmierci.

Myśl ta nie pozwalała mu zasnąć. Jego sny odplynęły i przykra rzeczywistość jeszcze raz dała znać o sobie. Natychmiast stanęła przed nim perspektywa własnej śmierci. Pomyślał, że nie byłoby to tak przerażające, gdyby mógł bezpośrednio stawić jej czoło. Zastanawiał się, co mógłby zrobić, aby rozwiązać sprawę medalionu i Michela Ard Rhi. Doszedł do wniosku, że nie. Na pewno nie mógł wypuścić z rąk medalionu; sumienie i poczucie odpowiedzialności nie pozwoliłyby mu na to. Magia o tak potężnej mocy nie może wpaść w ręce osoby tak złej. Lepsza od tego byłaby już śmierć.

Oczywiście, gdyby już nie żył, to cóż przeszkodziłoby Michelowi ściągnąć medalion z martwego ciała?

Znowu popadł w przygnębienie, myśląc o tej możliwości.

Przymknął oczy, próbując ponownie zatopić się w marzeniach.

– Pssst! Abernathy! Obudź się!

Oczy Abernathy'ego otworzyły się powoli i ujrzały Elizabeth stojącą przed jego klatką. Machała niecierpliwie rękami.

– Szybciej, Abernathy, obudź się!

Abernathy podniósł się z trudem, wygładził swoje przybrudzone ubranie, z kieszeni kamizelki wygrzebał okulary i włożył je na nos.

– Wcale nie śpisz, Elizabeth – oznajmił sennym głosem, ostrożnie przesuwając okulary na

właściwe miejsce.

– To dobrze – wyszeptała, dłubiąc przy drzwiczkach klatki – bo właśnie cię stąd zabieram.

Abernathy patrzył oniemiały, jak dziewczynka natrafia na zamek, wkłada klucz, przekręca go i wyciąga. Drzwi klatki uchyliły się.

– Co ty na to? – zapytała z zadowoleniem.

– Elizabeth...

– Zabrałam kluczyk z szafki z pokoju strażników. Tam trzymają zapasowe. Nie zwróca uwagi, że jednego brakuje! Przynajmniej nie od razu. Odniosę go, zanim zauważą, że zniknął. Nie musisz się martwić. Nikt mnie nie widział.

– Elizabeth...

– Szybciej, Abernathy! Na co czekasz?

Abernathy nie mógł zebrać myśli. Patrzył błędnym wzrokiem na otwarte drzwi klatki.

– To przecież bardzo niebezpieczne dla ciebie...

– Chcesz się stąd wydostać czy nie? – zażądała zdecydowanej odpowiedzi, a w jej głosie brzmiała nutka zniecierpliwienia.

Z końca korytarza, zza drzwi, zaczęły dochodzić odgłosy ujadania psów, przerażający skowyt i wycie.

– Tak, chcę – odpowiedział szybko Abernathy i wyczołgał się przez otwarte drzwi. Stał wyprostowany obok klatki, po raz pierwszy od momentu uwięzienia, i natychmiast poczuł się lepiej. Elizabeth zamknęła drzwi klatki i przekręciła klucz w zamku.

– Tędy, Abernathy! Pośpiesz się!

Podążył za nią korytarzem przez szczelinę w murze, aż dotarli do schodów. Elizabeth odwróciła się i pchnęła sekretne drzwi. Głosy ujadających psów ustały i zapanowała cisza.

Stali przez moment w ciemnościach, aż Elizabeth włączyła latarkę. Abernathy był mile zaskoczony odkryciem, że wciąż pamięta, co czytał o latarkach elektrycznych w jednym z dziewczęcych czasopism tego dnia, kiedy ukrywał się w pokoju Elizabeth. Nie był zatem aż tak osłabiony, jak przypuszczał.

Elizabeth szła przodem po schodach, Abernathy posłusznie za nią.

– Nie mamy wiele czasu – powiedziała. – Państwo Cole’owie już tutaj przyjechali, aby mnie zabrać na występ chóru w szkole. Pamiętasz moją przyjaciółkę, Nitę? To jej rodzice.

Są u mojego taty, a ja mam się w tym czasie przebrać. – Abernathy zauważył, że jest ubrana w różowo-białą, koronkową sukienkę. – Myślę, że teraz się przebieram. Nita jest u góry w moim pokoju i udaje, że mi pomaga. Kiedy wrócimy, ona zejdzie na dół i powie swoim rodzicom i mojemu tacie, że zaraz schodzę. W tym czasie ja przekradnę się na dół, do drzwi, które prowadzą na dziedziniec. Tam Cole’owie zaparkowali swój samochód i będę cię mogła ukryć w jego bagażniku. Dźwignia otwierająca bagażnik jest pod deską rozdzielczą. To idealna okazja!

Strażnicy nie będą zwracać sobie głowy sprawdzaniem Cole'ów, zwłaszcza że jedzie z nami mój tata...

Nagle Abernathy przerwał jej.

– Automobil? Taki mechaniczny...?

– Ciii! Tak, tak, mechaniczny! Posłuchaj mnie, dobrze? – Elizabeth nie miała czasu na wyjaśnienia. – Kiedy dojedziemy do szkoły, to wejdziemy tam wszyscy, aby się przygotować, ale ja powiem Cole'om, że muszę wrócić po moją torebkę, którą zostawiłam w samochodzie. Kiedy wyjdę, otworzę bagażnik i cię wypuszczę. Dobrze?

Abernathy kręcił głową z powątpiewaniem.

– A jeśli nie będziesz mogła mnie wypuścić? Czy będę miał tam czym oddychać? A jeśli ja...?

– Abernathy! – Elizabeth odwróciła się, wyprowadzona z równowagi. – Przestań się martwić na zapas, dobrze? Wydostanę cię stamtąd. I będziesz mógł oddychać w bagażniku bez problemów. Teraz posłuchaj! Znalazłam kogoś, kto pomoże ci się dostać do Wirginii.

Dotarli na półpiętro, tam, gdzie schody dochodziły do drzwi. Elizabeth odwróciła się, miała rozpromienioną twarz.

– Nazywa się Whitsell. Jest treserem psów. Jeździ po szkołach i opowiada, jak troszczyć się o zwierzęta i takie tam różne historie. Powiedział, że gdy cię przyprowadzę, to ci pomoże. Teraz zaczekaj tutaj.

Pchnęła drzwi na półpiętrze, podała Abernathy'emu latarkę i zniknęła w przejściu, zamykając za sobą drzwi. Abernathy pomyślał, że wszystko dzieje się zbyt szybko, a on nie ma na to wpływu. Skoro istniał choćby cień szansy na ucieczkę z Graum Wythe i od Michela Ard Rhi, to musiał to wykorzystać.

Elizabeth wróciła prawie natychmiast, ze zwiniętym płaszczem, szalikiem i rękawicami.

– Włóż to – poleciła, podając mu płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. – Wzięłam je z szafy, gdzie trzymają stare rzeczy.

Odebrała od niego latarkę, gdy naciągał kapelusz na głowę i wkładał płaszcz. Płaszcz wisiał na nim jak namiot, a kapelusz przekrzywiał się przez cały czas to na jedną, to na drugą stronę. Elizabeth spojrzała na niego i zachichotała.

– Wyglądasz jak szpieg!

Poprowadziła go przez wejście w ścianie do szafy wypełnionej szczotkami, szmatami i kubłami. Zatrzymała się, wyjrzała przez drzwi wyjściowe i dała mu znać, aby szedł za nią.

Szybko przeszli korytarzem do drugich schodów, które prowadziły na parter, do podwójnych drzwi wychodzących na tylny dziedziniec.

Abernathy wyjrzał przez oszklone drzwi tuż ponad ramieniem Elizabeth. Automobil stał zaparkowany blisko muru zamkowego. Dziedziniec tonął w żółtym, matowym świetle.

Było zupełnie pusto.

– Gotowy? – zapytała, odwracając się i spoglądając na niego. Gotowy – brzmiała odpowiedź.

Przyciągnęła do siebie skrzydła drzwi i pognąła do samochodu. Abernathy za nią. Zanim dotarł na miejsce, zdążyła otworzyć drzwi od strony kierowcy i odblokować pokrywę bagażnika.

– Szybciej! – szepnęła i pomogła mu błyskawicznie wejść do bagażnika. – Nie bój się! – powiedziała, kiedy bezpiecznie znalazł się w środku. Położyła dłonie na pokrywie bagażnika i jeszcze powiedziała. – Wróć, by cię wypuścić, kiedy dotrzemy do szkoły! Tylko bądź cierpliwy!

Kłapa opadła z trzaskiem i dziewczynka odeszła.

Abernathy leżał w bagażniku nie dłużej niż kilka minut, gdy usłyszał głosy zbliżających się ludzi, potem otwieranie drzwi samochodu, ich zatraskiwanie i uruchamianie silnika. Po chwili samochód ruszył, gdy pokonywał ostre zakręty na krętej drodze, trząsał i rzucał nim po całym bagażniku, nabierając prędkości. Powierzchnię bagażnika kryła wykładzina, ale nie była zbyt miękka i Abernathy czuł, że jest cały poobijany. Próbował się czegoś chwycić, ale nie było niczego, za co mógłby się złapać, więc musiał się zaprzeć o sufit i ściany.

Jazda wydawała się trwać bez końca. Do tego wszystkiego samochód wydzielał dość niezdrowy zapach, który szybko przyprawił Abernathy'ego o ból głowy i wywołał mdłości. Zaczął się zastanawiać, czy przeżyje tę próbę.

W końcu samochód zwolnił i się zatrzymał. Drzwi się otworzyły i zamknęły, głosy oddaliły i zapanowała cisza, przerywana przytłumionymi i nieco odległymi odgłosami innych samochodów oraz wzajemnego nawoływania się. Abernathy czekał cierpliwie, pozwalając odpocząć swym zdrętwiałym mięśniom, masując nadwężone ścięgna i potłuczone kości. Solennie sobie obiecywał, że jeśli wróci szczęśliwie na Landover, to nigdy, pod żadnym pozorem, nawet nie pomyśli o jeździe w którymkolwiek z tych straszliwych, mechanicznych potworów.

Czas mijał. Elizabeth nie przychodziła. Abernathy leżał w ciemności i nasłuchiwał jej kroków, myśląc, że zdarzyło się najgorsze, że coś jej przeszkodziło wrócić i że został uwięziony na zawsze. Już prawie spał, gdy usłyszał odgłos zbliżających się kroków.

Drzwi samochodu otworzyły się, ustąpiła blokada bagażnika, odskoczyła pokrywa i ujrzał nad sobą Elizabeth. Z trudem łapała powietrze, aby coś powiedzieć.

– Pośpiesz się, Abernathy! Muszę natychmiast wracać! – Pomogła mu wydostać się z bagażnika. – Przepraszam, że trwało to tak długo, ale tata chciał iść ze mną, więc musiałam zaczekać, aż... Dobrze się czujesz? Wyglądasz na strasznie poobijanego! Och, naprawdę przepraszam cię za tą jazdę!

Abernathy szybko potrzęsnał głową.

– Nie, nie! Nie musisz za nic przepraszać. Nic mi nie jest, Elizabeth. – Jacyś spóźnieni ludzie przeszli niedaleko nich, więc dokładniej naciągnął płaszcz na siebie i poprawił kapelusz z szerokim rondem. Nachylił się do dziewczynki. – Dziękuję, Elizabeth – powiedział łagodnie. – Dziękuję za wszystko.

Założyła mu ręce na szyi i przytuliła, po czym szybko się cofnęła.

– Pan Whitsell mieszka kilka mil na północ. Idź tą drogą. – Wskazała ręką kierunek. – Kiedy dojdiesz do ulicy o nazwie Forest Park, skręć w prawo i licz numery, aż znajdziesz 2986. Będzie po lewej stronie. Och, Abernathy!

Objęła go jeszcze raz. On również ją przytulił.

– Nie martw się. Trafię tam, Elizabeth – zapewnił ją.

– Muszę już iść – powiedziała i zaczęła odchodzić. Nagle odwróciła się pośpiesznie. – Prawie bym zapomniała. Weź to. – Wcisnęła mu w łapę kopertę.

– Co to jest?

– Pieniądze, które tobie obiecałam na bilet lotniczy, albo na cokolwiek innego. Dobrze jest mieć coś takiego przy sobie – dodała pośpiesznie, gdy próbował je zwrócić. – Może będziesz ich potrzebował. Jeśli nie, to oddasz, kiedy się zobaczymy.

– Elizabeth...

– Nie, zatrzymaj je! – powiedziała stanowczo, odwracając się i szybko oddalając. – Żegnaj, Abernathy! Będę za tobą tęskniła!

Pobiegła w stronę szkoły i zniknęła.

– Ja również będę tęsknił – wyszeptał za nią Abernathy.

Zbliżała się północ, gdy Abernathy skręcił na podjazd prowadzący do posesji numer 2986 przy ulicy Forest Park. Wciąż miał na sobie kapelusz z szerokim rondem i trenecz. Gdzieś wcześniej po drodze skręcił w złą ulicę i musiał wracać. Gdy zbliżył się do małego domku z okiennicami i kwiatami w skrzynkach, zobaczył przez do połowy podciągnięte żaluzje w oknie od frontu drzemiącego w krześle mężczyznę. W całym domu paliła się jedna lampka, która stała obok niego.

Abernathy podszedł ostrożnie do drzwi i zapukał. Kiedy nie było odpowiedzi, zapukał ponownie.

– Kto tam? – warknął głos.

Abernathy nie wiedział, co odpowiedzieć, więc czekał.

Po chwili głos się odezwał jeszcze raz.

– Chwilę, zaraz otwieram.

Słysząc było zbliżające się kroki. Otworzyły się drzwi frontowe i stanął w nich mężczyzna z brodą, którego Abernathy widział przed chwilą przez okno. Miał zaspane oczy, ubrany był

w dzinsy i roboczą koszulę w kratę, rozpiętą do pasa, i podkoszulek. Obok niego stał maleńki pudelek i obwąchiwał Abernathy'ego.

– Czy pan Whitsell? – zapytał Abernathy.

Oczy Davisa Whitsella otworzyły się szeroko, usta rozchyliły się mimowolnie.

– Eee... uhm – powiedział w końcu.

Abernathy rozejrzał się niespokojnie dokoła.

– Nazywam się Abernathy. Czy jest możliwe, aby...

Mężczyzna zaczął coś mówić, nagle przerwał, jakby wreszcie zrozumiał i zdobył się na uśmiech.

– Ta dziewczynka z podstawówki imienia Franklina! – zawołał. – To o tobie opowiadała! To ty byłeś gdzieś zamknięty, tak? No jasne! Ty jesteś tym gadającym psem!

– Jestem człowiekiem, którego zamieniono w psa – powiedział dość oschle Abernathy.

– Oczywiście, opowiadała mi o tym! – Whitsell cofnął się. – Cóż, wejdz, wejdz do środka... Abernathy! Sophie, zrób miejsce. Wezmę twój płaszcz. I tak jest o wiele za duży. Kapelusz też nie jest ci potrzebny. Proszę, siadaj.

– Davis, kto to? – zawołał kobiecy głos gdzieś z końca korytarza.

– Ee, nikt, Alice. To tylko przyjaciel – odpowiedział szybko Whitsell. – Spij już. – Pochylił się bliżej. – Moja żona, Alice – wyszeptał.

Wziął od Abernathy'ego płaszcz i kapelusz i wskazał mu kanapę po drugiej stronie pokoju dziennego. Sophie merdała ogonem i cicho wyła, obwąchując Abernathy'ego z kłopotliwym dla niego entuzjazmem. Abernathy odepchnął ją od siebie.

Telewizor był włączony. Whitsell ściszył głos, potem siadł na drugim końcu kanapy. Ożywiony nachylił się i zaczął mówić przyciszonym głosem.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że ta mała mnie nabiera.

– Myślałem, że wymyśliła to wszystko. Ale... – Urwał, jakby próbował zebrać myśli. – Więc zamieniono cię w psa, czy tak? Rasy terier, prawda? Hmm, angielska rasa, co?

– Miękkowłosy wheaten terier – wyjaśnił Abernathy, rozglądając się nieufnie dokoła.

– No właśnie. – Whitsell podniósł się jeszcze raz. – Kiepsko wyglądasz, wiesz? Chcesz coś przegryźć albo wypić? Prawdziwe jedzenie – jesteś przecież człowiekiem, no nie? Chodź do kuchni, coś ci przygotuję.

Przeszli z pokoju do kuchni, której okna wychodziły na podwórko. Whitsell zajrzał do lodówki i znalazł trochę zimnej szynki, sałatkę ziemniaczaną i mleko. Robił Abernathy'emu kanapki, bez końca powtarzając, jakież to on jest wspaniałe.

– Wielki Boże – powiedział – prawdziwy, żywy, mówiący pies! – Powtórzył to chyba z dziesięć razy. Abernathy czuł się obrażony, ale nie pokazał tego po sobie. Nareszcie Whitsell skończył, zaniósł jedzenie na składany stolik z czterema krzesłami, posadził Abernathy'ego,



chwycił swoje piwo i również usiadł.

– Słuchaj, ta dziewczynka...eee, jak jej tam?

– Elizabeth.

– No właśnie, Elizabeth powiedziała, że musisz się dostać do Wirginii. To prawda?

Abernathy skinął głową. Usta miał pełne jedzenia, był strasznie wygłodniały.

– Po co musisz jechać do Wirginii? Abernathy zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Mam tam przyjaciół – powiedział w końcu.

– A nie możesz do nich zadzwonić? – zapytał tamten. – No wiesz, jeśli chcesz, żeby ci pomogli, to dlaczego po prostu do nich nie zadzwonisz?

Abernathy wyglądał na stropionego.

– Zadzwonić?

– Pewnie, przez telefon.

– Aha, telefon. – Teraz sobie przypomniał, co to jest. – Oni nie mają telefonu.

Davis Whitsell uśmiechnął się.

– Naprawdę? – Łyknął trochę piwa i patrzył, jak Abernathy kończy swoje jedzenie. Pies czuł, że tamten się nad czymś zastanawia.

– Nie tak łatwo będzie cię przetransportować aż do Wirginii – odezwał się po chwili.

Abernathy podniósł wzrok, zastanowił się, po czym rzekł:

I – Mam trochę pieniędzy na podróż.

Whitsell wzruszył ramionami.

– No dobrze, ale nie możemy cię tak po prostu włożyć do samolotu lub pociągu i wysłać. Pytano by cię, kim albo czym jesteś. Przepraszam, że to mówię, ale musisz zrozumieć, że ludzie nie są przyzwyczajeni do widoku psów ubranych tak jak ty, poruszających się w ten sposób i mówiących jak ty. – Odchrząknął. – Poza tym dziewczynka wspomniała coś o tym, że byłeś więziony. To prawda?

Abernathy skinął głową.

– Elizabeth pomogła mi uciec.

W takim razie, pomagając tobie, sam bym się narażał na niebezpieczeństwo. Ktoś będzie bardzo niezadowolony, gdy odkryje, że zniknąłeś. Będzie cię ścigał. A to oznacza, że musimy być szczególnie ostrożni, no nie? Bo przecież jesteś czymś wyjątkowym, rozumiesz? Nie każdego dnia znajduje się takie psy jak ty. Przepraszam. Chodzi mi o ludzi takich jak ty. Musimy szybko znaleźć rozwiązanie. – Zdawał się analizować tę sprawę. – To nie będzie takie łatwe. Będziesz musiał robić dokładnie to, co ci powiem.

Abernathy skinął głową.

– Rozumiem. – Wypił resztę mleka. – Czy będziesz w stanie mi w ogóle pomóc?

– Jasne! Oczywiście, że tak! – Whitsell energicznie zatarł dłonie. – Na razie jednak

najlepsze, co możemy zrobić, to przespać się trochę, a porozmawiamy o tym rano. Coś wymyślimy. Dobrze? Na końcu korytarza jest wolny pokój, który możesz zająć. Łóżko jest pościelone. To nie będzie się podobało Alice. Ona nie lubi niczego, czego nie może zrozumieć, ale ja się nią zajmę, nie martw się. Chodź ze mną.

Zaprowadził Abernathy'ego do wolnego pokoju, pokazał mu łóżko i wannę, dał kilka ręczników i kazał się rozgościć.

Przez cały ten czas myślał na głos, mówiąc o straconych okazjach i tych, które zdarzają się tylko raz w życiu. Gdyby tylko wiedział, co zrobić, aby się udało, powtarzał.

Abernathy ściągnął swoje ubranie, wszedł do łóżka i przytulił głowę do poduszki. W jakiś niejasny sposób niepokoiło go to, co dochodziło do niego, ale był zbyt wykończony, aby się móc nad tym właściwie zastanowić. Zamknął zmęczone oczy. Whitsell zgasił światło, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

W domu panowała cisza. Tylko na zewnątrz gałęzie drzewa stukały w okno niczym dłonie kościotrupa.

Abernathy słyszał to tylko przez moment. Po chwili już spał.

## JERYCHO

Zaczynał zapadać zmrok, gdy Questor Thews, koboldy i gnomy dodomy przybyli do Rhyndweir. Niebo było szaroniebieskie i tylko paseczki różu znaczyły miejsca, gdzie słońce z niechęcią ustępowało miejsca wdzierającej się ciemności.

Zwiewne paski mgły przywarły do Greensward, zmieniając ją w krainę cieni i nieostrych obrazów. Padający nieustannie deszcz utworzył w powietrzu cienką zasłonę wilgoci. Dochodzące dźwięki były przytłumione i trudno było zlokalizować ich ukryte gdzieś w mroku źródło. Wydawało się, że życie, odarte z wszelkiej substancji, unosi się bezwładnie pozbawione swojego ciężaru...

Na przedzie szedł Bunion, prowadząc ich przez most spinający rzeki, za którymi wznosił się płaskowyż z górującą nad nim fortecą lorda Kallendbora. Miasto, leżące u jego podnóża, przygotowywało się do nocy i jawiło się teraz bezładną mieszaniną odgłosów chrząkania znużonych ludzi i zwierząt, zgiełku dzwoniącego żelaza i skrzypiącego drewna. Ich mała grupa przeszła drogą, mijając sklepy i chałupy.

Budynki robiły wrażenie niewyraźnych, przysadzistych kopców pograżonych we mgle, z których tęsknie sączyło się srebrne światło świec. Z powodu ulewnego deszczu droga była całkowicie rozjeżdżona i powoli zamieniała się w bagno. Błoto przyczepiało się do butów i końskich kopyt. Od czasu do czasu ktoś się obejrzał za nimi, okazując chwilowe zainteresowanie, po czym szybko wracał do swoich zajęć.

– Chce mi się jeść! – jęknął Phillip.

– A mnie bolą nogi! – dodał Sot.

Parsnip syknął ostrzegawczo i gnomy ucichły.

Przed nimi, z mgły i deszczu, wyłonił się kształt Rhyndweir. Blankowane mury i wieże, cały olbrzymi zamek nabierał powoli kształtów, niczym monstrualna zjawia czyhająca pośród nocnych ciemności. Było to coś niebywale olbrzymiego.

Wznosiło się do nieba na wysokość ponad trzydziestu pięciu i metrów, a jego najwyższe wieże ginęły w nisko wiszących chmurach. Na masztach zwisały bezwładnie flagi. Zapalone w lampach żagwie dawały przyćmione światło. Na murach dziesiątki przemoczonych strażników trzymało wartę. Ogromne, rozwarte szczęki bramy zewnętrznej, wykonane z drewna i żelaza, stały otworem. Krata w przejściu do twierdzy była jednak opuszczona, a wewnętrzne wrota zamknięte. Nie był to zbyt zachęcający widok, stąd też grupka podróżnych zbliżała się do zamku z niepokojem i obawą.

W bramie zostali zatrzymani przez strażnika, który zapytał ich o cel wizyty, a następnie zaprowadził do wnęki w murze, gdzie mieli czekać, aż wiadomość o ich przybyciu dotrze do

lorda Kallendbora. Czas włókł się niemiłosiernie, a oni stali, trzęsąc się i wzdychając ze zmęczenia pośród zamkowego mroku i wilgoci. Questor nie był zadowolony. Wysłannikowi króla nie powinno się kazać czekać aż tak długo. Kiedy straż w końcu wróciła i dwóch niższych rangą dostojników zdawkowo przekazało przeprosiny bezpośrednio od Kallendbora, Questor nie omieszkał wyrazić swego niezadowolenia z powodu takiego traktowania. Zauważył chłodno, że są reprezentantami króla, a nie zwykłymi interesantami.

Strażnicy przeprosili go ponownie, z równie niewielkim zainteresowaniem dla sprawy jak poprzednio, i wskazali im drogę.

Zostawiając konie i zwierzęta juczne, mogli obejść kratę i bramę wewnętrzną. Prześlizgując się przez szereg ukrytych w murach przejść, przemierzili główny dziedziniec prowadzący do właściwego zamku, weszli przez prawie niewidoczne boczne drzwi, które trzeba było najpierw otworzyć kluczem, a następnie przeszli kilkoma korytarzami. W końcu dotarli do dużej sali, w której dominował olbrzymi kominek, znajdujący się na jej drugim końcu. Wielkie kłody drewna paliły się jasnym płomieniem. Upał w pomieszczeniu był tak wielki, że z trudem można było oddychać. Questor cofnął się odruchowo i na widok ognia zmrużył oczy.

Lord Kallendbor odwrócił się od płomieni – stał tak blisko paleniska, iż Questorowi zdawało się, że zaraz się poparzy.

Kallendbor był dużym mężczyzną, wysokim i dobrze umięśnionym. Jego twarz i ciało pokryte były bliznami – pozostałość po niezliczonych bitwach. Dzisiejszego wieczora pod szatą miał nałożoną kolczugę, a do tego okute żelazem buty i pas ze sztyletami. Jaskraworude włosy i broda przydawały jego wyglądowi gwałtowności, jeszcze bardziej wyrazistej na tle płomieni w palenisku. Kiedy się do nich zbliżał, zdawało się, że niesie ze sobą ogień.

Krótkim skinieniem głowy oddalił niższych rangą dostojników.

– Cóż za spotkanie, Questorze Thewsie – zagrzmiał, wyciągając olbrzymią dłoń.

Questor ujął ją i przytrzymał przez moment.

– Byłoby lepsze, mój panie, gdybym nie musiał czekać tak długo na deszczu i chłodzie!

Koboldy sykiem wyraziły tę samą opinię, podczas gdy gnomy schowały się za nogi Questora, wytrzeszczając oczy, wielkie niczym talerze. Kallendbor rzucił im jedno spojrzenie i równie szybko zapomniał o nich wszystkich.

– Przyjmij moje przeprosiny – zaproponował Questorowi, cofając dłoń. – Żyjemy ostatnio w niepewnych czasach. Muszę być ostrożny.

Questor strzepnął wodę ze swego płaszcza. Jego poważna twarz zaszepiła się jeszcze bardziej.

– Ostrożny? Chyba chodzi o coś więcej, mój panie. Widziałem rozmieszczenie twoich żołnierzy, strażników przy wejściu, opuszczoną kratę i zamkniętą bramę wewnętrzną.

Widzę, że nosisz zbroję nawet we własnym domu. Zachowujesz się tak, jakbyś się znalazł w oblężeniu.

Kallendbor zatarł energicznie dłonie i ponownie spojrzął na ogień.

– Być może jestem. – Wydawało się, że coś rozprasza jego myśli. – Co cię sprowadza do Rhyndweir, Questorze Thewsie? Jakies kolejne rozkazy króla? Czego tym razem potrzebuje? Żeby walczył u jego boku z demonami? Aby znowu gonił za czarnym jednorożcem? Powiedz mi.

Questor nie spieszył się z odpowiedzią. Sposób, w jaki Kallendbor zadawał te pytania, sugerował, że już zna na nie odpowiedź.

– Królowi coś skradziono – powiedział w końcu.

– Ooo?– Kallendbor nie odrywał oczu od płomieni. – Cóż to mogło być? Butelka?

W pokoju zapanowała cisza. Questor wstrzymał oddech.

– Czyżby butelka z tańczącymi klaunami? – dodał spokojnie Kallendbor.

– Ty zatem masz tę butelkę? – Pytanie Questora było stwierdzeniem faktu.

Teraz Kallendbor odwrócił się, uśmiechając z taką chytrą chytrością, o jakiej koboldy mogły tylko marzyć.

– Tak, Questorze Thewsie, mam ją. Dał mi ją pewien troll, żaloszny złodziejaszek. Myślał, że mi ją sprzeda. Wcześniej ukradł ją innym trollom, po tym jak się pokłócili. Jakimś cudem przeżył tę kłótnię i ranny przyszedł do mnie. Oczywiście nie przyszedłby z nią tutaj, gdyby myślał trzeźwiej, gdyby nie był tak ciężko ranny...

Wielki mężczyzna zamyślił się, potrząsając głową.

– Powiedział mi, że w butelce znajduje się magiczna moc, że siedzi w niej małe stworzenie, demon Mroczniak... tak go chyba nazwał... który może dać właścicielowi butelki wszystko, czego ten zapagnie. Śmiałem się z niego, Questorze Thewsie. Rozumiesz mnie. Nigdy zbytnio nie wierzyłem w czary, a jedynie w siłę oręża. „Dlaczego chcesz sprzedać coś tak cennego?” – zapytałem tego trolla. Wtedy ujrzałem w jego oczach strach i zrozumiałem, co jest jego przyczyną. Bał się tej butelki. Jej siła była zbyt wielka. Chciał się jej pozbyć, ale wciąż pozostało w nim tyle chciwości, aby żądać coś w zamian. Kallendbor spojrzął gdzieś w bok. – Myślę, iż przypuszczał, że butelka była w jakiś sposób odpowiedzialna za zagładę jego towarzyszy, że żyjąca w niej istota była przyczyną ich śmierci.

Questor nic nie powiedział. Czekał. Nie był jeszcze pewien, dokąd to ich zaprowadzi, ale chciał się dowiedzieć.

Kallendbor westchnął.

– Zapłaciłem zatem cenę, której żądał, a potem kazałem mu odciąć głowę, nadziać ją na włócznię i umieścić na bramie. Pewnie widzieliście ją przy wjeździe? Nie? Cóż, wystawiłem ją tam, aby przypominała każdemu, jeśli jeszcze tacy istnieją, którym trzeba to przypominać, że nie potrzebuję tutaj żadnych złodziei ani oszustów.

Fillip i Sot drżeli, stojąc tuż przy nogach Questora. Nadworny czarodziej sięgnął ukradkiem

ręką w dół i ich trzepnął.

Wyprostował się ponownie, gdy Kallendbor rozglądał się dokoła.

– Twierdzisz, Questorze Thewsie, że butelka należy do króla, ale ona nie nosi żadnych znaków przynależności do korony. – Kallendbor wzruszył ramionami. – Butelka może należeć do kogokolwiek.

Oczy Questora zapłonęły wściekłością.

– Niemniej jednak...

– Niemniej jednak – władca Rhyndweir szybko przerwał – oddam ci tę butelkę, ale dopiero, gdy z nią skończę.

W ciszy rozległ się głośny trzask płomieni pochłaniających drewno w kominku. W Questorze zaczęły walczyć sprzeczne uczucia.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– O tym, że muszę tę butelkę do czegoś użyć – powiedział spokojnie. – Że zamierzam dać tym czarom szansę.

W oczach rosnącego mężczyzny było coś, co Questorowi trudno było opisać – coś, co nie było złością, determinacją lub czymś, z czym spotkał się już wcześniej.

– Jeszcze się nad tym zastanów, dobrze ci radzę – zaproponował szybko.

– Zastanowić? Dlaczego, Questorze Thewsie? Dlatego że ty tak mówisz?

– Dlatego że magia zamknięta w tej butelce jest zbyt niebezpieczna!

Kallendbor roześmiał się.

– Nie boję się magii!

– Chcesz się sprzeciwić panu w tej sprawie? – Questor był już teraz wyraźnie zły.

Twarz mężczyzny ściągnęła się.

– Tutaj nie ma króla, Questorze Thewsie. Jesteś tylko ty.

– Jako jego przedstawiciel!

– W moim domu! – Kallendbor był wściekły. – Dajmy spokój tej sprawie!

Questor skinął powoli głową. Teraz rozpoznał to, co było w oczach Kallendbora. Była to rozpaczliwa potrzeba. Ale potrzeba czego? – zastanawiał się. Co chciał za pomocą tej butelki zyskać?

Odchrząknął.

– Nie ma powodu, abyśmy się o to sprzeczali, mój panie – powiedział uspokajająco. – Powiedz mi, do czego chcesz użyć tej magii?

Rycerz potrząsnął głową.

– Nie dzisiaj, Questorze. Mamy dość czasu, aby porozmawiać o tym jutro. – Klasnął w dłonie i pojawili się służcy. – Gorąca kąpiel, jakieś suche ubrania i dobry posiłek dla naszych gości – polecił. – Potem do łóżek.

Questor uklonił się niechętnie, odwrócił w stronę wyjścia, ale się zawahał.

– Wciąż uważam...

– Ja też uważam – przerwał mu Kallendbor – że powinieneś teraz odpocząć, Questor ze.

Stał tak przed nimi w swojej zbroi, połyskującej teraz w świetle ognia z kominka. W nieruchomych oczach było widać nieustępliwość. Questor zrozumiał, że dzisiaj niczego więcej już nie osiągnie. Musi poczekać do jutra na odpowiedni moment.

– Dobrze, mój panie – powiedział w końcu. – Życzę ci dobrej nocy.

Uklonił się i opuścił salę wraz z koboldami i gnomami.

Później, tej samej nocy, kiedy jego towarzysze już spali, a zamek tonął w ciszy, Questor Thews powrócił do miejsca audiencji. Przemknął pustymi korytarzami, nie zauważony przez nielicznych strażników dzięki drobnym sztuczkom magicznym, pokonując ciszę niczym kot. Właściwie sam do końca nie wiedział, czego chce w ten sposób dokonać. Może pragnął tylko zaspokoić ciekawość. Musiał się upewnić, czy plany Kallendbora związane z butelką są zgodne z jego deklaracjami, czy też raczej są bliższe obawom, jakie żywił Questor.

Do wielkiej sali dotarł nie zauważony przez nikogo, ominął wejście i stojących na warcie strażników, którzy nie zwracali uwagi na przyległą komnatę, uchylił jej drzwi i delikatnie je za sobą zamknął. Stał przez chwilę w ciemności, dopóki jego oczy nie przyzwyczyły się do mroku. Znał ten zamek równie dobrze, jak wszystkie pozostałe w Landover. Ten, jak większość innych, był labiryntem połączonych z sobą korytarzy i pokoi. Sporo się nauczył o nich w czasach, gdy będąc na służbie u starego króla, nosił dla niego wiadomości.

Kiedy odzyskał ostrość widzenia, ruszył przez pokój w stronę ciemnego kąta, wdusił drewniany kołek wystający ze ściany i delikatnie pchnął blokową przez niego płytkę. Płytką odskoczyła i odsłoniła rozpościerający się za nią widok.

W wielkim fotelu siedział Kallendbor zwrócony twarzą do kominka, a na jego kolanach stała swobodnie butelka z wymalowanymi arlekinami. Jego twarz pałała rumieńcami i była wykrzywiona dziwnym grymasem. Mroczniak skakał po pokoju, ledwie dotykając podłogi, rzucając się w jedną lub drugą stronę. Jego oczy były rozpalone niczym płomienie z paleniska, lecz wyrażały nieskończenie dużo zła. Questor odkrył, że gdy patrzy w te oczy dłużej niż przez krótką chwilę, zaczyna odczuwać wyraźny niepokój.

Kallendbor zawołał go i Mroczniak wskoczył mu na ramię, ocierając się o niego jak kot.

– Panie mój, wielki panie, czuję w tobie tak wielką siłę! – zamruczał.

Kallendbor roześmiał się i powiedział:

– Zostaw mnie, zwierzaku! Idź się bawić! Mroczniak zeskoczył na ziemię, pomknął po kamiennej posadzce do otwartego paleniska i rzucił się w ogień. Tańcząc wkoło, stworzenie bawiło się płomieniami, jak gdyby to była tylko chłodna woda.

– Ty kosmaty smoluchu! – syknął Kallendbor. Questor zobaczył, jak niezbyt pewnie podnosi

do góry kufel piwa i wylewa część jego zawartości na swój brzuch. Kallendbor był pijany.

Questor całkiem poważnie rozważał możliwość kradzieży butelki wraz z jej obrzydliwym mieszkańcem i zakończenie tego nonsensu raz na zawsze. Ryzyko było niewielkie. Wystarczyło zaczekać, aż mężczyzna zmęczy się swoją zabawą i odstawi butelkę na miejsce, a wtedy zwędzić skarb, zebrać koboldy i gnomy i zniknąć.

Pomysł ten był wyjątkowo kuszący.

Zdecydował jednak, że tego nie zrobi. Po pierwsze, dlatego że każdy, kto do tej pory krał butelkę, kończył źle. Po drugie, Questor nigdy nie był złodziejem i nie miał ochoty zostać nim nawet teraz. I po trzecie, Kallendbor powiedział, że zwróci butelkę, jak z nią skończy, a on – mimo wielu oczywistych wad – miał opinię człowieka, który dotrzymuje słowa.

Questor, choć niechętnie, odsunął tę myśl od siebie.

Zaryzykował i zajrzał po raz ostatni do pokoju. Lord Kallendbor siedział, osunąwszy się w swoim fotelu, i wpatrywał się w palenisko. Wśród jego płomieni Mroczniak śmiał się i tańczył radośnie.

Questor zamknął płytkę w ścianie, pokręcił z niedowierzaniem posiwiałą głową i opuścił pokój.

O świcie przestało padać. Niebo oczyściło się z chmur, straciło swoją ponurość i ponownie przybrało barwę przepastnego błękitu. Słońce zalało dolinę i nawet ciemne, katakumbowe zakamarki Rhyndweir robiły wrażenie jasnych i przyjemnych.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca Questora i jego towarzyszy zbudziło pukanie do komnaty, w której spali. Była to wiadomość od Kallendbora. Mieli się ubrać i zjeść wraz z nim śniadanie, poinformował ich młody paź. Potem mieli udać się na konną przejażdżkę.

Gnomy dodomy miały już dość Kallendbora i błagały Questora, aby ten pozwolił im zostać w ich pokojach, gdzie mogliby zaciągnąć okienne zasłony i w ciemności bezpiecznie przytulić się do siebie. Questor wzruszył ramionami i zgodził się na to, czując ulgę, że nie będzie musiał znosić ich ciągłego skomlenia. Musi się przecież skupić na odzyskaniu butelki, zanim Kallendbor narobi jakichś głupstw. Wyzaczył Parsnipa do ich pilnowania i poprosił o przyniesienie im śniadania do pokoju. Następnie, w towarzystwie Buniona, ruszył na spotkanie władcy Rhyndweir.

Już kończyli śniadanie, gdy zjawił się Kallendbor, zakuty od stóp do głów w zbroję, cały obwieszony bronią. W jednej dłoni trzymał worek zawierający przedmiot, którym prawie na pewno była butelka. Przywitał Questora dość chłodno, a następnie dał mu znak, aby szedł za nim.

Zeszli na główny dziedziniec. Kilkuset rycerzy w pełnym rynsztunku bojowym czekało na swoich wierzchowcach.

Kallendbor kazał przyprowadzić swojego konia, dopilnował, aby Questorowi dano jego



siwka, dosiadł rumaka i uformował szyk. Questor musiał się śpieszyć, aby dotrzymać im kroku.

Otworzono bramy, kraty podniosły się z piskiem i cała kolumna ruszyła.

Questorowi kazano jechać na przedzie, tuż obok lorda Kallendbora. Bunion jak zwykle pieszo popędził do przodu, starając się uniknąć kurzu i zgiełku. Questor rozejrzał się raz i drugi, żeby go znaleźć, ale kobolda nie było już widać. Czarodziej szybko porzucił poszukiwania i skupił się na odkryciu zamierzeń Kallendbora.

Lord najwyraźniej nie miał zamiaru ujawniać swych zamierzeń i w czasie przemarszu wojska przez miasto, zupełnie zignorował Questora. W oknach i drzwiach sklepów i chat pojawili się ludzie. Do uszu jeźdźców doszło kilka mało entuzjastycznych okrzyków i gwizdów. Nikt w mieście nie miał pojęcia, co zamierza Kallendbor, zresztą nikogo to właściwie nie obchodziło. Ludzie jedynie pragnęli, aby zapewniono im bezpieczeństwo – tylko to się dla nich naprawdę liczyło. Kallendbor nigdy nie był popularnym władcą. Znana była jednak powszechnie jego siła. Greensward miało dwudziestu władców, ale Kallendbor był najpotężniejszym z nich i jego ludzie dobrze o tym wiedzieli. Był tym, któremu pozostali ustępowali. Był władcą, któremu nikt nie odważył się rzucić wyzwania.

Aż do teraz.

– Zdradzono mnie, Questorze Thewsie! – nagle przemówił do niego Kallendbor. – Zdrada czyha z każdej strony! Zdrada, zauważ, nie ze strony moich wrogów, ale ze strony moich towarzyszy władców! Stosyth, Harrandye, Wilse! Możni panowie, którym, jak sądziłem, mogłem ufać, panowie, którzy byli zbyt zastraszeni, aby podejmować działania bez mojej akceptacji! – Twarz Kallendbora stała się purpurowa. – Najbardziej jednak zaskoczył i rozczarował mnie Strehan, Questorze Thewsie, Strehan, który był mi najbliższy z nich wszystkich! Zachował się jak niewdzięczne dziecko, które gryzie troskliwą dłoń swego ojca!

Splunął na ziemię. Przeprowadził swoich rycerzy przez most, wstępując w krainę traw. Słychać było skrzypienie skórzanej uprząży bojowej, pobrzękiwały metalowe mocowania, konie parskaly i rżały, a ludzie nawoływali się wzajemnie. Questor próbował wyobrazić sobie wysokiego, powłóczącego nogami, srogiego Strehana jako niewdzięczne dziecko, ale było to zadanie przekraczające jego możliwości.

– Zbudowali tę... wieżę, Questorze Thewsie! – rzucił z wściekłością Kallendbor. – Cała czwórka! Wzniesli ją przy wodospadach Syru, przy granicy z moimi terenami! Mówią mi, że to tylko strażnica, nic więcej. Biorą mnie najwidoczniej za idiotę! Wznosi się wyżej niż mury Rhyndweir, a jej blanki rzucają cień na całą moją wschodnią granicę! Gdyby chcieli, mogliby przegrodzić rzekę i odciąć wody zasilające moje pola! Ta wieża mnie obraża, czarodzieju! Rani mnie w sposób niewyobrażalny! – Nachylił się, nie zmieniając kierunku jazdy. – Zniszczyłbym ją w chwili, gdy się tylko o niej dowiedziałem, gdyby nie to, że połączone armie tych psów strzegą jej jak oka w głowie! Nie mam takiej siły, aby ich pokonać bez dziesiątkowania moich armii

i uczynienia z nich później łatwego łupu dla innych! Dlatego też musiałem zgodzić się na tę... aberrację! – Jego ciało nagle drgnęło. Spojrzenie miał lodowate. – Ale na tym będzie koniec!

Questor w jednej chwili wyobraził sobie to wszystko.

– Lordzie, moc magiczna tej butelki jest zbyt niebezpieczna...

Niebezpieczna? – Kallendbor przerwał mu pełnym złości machnięciem ręki. – Nic nie jest bardziej niebezpieczne od tej wieży! Nic! Musi zostać zniszczona! Jeśli te czary mogą służyć moim celom, to z przyjemnością podejmę każde ryzyko, jakie z sobą niesie ta butelka!

Wyrwał się do przodu i zostawił Questora z ustami pełnymi kurzu i uczuciem bezradności wobec tego, co z pewnością zaraz się wydarzy.

Przez pozostałą część poranka jechali na północ, w kierunku Melchor, aż w końcu koło południa w zasięgu ich wzroku znalazły się wodospady Syru. Stała też wieża, masywna forteca z kamiennych bloków, położona na urwistym cyplu, w miejscu gdzie przelewające się wody wodospadów spadały w dolinę. Był to rzeczywiście obiekt monsturalnych rozmiarów, cały czarny i naszpikowany blankami oraz urządzeniami do odpierania napastników. Uzbrojeni ludzie dumnie kroczyli po murach, a konne patrole przemierzały odcinki wzdłuż fosy. Gdy zauważono zbliżających się rycerzy Kallendbora, rozległy się trąbki i nawoływania, a wieża ożyła niczym ospały olbrzym.

Władca Rhyndweir dał znak, aby się zatrzymali i kolumna stanęła nad brzegiem rzeki, kilkaset metrów przed podnóżem urwiska i wieżą fortecy. Kallendbor przez moment przyglądał się wieży, po czym przywołał jednego ze swoich rycerzy.

– Powiedz tym z wieży, że daję im czas do południa, aby ją opuścili – rozkazał mu. – Powiedz im, że w południe wieża zostanie zniszczona. Ruszaj.

Rycerz odjechał, a Kallendbor pozwolił kolumnie odpocząć. Czekali. Questor zastanawiał się, czy jeszcze raz nie spróbować powiedzieć Kallendborowi o niebezpieczeństwie użycia czarów butelki, ale zrezygnował. Nie było sensu nadal kłócić się w tej sprawie. Kallendbor już dawno sam podjął decyzję. Będzie lepiej, jeśli na razie pozwoli robić władcy Rhyndweir to, co zaplanował. Zabierze butelkę zaraz po zakończeniu całego przedsięwzięcia. Questor Thews nie był zadowolony z takiej perspektywy, ale wydawało mu się, że nie ma rozsądniejszego wyjścia.

Stał obok swego siwka. Jego wysoka postać zgarbiła się na chwilę, gdy zapatrzył się w dal i pomyślał nagle o królu i Abernathym. Myśli te jeszcze bardziej go przygnębiły. Trudno było ukryć, że do tej pory niewiele zdziałał, by pomóc w tej sprawie zarówno jednemu jak i drugiemu, pomyślał ponuro.

Wrócił posłaniec. Oznajmił, że ludzie z wieży nie mają zamiaru jej opuścić. Śmiali się z postawionego ultimatum.

Zaproponowali, aby to raczej Kallendbor odstąpił. Po wysłuchaniu raportu, Kallendbor uśmiechnął się złowieszczo, utkwiał wzrok w wieży i nie odwracał już od niej głowy, wyczekując

nadejścia południa.

Kiedy zegar wybił południe, władca Rhyndweir mruknął z zadowoleniem, wsiadł na swego wierzchowca i powiedział:

– Chcę, żebyś mi towarzyszył, Questorze.

Jechali razem, przed siebie, wzdłuż brzegu rzeki, przez jakieś sto metrów, potem się zatrzymali i zsiadli z koni. Kallendbor ustawił się w taki sposób, aby konie zasłaniały jego ludziom widok na to, co zamierzał zrobić. Następnie wyjął worek z kieszeni przy siodle i wy dostał butelkę pomalowaną w jaskrawe kolory.

– Teraz zobaczymy – wyszeptał miękko, kołysząc swój skarb.

Wyciągnął korek i na wierzch wypełził Mroczniak, mrużąc swoje zaczerwienione oczy od słońca.

– Panie! – zasyczał miękko, głaszcząc swoimi łapkami ukryte w rękawicy palce Kallendbora.

– Jakie jest twoje życzenie?

Kallendbor wskazał ręką.

– Zniszcz tę wieżę! – Przerwał, rzucając Questorowi krótkie spojrzenie. – O ile twoja moc magiczna jest wystarczająco silna! – dodał kusząco.

– Panie, moja moc jest tak silna, jak twoje życie! – Demon wypluł te słowa, wydymając szyderczo wargi.

Zszedł z butelki, skoczył na ziemię i płasem przemierzył wody rzeki, jak gdyby była tam zwyczajna ścieżka, a następnie dużymi susami przemierzył równinę rozciągającą się pod urwiskiem, na którym stała forteca. Tam się zatrzymał. Przez chwilę nic nie robił, tylko spoglądał w górę. Wtem podskoczył i zawirował. Zaczął tańczyć pośród nagłej obfitości kolorowego światła. Wtem, nie wiadomo skąd, pojawił się olbrzymi róg. Demon pomknął około stu metrów dalej wzdłuż skraju urwiska i natychmiast pojawił się tam drugi róg. Mroczniak znowu zmienił miejsce i wyrósł trzeci róg.

Demon cofnął się, wyciągnął palec i rogi zaczęły rozbrzmiewać długim, tubalnym i żalobnym dźwiękiem, podobnym do zawodzenia silnego wiatru w pustym kanionie.

– Widzisz? – wyszeptał z zadowoleniem Kallendbor.

Przeciągłe wycie sprawiło, że cała ziemia wokół nich zaczęła się trząść, ale nigdzie w takim stopniu, jak na szczycie urwiska, gdzie stała obrażająca Kallendbora wieża. Przez wieżę przeszedł dreszcz jak przez porażoną ciosem bestię.

Wzdłuż spoin zaczęły pojawiać się pęknięcia, kamienne bloki zaczęły się poluzowywać. Kallendbor i Questor Thews patrzyli na to w osłupieniu. Dźwięk rogów wzmagął się i konie zaczęły niecierpliwie stąpać i stawać dęba, aż Kallendbor musiał chwycić je za wodze i trzymać mocno, żeby nie uciekły.

– Diabelskie nasienie! – władca Rhyndweir zawołał z jękiem.

Dźwięk wydawany przez rogi osiągnął nową wysokość i cały grunt wokół nich zaczął się rozpadać, tworząc głębokie pęknięcia i szczeliny. Urwisko poczęło się walić, a wieża zamieniać w lawinę pokruszonej skały. Z jej głębi dobiegały krzyki ludzi. W jednej chwili potężna siła rozsadziła mury, zamieniając je w gruz i cała wieża runęła na równinę i w wody rzeki. To był jej koniec.

Po chwili rogi zniknęły, a odgłos ich lamentu rozpląnął się w ciszy. Ziemia ponownie stała się oazą spokoju i ciszy, gdyby nie przejęci grozą ludzie z Rhyndweir oraz chmura kurzu unosząca się nad gruzem roztrzaskanej wieży.

Mroczniak powrócił płasem przez rzekę i z chytrym uśmiechem usadowił się na krawędzi szyjki butelki.

– Załatwione, panie! – syknął. – Tak jak rozkazałeś! Twarz Kallendbora pałała podnieceniem.

– Ach, demonie! Co za siła!

– To twoja siła! – schlebił mu Mroczniak. – Tylko twoja, panie!

Questora Thewsa nic nie obchodził wyraz twarzy Kallendbora, kiedy usłyszał te słowa.

– Kallendborze... – zaczął mówić.

Potężny mężczyzna jednak uciszył go machnięciem ręki.

– Wracaj do butelki, malutki – rozkazał.

Mroczniak zniknął posłusznie z widoku i Kallendbor zakorkował butelkę.

– Pamiętaj o swojej obietnicy – spróbował ponownie Questor, upominając się o butelkę i postępując krok do przodu.

Kallendbor przyciągnął ją szybko do siebie.

– Tak, tak, Questorze Thewsie! – rzucił oschle. – Ale dopiero wtedy, gdy skończę! Dopiero wtedy. Mogę... jeszcze jej potrzebować.

Nie czekając na odpowiedź czarodzieja, wsiadł na konia i szybko odjechał. Questor, nie ruszając się z miejsca, odprowadzał go wzrokiem. Odwrócił się, aby po raz ostatni spojrzeć na puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała wieża. Wszyscy ci ludzie nie żyją, nagle uświadomił sobie.

A Kallendbor nawet przez chwilę o nich nie pomyślał.

Pokręcił głową z niepokojem i wspiął się na swego przestraszonego siwka.

Teraz już wiedział; Kallendbor wcale nie ma zamiaru oddawać tej butelki. Sam będzie musiał mu ją odebrać.

Powrócił do Rhyndweir, zatopiony w myślach. Nawet nie zauważył, kiedy zapadł wieczór. Zjadł obiad w swoim pokoju razem z gnomami i Parsnipem. Kallendbor chętnie na to przystał, wcale nie nalegając, aby przyszedł do jadalni.

Sam Kallendbor był tam nieobecny. Widocznie były pilniejsze sprawy, którymi musiał się zająć.

Questor zjadł już połowę posiłku, kiedy zdał sobie sprawę, że Bunion jeszcze nie wrócił. Nie miał pojęcia co się stało z małym koboldem. Nikt nie widział go od wczesnego poranka.

Po zakończonym obiedzie Questor wyszedł na spacer, aby uporządkować swoje myśli. Były one jednak zbyt mroczne, aby się to miało udać, więc wrócił do sypialni. Poszedł do łóżka, wciąż się zastanawiając, co się mogło przytrafić Bunionowi.

Było już po północy, kiedy drzwi komnaty nagle się rozwarły i majestatycznym krokiem wszedł Kallendbor.

– Gdzie ona jest, Questorze Thewsie? – krzyknął z wściekłością.

Questor podniósł zaspaną głowę znad poduszki i próbował zrozumieć, co się stało. Między nim a władcą Rhyndweir znalazł się już Parsnip, sycząc ostrzegawczo i odsłaniając jasno błyszczące zęby. Gnomy dodomy schowały się pod łóżko. Przykre, oślepiające światło pochodni wdzierало się z korytarza, gdzie stali uzbrojeni ludzie, przestępujący niezdecydowanie z nogi na nogę.

Kallendbor majaczył nad nim niczym rozwścieczony olbrzym.

– Zwróć mi ją natychmiast, starcze! Questor podniósł się, oburzony.

– Nie mam zielonego pojęcia, czego ty...

– Butelka, Questorze, co zrobiłeś z butelką?

– Butelka?

– Nie ma jej, czarodzieju! – Kallendbor posiniał z wściekłości. – Skradziona z pomieszczenia zamkniętego na klucz i dobrze strzeżonego przez strażę! Żaden zwykły człowiek nie mógł tego dokonać! To musiał być ktoś, kto może wchodzić i wychodzić nie zauważony, ktoś taki jak ty!

Bunion! – pomyślał natychmiast Questor. Kobold mógł wchodzić tam, gdzie inni nie mogli i pozostać przy tym nie zauważony! Bunion musiał...

Kallendbor już wyciągał ręce w stronę Questora, a tylko widok odsłoniętych zębów Parsnipa powstrzymał go od chwycenia go za cienką szyję.

– Oddaj mi ją, Questorze, bo inaczej...!

– Ja nie mam tej butelki, mój panie! – odpowiedział oschle Questor, napierając odważnie na tamtego, gotowy do konfrontacji. Kallendbor był wielki jak góra.

– Jeśli jej nie masz, to na pewno wiesz, gdzie się znajduje! – rzekł tamten ochryplym z wściekłości głosem. – Masz mi to natychmiast wyjawić!

Questor wziął głęboki oddech.

– Znany jestem wszędzie z tego, że moje słowa mają swoją wagę, panie – powiedział

spokojnie. – Wiesz, że tak jest. Ja nie kłamię. Prawda wygląda dokładnie tak, jak ci powiedziałem. Nie mam tej butelki i nie wiem, gdzie się znajduje. Nie widziałem jej od czasu, kiedy w południe ją zabrałeś. – Odchrząknął. – Ostrzegałem cię, że ta magia jest niebezpieczna i że...

– Dosyć! – Kallendbor obrócił się nagle i z pełnym dostojeństwem podszedł do otwartych drzwi. Kiedy się tam znalazł, odwrócił się jeszcze raz. – Zostaniesz moim gościem jeszcze przez kilka dni, Questorze Thewsie! – powiedział. – Myślę, że dobrze byś zrobił, modląc się, aby ta butelka w tym czasie wróciła do mnie w taki lub inny sposób!

Wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Questor usłyszał odgłosy zamykania zamków w drzwiach i odgłosy ludzi zaciągających pod nimi wartę.

– Zostaliśmy uwięzieni! – wykrzyknął z niedowierzaniem.

Chodząc po pokoju tam i z powrotem, myślał ze złością, co zrobi król, gdy się dowie, że jego przedstawiciele zostali zatrzymani wbrew swojej woli przez lorda. Potem sobie przypomniał, że pan nie może nic zrobić, bo Bena Holidaya w ogóle nie ma w Landover i że zupełnie nic nie wie o tej sprawie.

Questor z przykrością sobie uświadomił, że sam musi sobie poradzić.

Kilka godzin później pojawił się Bunion. Nie wszedł przez drzwi – nie był głupcem – ale przez okno w murze baszty.

Stukał delikatnie w okiennice tak długo, aż zaintrygowany Questor otworzył je i znalazł go siedzącego na występie okiennym. Pod nim była przepaść na co najmniej dwadzieścia metrów i dopiero poniżej blankowany mur.

Mały kobold uśmiechał się szeroko, połyskując zębami.

W jednej ręce miał kawał sznura powiązanego w węzły. Questor wyjrzał na zewnątrz. Bunion musiał wdrapać się jakoś na mur zamku, aby do nich dotrzeć.

– Przyszedłeś nas uratować! – wyszeptał z podnieceniem Questor i odwzajemnił uśmiech. – Dobrze, że to zrobiłeś!

Bunion, jak się okazało, był równie podejrzliwy co do intencji Kallendbora, jak Questor i dlatego postanowił być bardzo czujny, szczególnie po tym, gdy zobaczył Mroczniaka niszczącego wieżę. Koboldy potrafiły robić wiele rzeczy, pozostając niewidoczne. Tak się miały sprawy w wypadku prawdziwie bajkowych istot. Bunion bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z budzącej grozę mocy magicznej, będącej w rękach Mroczniaka, i nie sądził, żeby Kallendbor był wystarczająco silny, aby móc się oprzeć jej urokowi. Zdecydował, że będzie lepiej, gdy butelka pozostanie w ukryciu do czasu, aż będzie pewien, iż Questor i pozostali nie stali się ofiarami nierozważnej ambicji Kallendbora. Całe szczęście, że tak zrobił.

Questor pomógł koboldowi wczłgać się do środka i razem zaczęli przywiązywać jeden koniec liny do haka w ścianie. Teraz zbudzili się też pozostali i czarodziej musiał szybko uciszyć gnomy. Ostatnim, czego pragnął, było to, żeby Phillip i Sot zaczęli jęczeć. Pracowali cicho i szybko, i po chwili lina była silnie przymocowana. Następnie – jeden po drugim wyszli przez okno i opuścili się po linie. Koboldom i gnomom zejście nie sprawiło kłopotów, tylko Questor musiał włożyć w to trochę wysiłku.

Kiedy byli już bezpieczni na dole, ruszyli za Bunionem wzdłuż muru zamkowego ku schodom, potem w dół do przejścia prowadzącego do żelaznych drzwi, które wychodziły na zewnątrz. Przemykając w ciemnościach, trzymając się zacienionych miejsc, doszli aż na koniec miasta, do szopy, gdzie już czekały na nich konie i juczne zwierzęta, które Bunion zdołał jakimś cudem wyprowadzić z zamku.

– Zegnaj i zostań z Bogiem, Kallendborze! – krzyknął za siebie Questor, kiedy już bezpiecznie znaleźli się na równinach Greensward.

Czuł się teraz znacznie lepiej. Wydostał siebie i swoich przyjaciół z trudnej sytuacji, zanim zdołano wyrządzić im jakąkolwiek krzywdę. Sprytnie uporał się z faktem, że to właściwie Bunion ich uratował, wmawiając sobie, iż stało się to możliwe dzięki jego przywództwu. Mógł teraz na nowo podjąć obowiązki, które na niego nałożono. Jeszcze udowodni królowi, ile jest wart!

Istniał tylko jeden problem. Okazało się, że Bunion nie ma zaginionej butelki. Ktoś inny ją ukraść – ktoś, kto tak jak Bunion mógł się przemieszczać nie zauważony w dobrze strzeżonym miejscu.

Brwi na dostojniej, poważnej twarzy Questora uniosły się.

Czarodziej się zamyślił.

Któż mógłby to być?

## CZAS NA PRZEDSTAWIENIE

Kiedy w końcu zadzwonił telefon, Ben Holiday rzucił się natychmiast w stronę aparatu i niewiele brakowało, a złamałby sobie nogę, przewracając się o krzesło.

– Cholera! Słucham?

– Doktorku? W końcu tutaj dotarłem – powiedział Miles Bennett przez słuchawkę. – Jestem w holu, na dole.

Po drugiej stronie było słychać westchnienie ulgi.

– Dzięki Bogu!

– Chcesz, żebym wszedł na górę?

– Oczywiście. Natychmiast.

Odłożył słuchawkę, opadł na pobliską kanapę i z ponurą miną rozcierał obolałą nogę. Nareszcie nadeszło zbawienie! Przez cztery dni czekał na przyjazd Milesa i na informacje o Michelu Ard Rhi oraz Abernathym, cztery długie, niekończące się dni, zamknięty w luksusowych wnętrzach „Shangri-La”. Miles przesłał telegraficznie obiecane pieniądze, więc przynajmniej udało mu się uniknąć głodu i eksmisji. Nie mógł jednak opuszczać pokoju na dłużej niż jedną lub dwie godziny dziennie, a robił to zawsze późnym wieczorem lub wczesnie rano. Willow po prostu przyciągała zbyt wiele uwagi.

Poza tym sylfida ogólnie nie czuła się zbyt dobrze od czasu ich przybycia z Landover.

Spojrzał w stronę balkonu, gdzie siedziała naga w kałuży słońca, tuż za rozsuwanymi, szklanymi drzwiami pokoju dziennego ich apartamentu. Siadywała tam każdego dnia, czasem na kilka dobrych godzin, wpatrując się w pustynię, z twarzą uniesioną ku słońcu, zupełnie nieruchoma. Wydawało się, że to naświetlanie jej służy, więc zostawiał ją samą.

Przypuszczał, że to ma coś wspólnego z jej amorficzną fizjologią, że słońce korzystnie wpływało zarówno na jej część ludzką jak i roślinną. Niemniej jednak wydawała się apatyczna i mizerna, jej kolor skóry nie był taki jak zawsze, a jej energia w jakiś tajemniczy sposób się wyczerpała. Były chwile, kiedy traciła orientację. Bardzo się o nią martwił. Zaczynał wierzyć, że w środowisku tego świata znajdowało się coś, albo czegoś brakowało, co powodowało jej zły stan. Chciał jak najszybciej zakończyć sprawę Abernathy’ego oraz zaginionego medalionu i zabrać bezpiecznie Willow z powrotem do Landover.

Wstał, przeszedł do łazienki i spryskał twarz zimną wodą.

Niezbyt dobrze spał przez te ostatnie kilka dni. Był niespokojny i pragnął wreszcie zrobić coś, co zakończy to oczekiwanie. Wylał twarz ręcznikiem i spojrzał na własne odbicie w lustrze. Wyglądał na zdrowego, pomyślał, może z wyjątkiem oczu. Ich przekrwione białka przypominały maleńkie mapy drogowe. To z powodu braku snu i czytania dwóch, trzech powieści dziennie, tylko żeby nie oszaleć.



Rozległo się pukanie do drzwi. Odrzucił ręcznik, przemierzył pokój i spojrzał przez wizjer. To był Miles. Przekręcił zamek i otworzył drzwi.

– Cześć, doktoru – zawołał Miles, wyciągając dłoń.

Ben chwycił ją i energicznie potrząsnął. Miles się nie zmienił ani trochę. Wciąż ten sam, wielki misiu o dziecięcych rysach twarzy, w wymiętym garniturze i z ujmującym uśmiechem na ustach. Pod ręką trzymał skórzaną aktówkę.

– Świetnie wyglądasz, Miles – powiedział szczerze.

– A ty wyglądasz jak cholerny japiszon – odpowiedział Miles. – W dresach i adidasach, nocujący w „Shangri-La” i czekający tylko na zmierzchu i światła nocy. Tylko że jesteś trochę za stary. Mogę wejść?

– Pewnie, wchodź. – Odsunął się na bok, aby stary przyjaciel mógł wejść do pokoju, sprawdził oba końce korytarza, po czym zamknął drzwi. – Znajdź sobie coś wygodnego do siedzenia.

Miles przeszedł przez pokój, podziwiając umeblowanie, cicho gwizdząc na widok dobrze zaopatrzonego barku i nagle stanął jak wryty.

– Jezu Chryste, doktoru!

Wpatrywał się przez oszklone drzwi w Willow.

– Co ze mnie za idiota! – zawołał skonsternowany Ben.

Zupełnie zapomniał o sylfidzie.

Wszedł do łazienki, wziął płaszcz kąpielowy i wyszedł na balkon. Położył go delikatnie na szczupłych ramionach Willow. Spojrzała na niego pytająco. Jej wzrok był nieobecny. Widać było, że myślami jest gdzie indziej.

– Miles jest tutaj – powiedział do niej cicho.

Skinęła głową i wstała się przywitać. Weszli do głównego pokoju, gdzie Miles stał jak wryty, ściskając swój neseser niczym tarczę.

– Miles, to jest Willow – powiedział.

Wydawało się, że Miles wreszcie doszedł do siebie.

– Ach, oczywiście, miło mi panią poznać... Willow – wyjąkał.

– Willow pochodzi z Landover, Miles – wyjaśnił Ben. – Stamtąd, gdzie teraz mieszkam. Jest sylfidą.

Miles spojrzał na niego.

– Kim?

– Sylfidą. Jest połączeniem leśnej nimfy i wodnego elfa.

– No tak. – Miles uśmiechnął się niepewnie. – Ona jest zielona, Ben.

– To jej naturalny kolor skóry. – Ben nagle poczuł się nieprzyjemnie. – Słuchaj, może siądziemy na kanapie i rzucimy okiem na to, co przywiozłeś, Miles.

Miles skinął głową. Jego wzrok wciąż spoczywał na Willow. Sylfidą uśmiechnęła się krótko, poczym odwróciła się i wyszła do sypialni.

– Wiesz, dobrze, że tutaj jestem i z tobą rozmawiam, doktorku, i widzę tę dziewczynę na własne oczy, a nie słucham o niej przez telefon – powiedział po cichu Miles. – Inaczej wziąłbym ciebie za nieuleczalnego wariata, od którego lepiej uciec.

Ben uśmiechnął się.

– Wcale cię za to nie winię. – Siadł na kanapie i dał znak Milesowi, aby również spoczął.

Sylfidą, mówisz? – Miles pokręcił głową. – Więc ta cała gadanina o zaczarowanym świecie ze smokami i postaciami z bajki była jednak prawdą. No powiedz, doktorku, czy to wszystko jest prawdą? Ben westchnął.

– Przynajmniej część.

– Mój Boże! – Miles powoli usiadł obok niego. Był oszołomiony. – Chyba mnie nie nabierasz, co? Taki świat istnieje naprawdę? No powiedz, że istnieje. Widzę to wypisane na twojej twarzy. A ta dziewczyna... jest piękna, ale inna, taka jak ją sobie wyobrażałeś, że istnieje w zaczarowanym świecie. Cholera, doktorku!

Ben skinął głową.

– Możemy porozmawiać o tym trochę później, Miles. Co z tymi informacjami, o które cię prosiłem? Mieliśmy szczęście? Zdobyłeś je?

Miles przyglądał się Willow przez uchylone drzwi do sypialni, kiedy odrzucała płaszcz kąpielowy i wchodziła pod prysznic.

– Eee, tak – powiedział w końcu. Otworzył aktówkę i wyciągnął pomarańczową teczkę z dokumentami. – Tu jest to, co detektywi zdobyli na temat tego typka, Michela Ard Rhi.

I wierz mi, że to typek przez duże „T”.

Ben wziął od niego teczkę, otworzył ją i szybko zaczął wzrokiem przebiegać kolejne strony. Pierwsza z nich zawierała najogólniejsze dane dotyczące jego życia. Miejsce urodzenia, rodzice, wiek i wszystkie wydarzenia wczesnego okresu są nieznane. Finansista inwestujący głównie w firmy prywatne. Majątek netto oceniany na dwieście dwadzieścia pięć milionów dolarów. Żyje na przedmieściach Woodinville w stanie Washington – Washington? – w zamku, który najpierw zakupił, a następnie kazał przewieźć, blok po bloku, z Wielkiej Brytanii. Kawaler. Nie posiada żadnego hobby, nie należy do żadnych klubów ani organizacji.

– Niewiele tego – zauważył.

– Czytaj dalej – odrzekł Miles.

Druga strona była już bardziej interesująca. Michel Ard Rhi utrzymywał swoją własną armię. Pomógł sfinansować kilka rewolucji w innych krajach. Był właścicielem instytucji bankowych, większych korporacji zbrojeniowych, a nawet kilku zagranicznych firm subsydiowanych przez rządy tych państw. Sugerowano, że może być zaangażowany w wiele innych poważnych

przedsięwzięć, ale nie było na to wystarczających dowodów. Wielokrotnie oskarżano go na podstawie różnych zarzutów, głównie o oszustwa związane z naruszaniem przepisów Komisji Papierów Wartościowych, chociaż znalazło się też coś o stosowaniu okrucieństwa wobec zwierząt. Nigdy jednak nie został skazany. Bardzo dużo podróżował, zawsze z ochroną osobistą i zawsze prywatnymi środkami transportu.

Ben zamknął teczkę.

– Washington, hm? Nie kapuję. Byłem pewien, że w Las Vegas znajdziemy...

– Zaczekaj chwilę, Ben – przerwał szybko Miles. – Jest jeszcze coś, co przyszło wczoraj. Jest to dość naciągane, ale może wiąże się jakoś z tym facetem z Washington.

Pogrzebał w aktówce i wyciągnął pojedynczą kartkę zapisaną maszynową czcionką.

– Detektywi dorzucili dodatkowo jeszcze to, gdy im powiedziałem, że potrzebuję czegokolwiek na temat gadającego psa. Zdaje się, że jeden z takich psów był wpłątany w interes z jakimś brukowcem. Posłuchaj tego. Facet mieszkający w Woodnwille, stan Washington – miejsce się zgadza, prawda? – próbował ubić interes z „Okiem Hollywoodu”. Za sto tysięcy dolarów miał im pozwolić przeprowadzić wywiad z prawem wyłączności oraz urządzić sesję zdjęciową z prawdziwym gadającym psem!

– Abernathy! – wykrzyknął z miejsca Ben.

– Miles wzruszył ramionami.

– Być może.

– Czy podali imię tego psa?

– Nie. Tylko nazwisko faceta. Davis Whitsell. Jest trenerem psów i występuje z pokazami. Ale mieszka właśnie w Woodnwille, w tym samym miejscu, w którym Ard Rhi ma swoją otoczoną murem wieżę. Co o tym myślisz?

Ben pochylił się do przodu. Myśli gnały w jego głowie jak szalone.

– Myślę, że to tylko potworny zbieg okoliczności, jeśli jest tak, jak mówisz. Ale jeśli nie, to dlaczego Abernathy jest u tego Whitsella, a nie u Ard Rhi? I co my z Willow robimy tutaj? Czy możliwe, że Questor poplątał zakłęcia i wysłał nas do Nevady zamiast do stanu Washington? Cholera! Chyba powinienem być wdzięczny, że nie odstawił nas na środek Pacyfiku. – Myślał teraz na głos, a Miles wpatrywał się w niego.

Uśmiechnął się. – Nie przejmuj się, ja tylko próbuję poukładać sobie to wszystko. Odwalileś niezłą robotę, Miles. Dzięki.

Miles potrząsnął ramionami.

– Nie ma za co. A czy teraz powiesz mi, co się tutaj właściwie dzieje?

Przez moment przyglądał się bacznie swemu staremu przyjacielowi, po czym skinął głową.

– Spróbuję. Zasłużyłeś na to. Napijesz się glenliveta? Miles wypił swoją szkocką, potem drugą i jeszcze jedną w czasie, gdy Ben starał się wyjaśnić historię Abernathy'ego i zaginionego

medalionu. To, rzecz jasna, łączyło się z przedstawieniem choćby minimalnego opisu Landover, a to z kolei było okazją do zrobienia kilku innych dygresji. Ben nie powiedział wszystkiego Milesowi, zwłaszcza tego co dotyczyło niebezpieczeństwa, gdyż wiedział, że to go tylko zaniepokoi. Willow wyszła już spod prysznic i Ben zamówił obiad do pokoju.

Po jakimś czasie Miles i dziewczyna zaczęli zachowywać się w swojej obecności bardziej swobodnie, aż wreszcie zaczęli ze sobą rozmawiać jak zwykli ludzie. Wiele z tego, co jej powiedział Miles, pozostawało dla niej tajemnicą, a spora część z tego, co ona miała mu do przekazania, wprawiała go w osłupienie, a mimo to jakoś sobie radzili. Wieczór przeciągał się, większość pytań znalazła swoje odpowiedzi. Na głównej ulicy światła neonów i lamp poczęły rozjaśniać salony gier i hotele, oddzielając je wyraźnie z tła nocnego nieba.

Willow w końcu poszła do swojego łóżka i Ben został z Milesem. Nalał im obu brandy z zapasów w barku i siedzieli razem, spoglądając w okno.

– Masz się gdzie zatrzymać? – zapytał po jakimś czasie Ben. – Zapomniałem cię o to zapytać.

Miles skinął głową, wciąż zapatrzony w dal.

– Jedno lub dwa piętra pod tobą. Razem ze zwykłymi zjadaczami chleba. Zarezerwowałem pokój razem z biletem na samolot.

– Dobrze, że mi przypomniałeś. – Ben podniósł się. – Muszę zadzwonić na lotnisko w sprawie samolotu na jutro.

– Washington? Ben kiwnął głową.

– Gdzie, u licha, jest to Woodinville? – zapytał, gdy podchodził do telefonu.

– Na północ od Seattle. – Miles przeciągnął się. – Dopilnuj, żeby zrobili rezerwację dla trzech osób.

Ben zatrzymał się.

– Chwileczkę, ty nie jedziesz.

Miles wziął głęboki oddech.

– Oczywiście, że jadę. A co ty myślisz? Że zostawisz mnie w momencie, kiedy to właśnie staje się ciekawe? Poza tym ty mnie potrzebujesz. Nie masz już takich układów jak kiedyś.

A ja wciąż je mam, nie mówiąc już o kartach kredytowych i gotówce, bez których nie mógłbyś się poruszać.

Ben pokręcił głową.

– Nie wiem. To może być niebezpieczne, Miles. Kto wie, co nas może spotkać ze strony Michela Ard Rhi. Nie podoba mi się ten pomysł.

– Doktorku – przerwał mu ostro Miles. – Jadę z wami.

– Idź zadzwonić.

Ben nie miał ochoty na kłótnię. Zarezerwował miejsca na lot wczesnym rankiem liniami PSA

i powrócił na kanapę.

Miles spoglądał przez okno.

– Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i odgrywaliśmy to wszystko? Pamiętasz, jak tworzyliśmy te wszystkie bajkowe światy, aby się w nich bawić? Tak sobie myślałem, doktoru, że szczęściarz z ciebie, iż naprawdę znalazłeś swój świat.

Wszyscy inni muszą żyć w świecie, który mają. – Pokręcił głową. – Ale nie ty. Ty żyjesz w świecie, o którym inni mogą tylko marzyć.

Ben nic nie odpowiedział. Myślał o tym, w jak różny sposób oceniają sprawy. Różnica wynikała z innych rzeczywistości, w jakich żyli. Landover było jego rzeczywistością. Miles miał tylko ten świat. Pamiętał, jak zaledwie dwa lata temu rozpaczliwie pragnął dokładnie tego, co teraz posiada. Już zapomniał o tym wszystkim. Dobrze było to sobie przypomnieć jeszcze raz.

– Miałem dużo szczęścia – odezwał się w końcu.

Miles nie odpowiedział.

Siedzieli razem w ciszy, sącząc brandy i pozwalając, aby ich intymne marzenia nabierały kształtu na placu zabaw ich wyobraźni.

Z Las Vegas mieli wylecieć o 7.58 lotem numer 726. Mały odrzutowiec linii PSA w drodze na północ, do Seattle, zatrzymywał się tylko raz, w Reno. Na lotnisko przybyli za wcześnie, więc musieli koczować w pustym terminalu, aż do momentu wejścia na pokład samolotu. Tam zajęli miejsca z tyłu, aby zbytnio nie przyciągać uwagi. Ben owinął włosy Willow chustą, twarz pokrył warstwą pudru w kremie i opatulił ją od stóp do głów, zasłaniając skórę, ale i tak wyglądała jak żywy przykład wschodzącej gwiazdy z taniego kabaretu.

Nawet gorzej, była bardziej apatyczna niż kiedykolwiek.

Wydawało się, że uchodzi z niej życie i powoli opada z sił.

Kiedy poderwali się w powietrze po raz drugi, po śródlądowaniu w Reno, Miles się zdrzemnął, a ona nachyliła się do Bena i wyszeptła:

– Wiem, co mi jest, Ben. Muszę zaczerpnąć pożywienia bezpośrednio z ziemi. Muszę się przeistoczyć. Myślę, że dlatego jestem taka słaba. Przepraszam.

Kiwnął głową i przyciągnął ją do siebie. Zapomniał, że co dwadzieścia dni musi zmieniać się z istoty ludzkiej w drzewo.

Być może jego świadomość zablokowała tę informację w momencie, gdy zgodził się zabrać ją w tę podróż. Miał wtedy nadzieję, że podróż przebiegnie bez większych problemów.

Najwidoczniej jednak dwudziestodniowy cykl zatoczył nieubłaganie swoje kolejne koło. Należało umożliwić jej transformację.

Czy jednak elementy ziemi tego świata nie mogły jej zaszkodzić?

Nie miał ochoty teraz o tym myśleć. Czuł, że rodzi w nim to poczucie bezradności. Zostali tutaj schwytni w pułapkę i będą w niej tak długo, aż znajdą Abernathy'ego i odzyskają medalion.

Zaczerpnął głęboki oddech, ukrył dłoń Willow w swoich dłoniach i oparł się o siedzenie. Jeszcze tylko jeden dzień, obiecywał sobie w ciszy. Przed wieczorem będzie już na progu domu Davisa Whitsella i zakończą się jego poszukiwania.

W pokoju dziennym zadzwonił telefon. Davis Whitsell odepchnął miskę z płatkami kukurydzianymi, wstał od stołu w kuchni i pośpieszył podnieść słuchawkę. Przez szparę w uchylonych drzwiach sypialni Abernathy obserwował jego kroki. Byli sami w domu. Alice Whitsell pojechała trzy dni temu odwiedzić swoją matkę. Psy do pokazów to jedno, powiedziała przed wyjazdem gadające psy to coś zupełnie innego. Wróci dopiero wtedy, gdy pies – jeśli to w ogóle pies – zniknie.

I chyba dobrze się stało, doszedł później do wniosku Davis. Łatwiej było się skoncentrować na swoich sprawach, gdy Alice nie uruchamiała telewizora lub swoich ust.

Abernathy zupełnie nie wiedział, co Davisowi chodziło po głowie. Wiedział natomiast, że jego szanse dostania się do Wirginii nie są ani odrobinę większe niż przedtem. Mimo ciągłych zapewnień ze strony jego gospodarza, że wszystko ułoży się dobrze, stał się bardziej nieufny.

Słuchał, jak Davis podnosi słuchawkę.

– Davis Whitsell, słucham. – Nastąpiła chwila ciszy. – Witam pana, panie Stern. Eee, hm. Oczywiście. – W jego głosie słyhać było entuzjazm. – Niech pan się nie obawia! Na pewno przyjadę!

Davis odwiesił słuchawkę, zatarł energicznie dłonie, rzucił krótkie spojrzenie w kierunku sypialni Abernathy'ego znajdującej się na końcu korytarza, po czym znowu podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Abernathy cały czas stał przy drzwiach i słuchał.

– Blanche? – powiedział Whitsell do słuchawki ściszym głosem. – Poproś Alice, dobrze? – Czekał przez chwilę. Alice? Słuchaj, mam tylko chwilę. Dzwonili właśnie do mnie z „Oka Hollywoodu”! I co ty na to? „Oka Hollywoodu”! Myślałaś, że oszalałem, prawda? Sto tysięcy dolców za wywiad i kilka zdjęć! Kiedy już będzie po wszystkim, wsadzę psa do samolotu, życząc mu powodzenia i będziemy żyć jak dawniej, tyle że o wiele bogatsi i o niebo bardziej znani. „Oko” będzie miało swój wywiad, ale inne czasopisma pewnie podejmą ten temat. Będę miał więcej pracy niż czasu. Forsy będzie w bród, dziewczyno! Skończy się wreszcie liczenie i ciułanie! – Nastąpiła krótka pauza. – Jasne, że to bezpieczne! Słuchaj, muszę już jechać. Do zobaczenia za kilka dni, dobrze?

Odwiesił słuchawkę i wrócił do kuchni. Abernathy obserwował, jak płucze naczynia i wkłada

je do zlewozmywaka, potem idzie korytarzem w stronę sypialni. Abernathy zawahał się, po chwili cofnął w kierunku łóżka, położył się i próbował wyglądać, jakby dopiero co się przebudził.

Zza drzwi wychyliła się głowa Whitsella.

– Wychodzę na chwilę – oznajmił. – Facet, o którym ci opowiadałem, ten który ma nam dać resztę pieniędzy na bilet do Wirginii, czeka w motelu, aby ze mną pogadać. Potem przyjedziemy tutaj na rozmowę. Jeśli nie nawalisz, wszyscy będziemy ustawieni. Będzie lepiej, jak już zaczniesz się przygotowywać.

Abernathy zamrugał oczami i usiadł.

– Wciąż pan uważa, panie Whitsell, że to wszystko jest konieczne? Niezbyt podoba mi się pomysł, że będę musiał opowiadać o sobie i pozować do zdjęć. Wątpię, aby król... eee...

– mój przyjaciel pochwalał takie zachowanie.

– Znowu zaczynasz z tym swoim królem – warknął Whitsell. – Co to w ogóle za facet? – Potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową. Abernathy tylko na niego patrzył. – Słuchaj, jeśli nie porozmawiamy z facetem z pieniędzmi i nie pozwolimy mu zrobić kilku zdjęć, nie dostaniemy tych pieniędzy. A jeśli nie dostaniemy pieniędzy, nie będziemy cię mogli wysłać do Wirginii. Już ci wcześniej powiedziałem, że pieniądze, które dała ci Elizabeth, nie wystarczą.

Abernathy skinął głową bez przekonania. Nie był pewien, czy wciąż ma w to wierzyć.

– Ile czasu jeszcze zostało, zanim będę mógł wyjechać?

Whitsell wzruszył ramionami.

– Dzień, może dwa. Bądź cierpliwy.

Abernathy pomyślał, że już wystarczająco długo był cierpliwy, ale nie powiedział tego na głos. Zamiast tego wstał i ruszył w kierunku łazienki.

– Będę gotowy, kiedy pan wróci – obiecał.

Whitsell zostawił go samego, minął pokój dzienny, zatrzymując się na chwilę, aby czule podrapać Sophie za uchem, wyszedł przez boczne drzwi pod wiatę i wszedł do swojego starego samochodu. Abernathy śledził go wzrokiem, jak wychodzi. Wiedział, że jest wykorzystywany, ale nic nie mógł na to poradzić. Nie mógł się zwrócić do nikogo innego, ani nie miał dokąd pójść. Najlepsze rozwiązanie to czekać i mieć nadzieję, że Whitsell dotrzyma danego słowa.

Przeszedł do pokoju dziennego i wyglądał przez okno, aż samochód wyjedzie tyłem z podjazdu na ulicę.

Zupełnie nie zwrócił uwagi na czarny samochód dostawczy, zaparkowany po drugiej stronie ulicy.

Panującą ciszę zakłócało jedynie równomierne tykanie zegara, dochodzące gdzieś z końca korytarza. Abernathy stał w łazience przed lustrem i przyglądał się swemu odbiciu.

Minęły już cztery dni od jego ucieczki z Graum Wythe z rąk Michela Ard Rhi, a Landover wydawało się bardziej odległe niż kiedykolwiek dotąd. Westchnął i polizał swój nos, zastanawiając się jeszcze raz nad możliwościami wyboru. Gdyby ten cały wywiad i zdjęcia nie przyniosły efektów, będzie musiał się po prostu pożegnać z Davisem Whitsellem i ruszyć w drogę na własną rękę. Co innego miałby zrobić? Czas pracował na jego niekorzyść. Musiał znaleźć sposób, aby bezpiecznie zwrócić medalion królowi.

Wyczyścił zęby, wyczesał futro i przyglądał się sobie w lustrze jeszcze przez chwilę. Wyglądał znacznie lepiej niż po przybyciu tutaj, stwierdził. Normalne jedzenie i spanie dokonało cudów.

Mechanicznie wytarł ręcznikiem swoje łapy. Szkoda, że pani Whitsell musiała wyjechać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego była taka zła...

Zdawało mu się, że coś usłyszał i już chciał obrócić głowę.

W tym momencie poczuł na twarzy uderzenie paraliżującego środka w aerozolu. Cofnął się, chwając się i kaszląc. Na pysk zaciągnięto mu sznurek, a na głowę nasunięto worek.

Chwycono go za nogi i wyniesiono na zewnątrz. Próbował stawiać opór, ale ręce, które go trzymały, były silne i doświadczone. Słyszał głosy, przyciszone i ponaglące, a przez niewielkie rozdarcie w worku dojrzał kawałek czarnego samochodu z otwartymi tylnymi drzwiami. Wrzucono go do środka i zatrzaśnięto drzwi.

Poczuł ostre uderzenie w plecy i natychmiast pogrążył się w ciemnościach.



## PIEŚŃ MIŁOSNA

W krainie Władcy Rzek dzień właśnie ustępował miejsca wieczorowi. Czarodziejskie istoty z Elderew porzucały swoje zajęcia i zaczynały zapalać lampy wzdłuż ścieżek i alei obsadzonych drzewami, przygotowując się do nadchodzącej nocy. Pośród tych wszystkich olbrzymich, starych drzew, tworzących ich miasto i stanowiących schronienie, panowało niezwykle ożywienie. Mieszkańcy biegali po konarach i gałęziach, w górę i w dół między równomiernie wydłużającymi się cieniami i wśród gęstniejącej mgły. Elfy, nimfy, kelpy, najady, chochliki, duszki wszelkich kształtów i form, istoty z zaczarowanego świata otaczającego dolinę Landover. Wśród nich były zarówno te, które zostały skazane na wygnanie, jak i te, które same uciekły od życia nie dającego im zadowolenia, choć przecież ich życie trwało już wieczność.

Władca Rzek stał na skraju parku, za którym rozciągało się jego ukryte leśne miasto i dumiał nad utraconym rajem.

Był wysokim, szczupłym elfem o chropawej skórze srebrnego koloru, ubranym w powłóczyście szaty zielonej barwy lasu.

Gdy oddychał, skrzela po bokach jego szyi lekko się poruszały. Jego głowę i przedramiona porastały gęste, czarne włosy, a w dziwnej, jakby kwadratowej głowie zagłębione były oczy o stanowczym i przenikliwym spojrzeniu. Przybył do Landover na samym początku istnienia tej krainy, przyprowadzając tu swoich ludzi, dobrowolnych uchodźców, którzy na zawsze opuszczali zaczarowane mgły. Będąc teraz istotą śmiertelną – w znaczeniu, które było mu obce w poprzednim życiu – żył w zaciszu krainy jezior i pracował nad tym, aby zapewnić czystość i bezpieczeństwo swojej ziemi, wodzie, powietrzu i wszystkim formom życia. Był elfem mającym moc uzdrawiania, zdolnym przywracać życie, które zostało skradzione. Niektórych ran nie dało się jednak wyleczyć; nieodwracalna utrata domu rodzinnego była blizną, której się nigdy nie pozbył.

Ruszył w stronę miasta, czując obecność strażników podążających za nim w odległości, która zapewniała mu trochę prywatności. Spośród ośmiu księżyców Landover pięć migotało jasnym światłem na tle czarnego, nocnego nieba – fiołkoworóżowy, brzoskwiniowy, zielonkawy, ciemnoróżowy i biały.

– Utracony raj – wyszeptał, wciąż powracając wspomnieniami do krainy zaczarowanych mgieł. Rozejrzył się dokoła. – Ale zarazem i odzyskany.

Kochał krainę jezior. Była duszą i sercem jego ludzi, uciekinierów i tułaczy, którzy związali z nim swoje losy, aby zacząć od nowa, aby odkryć i zbudować dla siebie i swoich dzieci zwyczajny świat, świat bez absolutów, świat, którego nie mogli znaleźć pośród mgieł. Elderew leżało skryte pomiędzy moczarami, głęboko w szeroko rozrośniętym labiryncie lasów i jezior, ukryte tak sprytnie, że nikt nie mógł do niego wejść i wyjść bez pomocy jego mieszkańców. Ci,

którzy samowolnie podjęli próbę, zniknęli na zawsze w bagnach. Elderew było azyłem chroniącym ich przed szaleństwem tych mieszkańców doliny, którzy nie potrafili docenić wartości życia: baronów Greensward, trolli i gnomów z gór, a także potworów wyciągniętych z krainy czarów, które toczyły trwające od tysiąclecia wojny. Niszczenie ziemi i lekceważenie jej praw było wypisane na sztandarach tych istot. Lecz tutaj, w sanktuarium Władcy Rzek, panował pokój.

Patrzył na formującą się przed nim, na skraju lasu, taneczną procesję, korowód dzieci ozdobionych kwiatami i błyszczącymi materiałami, niosących w dłoniach świece. Śpiewający korowód wił się wzdłuż ścieżek, płasem pokonywał mosty na kanałach, toczył poprzez ogrody i żywoploty. Władca patrzył na to wszystko i uśmiechał się rozradowany.

Sytuacja ziem otaczających krainę jezior przedstawiała się teraz lepiej niż przed przybyciem Bena Holidaya, pomyślał.

Władca Landover wiele dokonał, aby zmniejszyć różnice dzielące zasadniczo odmienne ludy zamieszkujące dolinę. Zrobił też wiele w kierunku ochrony natury i zachowania życia.

Holiday, tak jak Władca Rzek, zdawał sobie sprawę, że natura stanowi jedną całość ściśle z sobą powiązanych elementów i jeśli jeden węzeł zostanie przecięty, pozostałe części również staną w obliczu zagrożenia.

Willow – jego dziecko – odeszła z Benem, dokonując wyboru, zgodnie ze starym zwyczajem sylfid; odczytała przeznaczenie utkane w trawach, na których leżeli rodzice w momencie jej poczęcia. Willow wierzyła w Bena Holidaya. Władca Rzek szczerze zazdrościł jej tej wiary.

Wciągnął głęboko nocne powietrze. Nie znaczy to, że jego opinie teraz miały duże znaczenie dla króla. Holiday był wciąż zły na niego za to, że przed kilkoma miesiącami próbował pochwycić czarnego jednorożca i ujarzmić go. Nie był w stanie pogodzić się z tym, że moc czarodziejska jest atrybutem jedynie istot czarodziejskich, bo tylko one potrafią zrobić z niej dobry użytek.

Pokręcił głową. Ben Holiday był dobrym władcą dla Landover, ale musiał się jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

Niewielkie poruszenie z lewej strony kazało mu wrócić do rzeczywistości. Widzowie przyglądający się dziecięcym tańcom rozstąpili się pośpiesznie, gdy dwóch bagiennych wartowników wyszło majestatycznym krokiem z mroku nizinnych mgieł, prowadząc niezwykle przestraszoną istotę. Weterani wielu bitew, duchy drzew o twarzach pooranych bliznami i nieruchomych jak kamień, mimo wszystko zachowywali pewną odległość od prowadzonej przez nich istoty. Straż przyboczna natychmiast zaczęła otaczać Władcę Rzek ściślejszym pierścieniem, ale ten powstrzymał ich ruchem dłoni. Niedobrze jest okazywać strach. Pozostał na swoim miejscu i pozwolił się zbliżyć nieznannej istocie.

Stworzenie to zwane było cieniem. Był to duch, którego fizyczne ja zostało za karę

zniszczone w jakimś momencie jego egzystencji. Musiał popełnić niewymownie podły uczynek, a ponieważ nie umarł, mógł żyć jedynie pod postacią ducha. Ten żalony żywot został skazany na wieczny niebyt.

Swoje życie może zachować jedynie w miejscach ocienionych i ciemnych, nigdy w świetle. Odmówiono mu jego ciała, więc nie posiada prawdziwego oblicza. Jeśli kiedykolwiek miał jakoweś, to tworzył je na siłę, wykorzystując resztki ze swoich łowów lub to, co pozostało z jego ofiar. Był demonem, który kradł życie innych, ograbiał konających i przegranych, aby móc przeżyć, tak jak to robią padlinozercy. W dolinie zostało już niewiele szkaradzeństw tego rodzaju. Większość przypadła wraz z odejściem minionych wieków.

Ten był szczególnie obrzydliwym przedstawicielem swego gatunku, pomyślał ponuro Władca Rzek.

Cień podszedł do niego na krzywych, wypaczonych nogach, które mogły należeć do starego trolla. Jego ręce były członkami jakiegoś zwierzęcia, a tors musiał należeć do człowieka. Miał dłonie i stopy gнома, palce dziecka, a twarz była kombinacją wielu zmasakrowanych fragmentów ciała.

W jednej ręce trzymał stary worek z materiału.

Uśmiechnął się, a jego usta się wykrzywiły, jakby zaraz miały wydać bezgłośny krzyk.

– Panie, Władco Rzek – powiedział. Jego głos odbijał echo pustych jaskiń. Pokłonił się, chytrze spoglądając na gospodarza.

– Przyszedł do nas nie proszony – jeden z wartowników poinformował sarkastycznie Władcę Rzek.

Władca ludów z krainy jezior skłonił głowę.

– Po co przyszedłeś? – zapytał demona.

Cień wyprostował się, chwiejąc niepewnie na nogach.

Światło przeszło przez jego nieszczęsne ciało, prześwietlając postrzępione stawy.

– Aby zaproponować prezent i poprosić o coś.

– Znalazłeś do nas drogę, znajdziesz i wyjście. – Twarz Władcy Rzek była nieruchoma jak kamień. – Życie będzie moim prezentem dla ciebie. Uwolnienie mnie od twojej obecności będzie twoim prezentem dla mnie.

– Śmierć byłaby lepszym darem – wyszeptał cień, a w jego oczach odbiło się dalekie światło świec. Odwrócił się i spojrzał tam, gdzie wciąż tańczyły dzieci, oblizując językiem wargi. – Przyjrzyj mi się, Władco Rzek. Czy kiedykolwiek i gdziekolwiek na świecie istniała istota bardziej żalona niż ja?

Władca Rzek nie odpowiadał, czekał. Puste spojrzenie demona znów przeniosło się na niego.

– Chciałbym ci coś opowiedzieć i proszę cię tylko, abyś tego wysłuchał, nic więcej. To nie zajmie wiele czasu, a może cię zainteresować, panie. Wysłuchasz mnie?

Władca Rzek już miał odpowiedzieć „nie”. Istota była tak odpychająca, że z trudem mógł wytrzymać jej obecność. Nagle coś sprawiło, że ustąpił.

– Mów – rozkazał znudzonym głosem.

– Mijają dwa lata, jak mieszkam w ciasnych i ciemnych zakamarkach zamku Rhyndweir – rzekł cię, postępując krok do przodu. Jego głos był tak cichy, że tylko Władca Rzek mógł go słyszeć. – Żywiłem się nieszczęśnikami, których pan tego zamku wrzucał do wieży oraz tymi biedakami, którzy się zabłąkali w miejsca zbyt oddalone od światła. Obserwowałem i uczyłem się wiele. Ostatniej nocy, zupełnie wycieńczony troll przyniósł skarb, który chciał sprzedać władcy Rhyndweir, skarb o właściwościach tak cudownych, że przewyższały wszystko, co do tej pory widziałem! Władca Rhyndweir wziął skarb od trolla, a jego samego kazał zgładzić. Ja z kolei zabrałem go Władcy Rhyndweir.

– Kallendbor – powiedział z niesmakiem Władca Rzek. Nie darzył zbyt wielkim uczuciem żadnego z władców Greensward, a zwłaszcza Kallendbora.

– Skradłem to z jego sanktuarium, gdy spał, ukradłem to spod nosa jego straży, bo mimo wszystko to są tylko ludzie.

– Chcę ci to dać w zamian za prezent od ciebie!

Władca Rzek przemógł odrazę, jaka nim wstrząsnęła, gdy demon zaśmiał się głucho.

– Co to za prezent?

– Oto on! – powiedział cię i wyciągnął z worka, który trzymał w wysuszonej różowej dłoni, białą butelkę z tańczącymi czerwonymi klaunami.

– Och, nie! – zawołał Władca Rzek, rozpoznając przedmiot. – Znam ten prezent bardzo dobrze, cieniu. To nie jest żaden prezent! To przekleństwo! To jest butelka Mrocziaka!

W rzeczy samej, panie – powiedział tamten, podchodząc coraz bliżej, aż Władca Rzek poczuł jego ciepły oddech na swojej skórze. – Niemniej to jest prezent! Może dać właścicielowi butelki...

– Wszystko! – dokończył Władca Rzek, odsuwając się wbrew wcześniejszemu postanowieniu. – Ale magia, którą uruchamia, jest najgorszego gatunku!

– Nic mnie nie obchodzi dobro i zło – powiedział demon. – Mnie obchodzi tylko jedno. Posłuchaj mnie, panie.

– Ukradłem tę butelkę i przyniosłem tu. Nie dbam o to, co z nią zrobisz. Zniszcz ją, jeśli taka twoja wola. Lecz najpierw pomóż mnie! – Jego głos był sykiem rozpacz. – Chcę powrócić do mojego dawnego kształtu!

Władca Rzek wytrzeszczył oczy.

– Powrócić? Do tego, czym byłeś kiedyś?

– Właśnie! Tylko tyle! Spójrz na mnie! Nie mogę już dłużej znieść samego siebie! Żyłem całą wieczność w niebycie, będąc cieniem, padlinożercą, cierpiąc, ponieważ nie dano mi innego

wyboru! Kradłem życie zewsząd, zabierałem je każdej istocie! Mam już dość! Chcę odzyskać samego siebie i żyć własnym życiem!

Władca Rzek zmarszczył czoło.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Abyś użył butelki i mi pomógł!

– Za pomocą butelki? Dlaczego nie użyjesz jej sam? Przecież wiesz, że butelka może dać właścicielowi wszystko, czego zażąda?

Demon próbował płakać, ale w zmasakrowanym ciele nie było łez.

– Panie, ja sam niczego nie mogę dać! Nie mogę wykorzystać butelki! Nie posiadam jestestwa i nie mogę przywoływać czarów! Z trudem... jestem tutaj! Jestem tylko cieniem! Magia całego świata jest bezużyteczna dla mnie! Spójrz na mnie! Jestem bezradny!

Władca Rzek wpatrywał się w cień z nowo odkrytym przerażeniem, po raz pierwszy widząc całą nędzę jego egzystencji.

– Proszę! – błagał, padając na kolana. – Pomóż mi! Władca Rzek wahał się, lecz po chwili wziął worek z wyciągniętej dłoni stworzenia.

– Zastanowię się – powiedział. Dał znak strażom. – Poczekaj tutaj, gdy ja będę podejmował decyzję. I uważaj, aby żadnemu z moich ludzi nie spadł włos z głowy, bo inaczej decyzja zapadnie bez mojego udziału.

Odszedł kawałek, trzymając luźno worek, zwolnił i obejrzał się. Cień przykucnął na ziemi niczym bezwładna masa i obserwował go. Nie miał mocy uzdrawiania takich istot, pomyślał ze znużeniem. Nawet gdyby magiczna moc butelki dała mu taką siłę, to czy miał prawo ją wypróbować?

Obrócił się energicznie i odszedł. Opuścił park i zwrócił się w kierunku miasta, mijając tancerzy i uczestników zabawy. Szedł ścieżkami wzdłuż kolejnych ogrodów, zagubiony w jałowym krajobrazie własnych myśli. Znał moc Mroczniaka. Wiedział o jego sile już wiele lat temu. Pamiętał, do czego była wykorzystana przez nierozważnego syna starego króla i przez ponurego czarodzieja Meeksa. Poznał sposób, w jaki tego typu magiczna moc potrafi tkać jasnokolorowe wstążki wokół swego właściciela i nagle zmienić je w łańcuchy.

Im większa siła, tym większe ryzyko, upomniał samego siebie.

A moc taka jak ta, może dokonać prawie wszystkiego.

Dotarł do granic miasta, zanim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Zatrzymał się, obejrzał szybko, szukając wzrokiem straży. Szli za nim w odpowiedniej odległości, ale zaraz ich odprawił. Chciał zostać sam. Strażnicy zawahali się, po czym odeszli.

Władca Rzek szedł dalej. Co powinien zrobić? Butelka stałaby się jego własnością, gdyby się zdecydował pomóc cieniowi. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może sobie po prostu zatrzymać butelkę, a demona odesłać z kwitkiem. Nie był taki. Albo zatrzyma butelkę i pomoże

cieniowi, tak jak prosił, albo odda butelkę i odprawi tę nieszczęsną istotę. Jeśli ma wybrać to drugie, nie ma się już dłużej nad czym zastanawiać. Jeśli ma wybrać pierwsze rozwiązanie, musi zdecydować, czy może skorzystać z mocy magicznej, aby pomóc demonowi, a może i w jakiś sposób samemu sobie, nie stając się ofiarą tej mocy.

Czy mógłby tego dokonać?

Czy ktokolwiek mógłby?

Zatrzymał się na polanie otoczonej bonnie blues, które wyrastały sześć metrów ponad nim i zasłaniały nocne niebo ciemną pajęczyną lazurowego jedwabiu. Dochodziły do niego słabe odgłosy miasta – śmiech, śpiewy, muzyka i tańce dzieci. Stare sosny były już prawie w zasięgu ręki – gaj, w którym leśne nimfy tańczyły o północy, miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkał matkę Willow...

Myśl oddaliła się w zalewie gorzkich wspomnień. Ile to już czasu? Jak długo jej nie widział? Wciąż stała mu wyraźnie przed oczami, mimo że był z nią tylko tej jednej nocy i leżał z nią tylko ten jeden raz. Była muzą, która wciąż torturowała jego duszę, cudowną, bezimienną istotą, leśną nimfą tak dziką, że nigdy nie mógł mieć nadziei, iż ją kiedykolwiek posiadzie, choćby tylko na jeszcze jedną noc...

Wtedy właśnie pojawiła się ta myśl – pochłonał go projekt tak mroczny, jak ocean lodowatej wody.

– Nie! – wyszeptał z przerażeniem.

Ale dlaczegoż by nie? Spojrzał nagle w dół na worek zawierający magiczną butelkę, butelkę, która mogła mu dać wszystko.

Butelkę należy sprawdzić. Musi wiedzieć, czy może nad nią zapanować. Przekona się, czy będzie mógł pomóc cieniowi za jej pomocą, czy też jej moc magiczna jest zbyt wielka, aby nad nią zapanować. Nic się nie stanie, jeśli pozwoli sobie na tak niewiele, tylko ten jeden raz.

Dlaczego miałby nie poprosić Mroczniaka, aby sprowadził mu matkę Willow?

W jednej chwili robiło mu się gorąco i zimno. Rozpalała go myśl o jej pojawieniu się po tak długiej nieobecności, a mroziła perspektywa użycia w ten sposób mocy magicznej. Och, pożądanie było jednak o wiele silniejsze! Tęsknił za nimfą tak jak za niczym w swoim życiu. Niczego bardziej mu nie brakowało niż tego, co ona mogła mu ofiarować...

– Muszę spróbować! – wyszeptał nagle.

Szedł szybko przez las, obok wielkich, milczących drzew, gdzie tylko dźwięki nocy mogły do niego dotrzeć, aż dotarł do gaju starych sosen. Spokój był przenikliwy, a w głowie wciąż dźwięczał mu dziecięcy śmiech i kolejny raz pojawił się obraz tańczącej matki Willow.

Nie będzie prosił o wiele, powiedział nagle. Poprosi tylko, aby jeszcze raz dla niego zatańczyła, tylko zatańczyła.

Potrzeba sprowadzenia jej tutaj była bardzo silna. Postawił worek na ziemi i wyjął jaskrawo

pomalowaną butelkę.

Czerwone arlekiny migotały w świetle księżycy jak rysunki wykonane krwią.

Pośpiesznie wyciągnął korek.

Mrocznik wypętlzył na zewnątrz niczym jakiś obrzydliwy owad.

– Och, jakże słodkie są twe marzenia, panie! – wysyczał i zaczął wić się na krawędzi butelki jak opętany. – Słodkie tęsknoty, które muszą zostać zaspokojone!

– Potrafisz czytać w moich myślach? – zapytał elf i zląkł się.

– Potrafię czytać w twojej duszy, panie – wyszeptało czarne stworzenie. – Widzę głębię i rozmiar twojej namiętności! Pozwól mi ją zaspokoić, panie! Dam ci to, czego pragniesz!

Władca Rzek wahał się. Nie mógł opanować trzepotania blaszek skrzeli na swojej szyi, a jego oddech brzmiał mu w uszach niczym chrapanie. To jest złe, pomyślał nagle. To był błąd! Ta magia jest za bardzo...

Wtedy demon skoczył na równe nogi i przeplatając palcami w powietrzu, wyczarował znikąd zjawę matki Willow.

Jej miniatura tańczyła w chmurze srebra, twarz miała tak śliczną jak we wspomnieniach Władcy Rzek. Jej taniec był cudem, który przekraczał wszelkie miary rozumu. Zakręciła się, zawirowała i zniknęła.

Cichy śmiech Mrocznika był pełen obaw.

– Czy chciałbyś mieć ją całą? – zapytał łagodnie. – Z krwi i kości?

Władca Rzek stał sparaliżowany.

– Tak, chcę! – wyszeptał w końcu. – Sprowadź ją! Niech zobaczę jej taniec!

Mrocznik pognął przed siebie i zniknął z widoku jak jeden z cieni nocy umykający przed światłem dnia. Elf stał w gaju starych sosen i słuchał dziecięcej muzyki, żywych, dźwięków tańca. Jego srebrna skóra połyskiwała, a surowe, nieruchome oczy ożyły nagle oczekiwaniem.

Jeszcze raz zobaczyć, jak tańczy, ujrzeć ją ten jeden jedyny raz...

Wtem, z prędkością myśli, znowu pojawił się Mrocznik.

Wciąż płasając, przedostał się przez pierścień sosen na polanę, śmiejąc się piskliwie i niespokojnie. W rękach trzymał sznury czerwonego ognia i pociągał za nie jakby to były smycze na pokazie psów.

Do drugiego końca sznurów była przymocowana matka Willow.

Pojawiła się w pełnym świetle jak pies przywołany poleceniem swego pana. Sznury czerwonego ognia były zaciśnięte wokół jej nadgarstków i kostek, a cała jej szczupła postać trzęsła się jakby z zimna. Była urocza, taka mała i lekka, znacznie bardziej żywa niż blade wspomnienie, którego Władca Rzek wciąż strzegł w głębiach swojej pamięci. Długie, srebrne włosy opadały jej do pasa, migotały i połyskiwały przy każdym ruchu jej drobnych kończyn. Miała bladozieloną skórę, podobnie jak Willow, oraz dziecięcą twarz. Ciało jej okrywała suknia

z białej mgły, a talię miała opasaną srebrną wstążką. Stała tak, wpatrując się w niego oczami pełnymi strachu.

Władca Rzek zdawał się nie dostrzegać tego strachu. Widział jedynie piękno, o którym śnił przez wszystkie te lata, a które w końcu ożyło.

– Pozwól jej zatańczyć! – wyszeptał.

Mroczniak zasyczał i szarpnął za sznury, lecz przerażona nimfa leśna tylko przycupnęła przy ziemi i skryła swoją twarz w ramionach. Zaczęła lamentować. Jej płacz był cichy, pełen strachu, swym brzmieniem przypominał ptaka.

– Nie! – krzyknął gniewnie Władca Rzek. – Chcę, żeby tańczyła, a nie płakała, jakby ją ktoś bił.

– Oczywiście, panie! – powiedział Mroczniak. – Potrzebuje jednak do tego pieśni miłosnej!

Demon zasyczał kolejny raz i zaczął śpiewać, jeśli to w ogóle można było nazwać śpiewem. Jego głos był ochryplym, zgrzytliwym zawodzeniem, na którego dźwięk Władca Rzek wzdrygnął się, a matka Willow skoczyła na równe nogi jak opętana. Sznury czerwonego ognia opadły i leśna nimfa stała już wolna. Nie do końca jednak, bowiem głos demona obezwładniał ją równie mocno jak żelazne łańcuchy.

Unosił ją do góry i poruszał jak kukiełką, zmuszając do tańca, zniewalając ją do wykonywania ruchów w rytm muzyki. Kręciła się i wirowała po całej polanie, ale jakoś bezdusznie i mechanicznie. Tańczyła, lecz ten taniec nie był tańcem piękna, lecz jedynie wymuszonego ruchu. Tańczyła, a w czasie tańca strumienie łez ściekały w dół jej dziecięcej twarzy.

Władca Rzek stał przerażony.

– Pozwól jej samej tańczyć! – zawołał z wściekłością.

Mroczniak niezadowolony spojrzał na niego czerwonymi jak krew oczami, syknął z nienawiścią i zmienił formę swojej pieśni na coś tak niewymownego, że Władca Rzek na jej dźwięk opadł na kolana. Matka Willow tańczyła teraz szybciej, a prędkość ruchów ukrywała jej brak kontroli nad samą sobą. Gdy tak szaleńczo i bezradnie wirowała przez noc, była tylko plamą białego oparu i srebrnych włosów.

Nagle Władca Rzek uświadomił sobie, że w ten sposób niszczy ona samą siebie! Ten taniec ją zabija!

Tańczyła dalej, a Władca Rzek na to patrzył, bezradny, nie mogąc nic zrobić. Wyglądało na to, że magia również i jego obezwładniła. Czary objęły go i uniosły, a siła, którą wyzwały, nappełniła go szczególnym zadowoleniem. Zdał sobie sprawę z potworności dziejących się tutaj wydarzeń, ale nie mógł się od nich uwolnić. Chciał, aby taniec trwał. Chciał, aby obraz pozostał.

Wtem nagle zaczął krzyczeć, nie wiedząc jak i dlaczego:

– Dość! Dość!



Mroczniak urwał gwałtownie swoją pieśń i matka Willow upadła na poszycie lasu. Władca Rzek upuścił butelkę, rzucił się do miejsca, gdzie leżała, podniósł ją delikatnie na rękach i, widząc skrajne wyczerpanie na jej twarzy, skulił się boleśnie. Nie była już tym obrazem, który pamiętał. Wyglądała jak zbite zwierzę. Obrócił się w stronę Mroczniaka.

– Powiedziałaś „pieśń miłosna”, demonie! Mroczniak skoczył na porzuconą butelkę i przysiadł na niej.

– Zaśpiewałem „pieśń miłosną”, która była w twoim sercu, panie! – wyszeptał.

Władca Rzek znieruchomiał. Wiedział, że to prawda. To jego pieśń śpiewał Mroczniak, pieśń zrodzoną z egoizmu i braku poszanowania dla innych, pieśń, której brakowało nawet pozorów prawdziwej miłości. Chciał, aby jego kamienna twarz stężała jeszcze bardziej i ukryła prawdziwy ból.

Matka Willow poruszyła się w jego ramionach, powieki zamrugały, oczy otworzyły się i z miejsca powróciła do nich trwoga.

– Ciii – powiedział szybko. – Nikt już nie będzie cię krzywdził. Będiesz mogła odejść. – Wahał się przez moment, po czym z całych sił przytulił ją do siebie. – Przepraszam – wyszeptał.

Pragnął jej w tej chwili tak bardzo, że z trudem mógł wypowiedzieć słowa, które miały ją uwolnić, jednak przerażenie na myśl, co jej tutaj wyrządzono, zmusiła go do wymówienia tych słów. Widział, jak wyraźnie opada z niej strach, a łzy znowu napływają do oczu. Poglaskał ją delikatnie, poczekał aż jej wrócić siły, po czym pomógł jej wstać. Patrzyła na niego przez krótką chwilę, z bólem spojrzała przez jego ramię na stworzenie przycupnięte na krawędzi butelki, po czym zakreśliła się i pomknęła do lasu niczym wystraszona łania.

Władca Rzek wpatrywał się wciąż w miejsce, w którym zniknęła, widząc jedynie drzewa i cienie, czując wokół siebie pustkę nocy. Czuł, że tym razem stracił ją na zawsze. Obrócił się.

– Wracaj do butelki – powiedział miękko do demona.

Mroczniak zniknął posłusznie z widoku i elf wetknął korek na miejsce. Stał przez chwilę, patrząc na butelkę i zauważył, że cały się trzęsie. Wcisnął butelkę do worka i dostojnym krokiem opuścił polanę, kierując się w stronę miasta. Dźwięki muzyki i tańców stawały się z każdym krokiem wyraźniejsze, lecz uczucie radości wywołane przez nie wcześniej zupełnie zniknęło.

Przeszedł przez oświetlone pochodniami mosty, dalej ścieżkami i ogrodowymi alejami, czując wagę worka i jego zawartości, jak gdyby dźwigał ciężar swojej winy. W końcu wszedł do parku.

Cień siedział na trawie w tym samym miejscu, w którym go zostawił, z martwymi oczami utkwionymi w pustkę. Podniósł się, widząc zbliżającego się Władcę Rzek, jego ruchy wyraźnie zdradzały niecierpliwość. Biedna dusza, pomyślał Władca Rzek i nagle zdumiał się, ile miał współczucia dla tego demona.

Podszedł do cienia i stał tak przez moment, przyglądając się istocie. Potem oddał mu worek

z butelką.

– Nie mogę ci pomóc – powiedział miękko. – Nie mogę posłużyć się magią.

– Jak to nie możesz?

– Jest zbyt niebezpieczna dla mnie, dla każdego z nas.

– Władco Rzek, błagam... – jęknął demon.

– Posłuchaj mnie – przerwał mu uprzejmie. – Weź ten worek i wrzuc go w najgłębsze bagno, jakie tylko ci się uda znaleźć na moczarach. Tak się tego pozbądź, aby nigdy nie można było go znaleźć. Kiedy już z tym skończysz, wróc do mnie, a ja zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł, używając mocy uzdrawiających pochodzących od ludzi z krainy jezior.

Cień nagle drgnął.

– Ale czy możesz przywrócić mnie do dawnej postaci?! – krzyknął przenikliwie. – Czy możesz tego dokonać swoimi siłami?

Władca Rzek pokręcił głową.

– Raczej nie. Nie do końca. Myślę, że nikt tego nie potrafi.

Cień zawył jak ugryziony, wyrwał worek z butelką z jego rąk i bez słowa zniknął w mroku.

Przez moment Władca Rzek zastanawiał się, czy nie kazać go ścigać, ale zaraz zmienił zdanie. Nie podobało mu się, że butelka może wpaść w inne, mniej pożądne ręce, ale nie miał przecież prawa w to ingerować. Mimo wszystko cień przyszedł do niego z własnej woli. Trzeba mu pozwolić odejść w ten sam sposób. Nie miał zresztą dokąd biec. Nie było nikogo innego, kto zechciałby mu pomóc. Inne istoty przeraziłyby się, widząc go. A nie mógł użyć magii butelki, więc dla niego była bezużyteczna. Pewnie przemyśli dobrze całą sprawę i zrobi tak, jak mu proponowałem, myślał. Wrzuci butelkę wraz z jej demonem do bagna.

Myśli zaczęły mu się wypełniać obrazami tego, co zrobił dzisiaj. Umysł nawiedzały wspomnienia matki Willow do tego stopnia, że zapomniał o cieniu.

Przyjdzie mu jeszcze żałować, że nie przemyślał tej sprawy dokładniej.

Cień uciekał całą noc na północ, omijając bagienne lasy krainy jezior, kierując się w stronę zalesionych wzgórz otaczających Sterling Silver i dalej naprzód w kierunku ściany gór. Najpierw biegł bez celu, uciekając przed rozpaczą i rozczarowaniem, potem odkrył dość nieoczekiwanie cel, którego mu brakowało i pobiegł ku swojej obietnicy. Pędził z jednego końca doliny na drugi, z południa krainy jezior na północ, w kierunku wzgórz Melchoru. Demon był szybki jak myśl, chyży jak kobold Bunion, i błyskawicznie przenosił się z miejsca na miejsce.

Gdy nadszedł świt znalazł się na obrzeżu Wielkiej Czeluści.

– Nocny Cień mi pomoże – rzucił z siebie w ciemność.

Ruszył z boczem w dół kotliny, przedzierając się szybko przez poszycie lasu między skałami, mocno trzymając w jednej dłoni worek z cenną butelką. Zza krawędzi gór poczęło się wynurzać

światło, srebrne odpryski blasku, który się wydłużał w pogoni za cieniami. Demon nie zatrzymywał się.

Kiedy w końcu się znalazł na dnie kotliny, pośród płataniny drzew, zarośli, bagien i trzęsawisk, Nocny Cień już na niego czekała. Pojawiła się przed nim znikąd, jej wysoka, groźna postać wyrosła z cieni niczym widmo. Czarne szaty surowo odcinały się od białej skóry, a biała smuga rozdzielająca jej kruczce włosy, zdawała się prawie srebrna.

Zielone oczy beznamiętnie badały demona.

– Co cię do mnie sprowadza, cieniu? – zapytała wiedźma.

– Pani, przynoszę ci dar, który chcę wymienić na inny – powiedział płaczącym głosem demon, padając na kolana. – Przynoszę czary, które...

– Daj mi to – rozkazała łagodnie.

Podał jej posłusznie worek, nie będąc w stanie oprzeć się jej poleceniu. Wzięła go, otworzyła i wyciągnęła butelkę.

– Och! – westchnęła, rozpoznając przedmiot. Przez moment obejmowała z czułością butelkę, po czym ponownie spojrzała na cień. – Jakiego prezentu ode mnie oczekujesz? – zapytała.

– Przywróć mi moje prawdziwe ja! – wykrzyknął szybko demon. – Spraw, abym był tym, kim byłem kiedyś!

Nocny Cień uśmiechnęła się chytrze.

– Ależ demonie, prosisz o coś bardzo prostego. Byłeś tym, kim my wszyscy kiedyś byliśmy. – Nachyliła się i delikatnie dotknęła jego twarzy. – Niczym.

Błysnęło czerwone światło i cień zniknął. Na jego miejscu siedziała olbrzymia ważka. Owad bzyknął i robiąc pętlę, oddalił się jak oszalały. Pomknął z całym pędem nad trzęsawiska. Nagle coś wielkiego wyskoczyło z mułu, kłapnęło zębami i już było po nim.

Nocny Cień uśmiechnęła się szerzej.

– Co za nierozsądne życzenie – szepnęła.

Przeniosła spojrzenie w inną stronę. Na wschodzie, wysoko nad głową, trysnęło światło słoneczne. Zaczynał się nowy dzień.

Odwróciła się z butelką ukrytą w ramionach, gotowa na powitanie poranka.

## UTRACONE – ODZYSKANE

Ben Holiday wjechał wypożyczonym samochodem na podjazd posesji 2986 przy ulicy Forest Park, zatrzymał się, wyłączył silnik i zaciągnął hamulec. Przez chwilę patrzył na Milesa, który się niecierpliwił, chcąc zobaczyć finał całej sprawy, potem spojrzał na Willow próbującą się uśmiechnąć poprzez maskę zmęczenia i bólu widoczną na jej twarzy. Ben odpowiedział uśmiechem. Przychodziło mu to jednak z coraz większym trudem.

Wysiedli z samochodu, weszli na werandę małego, schludnego domu w wiejskim stylu i zapukali do drzwi. Ben niespokojnie przestępował z nogi na nogę. W uszach słyszał tętno pulsującej krwi.

Drzwi się otworzyły i ujrzeli kościstego, brodatego mężczyznę o zapadniętych oczach i nieufnym spojrzeniu. W dłoni trzymał puszkę piwa.

– Czego chcecie? – Utkwił wzrok w Willow.

– Czy pan Davis Whitsell? – zapytał Ben.

– Uhm – w głosie Whitsella mieszał się lęk z podejrzliwością. Nie mógł oderwać wzroku raz utkwionego w sylfidzie.

– Czy to pan jest właścicielem gadającego psa? Whitsell wciąż się na nią gapił.

– Czy to pan dzwonił do „Oka Hollywoodu”? – dopytywał się Ben.

Willow uśmiechnęła się. Davis Whitsell z trudem oderwał wreszcie od niej wzrok.

– Jesteście z „Oka”? – zapytał ostrożnie.

– Miles pokręcił głową.

– Niestety, panie Whitsell. Jesteśmy z...

Reprezentujemy inną firmę – przerwał szybko Ben. Szybkim spojrzeniem ogarnął opustoszałe sąsiedztwo. – Czy moglibyśmy wejść i porozmawiać? Whitsell wahał się.

– Nie mam raczej...

– Mogłby pan w ten sposób dokończyć swoje piwo – wtrącił się Ben. – Poza tym ta dama miałaby okazję przez chwilę odpocząć. Nie czuje się zbyt dobrze.

– Ja już nie mam tego psa – powiedział nagle Whitsell.

Ben spojrzał na swoich towarzyszy. Nie byli w stanie ukryć zawodu, jaki przeżywali.

– Czy mimo wszystko wpuści nas pan do środka, panie Whitsell? – zapytał spokojnie.

Ben myślał, że odmówi, że zamknie drzwi i pozbędzie się ich. Nagle coś spowodowało, że zmienił zdanie. Skinął głową i bez słowa usunął się z przejścia.

Kiedy weszli do środka, zamknął za nimi drzwi, wszedł do pokoju i usiadł w wytartym fotelu. W domu panowała cisza i mrok. Zasłony były zaciągnięte. Było słychać jedynie tykanie starego zegara dochodzące z przedpokoju. Ben i jego towarzysze siedli razem na kanapie. Whitsell pociągnął spory łyk piwa i popatrzył na nich.

– Już wam powiedziałem, że tu go nie ma – powtórzył.

– Ben z Milesem wymienili krótkie spojrzenie.

– Dokąd poszedł? – zapytał Ben.

Whitsell wzruszył ramionami, starając się tym samym podkreślić swoją obojętność dla sprawy.

– Nie wiem.

– Nie wie pan? To znaczy, że sobie po prostu poszedł?

– Tak jakby. Zresztą, co to za różnica? – Whitsell pochylił się do przodu. – Kim wy w ogóle jesteście? Kogo reprezentujecie? Jakaś gazetę czy co?

Ben wziął głęboki oddech.

– Zanim panu odpowiem, panie Whitsell, musi pan najpierw mi coś powiedzieć. Muszę wiedzieć, czy mówimy o tym samym psie. My szukamy wyjątkowego psa, psa, który naprawdę potrafi mówić. Czy ten pies, który był u pana, mówił, tak jak ja i pan?

W oczach Whitsella pojawiło się przerażenie.

– Nie mam ochoty ciągnąć tego dalej – powiedział niespodziewanie. – Myślę, że powinniście już iść.

Nikt się nie ruszył. Willow nie zwracała na niego zbyt dużej uwagi. Wydawała dziwny, jakby ptasi dźwięk, którego Ben nigdy dotąd nie słyszał. Dźwięk, na którego odgłos mały pudel wyszedł spod kanapy i skowycząc, wskoczył jej na kolana, jak gdyby znali się już od dawna. Pies obwąchał dziewczynę i polizał jej dłoń, a ona z czułością go pogłaskała.

– Bardzo się przestraszyła – powiedziała cicho Willow, nie wiadomo właściwie do kogo kierując te słowa.

Whitsell zaczął się podnosić, ale zaraz usiadł z powrotem.

– Niby dlaczego miałbym wam cokolwiek mówić? – mruknął. – Skąd mam wiedzieć, czego chcecie?

Miles stukał niecierpliwie palcami po kolanie.

– Oczekujemy od pana, panie Whitsell, jedynie odrobiny dobrej woli.

Patrzyli na siebie przez moment.

– Jesteście z policji? – zapytał w końcu Whitsell. – Z jakiegoś specjalnego wydziału, co? Czy o to tutaj chodzi? – Jeszcze nie dokończył pytania, a już zaczął się nad nim zastanawiać. – Co ja właściwie mówię? Na Boga, w policji nie ma dziewczyn z zielonymi włosami!

– Nie, nie jesteśmy z policji. – Ben nagle wstał i przez minutę chodził po pokoju. Jak dużo może powiedzieć temu mężczyźnie? Whitsell ponownie utkwiał wzrok w Willow, patrząc, jak piesek się do niej tuli i poddaje pieszczotom.

Ben zdecydował się.

– Czy pies miał na imię Abernathy?

Przestał chodzić i spojrzał prosto w oczy mężczyzny. Tamten podniósł brwi, zaskoczony.

– Uhm, tak się nazywał – powiedział. – Skąd pan to wie? Ben wrócił i usiadł na miejsce.

– Mam na imię Ben, a to są Miles i Willow. – Wskazał na przyjaciół. – Abernathy jest naszym przyjacielem, panie Whitsell. Stąd go znamy. Jest naszym dobrym przyjacielem i przyszliśmy go zabrać do domu.

Zapadła długa chwila milczenia, w czasie której patrzyli na siebie badawczym wzrokiem, po czym Davis Whitsell skinął głową.

– Wierzę panu. Właściwie nie wiem dlaczego, ale wierzę.

– Szkoda, że nie mogę panu pomóc. – Westchnął. – Niestety, ale tego psa... to znaczy Abernathy'ego, już nie ma.

– Sprzedał go pan? – zapytał Miles.

– Co też pan mówi! – zawołał tamten ze złością. – Nigdy nie planowałem czegoś takiego! Chciałem tylko zarobić kilka dolców na tym wywiadzie dla „Oka”, a potem wysłać go do Wirginii, tak jak chciał. Jemu samemu nic by się nie stało.

– Była to okazja, na którą czekałem całe życie, szansa, że ktoś mnie doceni, że wreszcie wyrwę się z tego zamkniętego kręgu i może... – Pochylił się do przodu, ale zaraz znów się oparł i zapadł w fotelu. – Teraz to już chyba nie ma znaczenia. Ktoś go musiał zabrać.

Znowu pociągnął długi łyk piwa i ostrożnie odstawił puszkę na stole obok, w to samo połyskujące kółko wody utworzone poprzednio przez jej mokre dno.

– Czy naprawdę jesteście tymi, za kogo się podajecie? – zapytał. – Naprawdę jesteście przyjaciółmi Abernathy'ego?

Ben skinął głową.

– A pan?

– Ja też, choć może trudno tak sądzić po tym, co się tutaj wydarzyło.

– Niech pan to wszystko opowie.

Whitsell opowiedział. Zaczął od początku, mówiąc o tym, jak pojechał do Szkoły Podstawowej imienia Franklina ze swoim występem i jak dziewczynka o imieniu Elizabeth – cholera, nawet nie znał jej nazwiska – podeszła do niego i poprosiła o pomoc. Powiedział im o psie, o Abernathym, jak tamtej nocy przyszedł pod jego drzwi, o tym, że stał w pozycji pionowej jak człowiek, mówiąc mu o dziewczynce, która go przysłała, o tym, jak tłumaczył, że z jakiegoś powodu musi pojechać do Wirginii i że nie może tam zadzwonić, bo nie ma tam telefonu. Whitsell nie uwierzył w ani jedno jego słowo, ale zgodził się mu pomóc, ukrywając tego dziwnego psa w swoim domu. Żonę wysłał do jej matki, a potem spróbował nagrać spotkanie z „Okim Hollywoodu”, aby zebrać trochę pieniędzy na podróż Abernathy'ego do Wirginii i może przy okazji zgarnąć kilka dolców dla siebie.

– Wykiwano mnie jednak – przyznał gorzko. – Ktoś wywabił mnie z domu. Kiedy wróciłem,

Abernathy'ego już nie było, a biedna Sophie wepchnięta do lodówki była już na wpół zamrożona! – Jego wzrok przeniósł się natychmiast na Willow. – Dlatego, proszę pani, jest taka płochliwa. To bardzo wrażliwe zwierzę. – Potem spojrział z powrotem na Bena. – Nie mam, oczywiście, na to dowodu, ale jestem tego pewien, jak i tego, że tu siedzę, że ten sam facet, który na początku trzymał pańskiego przyjaciela w klatce, dowiedział się o moich planach, porwał go i ponownie zamknął u siebie! Kłopot w tym, że nawet nie wiem, kim on jest. Druga sprawa, że nie jestem pewien, czy chciałbym się z takim gościem spotkać. – Nagle uświadomił sobie, jak to mogło zabrzmieć, i zaczerwienił się. Potrząsnął głową. – Przepraszam. Mogłem dowiedzieć się o nim w szkole, zdobyć nazwisko dziewczynki i jej adres.

– Ona знаła nazwisko tego człowieka. Cholera, zrobię to zaraz, proszę pana, jeśli ma to pomóc psu! Czuje się podle z powodu całej tej sprawy!

– Dzięki, ale chyba już znamy nazwisko tego człowieka – powiedział spokojnie Ben. – Wydaje mi się, że wiemy również, gdzie go szukać.

Whitsell, zaskoczony, nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy o czymś jeszcze chce nam pan powiedzieć? Whitsell zmarszczył czoło.

– Nie, chyba nie. Czy myślicie, że będziecie mogli pomóc psu... eee, Abernathy'emu?

Ben podniósł się, zostawiając pytanie bez odpowiedzi.

Pozostali również powstali. Sophie zeskoczyła z kolan Willow i zaczęła obwąchiwać jej sukienkę. Jej brzeg lekko się uchylił i Whitsell przez chwilę widział jedwabisty, szmaragdowy włos na wiotkiej kostce sylfidy.

– Dzięki za pomoc, panie Whitsell – powiedział Miles.

– Słuchajcie, może pójdę z wami i w czymś pomogę? – zaproponował nagle tamten, wprawiając ich w zdumienie. – To dość niebezpieczna zabawa, ale chciałbym coś naprawić...

– Nie, raczej nie – powiedział Ben. Ruszyli w stronę drzwi.

Davis Whitsell podążył za nimi.

– Na waszym miejscu pomyślałbym również i o tej dziewczynce – dodał. Sophie stanęła z powrotem u jego boku i Whitsell ją podniósł. – Być może została zdemaskowana.

– Zajmiemy się tym. Nic jej się nie stanie. – Ben myślał już w tej chwili, co robić dalej.

Whitsell odprowadził ich do drzwi, a potem na werandę. Popołudniowe słońce szybko chyliło się ku zachodowi, zmierzch zmieniał światło w srebrzystą, mglistą poświatę. Cienie drzew i słupów przecinały i cętkowały domy w sąsiedztwie. Człowiek ze znakiem ubezpieczalni na drzwiach samochodu właśnie zajeżdżał pod swój dom. Chrząst opon na zwirowym podjeździe zakłócił panującą tam ciszę.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego – zwrócił się do nich Davis Whitsell. Wahał się przez moment, po czym wyciągnął rękę, aby uścisnąć dłonie mężczyzn, czekając jakby na potwierdzenie, że mu uwierzyli. – Słuchajcie, nie wiem, kim jesteście, skąd przybywacie ani o co

w tym wszystkim chodzi. Jedno chcę wam jednak powiedzieć: nigdy nie chciałem, aby Abernathy'emu stała się krzywda. Powiedźcie mu o tym, dobrze? Dziewczynce też.

I Ben skinął głową.

– Powiem im, panie Whitsell.

Mówiąc to, miał nadzieję, że doczeka się okazji, aby to zrobić.

W krainie Landover czarodziej Questor Thews żywił podobne nadzieje. Nie był jednak zbyt optymistą.

Po ucieczce z zamkowej fortecy Rhyndweir, Questor, koboldy Bunion i Parsnip oraz gnomy dodomy Phillip i Sot, jechali na południowy wschód, aby znaleźć się w bezpiecznym zaciszu Sterling Silver. Questor i koboldy zdecydowali się na powrót do domu, bo w sytuacji, gdy urwał się ślad zaginionej butelki, właściwie nic innego nie można było zrobić.

Questor wciąż nie mógł odgadnąć, kto ukradł Kallendborowi butelkę. Dopóki nie rozwiąże tej zagadki, nie będzie wiedział, gdzie ponownie zacząć poszukiwania. Poza tym już od kilku dni sprawy państwa były pozostawione samym sobie i teraz należało to zmienić.

Gnomy dodomy podążały za nimi jak cienie, ponieważ wciąż nosiły w pamięci spotkanie z bandą trolli i były zbyt przerażone, aby robie cokolwiek innego.

Otrzymana od lorda Kallendbora wiadomość, w której groził podjęciem natychmiastowej akcji odwetowej z powodu urojonej kradzieży butelki, nie zrobiła na czarodzieju większego wrażenia. Pozostał w tym względzie nieustraszony.

Prawdopodobieństwo, że Kallendbor będzie chciał wypróbować potęgę króla, było niewielkie – pod warunkiem, że nie odkryje, iż Holiday jest nieobecny! Na królewskim papierze Questor napisał odpowiedź, oznajmiając zdecydowanie, że ani on, ani żaden z jego kompanów nie jest odpowiedzialny za kradzież butelki i że każde wrogie działanie zostanie potraktowane z taką surowością, na jaką zasługuje. Przystawił pieczęć królewską i wysłał list. Czas już z tym skończyć.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin spotkał się z delegacją władców Greenswardu, aby przyjąć ich skargi, łącznie ze skargą Strehana, dotyczącą zniszczenia jego wieży przez Kallendbora, a następnie odbył naradę z nowo utworzoną radą sędziowską w sprawie ustanowienia sądów królewskich. Przystudiował także plany systemu nawadniania pól, który umożliwiłby rolnikom uprawę nieurodzajnych terenów we wschodniej części doliny, w końcu wysłuchał ambasadorów i innych interesantów ze wszystkich stron królestwa. Wykonywał to jako przedstawiciel i doradca króla, zapewniając wszystkich, że władca już niedługo osobiście zajmie się ich sprawami. Nikt nie kwestionował jego słów.

Wszyscy sądzili, że Holiday przebywa gdzieś w dolinie, a Questorowi nie zależało na wyprowadzaniu ich z błędu.



Sprawy szły gładko i pierwszy dzień zakończył się bez żadnych incydentów.

Następnego dnia pojawiły się jednak pierwsze oznaki kłopotów. Z wszystkich zakątków doliny zaczęły napływać doniesienia o dziwnych wydarzeniach, zrazu nieszkodliwych, później jednak przybierających charakter plagi. Trolle zamieszkujące strome skały stały się nagle, z nie wyjaśnionych przyczyn, agresywne nie tylko w stosunku do gnomów dodomów, ale również wobec mieszkańców bardziej odległych terenów Greenswardu, koboldów i elfów, a nawet w stosunku do samych siebie. Z krainy jezior donoszono, że zalały ich cuchnące wody z Greenswardu oraz nawiedziła plaga szczurów zjadających płody rolne. Greensward skarżyło się, że znalazło się w stanie oblężenia – stada małych smoków palą zbiory i żywy inwentarz. Ludzie oraz czarodziejskie istoty podjudzają się wzajemnie do walki, jak gdyby właśnie odkryli doskonałą formę spędzania wolnego czasu. Questor nawet nie nadażał z czytaniem jednego doniesienia, a już nadchodziły dwa kolejne. Tej nocy poszedł spadek wykończony.

Trzeci dzień okazał się jeszcze gorszy. W ciągu nocy nagromadziło się jeszcze więcej doniesień. Po przebudzeniu został nimi dosłownie zasypany. Wydawało się, że w tej krainie wszyscy są z sobą skłócenii. Nikt dokładnie nie wiedział dlaczego. Na każdym kroku napotykało się wrogość. Trudno się było domyślić, co może być jej przyczyną. Niezadowolenie wkrótce się przerodziło w głośne żądanie podjęcia zdecydowanych działań. Gdzie jest król? Dlaczego osobiście nie zajmuje się tym bałaganem?

Questor Thews zaczął nabierać podejrzeń. Już wcześniej miał wrażenie, że za tymi nagłymi niepokojami musi w jakiś sposób kryć się Mroczniak, a teraz zaczął podejrzewać, że demon służy interesom kogoś, kto chce się w pierwszej kolejności zemścić na Benie Holidayu. Czarodziej nie miał wątpliwości, że jedynym widocznym celem tych wszystkich nie powiązanych z sobą incydentów była chęć skupienia gniewu mieszkańców na królu. Jeśli nie liczyć Kallendbora, który już raz stracił butelkę i najprawdopodobniej nie odzyska jej tak szybko, to najbardziej pragnęli zemsty na Holidayu smok Strabo i wiedźma Nocny Cień.

Questor musiał się zastanowić nad każdym z nich.

Jeśli chodzi o Strabo, to było mało prawdopodobne, aby zwracał sobie głowę czarami, mszcząc się na Holidayu. Był raczej skłonny zwyczajnie go zmiążdżyć.

Inaczej rzecz się miała z Nocnym Cieniem.

Questor zostawił posłańców i ambasadorów w salach przyjęć i wszedł na najwyższą wieżę Sterling Silver, gdzie się znajdował krainogład. Wszedł na podest, zacisnął dłonie na wypolerowanych rurkach balustrady i mobilizując siłę woli, wzniósł się w powietrze i popędził w kierunku doliny. Zniknęły mury i wieże zamku, a Questor mknął przez przestworza, prowadzony magiczną mocą. Skierował się prosto ku Wielkiej Czeluści. Bezpieczny, gdyż stamtąd mógł wszystko obserwować, samemu przy tym pozostając niewidocznym, czarodziej rozpoczął poszukiwanie wiedźmy. Nie znalazł jej.

Wydostał się znad kotliny i przemierzył ją od jednego do drugiego końca. Nadal bez efektu.

Wrócił do Sterling Silver, zszedł do sal przyjęć, gdzie przywitał go kolejny potok skarg, ponownie wrócił na górę, do krainoglądu i jeszcze raz opuścił zamek. Czynność tę powtarzał jeszcze czterokrotnie tego dnia, czując rosnące w nim niezadowolenie i niepokój, bowiem liczba problemów w dolinie wciąż się powiększała. Coraz głośniejsze żądano pojawienia się króla. Ponieważ jego wysiłki nie przynosiły rezultatów, zaczął się zastanawiać, czy czasem nie pomylił się w ocenie sytuacji.

W końcu, podczas piątego wypadu, odnalazł czarownicę.

Odkrył ją w północnym zakątku kotliny. Siedziała na niższych wierzchołkach wzgórz Melchoru, gdzie nic nie zasłaniało jej widoku na dolinę.

Trzymała w dłoniach zaginioną butelkę, a Mroczniak z czułością ocierał się swoim skręconym, pokrytym szczecina ciałem o jej cienką, białą rękę.

Questor powrócił do Sterling Silver, pożegnał wszystkich obecnych i usiadł, aby się zastanowić, co robić dalej.

Wiedział, że cały ten bałagan to była jego wina. Nalegał przecież, żeby wypróbować czary, które miały zamienić Abernathy'ego z powrotem w człowieka. To on przekonał króla, aby dał swój cenny medalion psu, by posłużył jako katalizator. Dopuścił do tego, że czary wymknęły się spod kontroli.

Przyznając się przed sobą do popełnienia błędu, skulił się w sobie. Wysłał też biednego pisarza do starego świata Holidaya, a w zamian sprowadził butelkę z Mroczniakiem do Landover. To on pozwolił, aby butelka stała bez opieki i przez to mogła zostać skradziona przez gnomy dodomy, potem trolle, Kallendbora, a w końcu przez kogoś nieznanego, by teraz znaleźć się w rękach Nocnego Cienia.

Usiadł samotnie w zaciszu i półmroku swoich prywatnych kwater i spojrzał prawdzie w oczy. Był co najwyżej kiepskim czarodziejem, musiał to przyznać. Czasem wydawało mu się, że ma pełną kontrolę nad czarami, w tym niewielkim zakresie, który opanował, ale znacznie częściej zdawało się, że to one zaczynają panować nad nim. Odniósł wprawdzie kilka sukcesów, ale i doznał wielu porażek. Uczył się sztuki, nad którą nie mógł zdobyć pełnej kontroli. Może po prostu nie nadawał się na czarodzieja i powinien przyjąć to do wiadomości.

Potań podbródek i ze wstrętem wykrzywił swoją dostojnie poważną twarz. Nigdy! Wolałbym być raczej robakiem!

Podniósł się, przeszedł parę razy po ciemnym pokoju i usiadł. Nie było sensu oplakiwać swojego losu. Czy jest czarodziejem, czy nie, musi coś zrobić z wiedźmą. Kłopot, oczywiście, był w tym, że nie wiedział co. Mógł udać się do Wielkiej Czułości, stanąć przed czarownicą, zażądać zwrotu butelki i zagrozić użyciem czarów. Niestety, byłby to prawdopodobnie jego koniec. Nie miał szans w starciu z Nocnym Cieniem na jej własnym terenie, zwłaszcza, że była

wspomagana przez butelkę i jej demona. Zdeptały go jak mrówkę.

Znowu stanął mu przed oczami obraz wiedźmy i Mroczniaka na krawędzi kotliny. Trudno o gorszą parę: ona, wcielenie najczarniejszego zła, i jej obrzydliwy pupilek.

Uderzył dłońmi w kolana i przybrał tak niezadowoloną minę, że kąciki ust niemalże schowały się pod podbródek.

Tylko Paladyn mógł sprostać wiedźmie, ale Paladyn pojawiał się tylko na wezwanie króla, a ten został uwięziony w starym świecie do czasu odnalezienia Abernathy'ego i odzyskania medalionu. Dopiero wtedy będzie mógł tutaj powrócić.

Questor Thews westchnął, rozgoryczony obrotem spraw.

Wszystko się tak poplątało!

– Cóż – rzekł, wstając nagle na równe nogi. – Trzeba będzie to rozplatać!

Odważne słowa, pomyślał ponuro. Rozplatać to wszystko oznaczało znalezienie Holidaya, Abernathy'ego z medalionem i sprowadzenie ich bezpiecznie do Landover, a następnie zajęcie się czarownicą i Mroczniakiem. Nie miał tyle mocy magicznej, aby tego dokonać. Poinformował o tym Holidaya jeszcze przed wysłaniem go do starego świata.

Istniał wprawdzie jeszcze inny sposób, ale on raczej nie rokował powodzenia.

Zmroziła go nagle sama myśl o tym, czego musiałby dokonać. Otulił się szczelniej swoją szarą szatą w kolorowe łąty z jedwabiu, aby się trochę ogrzać, po chwili znowu je rozluźnił i pociągnął się za ucho. Do licha, albo jest nadwornym czarodziejem, albo nim nie jest! Niechże pozna całą prawdę o sobie tu i teraz!

– Nie ma sensu czekać – wyszeptał.

Zdecydowanym krokiem opuścił pomieszczenie, potem ruszył w dół do holu, aby znaleźć Buniona. Chciał opuścić zamek jeszcze tej nocy.

## GAMBIT

– Uwierz mi, że to się nie uda – przekonywał Miles Bennett. – Nie wiem, dlaczego dałem ci się namówić na to wszystko, doktorku.

Ben Holiday pochylił się zniecierpliwiony.

– Wciąż powtarzasz to samo. Dlaczego nie zaczniesz myśleć bardziej pozytywnie?

– Ależ myślę. Jestem przekonany, że to się nie uda! Ben westchnął, oparł plecy o fotel i wyciągnął wygodnie nogi.

– Uda się – powiedział.

Jechali z dużą prędkością wiejską drogą numer pięćset dwadzieścia dwa na północ od Woodinville. Za kierownicą czarnej, długiej limuzyny siedział Miles, a Ben, jako jedyny pasażer, zajmował tylne siedzenie. Miles miał na sobie kaszkiet szofera i płaszcz, który był na niego za mały o co najmniej jeden numer. Scenariusz miałby większe szanse powodzenia, gdyby jego strój był tak samo nieskazitelny jak ubiór pasażera. Nie było jednak czasu na zakupy dla Milesea, a nawet gdyby go mieli, to i tak pewnie nie znaleźliby sklepu odzieżowego, gdzie sprzedają lub wypożyczają mundury dla szoferów. Musieli więc zadowolić się tym, co nosił poprzedni kierowca. Ben wyglądał znacznie lepiej. Miał na sobie trzyczęściowy, granatowy garnitur w delikatne prążki, jasnoniebieską koszulę z jedwabiu i fioletowy, jedwabny krawat z kilkoma cętkami w kolorze błękitu i lawendy. Z butonierki wystawała starannie złożona chustka, w tym samym kolorze co krawat. Ukradkiem obejrzał się w tylnym lusterku samochodu. Zwyczajny, przeciętny milioner, pomyślał. Siedząc w swojej długiej limuzynie, z szoferem i w pierwszorzędnym ubraniu wyglądał w każdym calu jak biznesmen, który odniósł sukces.

I właśnie tak miał wyglądać.

– A jeśli on już gdzieś widział twoje zdjęcie? – zapytał nagle Miles. – A jeśli się zorientuje, kim naprawdę jesteś?

– Wtedy znajdę się w niezłych tarapatkach – przyznał Ben. – Ale on mnie nie rozpozna. Nie miał powodu, aby szukać mojego zdjęcia. Sprawami sprzedaży Landover zawsze zajmował się sam Meeks. Michel Ard Rhi był zadowolony, że bierze za to pieniądze i wszystko działa bez zarzutu. Miał inne ważne sprawy, którymi się musiał zajmować.

– Na przykład szmuglowanie broni i obalenie rządów w obcych krajach. – Miles pokręcił głową. – To jest zbyt ryzykowny plan, doktorku.

Ben popatrzył w ciemność.

– To prawda. To jednak jedyny plan, jaki w tej chwili mamy.

Patrzył, jak ciemne kształty drzew po obu stronach drogi szybko zostają w tyle i znikają jak zamrożone olbrzymy.

Krajobraz wydawał się pęsnym i opustoszałym, a nocne niebo pokryte chmurami

i nieprzeniknione. Dobrze jest mieć zawsze jakiś plan, powiedział do siebie. Źle, że nie zawsze może to być dobry plan.

Wyjechali od Davisa Whitsella, wiedząc, że Abernathy ponownie znalazł się w rękach Michela Ard Rhi. Bez znaczenia było to, że Whitsell nie widział porywaczy Abernathy'ego.

Byli tego tak samo pewni jak Whitsell, że to Michel Ard Rhi go zabrał. Abernathy został uwięziony gdzieś w fortecy Michela i chcieli go jak najszybciej uratować. Wiadomo, co Ard Rhi może teraz zrobić psu. Wiadomo też, co może zrobić tamtej dziewczynce, jeżeli już się o niej dowiedział. Mógł jej nawet użyć jako broni przeciwko psu. Abernathy wciąż miał medalion. Whitsell wspomniał, że widział go na jego szyi.

Musieli więc założyć, że Ard Rhi wie o medalionie i że próbuje go zdobyć. Jeśli byłoby inaczej, to już dawno temu pozbyłby się Abernathy'ego. Nie mógł, oczywiście, odebrać medalionu siłą, ale mógł wywierać na psa presję, aby przekonać go do dobrowolnego rozstania się z nim. Dziewczynka mogła stanowić argument w szantażu, który Ard Rhi chętnie by zastosował.

W tym wypadku nie było po prostu czasu na wymyślanie skomplikowanego, bezbłędnego planu. Abernathy'emu i dziewczynce groziło niebezpieczeństwo. Willow stawiała się z każdą chwilą coraz bardziej chora z winy środowiska, do którego się dobrowolnie przeniosła, nie chcąc rozstawać się z Benem. Bóg raczy wiedzieć, co się dzieje w Landover, gdy Mroczniak wciąż grasuje na wolności, a Questor Thews próbuje rządzić królestwem. Ben złapał się pierwszego rozsądnego planu, który przyszedł mu do głowy.

Będą potrzebowali sporo szczęścia, żeby plan mógł się powieść.

– Nie zapominaj o Willow – przypomniał nagle Milesowi.

– Nie zapominam. Nie wiem jednak, dlaczego ona miałaby mieć więcej szczęścia niż ty. – Spojrzał szybko za siebie. – Tam wszędzie będą światła, doktorku.

Ben skinął głową. On również się tym martwił. Na ile skuteczne okażą się czary Willow, gdy będzie ich potrzebować? I co się stanie, jeśli ją całkowicie zawiodą? W normalnych warunkach nie myślałby o tym. Wiedział, że jak wszystkie istoty czarodziejskie, sylfida mogła się swobodnie przemieszczać, pozostając niewidoczna. Ale tak było na Landover, gdy czuła się dobrze. Tutaj była bardzo słaba, zupełnie wyczerpana atakiem środowiska na jej organizm. Rozpaczliwie potrzebowała pożywnej gleby i powietrza z jej własnego świata. Musi dokonać przemiany. Nie stanie się tak na tym świecie. Powiedziała im to już wcześniej. Zbyt duża ilość chemikaliów w ziemi i w powietrzu byłaby trucizną dla jej systemu. Będzie więc uwięziona w swojej obecnej formie do czasu, gdy Ben znajdzie sposób, aby ją przenieść z powrotem do Landover.

Ściągnął mięśnie szczęki. Nie ma potrzeby się nad tym rozwodzić. Nie będzie można jej pomóc, ani żadnemu z nich, dopóki nie odzyskają medalionu.

Skupił się ponownie na planie. Sprawa z samochodem była dość prosta. Kazał, aby dostarczono wynajętą limuzynę do małego hotelu w Bothell na północ od Seattle, z którego uczynili swoją bazę wypadową. Dość szybko poradzili sobie z kierowcą, który za pięćset dolarów zgodził się rozstać na kilka godzin z samochodem, płaszczem oraz czapką, czekając samemu w pokoju w motelu i oglądając telewizję. Nie mieli też kłopotów ze zdobyciem ubrania dla Bena.

Znalezienie Michela Ard Rhi okazało się jeszcze łatwiejsze.

– No pewnie. To ten świr, co mieszka tam, w zamku! – chętnie udzielił informacji zapytany przez Bena kierownik motelu. – Nazywa się to Gramma White, czy jakoś tak. Wygląda jak z czasów króla Artura. To tam z tyłu, za winiarnią.

Trzeba zjechać z drogi pięćset dwadzieścia dwa. Trudno dojrzeć. Facet urządził to jak więzienie. Nikomu nie wolno się nawet zbliżyć. Tak jak mówię: to świr! Któż inny by mieszkał w zamku na jakimś odludziu? – Potem narysował Benowi mapę.

Odnalezienie świra to jedna rzecz, a umówienie się z nim na ten sam wieczór, to coś zupełnie innego. Ben zatelefonował. Rozmawiał z mężczyzną, którego najwyraźniej jedynym obowiązkiem było zniechęcanie ludzi takich jak Ben do pomysłu zawracania głowy szefowi. Ben wyjaśnił, że zatrzymał się w Seattle tylko na ten jeden wieczór. Wyjaśnił, że wybór pory jest bardzo ważny. Sugerował nawet, że jest przyzwyczajony do załatwiania interesów nocą. Nic nie wskórał.

Ben mówił o pieniądzach, możliwościach, ambicji, o wszystkim, co mogło przekonać mężczyznę. To był kamień nie człowiek. Dwa razy odchodził od telefonu, prawdopodobnie po to, aby naradzić się z szefem, ale za każdym razem wracał jednakowo nieprzejednany. Być może jutro. Może pojutrze.

Z pewnością nie dzisiaj wieczorem. Pan Ard Rhi nigdy nie spotyka się z nikim wieczorem.

W końcu Ben wymienił imię Abernathy'ego i napomknął o swoich silnych powiązaniach z niektórymi biurami rządowymi. Jeśli nie uzyska pozwolenia na rozmowę z panem Ard Rhi osobiście tego wieczoru, to będzie musiał rozważyć przekazanie tej sprawy jednej z tych agend, a im już pan Ard Rhi nie będzie mógł tak łatwo odmówić.

To podziałało. Sekretarz niechętnie go powiadomił, że będzie miał swoje spotkanie. Ale czy musi ono odbyć się tego wieczoru? Ben nalegał. Nastąpiła przerwa. Do jego uszu dotarła jakaś gorączkowa rozmowa w tle. Zgoda, ale tylko kilka minut, punktualnie o dziewiątej w Graum Wythe. Połączenie zostało przerwane. Pod koniec rozmowy głos sekretarza brzmiał naprawdę groźnie. To jednak nie miało znaczenia.

Jego spotkanie z Michelelem Ard Rhi musiało nastąpić w nocy, bo inaczej cały plan byłby nic niewart.

Miles nagle zwolnił, odrywając Bena od własnych myśli, skręcił w lewo przy parze kamiennych słupów z kulistymi lampami na górze i podążył dalej wąską, pojedynczą drogą, która

ginęła pośród drzew. Zniknęły światła reflektorów innych samochodów i te pochodzące z odległych okien pojedynczych domów oraz odbicia światła ziemi na zachmurzonym niebie. Lampy limuzyny stały się samotnymi latarniami w mroku.

Była to długa, samotna droga przez noc. Zamiast lasu mijali teraz winnice, hektary małych, wykrzywionych winorośli rosnących w nie kończących się rzędach. Mijały minuty.

Ben myślał o Willow ukrytej w bagażniku samochodu i owiniętej starannie kocami. Żałował, że nie może sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Zgodzili się jednak, że nie będą podejmować żadnego ryzyka. Od wyjazdu z Bothell mieli się nie zatrzymywać, aż do...

Ben zmrużył oczy.

Przed nimi zamigotały nagle światła. Ich blask dobiegał zza wzgórza porośłego drzewami, na które się wspinali. Gdy zbliżył się do nich samochód, zostały automatycznie włączone. Kiedy dotarli na pagórek, przed ich oczami wyrosły masywne wieże Graum Wythe. Mimo że zamek wciąż był daleko, widzieli go dość wyraźnie. Flagi i proporce powiewały dziko na nocnym wietrze, lecz umieszczone na nich insygnia skrywał mrok. Zaczęto już opuszczać most zwodzony nad fosą i podnosić kratę w bramie. Przedpiersia i kolczaste ogrodzenia przecinały otwarty teren wokół zamku, przypominając ciemne szramy. Limuzyna sunęła drogą w stronę potężnej bramy z żelaza, osadzonej w niskim, kamiennym murze, który ciągnął się kilometrami w jedną i drugą stronę.

Ben wziął głęboki oddech i niespodziewanie przeszył go dreszcz. Jakże groteskowy widok przedstawiał sobą zamek!

*Żelazne* skrzydła bramy uchyliły się bezszelestnie, otwierając im wejście i Miles mógł wolno wjechać do środka. Przestał rozmawiać i siedział sztywny za kierownicą. Ben mógł sobie wyobrazić, o czym myślał.

Droga wiała się serpentyną w stronę zamku, jasno oświetlona i ograniczona z obu stron głębokimi rowami. Pewnie po to, aby nikt przypadkiem nie zszedł ze szlaku, pomyślał ponuro Ben. Po raz pierwszy, odkąd wymyślił to przedsięwzięcie, zaczął mieć wątpliwości. Graum Wythe przycupnęło w oddali jak jakaś olbrzymia bestia, zupełnie sama na opustoszałym terenie ze swoimi basztami, przedpiersiami, strażnikami, reflektorami i ostrymi drutami kolczastymi. Budowla bardziej przypominała więzienie niż zamek. I oni właśnie wjeżdżali do tego więzienia, bezbronni.

Nagle uderzyła go pełna świadomość tego, gdzie się znajduje, przerażająca prawda wstrząsnęła nim. Jakimże był głupcem! Myślał, że wciąż znajduje się w świecie szklanych wieżowców i pasażerskich odrzutowców. Ale Graum Wythe z pewnością nie należało do tego świata. Było częścią innego.

Było częścią życia, do którego się wkupił, nabywając prawa własności do królestwa prawie dwa lata temu. Tutaj nie było niczego z tego nowoczesnego świata. Mógł nosić garnitury, jeździć

limuzynami i wiedzieć, że miasta i autostrady znajdują się wszędzie dokoła niego, ale to niczego nie zmieniało.

To był Landover! Ale nie było Paladyna, który mógłby go uratować. Nie było Questora, żeby zasięgnąć rady. Nie miał też do pomocy czarów. Jeśli coś się tu nie uda, to będzie skończony.

Samochód dotarł na koniec krętej drogi i wjechał na opuszczony most zwodzony. Minęli fosę, potem kratę w bramie i wjechali na dziedziniec, gdzie kolista droga prowadziła pętlą przed główne wejście. Wypielegnowane trawniki i ogrody z kwiatami nie zdołały zrównoważyć ciężaru kamiennych murów i okien z żelaznymi kratami.

– Uroczo – wyszeptał Miles.

Ben się nie odezwał. Był teraz spokojny i opanowany. Jest tak jak za dawnych czasów, powiedział do samego siebie. Tak jak kiedyś, gdy był prawnikiem. Jedzie po prostu jeszcze jeden raz do sądu na rozprawę.

Miles zatrzymał limuzynę na końcu podjazdu, wysiadł, obszedł ją dokoła, aby otworzyć Benowi drzwi. Ben stanął na dziedzińcu i się rozejrzał. Mury i wieże Graum Wythe majaczyły z wszystkich stron, rzucając swoje cienie mimo potoku światła, które zalewało cały dziedziniec. Za dużo światła, pomyślał. Wejścia i mury były patrolowane przez strażę, anonimowe figury odziane na czarno. Ich również było zbyt wielu.

Ciężkie, dębowe drzwi głównego wejścia otworzyły się i stanął w nich odźwierny. Miles zamknął mocno drzwi samochodu i nachylił się.

– Powodzenia, doktorku – szepnął.

Ben skinął głową. Potem wszedł po schodach i zniknął we wnętrzu zamku.

Minuty szybko mijały. Miles czekał przez jakiś czas przy tylnych drzwiach limuzyny, potem wrócił do drzwi kierowcy, zatrzymał się i ostrożnie rozejrzał. Drzwi do zamku zamknięto, a odźwierny zniknął. Dziedziniec był opustoszały, nie licząc oczywiście reflektorów, dzięki którym było jasno jak w dzień oraz straży patrolującej mury. Miles pokręcił głową. Nachylił się do samochodu, sięgnął ręką pod tablicę rozdzielczą i pociągnął za dźwignię bagażnika, starając się z całych sił nie myśleć, co robi. Próbował zachować obojętność. Powrócił do bagażnika, uniósł pokrywę, włożył rękę i wyciągnął szmatkę do czyszczenia szyb. Prawie nie zwracał uwagi na otulony kocami, zwinięty kształt w jednym z rogów.

Nie zamykając bagażnika, przeszedł na początek samochodu i zaczął wycierać przednią szybę.

Dwóch strażników w czarnych mundurach wyszło z cienia w jednym z rogów budynku i zatrzymało się, obserwując go.

Nie przerywał wycierania. Strażnicy mieli przy sobie broń automatyczną.



Willow nigdy się to nie uda, pomyślał posepnie.

Strażnicy ruszyli do przodu. Miles oblał się potem. Uwolnił blokadę maski, poszedł na przód samochodu, zajrzał do środka i zaczął przy czymś manipulować. Nigdy nie czuł się tak całkowicie samotny i jednocześnie tak dokładnie obserwowany. Czuł spojrzenia strażników na całym ciele. Zerknął ukradkiem spod pokrywy silnika. Kto wie, ile par takich oczu zauważy Willow, gdy będzie się próbowała wymknąć?

Zakończył sprawdzanie silnika i opuścił maskę. Nie zauważył żadnego, nawet najmniejszego ruchu. Na co ona czeka? Na jego twarzy cherubinka pojawił się bolesny grymas. Na co ona, na litość boską, czeka? Na przerwę w dopływie prądu?

Do diabła z doktorkiem i jego szalonymi planami!

Poszedł z powrotem do bagażnika, prawie zdeterminowany, że musi znaleźć sposób na odwołanie wszystkiego, pewien, że cały plan już diabli wzięli. Zajrzał do środka i zupełnie zaskoczony zobaczył, że Willow już tam nie ma.

Stojący za głównymi drzwiami odźwierny przeszukał Bena, czy nie ma broni albo mikrofonu. Niczego jednak nie znalazł. Nie odezwał się też słowem.

Chwilę później Ben podążył za odźwiernym przestronnym korytarzem, po drodze mijając sale ze zbroją, tkaninami dekoracyjnymi, marmurowymi posągami i olejnymi malowidłami w pozłacanych ramach. Doszedł do ciemnych, dębowych drzwi, które prowadziły do gabinetu. Prawdziwy gabinet, pomyślał Ben. Nie jakiś pokój z kilkoma półkami i szafkami na książki oraz krzesłem do czytania, ale gabinet w angielskim stylu z dziesiątkami wielkich, obitych skórą krzeseł do czytania i stołów w rodzaju tych, które można było zobaczyć w starych filmach o Sherlocku Holmesie, rozgrywających się na dworach, gdzie bohaterowie odpoczywają przy szklaneczce brandy, cygarze i słuchają opowieści o morderstwie. Ogień płonął w kominku zajmującym całą ścianę. Kawałki zwęglonych kłód drewna tliły się czerwonym żarem pod żelaznym rusztem. Dwa okna wychodziły na ogród, którego ozdobą były strzyżone w kształcie rzeźb żywopłoty oraz ławki z kutego żelaza. Ogród znajdował się niepokojąco nisko.

Odźwierny stanął z boku, wpuścił Bena do środka i cofając się, zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Michel Ard Rhi już na niego czekał, wyłaniając się nagle obok jednego z ogromnych krzeseł, jak gdyby swoją formę przejął w cudowny sposób z jego skóry. Miał na sobie ubranie z tkaniny, jakiś rodzaj czarnego, jednoczęściowego kombinezonu z butami o płaskich podeszwach i wyglądał, jak gdyby próbował grać Hamleta. W jego sposobie patrzenia na Bena nie było jednak nic zabawnego. Przed Benem stała wysoka, wychudzona postać. Grzywa czarnych włosów i ciemne oczy dominowały nad całą twarzą, której ściągnięte rysy zdradzały gniew. Nie zbliżył się, aby podać mu dłoń. Nie zaprosił Bena do środka. Zwyczajnie go oglądał i szacował.

– Nie jestem zachwycony, kiedy mi ktoś grozi, panie Squires – powiedział przyciszonym głosem. Squires było wymyślonym nazwiskiem, które Ben podał przez telefon. – Zwłaszcza, jeśli ten ktoś chce robić ze mną interesy.

Ben nie stracił pewności siebie.

– Musiałem się z panem spotkać, panie Ard Rhi – odpowiedział spokojnie. – I to dzisiaj wieczorem. Było oczywiste, że mi się to nie uda, dopóki nie znajdę sposobu, aby zmienić pańską decyzję.

Michel Ard Rhi przyglądał mu się uważnie, zastanawiając się najwidoczniej, czy ciągnąć dalej tę sprawę. Po chwili powiedział:

– Spotkał się pan ze mną, a zatem czego pan chce?

Ben przybliżył się do niego. Teraz dzieliło ich niecałe dziesięć kroków. W oczach Michela była złość, ale Holiday nie dostrzegł żadnej oznaki, która świadczyłaby o tym że został rozpoznany.

– Chcę Abernathy'ego – powiedział.

– Ard Rhi wzruszył ramionami.

– Już to słyszałem, ale nie wiem, o czym pan mówi.

– Zaoszczędźmy sobie wzajemnie trochę cennego czasu – ciągnął spokojnie Ben. – Wiem wszystko o Abernathym. Wiem, kim jest i co potrafi robić. Wiem o Davisie Whitsellu. Wiem o „Oku Hollywoodu”. Wiem większość z tego, co dotyczy tej sprawy. Nie wiem, jaką pan ma korzyść w utrzymaniu tego stworzenia, ale mnie to nie obchodzi, o ile nie stoi to w sprzeczności z moimi interesami. Moja praca ma charakter fundamentalny, panie Ard Rhi, i nie cierpi zwłoki. Nie mam czasu na gry wstępne.

Drugi mężczyzna przyglądał mu się bacznie. W jego oczach obok gniewu pojawiły się iskierki zwiastujące przebiegłość.

– Pańska praca ma charakter...?

– Naukowy. – Ben uśmiechnął się tajemniczo. – Prowadzę specjalistyczny interes, panie Ard Rhi. Zajmuję się badaniem form życia i poszukiwaniem sposobów na ich ulepszenie. Interes mój działa trochę potajemnie. Nie spotka się pan ani z jego nazwą, ani z moim nazwiskiem. Wujek Sam pomaga nam w gromadzeniu funduszy, za co my od czasu do czasu wyświadczamy mu przysługi. Rozumie pan?

Skinienie głowy.

– Eksperymenty?

– Między innymi. – Kolejny uśmiech. – Czy moglibyśmy usiąść i porozmawiać jak ludzie interesu?

Michel Ard Rhi nie odwzajemnił uśmiechu, ale wskazał ręką krzesło i usiadł naprzeciwko Bena.

– To bardzo ciekawe, panie Squires. Nie mogę jednak panu pomóc. Żaden Abernathy nie istnieje. Ta cała sprawa jest wyssanym z palca kłamstwem.

Ben wzruszył ramionami, jakby się spodziewał takiej odpowiedzi.

– Powiedzmy, że jest tak, jak pan mówi. – Oparł się wygodnie na krześle. – Gdyby jednak Abernathy istniał i był osiągalny, to na pewno byłby wyjątkowo cennym towarem dla wielu zainteresowanych. Gotowy jestem złożyć poważną ofertę w zamian za niego.

Wyraz na twarzy mężczyzny nie zmienił się.

– Ciekawe.

– Gdyby nie był zniszczony.

– On nie istnieje.

– Przypuśćmy.

– Tu nie ma co przypuszczać.

– Byłby wart dwadzieścia pięć milionów dolarów.

– Michel Ard Rhi wytrzeszczył oczy.

Dwadzieścia pięć milionów dolarów? – powtórzył.

Ben potwierdził skinieniem głowy. Nie miał, oczywiście, dwudziestu pięciu milionów dolarów, którymi mógłby zapłacić za Abernathy'ego. Nie spodziewał się, że za jakiegokolwiek pieniądze uda mu się odkupić przyjaciela – przynajmniej nie wcześniej niż wtedy, gdy Michel Ard Rhi dostanie medalion w swoje ręce.

Chciał jedynie zyskać na czasie.

Na razie szło mu dobrze.

Willow przemykała bezgłośnie skąpo oświetlonymi korytarzami Graum Wythe, niewiele różniąc się od nocnych cieni. Była zmęczona. Wykorzystanie czarów do tego, by uczynić siebie niewidoczną, już zdążyło osłabić jej siły. Czuła, jak mdłości przenikają całe jej wnętrze. Nie mogła się ich pozbyć. Chwilami uderzenie choroby było tak silne, że musiała się zatrzymać, oprzeć o ścianę i poczekać, aż wróci jej siły. Wiedziała, co jej jest. Umierała. Działo się to powoli, po troszeczkę każdego dnia, ale rozpoznawała oznaki. Nie mogła długo żyć poza własnym światem – zwłaszcza tutaj, w środowisku, którego ziemia i powietrze były zatrute.

Nie powiedziała tego Benowi. I nie zamierzała tego robić.

Ben miał wystarczająco dużo spraw na głowie, a i tak nie mógł tego zmienić. Poza tym знаła stopień ryzyka, kiedy decydowała się udać tu razem z nim. Mogła winić tylko samą siebie.

Wciągnęła w płuca duszne powietrze zamku. Jego smak i woń wywołały kolejne mdłości. Jej skóra była blada i mokra od potu. Zmusiła się do opuszczenia ukrycia i pomknęła dalej.

Znajdowała się na drugim piętrze, blisko miejsca, do którego chciała się dostać. Czuła je. Musi się jednak pośpieszyć. Ben mógł jej zapewnić tylko kilka minut.

Dotarła do miejsca, gdzie zakręcał korytarz, i zobaczyła tam drzwi. Przystawiła do nich ucho. W środku słychać było oddech.

Elizabeth była u siebie.

Willow położyła rękę na klamce. To był właśnie powód, dla którego musieli przyjechać do Graum Wythe w nocy, aby mieć pewność, że dziewczynka będzie na miejscu.

Nacisnęła klamkę, aż zamek ustąpił, pchnęła drzwi i wśliznęła się do środka. Elizabeth była już w koszuli nocnej.

Leżała w łóżku podparta na jednym łokciu i czytała książkę.

Drgnęła, gdy zobaczyła Willow, a jej oczy powiększyły się ze zdziwienia.

– Kim jesteś? – zapytała, z trudem łapiąc powietrze. – Ty jesteś cała zielona!

Willow uśmiechnęła się, zamknęła za sobą drzwi i przyłożyła palec do ust.

– Ciii, Elizabeth. Niczego się nie bój. Mam na imię Willow. Jestem przyjaciółką Abernathy'ego.

Elizabeth usiadła wyprostowana na łóżku.

– Abernathy'ego? Naprawdę? – Odepchnęła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. – Jesteś wróżką? Może księżniczką z bajki? Jesteś taka piękna! Znasz się na czarach? Potrafiłabyś...

Willow przystawiła swój palec do ust dziewczynki.

– Ciii – powtórzyła miękko. – Nie mamy zbyt wiele czasu.

Elizabeth zrobiła niezadowoloną minę.

– Nie rozumiem. Co się stało? Ach, założę się, że jeszcze i nie wiesz! Abernathy'ego już tu nie ma! Michel zamknął go w klatce w piwnicy, ale wykradłam go i wysłałam...

– Elizabeth – Willow przerwała delikatnie. Przyklękła obok dziewczynki i objęła jej dłonie. – Muszę ci coś powiedzieć. Obawiam się, że mimo wszystko Abernathy nie uciekł.

– Michel go odnalazł i ponownie tutaj sprowadził.

– Ojej, biedny Abernathy! – Twarz Elizabeth wykrzywiła się w wyrazie udręki. – Michel chce go skrzywdzić, wiem, że tak jest! Abernathy umierał z głodu, kiedy pomogłam mu uciec! Teraz Michel naprawdę go skrzywdzi.

Willow zawróciła dziewczynkę w stronę łóżka i siadła razem z nią na jego krawędzi.

– Musimy znaleźć inny sposób, żeby mu pomóc w ucieczce stąd – powiedziała. – Pomyśl przez chwilę, czy jest ktoś, kto mógłby nam pomóc?

Elizabeth nie mogła się zdecydować.

– Może mój ojciec. Ale on wyjechał.

– Kiedy twój ojciec wraca?

W przyszłym tygodniu, w środę. – Twarz Elizabeth ściągnęła się jeszcze bardziej. – To trochę za późno, prawda, Willow? Michel dziwnie się na mnie dzisiaj patrzył podczas obiadu, jak gdyby coś podejrzewał. Opowiadał o psach, a potem się uśmiechał, tak złośliwie. Założę się, że

wie, że to ja mu pomogłam. On się tylko tak drażni ze mną. Będzie chciał skrzywdzić Abernathy'ego.

Willow ścisnęła małe dłonie.

– Nie pozwolimy mu na to. Są tutaj ze mną moi przyjaciele. Zabierzemy stąd Abernathy'ego.

– Naprawdę? – Elizabeth natychmiast odzyskała entuzjazm. – Może będę mogła pomóc?

Willow pokręciła zdecydowanie głową.

– Nie tym razem.

– Ale ja chcę pomóc! – powiedziała twardo Elizabeth. – Michel wie, że już raz mu pomogłam, więc nie mogę już bardziej sobie zaszkodzić! Może też będziecie mnie mogli zabrać! Nie chcę tu dłużej zostać!

Willow skrzywiła się nieznacznie.

– Elizabeth, ja...

– Michel już powiedział, że nie mogę opuszczać pokoju! Muszę być tutaj cały czas, aż zmieni zdanie. On musi wiedzieć! Jutro jest Halloween, a ja nawet nie mogę chodzić z dziećmi od domu do domu! Musiałam go dosłownie błagać, żeby mi pozwolił pojechać na jutrzejszą zabawę szkolną.

– Musiałam nawet poprosić Nitę Coles, aby przekonała swoich rodziców, żeby zadzwonili i zaproponowali, że mnie podwiozą! Ponieważ mojego ojca nie ma, więc Michel nie chciał pozwolić mi jechać. Ale powiedziałam mu, że gdybym nie pojechała, to wszyscy by się dziwili, gdzie jestem, bo tam będzie cała szkoła, więc ustąpił. – Rozpłakała się. – To przyjęcie nie ma już teraz dla mnie znaczenia, skoro Abernathy jest znowu zamknięty. A ja myślałam, że jest w końcu bezpieczny! – Nagle przestała płakać i szybko poderwała głowę do góry. – Słuchaj, Willow, znam sposób, żeby wydostać stamtąd Abernathy'ego! Jeśli Michel ponownie zamknał go w piwnicy, to wiem, jak go wykradniemy!

Willow dotknęła zalanej łzami twarzy dziewczynki.

– Jak, Elizabeth?

– Tak samo, jak wydostałam go poprzednio – przez przejście w ścianie! Michel jeszcze o nim nie wie! Wiem, bo byłam tam znowu, po tym, jak Abernathy uciekł, i nie było zamknięte! I mogłabym jeszcze raz zdobyć klucz do tych klatek, gdybym musiała. – Była cała podekscytowana, oddychała szybko, a jej twarz pałała rumieńcami. – Moglibyśmy go wydostać dzisiaj w nocy!

Przez krótką chwilę Willow to rozważała. Zaraz jednak pokręciła głową.

– Nie, Elizabeth, nie dzisiaj. Ale już niedługo. I być może będziesz mogła pomóc. Właściwie to już pomogłaś. Powiedziałaś mi, jak się dostać do Abernathy'ego. Po to tutaj przyszedłam, sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób. Ale musimy być bardzo ostrożni, Elizabeth. Nie możemy popełnić żadnego błędu. Rozumiesz mnie?

Elizabeth była niepocieszona, ale zmusiła się do kiwnięcia głową.

Willow zdobyła się na niewielki uśmiech. Jej pobyt w pokoju przekroczył już wyznaczony czas i wysiłek osłabiał ją coraz bardziej.

– Nie wolno ci nikomu powiedzieć, że mnie widziałś, Elizabeth. Musisz udawać, że mnie tutaj nigdy nie było. Musisz się zachowywać, jak gdybyś nic nie wiedziała o Abernathym. Możesz to zrobić?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Potrafię udawać lepiej niż ktokolwiek inny.

– To świetnie. – Sylfida podniosła się i ruszyła w stronę drzwi. Jedna dłoń Elizabeth wciąż się kurczowo jej trzymała.

– Odwróciła się. – Bądź cierpliwa, Elizabeth. Wszyscy chcemy, aby Abernathy był znowu bezpieczny. Może jutro...

– Kocham Abernathy'ego – powiedziała nagle Elizabeth.

Willow odwróciła się, spojrzała w oczy dziewczynki i przytuliła ją do siebie.

– Ja też, Elizabeth.

Pozostały w uścisku przez dłuższy czas.

– Dwadzieścia pięć milionów dolarów to dużo pieniędzy, panie Squires – mówił Michel Ard Rhi.

Ben uśmiechnął się.

– Próbuje nie stawiać ograniczeń finansowych naszym badaniom, panie Ard Rhi.

Wciąż siedząc na wyściełanych skórą krzesłach, obserwowali siebie nawzajem w ciszy i półmroku gabinetu. Nie docierały do nich żadne odgłosy z zewnątrz.

– Przedmiot naszej rozmowy musiałby być, oczywiście, w dobrym stanie – powtórzył Ben. – Egzemplarz uszkodzony byłby bezużyteczny.

Michel Ard Rhi nic nie powiedział.

– Musiałbym dokonać oględzin.

– Michel Ard Rhi milczał.

– Musiałbym mieć pewność, że Abernathy...

– Nie ma żadnego Abernathy'ego, panie Squires, proszę pamiętać – powiedział nagle Michel Ard Rhi. Ben czekał. – Nawet gdyby był... musiałbym przemyśleć pańską ofertę.

Ben skinął głową. Spodziewał się tego. To byłoby zbyt piękne, gdyby mógł zobaczyć Abernathy'ego od razu.

– Gdybym został w mieście dłużej, niż planowałem, panie Ard Rhi, to może moglibyśmy kontynuować naszą rozmowę jutro?

Drugi mężczyzna wzruszył ramionami. Dotknął czegoś pod stołem i podniósł się.

– Ja będę decydował o czasie i miejscu ewentualnych przyszłych spotkań, panie Squires. Czy to jest zrozumiałe?

Ben uśmiechnął się towarzysko.

– Byle nastąpiło to niebawem, panie Ard Rhi.

Ku jego zdziwieniu, Michel Ard Rhi odwzajemnił jego uśmiech.

– Pozwoli pan, panie Squires, że udzielię mu rady – powiedział, robiąc kilka kroków do przodu. – Powinien pan być bardziej ostrożny w formułowaniu swoich żądań. Wie pan, to miejsce jest dość niebezpieczne. Taka już jest jego historia. Zdarzało się, że w tych murach znikali ludzie. Nigdy już ich potem nie widziano. Mamy też tutaj magię, a niektóre jej rodzaje są bardzo niebezpieczne.

Benowi zrobiło się nagle zimno. On wie, pomyślał z przerażeniem.

– Zgasić jedno lub dwa istnienia, cóż to takiego? Nawet ważne istnienie, takie jak pańskie, może zostać połknięte i zniknąć na zawsze. Czary właśnie to robią, panie Squires. Zwyczajnie pana połykają.

Ben usłyszał, jak ktoś otwiera za nim drzwi.

– Proszę się strzec po tym, co pan usłyszał – ostrzegał.

Jego oczy były wyraźnym świadectwem, że groźba jest realna. – Nie lubię pana.

Odźwierny wszedł do środka i Michel Ard Rhi natychmiast się odwrócił. Ben wyszedł szybko z gabinetu, wciągając głęboko powietrze, czując, jak z kręgosłupa ustępują mu ciarki. Szedł z powrotem pustym korytarzem do głównego wejścia. Wyszedł na zewnątrz, odprowadzany przez odźwiernego. Gdy się już tam znalazł, poczuł, jak ktoś go muska w przelocie.

Obejrzał się, ale niczego nie dostrzegł.

Drzwi się za nim zamknęły. Miles stał przy tylnych drzwiach limuzyny, otwierając je dla Bena. Ten wszedł do samochodu i usiadł w milczeniu. Patrzył, jak Miles obchodzi z tyłu samochód. Bagażnik był już zamknięty. Ani śladu Willow.

– Willow? – wyszeptał niecierpliwie.

– Tutaj jestem, Ben – odpowiedział głos pozbawiony ciała, dochodzący z płataniny cieni u jego stóp, tak blisko niego, że aż podskoczył.

Miles wsiadł i uruchomił samochód. Kilka minut później przejeżdżali pod kratą, minęli most i dalej podążyli krętą drogą, aż za żelazną bramę. Sylfida siedziała obok Bena i zdawała relację z tego, co powiedziała jej Elizabeth. Kiedy skończyła, nikt nic nie mówił przez jakiś czas. W ciszy słychać było tylko warkot silnika. Dojechali do drogi pięćset dwadzieścia dwa i skręcili na południe w kierunku Woodinville.

Nikt się nie poskarżył, gdy Miles podkręcił ogrzewanie.

## MASKARADA

Trzydziesty pierwszy października był dniem szarym, pochmurnym i dżdżystym. Nagłe porywy wiatru i siąpiący deszcz mroziły powietrze, stanowiąc dla całej zachodniej części stanu Washington ostrzeżenie przed nadchodzącą zimą. Był to ponury dzień pełen cieni i dziwnych odgłosów, dzień, w którym ludzie marzą tylko o tym, aby zwinąć się w kłębek przed ciepłym kominkiem, ze szklanką czegoś gorącego w ręku i dobrą książką. Ludzie nasłuchują wtedy odgłosów przyrody i słyszą dźwięki, które w ogóle nie istnieją. Krótko mówiąc, był to idealny dzień na Wigilię Wszystkich Świętych.

Elizabeth jadła lunch w szkolnej stołówce, kiedy przekazano jej wiadomość, że jest do niej telefon z domu. Ruszyła pędem do sekretariatu, zostawiając Nitę Coles, aby przypilnowała jej czekoladowego ciastka. Kiedy wróciła, była tak podekscytowana, że zupełnie o nim zapomniała. Później, na przerwie, powiedziała Nicie, że jej rodzice nie będą musieli jej podwozić wieczorem na przyjęcie Halloween, ale poprosi ich o odwiezienie do domu. Nita powiedziała Elizabeth, że nie ma sprawy, a potem dodała, że jej zdaniem Elizabeth zachowuje się dzisiaj trochę dziwnie.

Większą część tego wietrznego dnia Ben Holiday spędził na południe od Woodhville i Bothell w Seattle, odwiedzając sklepy z kostiumami. Trochę trwało, zanim znalazł strój, jakiego szukał. Ale nawet i wtedy musiał spędzić kilka godzin w pokoju w motelu, dokonując przeróbek, aż wygląd kostiumu zdobył jego akceptację.

Willow spędziła cały dzień, odpoczywając w łóżku. Słabła coraz bardziej i miała problemy z oddychaniem. Próbowwała to ukryć przed Benem, ale nie potrafiła. Ben okazał się wyrozumiały i nie wspominał o tym, pozwalając jej spać, a sam skupił się na przygotowaniach do nadchodzącej nocy. Widziała to i tym bardziej go za to kochała.

Miles Bennett odwiedził kilka prywatnych lotnisk, aż wreszcie znalazł jedno z odpowiednim samolotem oraz pilotem, który zgodził się wykonać rejs jeszcze tej nocy. Pilotowi powiedział, że będzie ich czwórka i że polecą do Wirginii.

Każdy z tej czwórki zajmował się swoimi sprawami, tak jak i cała reszta świata, ale dla nich ten piątek wydawał się trwać bez końca.

Zmierzch zastał Bena, Milesa i Willow z powrotem na drodze numer pięćset dwadzieścia dwa. Kierowali się z Woodinville w stronę Graum Wythe. Tym razem jechali wynajętym samochodem – limuzynę oddali już w Seattle. Ben prowadził, sylfida siedziała obok niego, a Miles z tyłu. Z zewnątrz dochodził ich świst wiatru, a splecione cienie gałęzi drzew igrały wokół ciemnej skorupy samochodu niczym pazury diabła.

Ciemnoszare niebo poczerniało wraz z ostatnim błyskiem dziennego światła.



– Doktorku, to się nie uda – powiedział nagle Miles, przerywając milczenie, które zdawało się trwać całą wieczność.

Brzmiało to jak powtórka z wczorajszego dnia. Ben uśmiechnął się szeroko, chociaż Miles nie mógł tego widzieć.

– Dlaczego nie, Miles?

– Ponieważ jest zbyt wiele rzeczy, które mogą nawalić.

– Wiem, że to samo mówiłem o wczorajszym planie i tobie się udało, ale to było co innego. Ten plan jest o wiele bardziej niebezpieczny! Zdajesz sobie sprawę, że my nawet nie wiemy, czy Abernathy rzeczywiście znajduje się na dole w tych lochach, klatkach czy czymkolwiek innym! A jeśli go tam nie będzie? A jeśli nawet tam będzie, a ty nie będziesz mógł go wydostać? A może zmienili zamki lub schowali klucze, na miłość Boską? Co wtedy zrobimy?

– Wrócimy jutro i spróbujemy jeszcze raz.

Pewnie. Halloween będzie trwał cały tydzień! Co zrobimy? Zaczekamy na Święto Dziękczynienia i pójdziemy tam przebrani za indyki? A może w Boże Narodzenie ześlizniemy się kominem niczym Święty Mikołaj i jego elfy?

Ben obejrzał się za siebie. Miles wyglądał zabawnie, siedząc w przebraniu goryla. Sam wyglądał równie śmiesznie w kostiumie kudłatego psa, który nieco przypominał Abernathy'ego.

– Zrelaksuj się, Miles – powiedział.

– Zrelaksuj? – Ben niemal widział, jak tamten robi się czerwony pod ciężkim kostiumem. – A jeśli będą liczyć głowy, Ben? Jeśli policzą głowy, to jesteśmy martwi!

– Już ci mówiłem; wyjdzie tak, jak zaplanowaliśmy. Zanim się zorientują, co się stało, nas już tam dawno nie będzie.

Jechali w milczeniu, aż dotarli do kamiennych słupów ze światłami w kształcie kul. Ben skręcił w lewo w obsadzoną drzewami prywatną drogę. Wtedy odezwała się Willow:

– Martwię się tym, że Elizabeth musi jechać z nami.

Ben kiwnął głową.

– To prawda. Ale nie możemy jej zostawić. Nie po tym wszystkim. Michel Ard Rhi dowie się, że brała w tym udział.

– Lepiej, jak jej tam nie będzie. Jej ojciec to zrozumie, jak Miles z nim porozmawia. Zaopiekujemy się nimi.

– Uhm! – mruknął Miles. – Jesteś szalony, doktorku, wiesz o tym? Nic dziwnego, że podoba ci się życie w krainie czarów!

Willow osunęła się na swoim siedzeniu i ponownie przymknęła oczy. Jej oddech był nierówny.

– Jesteś pewna, że będziesz mogła to zrobić? – zapytał spokojnie Ben. Sylfida skinęła tylko głową.

Jechali przez winnice, aż w końcu dotarli do czujników elektrycznych, które włączyły reflektory. Kiedy znaleźli się przy niskim kamiennym murze, żelazna brama czekała na nich otwarta, a most zwodzony i krata zostały już uruchomione. Olbrzymi zamek wyglądał przerażająco na tle nisko zawieszonych chmur i panoramy odległych gór. Zarys jego wież i murów obronnych stał się niewyraźny w deszczu i mgłę. Wycieraczki samochodu szurały tam i z powrotem, na krótkie chwile rozjaśniając rozległą przestrzeń przed nimi.

Ben jechał spokojnie krętą drogą, ale nie mógł się pozbyć uczucia, że czegoś zapomniał.

Przejechali przez most, słuchając walenia kół o deski; minęli czeluść bramy zamkowej i okrążyli dziedziniec. Przez mgłę i mrok rozbłysły światła, ale strażnicy, których widzieli zeszłej nocy, nie byli dziś widoczni. Nie znaczy to wcale, że ich tam nie było, pomyślał Ben i zatrzymał samochód przy samym wejściu.

Wysiedli i szybko udali się pod daszek osłaniający główne wejście. Ben przytrzymał Willow blisko siebie, żeby się nie pośliznęła. Zapukali i czekali. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i stanął w nich odźwierny. Zamrugnął oczami ze zdziwienia.

Zobaczył bowiem goryla, kudłatego psa i młodą kobietę pomalowaną od stóp do głów na zielono.

– Dobry wieczór – zawołał Ben przebrany w kostium psa. – Przyjechaliśmy zabrać Elizabeth na przyjęcie Halloween do szkoły. Nazywam się Barker, to moja żona Helen, a to pan Campbell.  
– Dokonał szybkiej prezentacji, aby nie zapamiętano nazwisk i chyba mu się to udało.

– Aaa. – Odźwierny nie był zbyt rozmowny. Zaprosił ich do środka, z czego z przyjemnością skorzystali. Stali w holu, strzepując z siebie krople deszczu, rozglądali się niepewnie dokoła. Odźwierny przyglądał im się przez chwilę, a potem podszedł do telefonu i do kogoś zadzwonił. Ben wstrzymał oddech. Odźwierny odłożył słuchawkę i powrócił.

– Panią Elizabeth pyta, czy ktoś nie mógłby jej pomóc ubrać się w kostium – powiedział.

– Ja jej pomogę – zaproponowała z miejsca Willow. – Znam drogę, dziękuję.

Zniknęła, wchodząc do góry po krętych schodach. Ben i Miles siedli na ławce w holu, wyglądali jak dwie ponadwymiarowe zabawki ze sklepu z osobliwościami. Odźwierny patrzył na nich jeszcze przez chwilę, starając się prawdopodobnie dociec, jak można nakłonić dorosłego człowieka do nałożenia czegoś takiego, po czym odwrócił się i wyszedł.

Ben czuł żar pod dwoma kostiumami, które miał na sobie oraz lejący się pot spod pach i z pleców.

Jak na razie jest nieźle, pomyślał.

Sylfida zapukała delikatnie do drzwi sypialni Elizabeth i zaczekała. Prawie natychmiast drzwi się otworzyły i stanął w nich mały klaun o kędzierzawych, pomarańczowych włosach, białej twarzy i ogromnym czerwonym nosie.

– Och, to ty, Willow! – zawołała półgłosem Elizabeth, chwytając ją za rękę i pośpiesznie

wciągając do środka. – Jest niedobrze.

Willow chwyciła ją delikatnie za ramiona.

– Co jest niedobrze, Elizabeth?

– Abernathy! Jest jakiś... dziwny! Zeszłam dzisiaj po południu po szkole do piwnicy, zobaczyć, czy wszystko jest w porządku, no wiesz, sprawdzić, czy tam jeszcze jest. Wiem, że być może nie powinnam, ale martwiłam się, Willow! – Słowa wypowiedane przez nią nachodziły jedno na drugie. Wykradłam się z mojego pokoju. Sprawdziłam, czy nikt mnie nie widzi i wtedy zeszłam tajemnym przejściem między ścianami do piwnicy. Abernathy był tam, zamknięty w jednej z klatek, przywiązany łańcuchem! Och, Willow, był taki smutny! Cały poszarpany i brudny. Odezwałam się do niego szeptem, ale on mnie chyba nie rozpoznał. On tylko... wydawało mi się, że nie może normalnie mówić! Mówił coś przez jakiś czas, ale to nie miało żadnego sensu. Poza tym wyglądało na to, że nie może się ruszyć ani ruszyć się, ani nic takiego! – W błękitnych oczach zaświeciły łzy. – Willow, on jest bardzo chory! Nawet nie wiem, czy on może chodzić!

Sylfida poczuła, jak wypełnia ją mieszane uczucie lęku i niepewności, ale szybko odsunęła je od siebie.

– Nie obawiaj się niczego, Elizabeth – powiedziała stanowczym tonem. – Pokaż mi, gdzie on jest. Wszystko będzie dobrze.

Wymknęły się z pokoju na pusty korytarz – drobny klaun i szmaragdowa wróżka. Panującą ciszę zakłócało tylko tykanie starego zegara oraz dochodzące gdzieś z bardzo daleka ludzkie głosy. Elizabeth zaprowadziła Willow do szafki ze szczotkami. Zamykając drzwi, zapaliła latarkę, po czym przez kilka sekund zmagiła się z tylną ścianą, aż jej fragment się uchylił. W zupełnej ciszy zeszły schodami znajdującymi się tuż za ścianą, pokonując kilka zakrętów, dwa półpiętra i jeden krótki tunel, aż w końcu dotarli do kolejnego fragmentu ściany, do którego była przymocowana zardzewiała żelazna gałka.

– On jest zaraz za tą ścianą! – wyszeptała Elizabeth.

Chwyciła za gałkę i pociągnęła. Ściana ustąpiła do wnętrza i powiew stęchłego, cuchnącego powietrza sprawił, że Willow zakreśliło się w głowie. Napływ mdłości wstrząsnął jej ciałem, ale zdusiła je w sobie. Odczekała chwilę, aż uczucie zupełnie minie.

– Dobrze się czujesz? – zapytała zaniepokojona Elizabeth, przysuwając do niej swoją jaskrawokolorową twarz klauna.

– Tak, Elizabeth – wyszeptała. Nie mogła się teraz poddać. Może trochę później, obiecała sobie. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Zajrzała przez otwór w ścianie. Pomieszczenie było poprzecinane klatkami ustawionymi w prostych liniach. W jednej z nich zauważyła jakiś ruch. Coś leżało wewnątrz, wstrząsane co rusz drgawkami.

– To Abernathy! – potwierdziła Elizabeth cienkim, przestraszonym głosem.

Jeszcze przez chwilę Willow sprawdzała, czy w korytarzu za salą nie ma żadnych oznak ruchu. Nie było żadnych.

– Są tu jacyś strażnicy? – zapytała cicho.

– Elizabeth wskazała palcem.

– Tam, za drzwiami. Zwykle tylko jeden.

Sylfida przecisnęła się do wnętrza sali, czując napływ kolejnej fali mdłości i osłabienia. Podeszła do klatki, która więziła Abernathy’ego i popatrzyła na niego. Pies leżał na stercie słomy w podartym odzieniu. Jego futro było matowe i powalane brudem. Musiało mu być wcześniej niedobrze, ponieważ zeschłe wydzieliny przywarły do jego ciała. Wydawał okropny zapach. Na szyi miał łańcuch.

Wisiał na niej również medalion.

Abernathy mamrotał coś bez związku. Mówił o wszystkim i o niczym, połykał dźwięki, a wszystko robiło wrażenie tępej paplaniny. Jest pod wpływem narkotyku, pomyślała.

Elizabeth podała jej coś do ręki.

– To jest klucz do klatki, Willow – szepnęła. Wyglądała na bardzo przestraszoną. – Nie wiem, czy będzie pasował do łańcucha na szyi!

Jej nos klauna spadł na ziemię, podniosła go pośpiesznie i wcisnęła na miejsce. Sylfida wzięła od niej klucz i zaczęła go wkładać do zamka w klatce.

W tej samej chwili usłyszały, jak na końcu korytarza ktoś zaczyna przekręcać klamkę.

Michel Ard Rhi zszedł do głównego holu przy wejściu i zatrzymał się na krótką chwilę, gdy dostrzegł goryla i kudłatego psa siedzących na ławce. Widać było, że nie jest pewien, co o nich sądzić. On patrzył na nich, a oni na niego. Nikt się nie odezwał słowem.

Ben wstrzymał oddech i czekał. Czuł, jak Miles obok niego sztywnieje. Nagle, Michel najwyraźniej przypomniał sobie, co oni tutaj robią.

– Ach, prawda – powiedział. – Szkolne przyjęcie Halloween. Przyjechaliście pewnie po Elizabeth?

Gdzieś w końcu holu zadzwonił telefon.

Michel zawahał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, wtem odwrócił się i szybko odszedł w kierunku aparatu. Kudłaty pies i goryl spojrzeli po sobie z westchnieniem ulgi.

Strażnik pchnął drzwi i znużonym krokiem przemierzał korytarz w kierunku żelaznych klatek. Jego ciężki chód odbijał się donośnym echem na kamiennych płytach. Był ubrany na czarno i miał przy sobie automatyczną broń oraz pęk kluczy przy pasie. Elizabeth skryła się w ciemnościach za sekretną częścią muru, gdzie była niewidoczna, wyglądała tylko przez wąską

szczelinę.

Willow pozostawała wciąż w pomieszczeniu. Ale gdzie? Dlaczego jej nie widziała?

Patrzyła, jak strażnik mija klatkę Abernathy'ego, pobieżnie sprawdza drzwi, czy są zamknięte, potem odwraca się i wraca tą samą drogą, którą przyszedł. Gdy mijał jej kryjówkę, klucze przy jego pasie nagle się odłączyły. Elizabeth zamrugła powiekami z niedowierzaniem. Strażnik dokończył swój spacer korytarzem, przecisnął się przez metalowe drzwi i zniknął.

Elizabeth wychynęła szybko ze swej kryjówki.

– Willow! – zawołała przytłumionym głosem.

Sylfida nagle się pojawiła tuż obok niej z pękiem kluczy w ręku.

– Szybko – powiedziała półgłosem. – Nie mamy wiele czasu.

Powróciły do klatki Abernathy'ego i Willow otworzyła drzwi kluczem, który dostała wcześniej od Elizabeth. Dostały się do środka i klękły obok zniewolonego psa. Willow nachyliła się bliżej. Oczy pisarza były niemalże na wierzchu, a jego oddech przyspieszony. Kiedy próbowała go podnieść, zawisł bezradnie na jej rękach.

Przez moment ogarnęła ją panika. Był zbyt ciężki dla niej, aby go nieść, zbyt ciężki nawet gdyby pomogła jej Elizabeth.

Musiała znaleźć sposób na wydobywanie go z tego otępienia.

– Sprawdzaj je po kolei, aż znajdziesz ten, który pasuje – poleciła Elizabeth, podając jej obręcz z kluczami.

Elizabeth zabrała się do pracy, wkładając jeden po drugim w zamek łańcucha na szyi. Willow rozcierała łapy Abernathy'ego, a potem głowę. Nic nie pomagało. Wpadła w jeszcze większą panikę. Musi sprowadzić tutaj Bena. Wiedziała jednak, już w momencie rozważania tego pomysłu, że to nie jest możliwe. Plan by się po prostu nie powiódł, gdyby Ben był na dole. Poza tym, nie było na to czasu.

Zrobiła w końcu jedyną rzecz, która mogła pomóc psu wykorzystując swoją czarodziejską moc. Była tak osłabiona że niewiele mogła tej mocy przywołać. Umieściła ręce na głowę Abernathy'ego, zamknęła oczy, żeby się skoncentrować i przesączyć truciznę z jego organizmu do własnego.

Wstrętne ciecze w mgnieniu oka wstąpiła w nią. Rozpaczliwie próbowała zneutralizować jej oddziaływanie na własny organizm, ale nie była wystarczająco silna. To było zbyt wiele. Część tej cieczy przedostała się przez system odpornościowy i zaczęła zatruwać jej i tak już osłabione ciało. Nudności mieszały się z bólem. Wzdrygnęła się, gwałtownie wykręciła ciało i zwymiotowała na słomę.

– Willow! – usłyszała krzyk przerażonej Elizabeth. – Błagam, tylko nie choruj!

Twarz małego klauna przywarła do jej własnej, płacząc i szepcząc coś zapamiętałe. Sylfida zamrugła powiekami.

Czerwony nos znowu odpadł, pomyślała z roztargnieniem.

Nie mogła zapanować nad swoimi myślami. Wszystko wirowało niezależnie od siebie.

Wtem wydarzył się cud i usłyszała Abernathy'ego, jak mówi:

– Willow? Co ty tutaj robisz? Wiedziała, że wszystko się dobrze skończy.

Dopiero gdy znaleźli się w przejściu, w bezpiecznej odległości od klatek, Elizabeth przejechała ręką po twarzy w miejscu, gdzie powinien znajdować się nos klauna i zdała sobie sprawę, że go zgubiła. Przestraszyła się. Musiał upaść, kiedy uwalniali Abernathy'ego. Z pewnością go znajdą. Chciała się zatrzymać, ale zmieniła zdanie. Było już na to za późno. Willow była zbyt słaba, aby wracać, a na pewno nie pozwoliłaby pójść jej tam samej. Zagryzła wargi i skupiła się na obecnym zadaniu, oświetlaniu latarką schodów w drodze do składziku ze szczotkami. Willow i Abernathy szli kilka kroków za nią, podpierając się wzajemnie, a wyglądali tak, jakby za chwilę mieli upaść na ziemię.

– Jeszcze kilka kroków – powtarzała szeptem Elizabeth, żeby ich podtrzymać na duchu, ale żadne z nich nie odpowiadało.

Dotarli na podest przy pomieszczeniu gospodarczym, pomanipulowali przy ścianie i pchnęli ją. Błada twarz sylfidy błyszczała od potu i wydawało się, że ma kłopoty ze skupieniem wzroku.

– Nic mi nie jest, Elizabeth – zapewniła dziewczynkę, widząc niepokój w jej oczach, ale Elizabeth nie była głuptasem i wyraźnie widziała, że nie wszystko jest w porządku.

Kiedy w końcu znaleźli się w pokoju Elizabeth, dziewczynka i Willow pośpiesznie zajęły się Abernathym, czesząc jego zmatowiałą sierść, czyszcząc go najlepiej, jak tylko mogły.

Próbowały ściągnąć z niego porwane ubranie, ale tak gwałtownie protestował przeciwko rozebraniu go do naga, więc ostatecznie pozwoliły mu zatrzymać spodenki i buty. Nie tak wyobrażał to sobie Ben, ale Willow była zbyt zmęczona, aby się kłócić. Czują, jak z upływem każdej sekundy obumiera.

Zaskoczyła jednak samą siebie. To, że umiera, nie przerażało ją tak bardzo, jak wcześniej to sobie wyobrażała.

W holu zadzwonił telefon. Benowi i Milesowi zdawało się, że upłynęły wieki, zanim pojawił się odźwierny i podniósł słuchawkę. Nastąpiła krótka rozmowa, po której odźwierny odłożył słuchawkę i zwrócił się do nich:

– Paniąka Elizabeth kazała powiedzieć, że zaraz będzie na dole.

– Nareszcie! – odetchnął z ulgą Miles, ścisząc głos.

Odźwierny stał jeszcze przez chwilę, po czym znowu wyszedł.

– Teraz wychodzę – wyszeptał Ben. – Nie zapomnij, co masz robie.

Wstał i po cichu wyszedł przez frontowe drzwi. Zszedł po schodach wejściowych i wszedł do

samochołu. Tam zdjął z siebie kostium psa, doprowadził do porządku strój znajdujący się pod nim i naciągnął nową maskę. Następnie wysiadł z samochodu i z powrotem wszedł do środka.

Właśnie wracał odźwierny. Zmarszczył czoło, widząc goryla siedzącego teraz w towarzystwie kościotrupa.

– To jest pan Andrews – powiedział szybko Miles. – Siedział w samochodzie, ale to go trochę znużyło. Pan Barker poszedł na górę pomóc swojej żonie przy Elizabeth.

Odźwierny skinął automatycznie głową, wciąż przyglądając się Benowi. Zamierzał coś właśnie powiedzieć, gdy Elizabeth, zielona dama i kudłaty pies pojawili się na schodach.

Zielona dama nie wyglądała zbyt dobrze.

– Jestem gotowa, John – powiedziała wesoło Elizabeth do odźwiernego. Miała ze sobą małą torbę. – Musimy się pośpieszyć. Och, bym zapomniała. Zostanę na noc w domu Nity Coles. Powiedz to Michelowi, dobrze? Cześć.

Odźwierny uśmiechnął się lekko i pożegnał. Cała ich grupa, goryl, kościotrup, zielona dama, kudłaty pies i Elizabeth, szybko zniknęła.

Odźwierny patrzył za nimi, zastanawiając się, czy ten kudłaty pies miał na sobie spodnie, kiedy tu wchodził?

Wjeżdżając na parking przy szkole im. Franklina, Ben Holiday mijał miniaturowe wiedźmy, wilkołaki, duchy, diabły, punki i wiele innych potworów nadciągających ze wszystkich stron. Wszystkie w pośpiechu opuszczały swoje samochody i gnały jak nawiedzone, aby skryć się w rozświetlonej szkole. Wciąż padał ulewny deszcz. Tego wieczoru będzie z pewnością wielu zawiedzionych, którzy nie dostaną swego zwyczajowego poczęstunku, chodząc od domu do domu.

Ben zatrzymał samochód przy krawężniku i przełożył dźwignię automatycznej skrzyni biegów na „parkowanie”.

Spojrzał na siedzącą obok niego Elizabeth.

– Czas na ciebie, mała.

Elizabeth skinęła głową. W jakiś dziwny sposób, mimo maski szczęścia wymalowanej na twarzy, udało jej się pokazać smutek.

– Żałuję, że nie mogę jechać z wami.

– Nie tym razem, skarbie – uśmiechnął się Ben. – Wiesz, co robić po przyjęciu, prawda?

– Jasne. Jadę z Nitą i jej rodzicami do ich domu i zostaję tam, aż przyjedzie po mnie mój ojciec. – Jej głos też wyrażał smutek.

– Dobrze. Pan Bennett dopilnuje, aby tata dowiedział się o wszystkim, co ci się przytrafiło. Cokolwiek się stanie, nie wracaj do zamku. Dobrze?

– Dobrze. Żegnaj, Ben. Żegnaj, Willow. – Odwróciła się do sylfidy siedzącej obok, przytuliła

i pocałowała w policzek.

– Willow, również nic nie mówiąc, pocałowała ją i uśmiechnęła się. Była zbyt chora, by się odezwać. – Wyzdrowiejesz? – pytała niepewnie Elizabeth.

Tak, Elizabeth. – Willow zebrała siły na jeszcze jeden krótki pocałunek i otworzyła drzwi. Ben nigdy nie widział jej w tak złym stanie, nawet wtedy, gdy pierwszy raz została wzięta na Abaddon i nie mogła dokonać transformacji. Stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

– Cześć, Abernathy – powiedziała Elizabeth do psa, który siedział z tyłu razem z Milesem. Zaczęła coś mówić, ale przerwała i powiedziała tylko: – Będę za tobą tęsknić.

Abernathy skinął głową.

– Ja też będę tęsknić, Elizabeth.

Potem wyszła z samochodu i popędziła do szkoły. Ben zaczekał, aż znalazła się w środku, wtedy wyjechał z parkingu i ruszył szybko przez Woodinville do drogi pięćset dwadzieścia dwa, a potem skręcił na zachód.

– Królu, nie wiem, jak mam dziękować za ratunek – mówił Abernathy. – Już pogodziłem się z myślą o śmierci.

Ben myślał o Willow i jednocześnie starał się nie przekraczać dozwolonej prędkości.

– Przykro mi, Abernathy, że to musiało się wydarzyć. Questor też tego żałuje, naprawdę.

– Trudno mi w to uwierzyć – oświadczył pies. Działanie narkotyków już ustąpiło i pisarz był bardziej zmęczony niż chory. Teraz z Willow był prawdziwy kłopot.

Ben minimalnie zmniejszył prędkość.

– Nie zapominaj, że Questor próbował ci pomóc – powiedział.

– On chyba nie rozumie znaczenia tego słowa! – powiedział z gniewem Abernathy. Nic nie mówił przez chwilę. A właśnie – proszę. – Zdjął łańcuch z medalionem z szyi, wychylił się do przodu i umieścił go ostrożnie na szyi Bena. – Czuję się znacznie lepiej, wiedząc, że wrócił bezpiecznie do właściciela.

Ben również poczuł się lepiej, choć tego nie powiedział.

Dwadzieścia minut później dojechali do międzystanowej drogi numer pięć i skręcili na południe. Deszcz nie padał już tak mocno, a nawet wydawało się, że z przodu powoli się przejaśnia. Do lotniska było jeszcze niecałe pół godziny jazdy samochodem.

Willow wyciągnęła rękę w poprzek siedzenia i znalazła dłoń Bena. Ścisnęła ją delikatnie i spróbował przekazać jej trochę własnej energii.

Z lewej strony mijał ich samochód i kobieta siedząca w fotelu pasażera popatrzyła na nich. Zobaczyła kościotrupa wiozącego goryla, kudłatego psa i kobietę pomalowaną na zielono. Powiedziała coś do kierowcy i samochód pojechał dalej.

Ben zupełnie zapomniał o kostiumach. Przez chwilę myślał o tym, żeby je zdjąć, ale potem zrezygnował. Nie było na to czasu. Poza tym było święto Halloween. Wielu ludzi wychodzi



dzisiaj wieczorem w strojach, jedzie w takie lub inne miejsce, bierze udział w przyjęciach, po prostu dobrze się bawi.

Tak miało być w Seattle. Czytał o tym w porannej gazecie.

Halloween to wielkie święto.

Ben spokojniej zaczął myśleć o przyszłości, gdy zobaczyli pierwsze światła miasta. Deszcz właściwie przestał padać i tylko chwile dzieliły ich od miejsca przeznaczenia. Patrzył, jak drapacze chmur rozświetlają nocne niebo i mnożą się przed nim pionowymi liniami. Odetchnął głęboko i z rozkoszą pomyślał sobie, że znajdują się już prawie w domu.

Wtedy właśnie zobaczył światła nadjeżdżającego z tyłu samochodu policyjnego.

– Ooo – odezwał się półgłosem.

Wóz patrolowy szybko się zbliżył i Ben zatrzymał powoli samochód na poboczu autostrady przy prześle wiaduktu. Wóz patrolowy stanął tuż za nimi.

– Doktorku, za co on cię zatrzymuje? – zapytał niecierpliwym tonem Miles. – Przekroczyłeś prędkość, czy co?

Ben poczuł ścisk w żołądku.

– Raczej nie – powiedział spokojnie.

Obserwował obraz w tylnym lusterku. Policjant przez moment rozmawiał przez radio. Za pierwszym wozem policyjnym zatrzymał się drugi. Po chwili policjant z pierwszego wozu wysiadł, podszedł do okna Bena i zajrzał do środka.

Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

– Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

Ben sięgnął po swój portfel i po chwili przypomniał sobie, że go nie ma. To Miles wynajął ten samochód na swoje prawo jazdy.

– Nie mam go przy sobie, ale mogę panu podać jego numer. A samochód jest zarejestrowany na pana Bennetta.

Wskazał na goryla. Miles próbował zdjąć głowę, ale nie mógł sobie z nią poradzić. Policjant skinał głową.

– Czy posiada pan jakiś dowód tożsamości? – zapytał.

– Eee, pan Bennett będzie miał – powiedział Ben.

– Tak, mam – szybko potwierdził Miles. – Tutaj, pod tym cholernym kostiumem, jeśli tylko uda mi się... – przerwał, próbując na siłę wydostać dokumenty.

Policjant spojrział na Willow i Abernathy'ego. Potem jeszcze raz na Bena.

– Przykro mi, ale muszę pana poprosić, aby pojechał pan za mną – powiedział. – Proszę podążać za mną do miasta.

Drugi wóz patrolowy będzie jechał za panem.

Zimny pot oblał Bena. Coś musiało strasznie nawalić.

– Jestem prawnikiem – powiedział niespokojnie. – Czy jesteśmy o coś oskarżeni?

Policjant pokręcił głową.

– Nie, nie przeze mnie. Może z wyjątkiem mandatu za jazdę bez dokumentów, zakładając, że posiada pan prawo jazdy, jak pan twierdzi. Będę chciał również sprawdzić dokumenty z wypożyczalni samochodów.

– Ale...?

– Istnieje jednak coś jeszcze, co wymaga wyjaśnienia. Proszę jechać za mną. – Odwrócił się i nie udzielając dalszych wyjaśnień, poszedł do swojego samochodu.

Ben opadł na oparcie i usłyszał, jak Miles mówi cicho do jego ucha:

– Jesteśmy załatwieni, Ben. Co teraz zrobimy? Pokręcił głową ze znużeniem. Nie miał najmniejszego pojęcia.

## ŚWIERZB

Trzy dni zajęła Questorowi Thewsowi podróż konno ze Sterling Silver do wschodnich rubieży Wielkich Pustkowi. Pojechał sam, wymykając się z zamku przed świtem, kiedy naprzykrzające się gnomy dodomy i ci wszyscy natarczywi ambasadorowie, kurierzy i suplikanci z różnych stron kraju wciąż jeszcze spali. Sprawy państwa będą musiały po prostu poczekać, czy to się komuś podoba, czy nie, zdecydował. Bunion i Parsnip poszli go odprowadzić, mając nadzieję, że pozwoli im jechać z sobą. Poczuli się dotknięci, gdy zdecydowanie im tego odmówił. Questor nie miał ochoty, aby wyszczerzone w uśmiechu zęby i ukradkowe spojrzenia miały wpływ na jego decyzje. To musi zrobić sam. Żaden z nich nie mógłby mu pomóc. Najlepiej będzie, jak zostaną w zamku i przypilnują wszystkiego na czas jego nieobecności. Dosiadł swego starego siwka i ruszył w drogę – Don Kiszot bez swego Sanczo Pansy, strach na wróble szukający swojego wymarzonego pola. Udał się na północ przez lesiste pagórki krainy Sterling Silver, skręcił na północny-wschód, przemierzył pola i pastwiska Greenswardu, a w końcu się skierował na wschód w stronę Wielkich Pustkowi.

Trzeciego dnia, kiedy zbliżał się zachód słońca, dostrzegł w oddali jasność docierającą z Ognistych Źródeł.

– Wio, koniku – popędził swego siwka, który zwietrzył zapach tego, co było przed nimi i zaczął się narowić.

Questor Thews był człowiekiem, który dźwigał olbrzymi ciężar winy. Wiedział, że życie w Landover nie wróci do normy, dopóki nie zjawi się z powrotem król. Nocny Cień tak długo będzie prowadziła swoją kampanię niszczenia, skłócania i anarchii, jak długo nikt nie znajdzie sposobu na butelkę i demona. Questor, niestety, nie był tym, który mógł tego dokonać. Był nim natomiast król. Ale ten utknął w swoim starym świecie i nie będzie mógł wrócić, dopóki nie odzyska zaginionego medalionu, a nawet wtedy prawdopodobnie nie wróci, jeśli nie będzie mógł zabrać z sobą Willow czy Abernathy'ego. Temu wszystkiemu był winien tylko on, Questor Thews. Czarodziej nie mógł tak dłużej stać bezczynnie i przyglądać się przebiegowi wydarzeń, ponieważ ten przebieg nie zapowiadał niczego dobrego.

Dlatego też opracował plan, który miał przywrócić wszystko do poprzedniego stanu. Był to bardzo prosty plan. Chciał zjednać życzliwość smoka Strabo i poprosić go o pomoc w ściągnięciu z powrotem Holidaya i innych.

Wszystko wydawało się dość łatwe, sam dziwił się, że nie wpadł na to wcześniej. Nikt nie był w stanie wyjechać i dostać się z powrotem do Landover poprzez czarodziejskie mgły bez magicznej mocy zaginionego medalionu Bena – to znaczy nikt z wyjątkiem Strabo. Smoki wciąż mogły chodzić tam, dokąd miały ochotę. No, oczywiście, nie mogły zagłębiać się zbyt daleko w czarodziejskie mgły, ponieważ dawno temu zostały stamtąd wypędzone. Mogły jednak

przebywać w większości innych miejsc. Moc magiczna, dzięki której przechodziły przez mgły, pochodziła wyłącznie od nich. Dlatego też smoki lubiły sobie od czasu do czasu wyskoczyć tu i ówdzie.

Strabo nie był wyjątkiem. Już wcześniej zabrał Bena Holidaya na dół do piekła Abaddonu, aby uratować Questora, Willow, Abernathy'ego i koboldy z rąk demonów. Mógł z pewnością wyruszyć drugi raz, aby uratować Holidaya.

Twarz Questora wydłużyła się. Strabo mógłby pomóc, ale czy będzie chciał to zrobić, to już zupełnie inna para kaloszy.

Przecież wyprawa do Abaddonu została podjęta pod przymusem i smok jasno postawił sprawę, że wolałby raczej udusić się własnym dymem, niż ruszyć łapą i znowu pomóc Benowi Holidayowi.

O ile zatem założenia planu były rzeczywiście proste, o tyle jego wykonanie mogło sprawiać trudności.

– Cóż – westchnął z rezygnacją. – Trzeba w końcu czegoś spróbować.

Skierował siwka ku granicy – *wzgórz*, które otaczały Ogniste Źródła, zsiadł z niego, ściągnął siodło i lejce, klepnął go w zad i odesłał do domu. Po cóż mu teraz koń, pomyślał. Jeśli nie zdoła przekonać Strabo, aby mu pomógł, to koń do niczego już mu nie będzie potrzebny.

Pociągnął się za swoje długie ucho. Ale w jaki sposób ma przekonać Strabo?

Zastanawiał się nad tym przez moment, po czym wzruszywszy ramionami, porzucił zmartwienia i zaczął iść w górę stoku przez gęste zarośla. Nad doliną stopniowo zapadał zmierzch. Plamy granatu i szarości stawały się coraz ciemniejsze, a słońce zmniejszyło się do cienkiej srebrnej kreski wiszącej tuż nad linią drzew wzdłuż zachodniego horyzontu, po czym zupełnie znikło. Questor spojrzał do góry. Ława chmur zawisła tuż nad jego głową, a ich spód skrzył się czerwienią i pomarańczą od żaru źródeł. Czarodziej wciągnął do płuc dym z popiołem i kichnął. Kichnięcie! – pomyślał z irytacją.

To od tego zaczął się cały ten bałagan! Parł uparcie do przodu, nie zważając na jeżyny i zarośla, które czepiały się jego szat, rozrywały materiał i skórę. Słysząc już było wybuchy, krótkie, grzmiące kaszlnięcia, które unosiły się w noc niczym gigantyczne czknięcia, zanim się zamieniły w bulgot niezadowolenia. Zrobiło się niewiarygodnie gorąco i po ciele Questora zaczął się lać pot.

W końcu dotarł na wzniesienie, zatrzymał się i mocno oparł dłonie na biodrach. W dole rozpościerały się Ogniste Źródła.

Stanowiła je grupa postrzępionych kraterów, w których bulgotała i skwierczała niebieska i żółta ciecz. Co jakiś czas krater ożywał gejzerem płomieni, po czym rozgoryczony wracał do poprzedniego stanu. W gorącym powietrzu pachniało siarką. Mieszał się w nim fetor spalanego płynu oraz czarnych kości zwierząt, które kiedyś pożarł mieszkający tu smok.

Tak się złożyło, że smok był właśnie zajęty jedzeniem. Leżał owinięty wokół jednego z mniejszych kraterów na północnym skraju Ognistych Źródeł i w skupieniu ogryzał coś, co przypominało Questorowi resztki jakiejś pechowej krowy.

Kości łamały się i trzaskały w monstrualnych szczękach, a czarne zęby rozcierały je z rozkoszą. Questor zmarszczył nos z niesmakiem. Zawsze irytowały go maniery smoka Strabo przy stole.

– Smoku, smoku – powiedział półgłosem do samego siebie.

Strabo przypiekł własnym ogniem kawałek krowy, potem oderwał go od reszty mięsa i zaczął głośno żuć.

Questor Thews zbliżył się do samej krawędzi wzniesienia, aby się stać dobrze widocznym.

– Stary smoku! – zawołał. – Chcę z tobą porozmawiać! Strabo przestał na chwilę żuć i podniósł wzrok.

– Kto tam? – rzucił nerwowo. Zmrużył oczy. – Czyżby to był Questor Thews?

– Tak, to ja.

– Tak myślałem. Co za nuda. – Smok kłapnął zębami w powietrzu dla podkreślenia znaczenia swoich słów. – Kogo ty nazywasz „starym”? Sam już jesteś właściwie próchnem!

– Muszę z tobą porozmawiać.

– To już powiedziałeś. Słyszałem cię wyraźnie. To nie jest dla mnie niespodzianka, Questorze Thewsie. Zawsze chcesz z kimś porozmawiać. Wydaje się, że znajdujesz przyjemność w rozmawianiu. Czasami myślę, że gdybyś zdołał zamienić swoje nie kończące się rozmowy na czary, byłbyś rzeczywiście groźnym czarodziejem.

Czoło Questora zmarszczyło się.

– To jest dość ważne!

– Nie dla mnie. Nie skończyłem obiadu.

Smok ponownie zajął się krową, odgryzając nową porcję i żując ją z prawdziwą przyjemnością. Wydawało się, że zapomniał o całym świecie.

– Wróciłeś znowu do kradzieży krów, co? – zapytał nagle Questor, podchodząc kilka kroków do przodu. – Jakież to smutne. Jakbyś żył z zasiłku.

Strabo przerwał jedzenie z zębami wciąż zatopionymi w mięsie i powoli obrócił swoją głowę pokrytą skorupą i łuskami tak, aby móc widzieć czarodzieja.

– Ta krowa zabłąkała się tutaj i została u mnie na obiad – powiedział, uśmiechając się. – Podobnie jak ty.

– Nędzny byłby ze mnie kasek.

– Może zatem byłbyś przyzwoitym deserem! – Smok zastanawiał się nad tym. – Nie, raczej w to wątpię. Nawet na to jest cię za mało.

– Przy takim żołądku, jak twój, to na pewno prawda.

– Z drugiej jednak strony, zjadając ciebie, przynajmniej bym ciebie uciszył.

Questor pokręcił głową.

– Dlaczego po prostu nie wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia?

– Już ci powiedziałem, czarodzieju, jem!

Questor przykucnął, wygładzając swoje połatane szaty.

– W porządku. Zaczekam, aż skończysz.

– Rób, co chcesz, abys się tylko nie odzywał!

Strabo powrócił do swojego posiłku, przypiekając mięso krótkimi zionęciami ogniem, oddzierając wielkie kawałki i kości i zawzięcie je przeżuwał. Gdy jadł, jego długi ogon wił się i trząsał, jak gdyby to właśnie on miał być odbiorcą tego jedzenia, które wciąż było od niego za daleko. Questor obserwował go. Kątem oka Strabo robił to samo.

W końcu smok odrzucił resztki krowy, wypluwając kawałki mięsa do ujścia krateru, przy którym leżał i energicznie obrócił się w stronę czarodzieja.

– Mam tego dość, Questorze! Jak mam jeść, kiedy siedzisz tak i wpatrujesz się we mnie, jakbyś był zwiastunem końca świata? Zepsułeś mi apetyt! Czego ty właściwie chcesz?

Questor podniósł się na proste nogi i roztań zesztywniałe mięśnie.

– Chcę twojej pomocy.

Wijąc się między kraterami, smok ruszył w jego stronę, wlokąc swoje ciężkie ciało, nieczułe na popiół i ogień, i strzepując po drodze ciekłe płomienie ze skrzydeł i ogona. Kiedy dotarł do krańca Ognistych Źródeł, tam, gdzie stał Questor, stanął na tylnych łapach i oblizał swoją mordę długim, rozdwojonym językiem.

– Questorze Thewsie, trudno mi znaleźć choć jeden powód, dla którego miałbym chcieć ci pomóc! I nie częstuj mnie, proszę, tą starą gadką na temat ścisłych więzi łączących niegdyś smoki i czarodziei, wspólnej historii, i o tym, że musimy pomagać sobie wzajemnie w potrzebie. Próbowaleś tego ostatnim razem, jeśli sobie przypominasz. Wówczas było to bzdurą i jest bzdurą teraz. Szczerze mówiąc, brzydzę się pomaganiem tobie w taki lub inny sposób!

– Ta pomoc nie jest dla mnie – zdołał w końcu wtrącić Questor. – Musiałbyś pomóc królowi.

Smok popatrzył na niego, jak gdyby miał przed sobą szaleńca.

– Holidayowi? Chcesz, abym pomógł Holidayowi? Dlaczego miałbym się na to zgodzić?

– Ponieważ jest on tak samo twoim jak i moim panem – powiedział Questor. – Najwyższy czas uznać ten fakt, Strabo, czy ci się to podoba, czy nie. Ben Holiday jest władcą Landover i tak długo, jak mieszkasz na terenie doliny, tak długo podlegasz jego prawu. Oznacza to, że powinieneś udzielić mu pomocy, kiedy jej potrzebuje!

Strabo zaczął się skręcać ze śmiechu. Śmiał się tak mocno, że nie mógł dłużej utrzymać pozycji pionowej. Przewrócił się do jednego z kraterów, rozbryzgując dokoła płomienie. Questor schylił głowę, by uniknąć strugi, i wyprostował się.

– To nie powód do śmiechu!

– Oj, jest, i to wielki! – ryknął smok. Zakrztusił się, ciężko chwytając powietrze, i zionął dymem z ogniem. – Questorze Thewsie, jesteś naprawdę zdumiewający. Myślę, że ty czasami wierzysz w to, co sam – mówisz. Ależ błazenada!

– Pomożesz czy nie? – zażądał odpowiedzi oburzony Questor.

– Nigdy w życiu! – Smok podniósł się raz jeszcze. – Nie jestem poddanym tego kraju, ani jego króla! Żyję tam, gdzie mi się podoba i słucham tylko własnych praw! Z pewnością nie muszę udzielać nikomu pomocy, a już najmniej Holidayowi! Zupełny nonsens!

Questora nie zdziwiło, że Strabo mówi w ten sposób, bowiem dokładnie wiedział, że smok jeszcze nigdy w życiu nie pomógł nikomu dobrowolnie. Warto jednak było spróbować.

– A co z ładną sylfidą, Willow? – zapytał. – Ona również potrzebuje twojej pomocy. Już kiedyś uratowałeś jej życie, pamiętasz? Zaśpiewała ci i pozwoliła mieć marzenia, nad którymi mogłeś później dumać. Na pewno pomógłbyś Holidayowi, gdyby to się równało pomocy dla niej.

– Nie ma mowy – prychnął pogardliwie smok.

Questor zastanowił się.

– W takim razie – powiedział – musisz pomóc Holidayowi dla własnego dobra.

– Dla mojego własnego dobra? – Strabo obliznął językiem swoje zęby. – Jakiż to mądry argument wyczarujesz tym razem, czarodzieju?

– Argument, który nawet smok musi zrozumieć – odparł Questor Thews. – Nocny Cień weszła w posiadanie mocy magicznej, która zagraża każdemu mieszkańcowi doliny. Już zaczęła ją wykorzystywać, skłócając z sobą ludzi i czarodziei, wywołując wszędzie zamęt. Jeśli się jej pozwoli ciągnąć to dalej, to nas wszystkich zniszczy.

– Co mnie to obchodzi? – powiedział drwiąco smok.

Questor zachnął się.

– Wcześniej czy później zajmie się tobą, Strabo. Zaraz po Holidayu jesteś jej największym wrogiem. Masz pojęcie, co się z tobą stanie?

– Eee tam. Poradzę sobie z każdą magią, którą może posiadać wiedźma!

Questor potarł się po policzku, myśląc nad czymś.

– Chciałbym, żeby to była prawda. To jest inny rodzaj czarów, Strabo, tak stary, jak twoje własne czary. Pochodzą one od demona, który mieszka w butelce. Demon czerpie swoją siłę od właściciela butelki i może ją wykorzystać w każdy sposób. Zgodzisz się, że siła Nocnego Cienia jest ogromna, prawda?

– Z niczym się nie będę zgadzał! – Smok był zdenerwowany. – Wynoś się stąd, Questorze Thewsie! Męczysz mnie!

– Nienawidzisz Holidaya, ale on jedyny posiada magiczną moc, którą można przeciwstawić demonowi. Król Landover rozporządza Paladynem, a Paladyn może stawić opór wszystkiemu.

– Zabieraj się stąd, czarodzieju!

Jeśli nie zgodzisz się pomóc Holidayowi, nie będzie Paladyna, żeby oprzeć się Nocnemu Cieniowi i demonowi. Nasz los będzie przesądzony.

– Precz!

Smok zionął strumieniem ognia, który osmalił cały stok poniżej miejsca, w którym stał Questor Thews, wypełniając powietrze gęstym dymem i popiołem. Questor zakrztusił się, nie mogąc złapać powietrza i odsunął się od gorąca. Kiedy powietrze się oczyściło, zobaczył, jak smok, ogarnięty nagle ponurym nastrojem, się odwraca.

– Nic mnie nie obchodzi Nocny Cień, jej demon, Holiday, ty ani nikt inny w dolinie! – powiedział pod nosem. – Ja sam siebie niewiele obchodzę! Idź już!

Questor zmarszczył czoło. Cóż, próbował. Nikt nie będzie mógł mu zarzucić, że się nie starał. Robił, co mógł, aby przekonać smoka, i nie powiodło się. Smok pokazał po prostu swoje krnąbrne ja. Jeśli będzie dalej na niego naciskał, to oznacza to wojnę.

Westchnął z rezygnacją. Tak zawsze się miały sprawy między smokami i czarodziejami.

Podszedł jeszcze raz dostojnym krokiem do krawędzi wzniesienia i się zatrzymał.

– Strabo! – Pokryta skorupą głowa smoka obróciła się. – Stary smoku, zdaje się, że będziemy musieli rozwiązać tę sprawę po męsku. Miałem nadzieję, że zdrowy rozsądek zdobędzie przewagę nad wrodzonym uporem, ale widać, że to nie jest możliwe. Musisz pomóc królowi. Jeśli nie zrobisz tego dobrowolnie, to znajdziemy inny sposób!

Strabo spojrział na Questora prawdziwie zdumiony.

– Wielkie nieba, czarodzieju, czyżbyś mi groził? Questor wyprostował się.

– Jeśli groźba jest tym, co pomoże mi zyskać twoją współpracę, to owszem, będę ci groził i nie tylko.

– Naprawdę? – Smok przez dłuższą chwilę badał wzrokiem czarodzieja, po czym pacnął ogonem w krater z ogniem, rozbryzgując wszędzie dokoła płonąca ciecz. – Idź do domu, stary, niemądry czarodzieju! – rzucił i zaczął się odwracać.

Questor podniósł ręce do góry, zataczając nimi szeroki łuk.

Gdy to robił, na końcówkach jego palców gromadził się ogień.

Gwałtownym ruchem do przodu posłał ogień w kierunku smoka. Ogień ugodził w bok jego wielkiego ciała, poderwał go z ziemi i cisnął kilka bulgoczących kraterów dalej, gdzie upadł jak kłoda. Dokoła rozprysły się kamienie i płomienie, a smok wydał z siebie groźny pomruk.

– O rany! – wyszeptał Questor, zdziwiony, że zdołał zgromadzić tyle magicznej mocy.

Strabo podniósł się powoli, wstrząsnął całym ciałem od głowy do ogona, odkaszlnął, splunął i powoli odwrócił głowę w stronę czarodzieja.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytał. W jego głosie można było usłyszeć cień podziwu.

– Wielu rzeczy się nauczyłem, o których jeszcze nie wiesz – zablefował Questor. – Najlepiej



będzie, jeśli się po prostu zgodzisz zrobić to, o co cię prosiłem.

Strabo w odpowiedzi posłał w Questor a strumień ognia.

Czarodziej potoczył się prosto w zarośla. W następnej chwili podążył drugi strumień ognia, ale do tego czasu Questor zdążył już stoczyć się w dół pagórka i zniknąć z widoku.

– Hej, wracaj Questorze! – zawołał za nim smok z drugiej strony wzniesienia. – Walka się jeszcze nie rozpoczęła, a ty już uciekasz do domu!

Questor podniósł się ostrożnie i zaczął z powrotem wspinać się zboczem na wierzchołek. Będzie to wymagało od niego znacznego wysiłku, pomyślał.

Przez następne dwadzieścia minut czarodziej i smok atakowali się wzajemnie z przerażającą dzikością. Wili się, robili nagle uniki i podskakiwali, przeskakując ponad kraterami, które pluły dymem, parą i płomieniami, zmieniając Ogniste Źródła w poczerniałe pole walki. Wymieniali cios za cios.

Questor używał przeciw smokowi każdego możliwego rodzaju czarów, znajdując nawet takie zaklęcia, których wydawał się wcześniej nie znać. Strabo na wszystko odpowiadał wybuchami płomieni. Kołysali się do przodu i do tyłu, napierając i popychając się wzajemnie jak bokserzy na ringu, a kiedy upłynęło dwadzieścia minut, obaj dyszeli ledwo żywi i słaniali się na nogach jak pijani.

– Czarodzieju... wciąż mnie zadziwiasz! – dyszał Strabo, zwijając się powoli w kulę na środku Ognistych Źródeł.

– Czy... rozważyłeś moją... prośbę? – zapytał w odpowiedzi Questor.

– Jak... najbardziej – powiedział Strabo i posłał pędzącą kulę ognia w kierunku czarodzieja.

Podjęli bez słowa na nowo walkę i tylko ich pomruki, krzyki mieszające się ze sporadycznymi odgłosami kaszlących kraterów przerywały wieczorną ciszę. Chmury się rozpieczęły i przez zasłonę oparów prześwitywały nieliczne gwiazdy oraz kilka księżyców Landover. Wiatr ustał, a powietrze stało się cieplejsze. Minął zmierzch i nastąpiła noc.

Questor posłał w kierunku smoka rój komarów, które zatykały mu nos, oczy i mordę. Strabo krztusił się, tracił oddech i pluł ogniem dokoła, rzucając się jak opętany. Zaczął kłąć, używając słów, których Questor nigdy przedtem nie słyszał. Potem uniósł się nad ziemią, ruszył w kierunku czarodzieja, próbując go zgnieść. Questor wyczarował otwór w ziemi i wskoczył w niego w chwilę przed tym, jak smok wylądował z łomotem w miejscu, gdzie stał. Strabo siedział tam, nie znajdując go wzrokiem, wściekał się, że nie trafił.

Nagle dwumetrowe żądło wbiło się w niego od dołu i smok skoczył do góry, wyjąc wniebogłosy. Questor wynurzył się z dziury, ciskając ogień. Smok wypalił z kolei w niego. Obaj ponownie odskoczyli od siebie, osmaleni i otoczeni chmurą dymu.

– Czarodzieju, jesteśmy... na to za starzy! – wysapał Strabo, zlizując z nosa przyklejone kawałki popiołu. – Poddaj się!

– Poddam się... kiedy powiesz „tak”, nie wcześniej! – odpowiedział Questor.

Strabo pokręcił swoją osmaloną głową.

– Czymkolwiek... jest to, czego... sobie życzysz, nie może być... warte tego wszystkiego!

Questor zamyślił się. Od stóp do głów był czarny od popiołu i poparzeń. Jego szaty były powalane ziemią, w strzępach, włosy sterczały na głowie, a mięśnie i stawy już pewnie nigdy nie odzyskają dawnej sprawności. Wypróbował wszystkie czary, które znał i nic nie zdołało złamać smoka. Przeżył tylko dzięki serii szczęśliwych zbiegów okoliczności, nie mających sobie równych w historii sztuki magicznej. Duża część czarów, których użył, nie powiodła się – jak zwykle – duża też część tych, które chciał użyć, była poza zasięgiem jego mocy. Jedyne, co trzymało go na nogach, to świadomość, że jeśli tym razem mu się nie uda, to może mieć pewność, że już nigdy więcej nie nazwie siebie czarodziejem. Była to jego ostatnia szansa, jedyna możliwość udowodnienia sobie, że rzeczywiście jest czarodziejem.

Wziął głęboki oddech.

– Jesteś gotowy... wysłuchać mnie? – zapytał.

Strabo rozwarł swoją paszczę tak szeroko, jak tylko potrafił, pokazał mu wszystkie swoje potężne zęby.

– Wejdz... do środka, abys... lepiej słyszał moją odpowiedź, czarodzieju!

Questor posłał chmurę narośli rakowatej do gęby smoka, ale skóra była tak twarda, że nie zdążyła nawet osiąść, a już została spałaszowana. Strabo odpowiedział podmuchem, który zwałił czarodzieja z nóg i spalił mu buty. Przez chwilę obrzucali się wzajemnie kulami ognia, potem Questor zaczął obracać swoimi ramionami, aż się zdawało, że mogą odpaść i wtedy posłał w kierunku smoka srogą burzę lodową. Deszcz ze śniegiem oraz mroźny wiatr uderzał w smoka, który szukał schronienia w ogniu jednego z większych kraterów. Burza była jednak tak dzika, że zdużyła płomień i zamieniła ciecz krateru w lód. Strabo został uwięziony w powstałej bryle i za każdym razem, gdy wył z wściekłości, lód odłupywał mu głowę.

W końcu moc czarów się wyczerpała, a burza ucichła.

Smoka pokrywała warstwa śniegu, ale już zaczynała się topić z powodu gorąca innych kraterów. Strabo wyciągnął głowę spod powłoki lodu i strząsnął z wściekłością jego ostatnie kawałki. Podniósł się, wydając ryk i lód rozprysł się na drobne kryształki. Był wolny. Z jego nozdrzy buchała para, gdy kołysząc ciałem, obracał się w stronę Questora Thewsa.

Questor znieruchomiał. Cóż może pokonać tę bestię – zastanawiał się, zawiedziony. Co powinien zrobić?

Wykonał unik przed następnym uderzeniem płomieni i jeszcze jednym, i podniósł czarodziejską tarczę przed trzecim. Strabo był po prostu zbyt silny. Nie wygra próby sił ze smokiem. Musi znaleźć inny sposób.

Zaczekał, aż Strabo przerwie, dla zaczerpnięcia powietrza i posłał mu świerzb.

Swędzenie rozpoczęło się na tylnej lewej nodze smoka, ale kiedy podniósł ją, żeby się podrapać, swędzenie przeniosło się na udo, potem na plecy, na szyję, ucho, nos i na dół na prawą nogę. Strabo wił się i chrząkał, rzucał na wszystkie strony, gdy swędzenie wędrowało w górę z jednej strony i w dół z drugiej, nieuchwytnie jak wysmarowana masłem parówka, wyślizgujące się mu, przy każdej próbie ulżenia sobie. Wył, ryczał, skręcał się w spazmach i słał na nogach – nic nie pomagało. Zapomniał o czarodzieju i przekładał swoje wijące się ciało przez krawędzie kraterów, zanurzając się w ciekłym ogniu, próbował rozpaczliwie się podrapać.

Kiedy w końcu Questor Thews wykonał szybki ruch rękoma i usunął swędzenie, Strabo był miękką, pozbawioną sił kluchą. Leżał pośrodku Ognistych Źródeł i sapał z jęzorem wywalonym na ziemię. Przewracał ze znużeniem oczami, aż natrafił w końcu na czarodzieja.

– W porządku, w porządku! – powiedział, dysząc jak stary pies. – Mam już dość! Czego chcesz, Questorze? Powiedz mi i skończmy z tym!

Czarodziej napełnił się dumą i pozwolił sobie na mały uśmiech zadowolenia.

– Ach, ty stary smoku, to jest zupełnie proste – zaczął.

## SZALEŃSTWA NOCY HALLOWEEN

Pick Wilson, zastępca szeryfa okręgu King, pochylił się nad uginającym się od papierów biurkiem i powiedział do Bena Holidaya:

– Zatem pan i pańscy przyjaciele byliście właśnie w drodze na przyjęcie Halloween w... Jak się nazywał ten hotel?

Ben był pogrążony w myślach.

– Myślę, że to był „Sheraton”. Nie jestem pewien. Zaproszenie powinno być gdzieś w samochodzie.

– Uhm. Więc jechaliście na przyjęcie wynajętym samochodem, ze spakowanymi rzeczami w bagażniku...

– Mieliliśmy zaraz po przyjęciu jechać na lotnisko – wtrącił Ben. Pokój pachniał świeżą farbą oraz środkiem dezynfekującym i było w nim przeraźliwie duszno.

– Bez żadnych dokumentów, nawet bez prawa jazdy? – Wilson przerwał, trochę zdziwiony.

– Już to panu wyjaśniałem. – Ben miał trudności z ukryciem zdenerwowania. – Pan Bennett ma dokumenty. Swoje przypadkowo zostawiłem.

– Podobnie jak pan Abernathy i ta młoda dama – dokończył Wilson. – Tak, to już pan wyjaśniał.

Ponownie wyciągnął się wygodnie na swoim krześle, przenosząc po kolei wzrok z kościotrupa na goryla, potem na kudłatego psa i bladą, zieloną damę. Żadne z nich nie zdjęło jeszcze kostiumu, choć Ben pozbył się maski śmierci, a Miles zdołał odczepić nieznośną głowę goryla. Siedzieli w tym sterylnym, funkcjonalnym biurze z pustymi ścianami, gdzieś we wnętrzu budynku sądu okręgu King, gdzie prawie przed godziną umieściła ich policja stanu Washington i wyglądali jak kandydaci do programu „Muppet Show”. Wilson nie odrywał od nich wzroku i Ben dokładnie wiedział, co myśli.

Zastępca szeryfa odchrząknął, spoglądając na jakieś papiery na biurku.

– A ten strój kudłatego psa, który znaleźliśmy na tylnym siedzeniu...?

– To dodatkowy strój. Nie pasował zbyt dobrze. – Ben nachylił się do przodu. – Już przez to przechodziliśmy. Jeśli chce nam pan postawić zarzut, to proszę to zrobić. Zna już pan nasze karty. Pan Bennett i ja jesteśmy prawnikami i będziemy bronić siebie i naszych przyjaciół, jeśli to się okaże konieczne. Ale mamy już dość siedzenia tutaj. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Wilson lekko się uśmiechnął.

– Jeszcze tylko kilka. Eee, czy panu Abernathy’emu nie byłoby wygodniej bez maski?

– Nie, nie byłoby – rzucił ze złością Ben. Spojrzał bokiem na Abernathy’ego. – Zbyt dużo wysiłku kosztowało nas włożenie jej na głowę, proszę nam wierzyć. Poza tym wciąż wierzymy, że uda nam się dotrzeć na przyjęcie. Ma pan więc jeszcze pięć minut. Potem będzie musiał nas

pan oskarżyć.

Straszyl go, ale musiał w jakiś sposób posunąć sprawę.

Wciąż nie wiedział, co wie Wilson i w jakie wpakowali się kłopoty. Zastępca zapewniał ich, że to jakiś rodzaj nieporozumienia. Trzeba to wszystko po prostu wyjaśnić. Kiedy jednak dochodziło do prób wyjaśniania, wszystko było wałkowane od początku.

Willow siedziała obok niego tak, jakby znajdowała się w transie. Miała półprzymknięte oczy i niezmiernie krótki oddech. Wilson spoglądał na nią z rosnącą podejrzliwością.

Ben wyjaśnił mu wcześniej, że nie czuje się zbyt dobrze, ale wiedział, że ten mu nie uwierzył. Wilson sądził, że jest na prochach.

– Pańska przyjaciółka nie wygląda zbyt dobrze, panie Holiday – powiedział zastępca szeryfa, jak gdyby czytał w myślach Bena. – Czy nie zechciałaby się położyć?

– Nie chcę cię zostawiać, Ben – powiedziała cicho Willow, podnosząc na chwilę szeroko powieki, zanim znowu opadły.

Wilson zastanawiał się, po czym wzruszył ramionami. Ben przysunął krzesło bliżej sylfidy i objął ją ramieniem, starając się, aby wyglądało to, że ją raczej pociesza, niż podtrzymuje przed upadkiem. Oparła się o niego pozbawiona sił.

– Chcę zadzwonić do miejscowego adwokata, panie Wilson – oświadczył nagle Miles. Podniósł się. – Jest tutaj telefon, z którego mogę skorzystać?

Wilson skinął głową.

– W biurze obok. Trzeba wykręcić dziewiątkę, aby wyjść na miasto.

Miles spojrzał znacząco na Bena i wyszedł z pokoju. Po jego wyjściu jedna z sekretarek pracujących w recepcji zajrzała przez uchylone drzwi i powiedziała Wilsonowi, że jest do niego telefon. Wilson podniósł się i podszedł. Ben słyszał, jak dwóch zastępców, przechadzając się, rozmawia o tym, że co roku w czasie Halloween miasto zalewają bandy wiedźm, goblinów, duchów i Bóg wie jeszcze kogo, powiedział jeden.

Wszędzie pełno zwierząt z zoo, dodał drugi. I tak trudno jest utrzymać porządek w ciągu normalnych nocy, odrzekł pierwszy. W noc Halloween to zupełnie niemożliwe, odparł drugi. Banda pomyleńców, powiedział pierwszy. Banda świrów, podsumował drugi.

Wilson zakończył rozmowę z urzędnikiem.

– Przepraszam na moment, panie Holiday – powiedział i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Abernathy spojrzał zmartwiony.

– Co się z nami stanie, panie? – zapytał szeptem. Nie odezwał się słowem od czasu przybycia tutaj, gdyż Ben mu zabronił. Dość kłopotów miał z ciągnięciem historyjki o przyjęciu Halloween, aby jeszcze próbować wyjaśniać, dlaczego morda w masce psa porusza się prawie jak prawdziwa.

Ben uśmiechnął się, starając się uspokoić Abernathy'ego.

– Nic się nie stanie. Już niedługo stąd wyjdziemy.

– Nie rozumiem, dlaczego wciąż pytają, czy nie chcę zdjąć maski. Dlaczego nie mogę powiedzieć im po prostu prawdy?

Ponieważ nie poradziłoby sobie z tą prawdą! – Ben westchnął, zły na samego siebie. Nie miał powodu tak odpowiadać swojemu wiernemu pisarzowi. – Przepraszam, Abernathy. Chciałbym, żeby można było powiedzieć prawdę. Szkoda, że nie jest to takie proste.

Abernathy skinął głową bez przekonania, spojrzął na Willow, po czym pochylił się do przodu i powiedział szeptem:

– Wiem, że król przyjechał po mnie i jestem mu za to głęboko wdzięczny, ale myślę, że jeśli nas wkrótce nie wypuszczą, będzie musiał o mnie zapomnieć. Król musi wrócić do Landover i pomóc tym, którzy bardziej tej pomocy potrzebują. – Spojrzął z niepokojem na Willow i na Bena. Wydawało się, że Willow śpi.

Ben z rezygnacją pokręcił głową.

– Za późno na to, Abernathy. Jestem tak samo uwięziony jak wy. Nie, musimy wrócić wszyscy razem. Wszyscy.

Abernathy nie odrywał swoich brązowych oczu od twarzy Bena.

– Nie wiem, czy to będzie możliwe, panie – powiedział cicho.

Ben nie odpowiadał. Nie potrafił. Patrzył, jak Miles wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

– Pomoc już w drodze – powiedział. – Rozmawiałem z Winstonem Sackiem, współnikiem w firmie Sack, Saul i McQuinn. Kilka lat temu zajmowaliśmy się razem z nimi sprawą Seafirst. Powiedział, że zaraz tu kogoś wyśle.

Ben skinął głową.

– Mam nadzieję, że ten ktoś się pośpieszy.

Do pokoju wrócił Wilson, gotowy do konkretnej rozmowy.

– Panie Holiday, czy zna pan człowieka o nazwisku Ard Rhi?

Ben był przygotowany na to pytanie od samego początku. Nie mogło być żadnego innego powodu, żeby zatrzymywali ich w ten sposób. Udawał, że się zastanawia przez moment, potem pokręcił głową.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Cóż, wygląda na to, że pan Ard Rhi oskarżył pana i pańskich przyjaciół o kradzież. Chodzi o jakiś medalion.

W pokoju zapanowała cisza.

– To śmieszne – powiedział Ben.

– Pan Ard Rhi podał nam opis medalionu. Jest on dość dokładny. Medalion wykonany został ze srebra i ma wygrawerowanego rycerza oraz zamek. – Przerwał. – Czy ma pan taki medalion,

panie Holiday?

Ben poczuł, jak coś ściska mu gardło.

– Zanim odpowiem na jakiegokolwiek pytania, zaczekajmy na adwokata, z którym kontaktował się pan Bennett, Dobrze?

Wilson wzruszył ramionami.

– Jak pan chce. Pan Ard Rhi skontaktował się z kimś z Biura Prokuratora Generalnego. To dlatego się tutaj znajdujecie. Pan Ard Rhi jedzie tutaj gdzieś z okolic Woodinville, jak sądzę. Już niedługo powinien tutaj być. Ktoś z Biura Prokuratora Generalnego już jest w budynku. – Wstał.

– Może jak już wszyscy tu się zgromadzą, zdołamy wyjaśnić tę sprawę.

Znowu wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę panowała cisza, po czym Miles warknął:

– Cholera, doktorcu, wystarczy, że cię przeszukają i znajdą...

– Miles! – przerwał mu krótko Ben z sykiem. – Co niby miałem zrobić? Powiedzieć mu, że mam? Jeśli się dowie, że go mam, to na pewno postawi nam zarzut kradzieży i skonfiskuje medalion! Nie mogę na coś takiego pozwolić!

– Nie wiem, jak temu zdołasz zapobiec! Znajdą go i tak, jak tylko cię zrewidują!

– Posłuchaj mnie lepiej. Nie zrewidują mnie! Nie mogą tego zrobić bez podania wiarygodnej podstawy, a on takiej nie ma! Poza tym, nie dojdzie do tego!

Okrągła twarz Milesa stężała.

– Z całym szacunkiem, doktorcu, prawo karne nie jest twoją domeną! Jesteś cholernie dobrym adwokatem w sądzie, ale twoją specjalizacją jest prawo cywilne! Skąd możesz wiedzieć, czy on ma wiarygodną podstawę, czy nie? Ard Rhi powie, że zabrałeś medalion, a dla mnie jest to wiarygodna podstawa do przeprowadzenia rewizji!

Ben poczuł się jak w pułapce. Wiedział, że Miles ma rację, ale gdyby przyznał się do posiadania medalionu, to zostaliby w budynku sądu do końca swego *życia*, a w każdym razie wystarczająco długo, żeby tak się czuć. Popatrzył na Milesa, potem na Abernathy'ego i Willow. Miles zamartwiał się na śmierć, Abernathy był o krok od zrobienia czegoś, czym mógłby się zdradzić, a Willow była tak chora, że nie mogła usiedzieć prosto bez pomocy. Landover zdawał się oddalać z każdą mijającą chwilą. Jego plan ucieczki rozpadał się na kawałki. Nie mogli pozwolić sobie na dalsze komplikacje.

Musiał znaleźć sposób, żeby wydostać ich stąd.

Wstał, podszedł i otworzył drzwi.

– Panie Wilson – zawołał niezbyt głośno. Zastępca szeryfa zostawił to, czym się zajmował i zbliżył się do niego. – Tak się zastanawiałem – powiedział Ben – czy nie moglibyśmy odłożyć całej tej sprawy do jutra, albo nawet do początku tygodnia. Nic nie stoi przecież temu na przeszkodzie.

Willow czuje się coraz gorzej. Chcę, żeby odpoczęła, może powinien zbadać ją lekarz. Potem będę gotowy odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie tylko pan zada. Co pan o tym sądzi?

Ben mówił serio. Wróciłby z powrotem z Landover i uregulował wszystkie sprawy. Już wcześniej zdecydował, że nie jest w porządku, aby ktoś taki, jak Michel Ard Rhi, chodził swobodnie po ziemi.

Wilson kręcił jednak już głową.

– Przykro mi, panie Holiday, ale nie mogę tego zrobić.

Mógłbym to rozpatrzyć, gdybym to ja miał podejmować decyzję. Przyszło jednak polecenie z Biura Prokuratora Generalnego, aby was zatrzymać. Nie mogę was wypuścić, aż mi na to pozwolą. Jest pan prawnikiem, więc pan to zrozumie.

Ben kiwnął głową, nie mówiąc słowa. Rozumiał doskonale. Michel Ard Rhi zdążył już uruchomić sieć swoich powiązań politycznych. Powinien się tego spodziewać. Mimo wszystko podziękował Wilsonowi i wrócił do biura. Usiadł obok Willow i oparł ją o siebie.

– W każdym razie próbowałeś, Ben – pocieszył go Miles.

Głowa sylfidy uniosła się na krótką chwilę znad jego ramienia.

– Wszystko będzie dobrze, Ben – wyszeptała. – Nie martw się.

Ale on się martwił, że czas ucieka, że wszystkie wyjścia prowadzące na zewnątrz tego bałaganu zamykają się jedno po drugim, a on nie jest w stanie nic z tym zrobić.

Dwadzieścia minut później rozległo się krótkie pukanie do drzwi i do środka wszedł młody mężczyzna w porządnym odprasowanym trzyczęściowym garniturze z teczką w ręce.

Zamienił kilka słów z Wilsonem i zbliżył się do nich. Powinien być raczej w kawalerii, pomyślał Ben. Młody człowiek zatrzymał się. Nie był przygotowany na to, co ujrzał.

– Pan Bennett? – zapytał, patrząc niepewnie na kościotrupa, goryla, kudłatego psa i bladą zieloną damę, stojących naprzeciw niego. Miles wyciągnął rękę i młody mężczyzna uściskał ją. – Lloyd Willoughby, panie Bennett, z firmy Sack, Saul i McQuinn. Pan Sack zadzwonił do mnie i prosił, abym tutaj przyjechał.

– Dziękujemy bardzo, panie Willoughby – powiedział Miles i dokonał prezentacji pozostałych. Ben uściskał mu dłoń.

– Abernathy i Willow patrzyli tylko na niego, a on z kolei na nich. Ben pomyślał, że wygląda bardzo młodo, a to znaczyło, że jest strasznym żółtodziobem. Po sposobie, w jaki na nich patrzył, można się było zorientować, że myślał o nich mniej więcej to samo, co zastępca szeryfa.

Willoughby położył teczkę na biurku Wilsona i zatarł nerwowo rękę.

– No dobrze, na czym więc polega problem?

– Sprawa jest prosta – oznajmił Ben, przejmując inicjatywę. – Zostaliśmy zatrzymani na podstawie zmyślnego zarzutu dokonania kradzieży. Zarzut zgłosił pan Ard Rhi.

– Człowiek ten ma najwidoczniej jakiś wpływ na Biuro Prokuratora Generalnego, gdyż



właśnie stamtąd wyszedł nakaz zatrzymania nas. My natomiast chcemy, aby pozwolono nam iść w tej chwili do domu i martwić się tym kiedy indziej.

– Willow jest bardzo chora i musi iść do łóżka.

– Jak rozumiem, postawiono wam zarzut kradzieży – powiedział Willoughby, robiąc się coraz bardziej niespokojny. – Chodzi o jakiś naszyjnik? Co może mi pan o nim powiedzieć?

Mogę panu powiedzieć, że go mam i że jest mój – odpowiedział Ben, nie widząc sensu ukrywania tego. – Pan Ard Rhi nie ma podstaw do oskarżania mnie o kradzież.

– Czy powiedział pan to zastępcy szeryfa?

– Nie, panie Willoughby, ponieważ gdybym to zrobił, chciałby wziąć ode mnie medalion, a ja nie zamierzam go oddawać.

Willoughby wyglądał teraz, jakby był po pas zanurzony w basenie z aligatorami. Zdobył się na słaby uśmiech.

– Oczywiście, panie Holiday, rozumiem, ale czy ma pan przy sobie ten medalion? Ponieważ, o ile dobrze rozumiem, jeśli zdecydują się oskarżyć pana, to mogą pana zrewidować, znaleźć medalion i tak czy inaczej odebrać.

Ben wściekł się.

– A co z wiarygodną podstawą? Czyż to nie jest tylko słowo Michela Ard Rhi przeciwko naszemu? To za mało, aby stanowić wiarygodną podstawę, czyż nie?

Willoughby wyglądał na zmieszanego.

– Właściwie, panie Holiday, to nie jestem pewien. Prawda jest taka, że prawo karne stanowi margines działalności naszej firmy. Zajmuję się takimi sprawami od czasu do czasu, aby zadowolić tych naszych stałych klientów, którzy chcą, abyśmy ich reprezentowali, ale poza tym nic więcej. – Uśmiechnął się słabo. – Pan Sack zawsze do mnie dzwoni, gdy trzeba w nocy się czymś zająć.

Kompletny żółtodziób, pomyślał Ben. Jesteśmy ugotowani.

– To znaczy, że pan nawet nie jest specjalistą w dziedzinie prawa karnego? – zaczął Miles, podnosząc się z krzesła, jak gdyby był naprawdą gorylem, za którego był przebrany.

Willoughby szybko się cofnął o krok, ale Ben powstrzymał Milesa, kładąc mu rękę na ramieniu i zmuszając, żeby z powrotem usiadł na miejscu, rzucając jednocześnie ostrzegawcze spojrzenie w kierunku drzwi, które oddzielały ich od Wilsona.

Ponownie odwrócił się do Willoughby'ego.

– Nie chcę, aby mnie rewidowali, panie Willoughby. W tej chwili tylko to jest ważne. Czy potrafi pan temu zapobiec? – Willoughby nie wyglądał na zdecydowanego. – W takim razie niech pan posłucha – podjął szybko Ben. – Będziemy improwizować. Pan będzie tutejszym adwokatem, ale to ja będę sterował wydarzeniami. Niech pan po prostu robi to, co mu powiem, dobrze?

Willoughby wyglądał, jakby się zastanawiał, czy zaproponowano mu coś nieetycznego, czy nie. Brwi miał ściągnięte, a na gładkiej, młodej twarzy rysowało się bolesne napięcie. Ben wiedział, że jeśli tamci zdecydowanie na niego natrą, to stanie się on bezużyteczny. Nie było już jednak czasu na sprowadzenie kogoś innego.

Drzwi się otworzyły i wszedł Wilson.

– Pan Martin z Biura Prokuratora Generalnego poprosił mnie, żeby przyprowadzić was do sądu trzeciego na krótkie spotkanie, panie Holiday. Wszystkich. Może teraz będziecie mogli jechać do domu.

A krowy będą mogły latać, pomyślał posepnie Ben.

Pojechali windą kilka pięter w górę i wysiedli w wyłożonym dywanami holu. Zastępca szeryfa poprowadził ich krótkim korytarzem do drzwi, a stamtąd do pustej sali rozpraw.

Stanęli na początku przejścia między ławkami dla publiczności, które kończyło się bramką otwierającą się z kolei na arenę potyczek między obroną i oskarżeniem oraz na ławę sędziego. Miejsca dla ławy przysięgłych i dla świadków znajdowały się po lewej stronie, stanowiska dla dziennikarzy, po prawej. Jeszcze bardziej na prawo, wzdłuż całej ściany, biegł rząd okien wychodzących na miasto. W pomieszczeniu było właściwie ciemno i tylko dwie zwisające nisko z sufitu lampy rzucały światło na stoliki obrońców usytuowane tuż przed bramką.

Od jednego ze stolików wstał mężczyzna o siwiejących włosach, w okularach na nosie i powiedział:

– Szeryfie, proszę przyprowadzić tutaj pana Holidaya i jego przyjaciół.

Willoughby wysunął się przed nich i wyciągając swoją dłoń, rzekł:

– Jestem Lloyd Willoughby z firmy Sack, Saul i McGjuinn, panie Martin. Poproszono mnie, abym reprezentował pana Holidaya.

Martin uściśnął służbowo jego dłoń i natychmiast o nim zapomniał.

– Jest późno, panie Holiday, a ja jestem zmęczony. Wiem, kim pan jest. Nawet śledziłem jedną bądź dwie z pańskich rozpraw. Obaj mamy spore doświadczenie w tej dziedzinie, więc pozwoli pan, że przejdę od razu do sprawy. Powód, pan Ard Rhi, twierdzi, że zabrał mu pan medalion. Chce jego zwrotu. Nie wiem, na czym polega spór, ale mam słowo pana Ard Rhi, że w wypadku zwrotu medalionu, cała sprawa pójdzie w zapomnienie. Nie będzie po niej śladu w naszych kartotekach. Co pan na to?

Ben wzruszył ramionami.

– Ja na to, że pan Ard Rhi jest szaleńcem. Czy dlatego jesteśmy tutaj trzymani, że ktoś mówi, iż ukradliśmy jego medalion? Przecież to zupełny nonsens, czyż nie tak?

Martin pokręcił głową.

– Uczciwie mówiąc, nie wiem. Wiele z tego, co dzisiaj się dzieje, przekracza moje możliwości. W każdym razie niech pan się lepiej nad tym zastanowi, ponieważ jeśli nie

zobaczymy medalionu, a zobaczymy tu pana Ard Rhi, który powinien już być w drodze, będzie pan najprawdopodobniej postawiony w stan oskarżenia, panie Holiday.

– Na podstawie zeznania jednego człowieka?

– Obawiam się, że tak.

Ben stanął naprzeciwko niego.

– Tak jak pan powiedział, panie Martin, jestem prawnikiem ze sporym doświadczeniem. Podobnie zresztą pan Bennett. Nasze słowo powinno mieć jakieś znaczenie. Kim jest ten Ard Rhi? Dlaczego ma pan jego słowo brać za dobrą monetę? Bo tylko to pan ma, nieprawdaż?

Martin pozostał niewzruszony. Bronił swego stanowiska.

– Jedyne słowo, które się dla mnie liczy, panie Holiday, to słowo mojego szefa, który wciąż mnie zatrudnia, a on kazał mi postawić panu oskarżenie, jeśli pan Ard Rhi, kimkolwiek on jest i czymkolwiek się zajmuje, podpisze skargę. Przypuszczam, że jeśli nie otrzyma z powrotem medalionu, to podpisze. A jakie jest pańskie zdanie?

Ben nie mógł powiedzieć co myśli, jeśli nie chciał popaść w większe kłopoty.

– No dobrze, proszę mnie zatrzymać, panie Martin. Ale niech pan puści pozostałych. Zdaje się, że tylko ja mam być oskarżony.

Martin pokręcił głową.

– Nie ma tak lekko. Pańscy przyjaciele będą oskarżeni o współudział. Proszę posłuchać. Właśnie zakończyłem długi, ciężki dzień w sądzie. Przegrałem sprawę, której broniłem, spóźniłem się już na przyjęcie Halloween moich dzieci, a teraz utknąłem tutaj z wami. Nie podoba mi się ta sprawa tak samo, jak wam, ale czasami tak się układa w życiu. Siądźmy zatem tutaj do czasu przyjazdu pana Ard Rhi. I może uda mi się dokończyć tę cholerną papierkową robotę, bo jestem zbyt zmęczony, żeby turlać się z powrotem do biura. – Dał znak w kierunku galerii. – Dajcie sobie z tym spokój, co? Pogadajcie jeszcze o tym. Nie mam ochoty się w tym grzebać.

Oddalił się zmęczonym krokiem w stronę stolika obrony i usiadł, nachylając się nad notatkami i drukami sądowymi.

Willoughby skierował ich z troską ku siedzeniom galerii, gdzie usiedli w rzędzie.

Martin podniósł jeszcze raz głowę.

– Panie szeryfie? Czy pańscy ludzie otrzymali polecenie, aby przyprowadzić pana Ard Rhi tutaj na górę, kiedy przybędzie? – Martin czekał na potwierdzające skiniecie głowy, po czym wrócił do swoich notatek. Wilson odszedł korytarzem między rzędami ławek w kierunku drzwi i tam pozostał.

Willoughby precyzyjnie się między rzędami do Bena i nachylił się.

– Może rzeczywiście powinien pan jeszcze raz rozważyć swoją decyzję, czy nie zwrócić medalionu, panie Holiday – wyszeptał to w taki sposób, aby Ben domyślił się, iż jest to najlepsze

rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych.

Ben poczęstował go takim spojrzeniem, że ten czym prędzej się wycofał. Przy samym uchu usłyszał szept Willow.

– Nie oddawaj im... medalionu, Ben. – Słyszał, jak bardzo jest osłabiona i aż ścisnęło go w gardle. – Jeśli będziesz musiał – powiedziała – to mnie zostaw. Obiecuj mi to.

– Mnie również, królu – powiedział Abernathy, nachylając się blisko. – Cokolwiek się z nami stanie, to przynajmniej ty musisz wrócić na Landover!

Ben przymknął oczy. Istniała taka możliwość. Miał medalion. Samemu z pewnością znalazłby sposób, żeby się wymknąć. To by jednak znaczyło porzucić przyjaciół, a tego w żadnym razie nie mógł zrobić. Milesowi nic by się prawdopodobnie nie stało, ale Willow nie przeżyłaby nocy. A jaki byłby los Abernathy'ego? Pokręcił głową. Musi istnieć inne wyjście.

Miles nachylił się do niego.

– Może powinieneś pomyśleć o ukryciu medalionu, doktoru. Tylko na dzisiejszą noc. Będziesz mógł przyjść po niego jutro. Nie możesz pozwolić, aby znaleźli go przy tobie!

Ben nie odpowiedział. Nie miał na to odpowiedzi. Wyjście numer dwa. Wiedział, że Miles miał rację, ale wiedział również to, że nie chciał się ponownie rozstawać z medalionem, za żadne skarby. Już dwukrotnie go gubił; raz, kiedy Meeks go oszukał, że medalion zginął, a prawda była zupełnie inna, i tym razem, kiedy oddał go Abernathy'emu w czasie niefortunnej próby zamiany psa w człowieka w wykonaniu Questora. W obu wypadkach udało mu się go odzyskać, ale nie bez trudu. Nie palił się do tego, aby ryzykować trzeci raz.

Medalion stał się integralną częścią jego samego od czasu przyjazdu do Landover i mimo że nie w pełni rozumiał, jak to się stało, wiedział, że nie może już bez niego funkcjonować. Dawał mu magiczną moc, dzięki której mógł być królem. Dawał mu władzę nad Paladynem. I chociaż niechętnie się do tego przyznawał, tworzył jego tożsamość.

Siedział w prawie ciemnej sali rozpraw i myślał o medalionie i o tym, kim się stał, odkąd jest w jego posiadaniu.

Patrzył na symbole dostojności widoczne w sali rozpraw, symbole jego dawnego życia pośród braci adwokackiej, skorupy osoby, którą kiedyś był i pomyślał, jak oddalił się od nich. Demokrację zamienił na monarchię. Metodę prób i błędów – na próbę miecza. Werdykt sędziów ławy przysięgłych – na werdykt jednej osoby. Żadnego prawa oprócz jego własnego. Wszystko to stało się możliwe dzięki zdobyciu medalionu. Jego ręka powędrowała do przodu tuniki. Uśmiechnął się ironicznie. Symbole dostojności z jego starego świata może i odeszły, ale czy nie zamienił ich po prostu na nowe?

Pchnięto drzwi i pojawił się w nich drugi zastępca szeryfa. Porozmawiał przez chwilę z Wilsonem, a ten podszedł do Martina. Teraz ci z kolei zamienili parę słów, po czym Martin wstał i poszedł przejściem między rzędami ławek z zastępcą szeryfa. Trójka mężczyzn wyszła

przez drzwi i zniknęła.

Ben poczuł, jak włosy na karku zaczynają stawać dęba.

Coś się działo.

Kilka chwil później wrócili. Martin przeszedł przejściem między ławkami i stanął przed Benem.

– Pan Ard Rhi jest tutaj, panie Holiday. Twierdzi, że przyjechał pan do jego domu zeszłej nocy, podając się za pana Squiresa i chciał pan kupić medalion. Kiedy go panu nie sprzedał, przyjechał pan jeszcze raz dzisiaj wieczorem z przyjaciółmi i go ukradł. Wygląda na to, że córka jego rządcy wam pomogła. Twierdzi, że przyznała się do swego udziału w tej sprawie. – Spojrzał w kierunku drzwi sali rozpraw. – Szeryfie?

Wilson i drugi zastępca pchnęli drzwi i powiedzieli coś do kogoś na zewnątrz. Ich oczom ukazał się Michel Ard Rhi o kamiennej twarzy, ale oczach ciemnych od gniewu. Za nim pojawiło się dwóch członków straży Graum Wythe.

Pomiędzy nimi stała zrozpaczona Elizabeth. Oczy miała spuszczone, a piegowatą twarz przecinały smużki łez.

Benowi zrobiło się niedobrze. Nietrudno było się domyślić, jakich grózb użyli, aby wydobyć od niej przyznanie się do udziału w kradzieży medalionu. Nietrudno było się też domyślić, co jej zrobią, jeśli Ard Rhi nie dostanie teraz swego medalionu.

– Czy ktoś z was zna tę dziewczynkę? – zapytał spokojnie Martin.

Nikt nic nie powiedział. Nikt nie musiał.

– Co pan na to, panie Holiday? – nalegał Martin. – Jeśli zwróci pan medalion, cała ta sprawa może być natychmiast oddalona. W innym wypadku będę musiał pana oskarżyć.

Ben nie odpowiadał. Nie potrafił. Wydawało się, że już nie ma wyjścia.

Martin westchnął.

– Panie Holiday?

Ben nachylił się do przodu, chcąc zmienić swoją pozycję i spróbować udzielić wymijającej odpowiedzi, lecz Abernathy mylnie zrozumiał jego ruch i sądził, że zdecydował się oddać medalion. Podniósł więc łapę, aby go powstrzymać.

– Nie, panie, nie wolno ci! – wykrzyknął.

Martin spojrział oniemiałym wzrokiem na psa. Ben widział po oczach mężczyzny, o czym teraz myśli. Zastanawiał się, jak może pysk w masce poruszać się w ten sposób? Jak to się dzieje, że ma zęby i język? Dlaczego wydaje się taki prawdziwy?

Wtem za rzędem okiem sali rozpraw eksplodowała kula purpurowego ognia i pośród nocnych ciemności otworzyła się czarna dziura, a z niej wyleciał smok Strabo i Questor Thews.

## SMOK W SĄDZIE

Był to jeden z tych rzadkich momentów w życiu, kiedy człowiekowi wydaje się, że cały świat się zatrzymał, i wszelki ruch przestał istnieć. W takim momencie każdy z nas czuje się tak, jakby był uwięziony w jakimś trójwymiarowym malowidle przedstawiającym martwą naturę. Była to jedna z tych chwil, które utrwalają się w pamięci tak mocno, że po latach każdy dokładnie pamięta, jak to było: towarzyszące temu uczucia, zapachy, smaki, kolory oraz kształty wszystkich rzeczy dokoła. A przede wszystkim to, w jaki sposób wszystko, co się wydarzyło tuż przed i tuż po, skupiło się w tej jednej chwili niczym światło słoneczne odbite od nieruchomej wody skupia się w kolorowych promykach.

Ben tak to odbierał. W tej jednej chwili zobaczył wszystko, jakby zostało uchwycone na fotografii. Był lekko odwrócony na swoim siedzeniu w galerii sali rozpraw, Willow po jednej stronie, oparta na jego ramieniu, Abernathy po drugiej, z błyszczącymi oczami, dalej w głębi Miles, wciąż w przebraniu goryla, z dziecięcą twarzą, na której się mieszało zdziwienie na przemian z przerażeniem. Martin i Willoughby stali tuż przed nimi, po drugiej stronie furtki – dwie generacje trzyczęściowych garniturów, całe życie poświęcone wierze w wartość rozumu i zdrowego rozsądku. Pierwszy wyglądał, jakby był świadkiem Armageddonu, a drugi, jakby był jego przyczyną. Z tyłu, ledwie widoczni w zasięgu jego wzroku, byli zastępca szeryfa Wilson i jego towarzysze broni, słudzy prawa, lekko skuleni, przez co wyglądali jak przestraszone koty gotowe do ucieczki. Michel Ard Rhi miał czarną nienawiść wytrawioną na twarzy, a jego ludzie byli bladzi z przerażenia. Tylko z Elizabeth promieniowało czyste zauroczenie, również gdzieś zarejestrowane przez Bena.

Na zewnątrz, w światłach Seattle, znajdował się Strabo.

Jego ciało zdawało się wisieć w powietrzu, a rozpięte skrzydła przypominały monstrualnych rozmiarów lotnię. Czarny, węzowaty kształt pokryty skorupą ułożył się w oknach sali rozpraw niczym obraz wyświetlany na ekranie. Oczy smoka mrugały jak żółte latarnie, a z nozdrzy i gęby sączyły się serpentyny dymu. Na jego grzbiecie siedział okrakiem Questor Thews. Szare, porwane szaty zwisały z niego paskami, a siwe włosy i broda całe pokryte smugami popiołu rozwiewały się na wietrze. Oczy czarodzieja również zdradzały zauroczenie cudownością tej chwili.

Ben miał ochotę wyć z radości na ich widok.

Wtem Martin wyszeptał:

– Wielki Boże! – odezwał się głosem małego dziecka i wyjątkowa chwila minęła.

Wszyscy na raz zaczęli się ruszać i krzyczeć. Wilson i drugi zastępca zbliżali się przejściem, wciąż pochyleni, sięgali po pistolety i wołali do wszystkich, aby padli na ziemię. Ben im odkrzyknął, aby nie strzelali i znowu spojrzał na Questora Thews, który szybko zakreślał

palcami koła, potem ponownie na zastępców, którzy ze zdumieniem patrzyli na bukiety stokrotek, znajdujące się tam, gdzie jeszcze przed chwilą mieli pistolety. Korytarz przylegający do sali stał się nie przebytą dżunglą, bezdenną Afryką od podłogi do sufitu, i Michel Ard Rhi oraz jego ludzie, rozpaczliwie próbując uciec, odkryli, że wyjście jest zablokowane. Elizabeth szybko im się wyrwała i pobięła przywitać się z Abernathym, szlochając i mówiąc coś o czerwonym nosie i Michelu i o tym, że jej strasznie przykro. Willoughby ciągnął i szarpał Milesa, jak gdyby Miles mógł go jakoś wyrwać z tego koszmaru, a Miles na próżno starał się odepchnąć od siebie tego człowieka.

Wtem, niespodziewanie, Strabo zmienił swoją pozycję. Jego olbrzymi ogon począł wirować jak kula do rozwalania murów i uderzył w rząd okien, burząc połowę ściany i rozbijając na kawałki szkło i drewno ram. Do wnętrza wniknęła noc, wiatr i chłód, odgłosy samochodów z ulicy i statków z doków oraz światła pobliskich wieżowców, które teraz zdawały się być stokrotnie powiększone.

Ben padł na podłogę, Miles został rzucony na siedzenia galerii, a Abernathy i Elizabeth zostali pchnięci sobie w ramiona.

– Strabo! – krzyknął Michel Ard Rhi, rozpoznając smoka.

Smok wpłynął przez otwór do wnętrza niczym sterowiec i siadł na podłodze sali rozpraw, łamiąc ławy obrońców, stanowiska dla reporterów i część furtki.

– Holiday! – wysyczał, wysuwając język spomiędzy pociemniałych końców swoich zębów. – Ależ ten twój stary świat jest brzydki!

Martin, Willoughby, Wilson, drugi zastępca, Michel Ard Rhi i jego ludzie wspinali się jeden na drugiego, próbując zejść z drogi smokowi, ale nie mogli przebić się przez ścianę liści, które blokowały drzwi sali rozpraw. Strabo spojrzał w ich kierunku, jego szczęki rozwarły się i nagle w stronę całej piątki strzelił strumień pary. Mężczyźni zaczęli wyc z przerażenia i nurkować w poszukiwaniu schronienia między ławami galerii. Smok zaśmiał się i mlasnął językiem.

– Wystarczy już tej zabawy! – wrzasnął na smoka Questor Thews. Czarodziej zaczął schodzić z pleców smoka.

Ściągnąłeś mnie tutaj wbrew mojej woli, zmusiłeś do ratowania człowieka, którym gardzę, człowieka, który ma to, na co zasłużył, jest ofiarą swego ryzykanctwa, a teraz jeszcze zabraniasz mi niewielkiej przyjemności, jaką może dostarczyć ta bezsensowna wyprawa! – obruszył się Strabo i machnął ogonem, zmiatając kolejny rząd siedzeń galerii. – Jesteś nieznośny, Questorze Thewsie! Questor zignorował go.

– Panie! – Czarodziej zbliżył się i wziął w objęcia Bena. – Dobrze się czujesz?

– Questorze, nigdy nie czułem się lepiej! – wykrzyknął Ben, waląc tamtego po plecach z taką siłą, że nieomal go przewrócił. – I nigdy nie byłem bardziej szczęśliwy z czyjś przybycia! Nigdy!

– Nie mogłem znieść myśli, że możesz być tutaj choćby chwilę dłużej, panie – oświadczył poważnie Questor. Wyprostował się. – Pozwól, że ci coś wyznam, właśnie tu i teraz.

Ten cały nieszczęśliwy wypadek, to była moja wina. To ja wszystko zepsułem i ja muszę wszystko naprawić.

Odwrócił się i jego oczy spoczęły na Abernathym.

– Stary przyjacielu! – zawołał do niego. – Wyrządziłem ci poważną szkodę. Przepraszam cię za to. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Abernathy zmarszczył nos z niesmakiem.

– Questorze, nie ma czasu na te głupstwa! – Czarodziej przybrał zmartwiony wyraz twarzy. – Och, na Bo... No dobrze! Przebaczam ci! Wiedziałaś, że to zrobię! A teraz, do licha, zabierz nas stąd!

Questor zauważył jednak Michela Ard Rhi.

– Ooo, witam, Michel! – zawołał w stronę końca galerii, gdzie tamten przykucnął za rzędem ławek. Uśmiechnął się szeroko, po czym kątem ust wyszeptał pytanie do Bena: – Co tu się właściwie dzieje?

Ben szybko zaspokoił jego ciekawość. Powiedział mu, co Michel zrobił Abernathy'emu i co próbował zrobić im wszystkim.

Questor pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Zdaje się, że Michel nie zmienił się ani trochę. Jest wciąż tym samym wstrętnym facetem co zwykle. Szczęśliwe Landover, że się go pozbyło. – Wzruszył ramionami. – Cóż, to wszystko jest bardzo ciekawe, ale obawiam się, że musimy już jechać, królu. Podejrzewam, że czary, których użyłem, aby odciąć ten pokój, nie potrwają zbyt długo. Magia nigdy nie odnosiła zbyt dużych sukcesów na tym świecie. – Przez chwilę badał owoc pracy swoich rąk w tym pokoju, potem westchnął. – To jest o wiele lepsze od przeciętnej ściany lasu, którą potrafię wyczarować, nie sądzisz? Jestem z tego dumny.

– Wiesz, zawsze mi dość dobrze szło z roślinami.

– Jesteś utalentowanym ogrodnikiem – przyznał Ben. Jego oczy były utkwione na Michelu Ard Rhi. – Słuchaj, Questorze, co do mnie, to im szybciej nas stąd zabierzesz, tym lepiej, ale musimy zabrać ze sobą Michela. Wiem – dodał pośpiesznie, widząc przerażenie na jego twarzy – że myślisz, iż zwariowałem. Co się jednak stanie z Elizabeth, jeśli go zostawimy?

Questor ściągnął brwi. Prawdę mówiąc, nie zastanawiał się nad tym.

– Ojej! – powiedział.

Elizabeth, stojąca nie opodal w przejściu, najwyraźniej miała podobne myśli.

– Abernathy! – błagała, szarpiąc go za rękaw. Kiedy spojrział na nią, jej oczy wydały mu się wielkie jak talerze. – Proszę, nie zostawiaj mnie! Nie chcę tu zostawać. Chcę jechać z tobą.

Abernathy pokręcił głową.



– Elizabeth, nie możesz...

– Ależ Abernathy, proszę! Bardzo chcę! Chcę nauczyć się czarów, latać na smokach i bawić się z Willow, i zobaczyć zamek, w którym...

– Elizabeth...

– ...Ben jest królem i czarodziejską krainę, i wszystkie te dziwne istoty, wszystko, ale nie zostawiaj mnie tutaj, nie z Michelem, nawet jeśli mój tata powie, że wszystko będzie dobrze, to wiem, że nie będzie...

– Ale ja nie mogę ciebie zabrać!

Patrzyli na siebie z cierpieniem na twarzach. Nagle Abernathy pochylił się i z całych sił objął dziewczynkę, czując po chwili, jak ona obejmuje jego.

– Och, Elizabeth! – wyszeptał.

Na zewnątrz, w dużej odległości, rozległy się syreny. Miles chwycił Bena za rękę.

– Musisz zaraz stąd uciekać, doktorku, albo możesz w ogóle się stąd nie wydostać. – Pokręcił głową. – Wciąż mi się wydaje, że to tylko szalony sen. Zielone wróżki, gadające psy, a teraz smoki! Myślę, że obudzę się jutro i będę się zastanawiał, co dzisiaj wypilem! – Potem się uśmiechnął. – To nie ma zresztą znaczenia. – Spojrzał na smoka, który zjadał kawałek ławy sędziowskiej. – Nie żałuję ani minuty z czasu, który z wami spędziłem!

Ben uśmiechnął się.

– Dzięki, Miles. Dziękuję, że cały czas byłeś ze mną. Wiem, iż to nie było łatwe, zwłaszcza, że tyle dziwnych rzeczy zdarzyło się naraz. Któregoś dnia zrozumiesz. Kiedyś wrócę i ci wszystko opowiem.

Miles położył mu rękę na ramieniu.

– Trzymam cię za słowo, doktorku. Teraz już jedź. I nie martw się o tutejsze sprawy. Zrobię dla tej dziewczynki, co będę mógł. Obiecuję, że znajdę sposób, żeby wszystko uporządkować.

Gdy Miles mówił, Questor przyglądał się Elizabeth i Abernathy'emu. Teraz odezwał się.

– Uporządkować! – wykrzyknął. – To mi podsuwa pewną myśl! – Obrócił się i ruszył przejściem tam, gdzie Michel i pozostali chowali się za siedzeniami galerii. – Chwileczkę – pomruczał do samego siebie czarodziej. – Chyba wciąż pamiętam, jak to się robi. Acha!

Wypowiedział półgłosem kilka słów, dodał kilka krótkich gestów i wskazał po kolei na Wilsona, drugiego zastępcę szeryfa, dwóch ludzi Michela, na Martina i w końcu na Lloyda Willoughby'ego z firmy Sack, Saul i McQuinn. Na ich twarzach natychmiast pojawił się dość błogi grymas, usiedli na podłodze i pogrążyli się we śnie.

– Właśnie! – Questor z animuszem zatarł ręce. – Kiedy się obudzą, będą bardzo wypoczęci i to wszystko wyda się im dość mglistym snem! – Uśmiechnął się promiennie do Bena. – To powinno nieco ułatwić królowi zadanie!

Ben spojrział na Mileasa, który nieufnie patrzył na nieobecny wyraz twarzy Willoughby'ego.

Syreny wyły już pod budynkiem sądu, a światło reflektora badało otwór wyrwany w murze.

– Questorze, musimy stąd zniknąć! – zawołał ostro Ben.

– Podniósł Willow i ujął ją w swoje ramiona. – Zabierz Michela i idziemy!

– Och, nie, panie! – potrząsnął z uporem głową Questor. – Nie możemy dopuścić, aby Michel znowu chodził swobodnie po Landover! Za dużo mieliśmy z nim kłopotów, gdy był tam ostatnim razem. Myślę, że lepiej mu będzie tutaj, w twoim świecie.

Ben zaczął protestować, ale Questor już zbliżał się do Michela, który stanął na nogi i opierał się plecami o ścianę sali rozpraw.

– Nie zbliżaj się do mnie, Questorze – warknął. – Wcale się ciebie nie boję!

– Michel, Michel! – westchnął ciężko Questor. – Zawsze byłeś żalonym wyjątkiem wśród książąt, i to się chyba wcale nie zmieniło. Zdecydowany jesteś sprawiać przykrość wszystkim ludziom wokół ciebie. Ja po prostu tego nie rozumiem.

– W każdym razie musisz się zmienić, nawet jeśli ja będę musiał ci w tym pomóc.

Michel przysiadł.

– Nie zbliżaj się do mnie, stary głupcze. Możesz oszukiwać swoimi magicznymi sztuczkami innych, ale nie mnie! Zawsze byłeś szarlatanem, pretensjonalnym czarodziejem, który nie potrafił nauczyć się prawdziwych czarów, śmiesznym klaunem, którego wszyscy...

Questor wykonał ruch, jakby zamierzał się toporem i słowa uwięzły w gardle Michela Ard Rhi, mimo że wciąż próbował mówić. Kiedy zdał sobie sprawę, co mu zrobiono, zachwiał się do tyłu przerażony.

– My wszyscy możemy się doskonalić w naszym życiu, Michel – wyszeptał Questor. – Ty się po prostu nigdy nie nauczyłeś, jak to robić.

Wykonał serię zawitych ruchów i powiedział coś po cichu. Z jego palców poleciała wstęga złotego pyłu i osiadła na Michelu Ard Rhi. Wygnany książę Landover cofnął się, potem zeszywniał, a jego oczy zdawały się dostrzegać coś bardzo odległego, coś czego nikt z pozostałych nie mógł zobaczyć. Odprężył się. W jego oczach odbijała się dziwna mieszanka przerażenia i zrozumienia.

Questor odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę przyjaciół.

– Powinienem być to zrobić już dawno temu – powiedział półgłosem. – To proste czary, ale bardzo skuteczne. Dość silne, żeby długo działać, nawet w tym barbarzyńskim świecie ludzi nie wierzących w czary.

Gdy doszedł do Abernathy'ego i Elizabeth, położył swoje sękaty dłonie na ramionach dziewczynki.

– Przykro mi, Elizabeth, ale Abernathy ma rację. Nie możesz pojechać z nami. Musisz zostać tutaj, ze swoim tatą i przyjaciółmi. To jest twój dom, nie Landover. Poza tym przemawia za tym jeszcze ważna racja, podobnie jak za większością rzeczy, które się zdarzają w naszym życiu. Nie

będę udawał, że dokładnie rozumiem, na czym ta racja polega, ale co nieco o niej wiem. Wierzysz w czary, prawda? Dlatego też tutaj się znalazłaś. Każdy świat potrzebuje kogoś, kto wierzy w czary. Dzięki temu nie zostaną one zapomniane przez tych, którzy w nie nie wierzą. – Nachylił się, aby pocałować ją w czoło. – Musisz zobaczyć, co się da zrobić, dobrze?

Ruszył dalej przejściem obok Bena.

– Nie martw się, królu. Zapewniam cię, że nie będzie już miała problemów z Michele Ard Rhi.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał Ben. – Co mu zrobiłaś?

Czarodziej jednak minął już bramkę i wspinał się z powrotem na smoka.

– Wyjaśnię to później, panie. Musimy w tej chwili wracać.

Ben zauważył, że ściana liści blokująca dostęp do sali rozpraw zaczyna znikać. Za chwilę wejście znowu będzie wolne.

– Uciekaj stąd, doktorku! – szepnął szorstko Miles. – Powodzenia!

Ben ścisnął przez chwilę kurczowo dłoń przyjaciela. Potem przeniósł Willow przez gruzy sali sądowej do miejsca, gdzie Strabo obracał się przodem ku otworowi w ścianie. Smok zmierzył go niechętnym spojrzeniem, syknął i ukazał wszystkie zęby.

– Przejedź się na mnie, Holidayu – zaprosił go złowróźnie – bo już więcej nie będziesz miał takiej okazji w swoim życiu.

– Strabo, nigdy się tego nie spodziewałem, że możesz przybyć – powiedział ze zdumieniem Ben.

– Nic mnie nie obchodzi, czego się spodziewałeś – warknął smok. – Tracisz tylko swój czas.

Ben ujął mocno Willow i zaczął się wspinać.

– Questor musiał dokonać cudu, żeby... – Przerwał, gdy do jego uszu dotarł nagle odgłos zbliżających się helikopterów.

Wargi Strabo skrzywiły się pogardliwie na dźwięk trzepoczących śmigieł.

– Co znaczą te hałasy? – syknął.

– Kłopoty – odpowiedział Ben i podciągnął się szybko do góry za Questorem. Sylfida otworzyła na moment oczy i z powrotem je zamknęła. Ben ścisnął jej ramiona i przyciągnął bliżej do siebie. – Pośpiesz się, Abernathy!

Elizabeth ponownie uścisnęła psa.

– Nadal chcę z wami jechać! – szepnęła z zawzięciem. – Naprawdę!

– Wiem – wyszeptał w odpowiedzi i szorstko się od niej uwolnił. – Przykro mi, Elizabeth. Zegnaj.

Pozostali wołali go. Był już przy połamanej furtce galerii, kiedy usłyszał dziki krzyk Elizabeth.

– Abernathy! – Odwrócił się od razu. – Wrócisz? Proszę! Wróc kiedyś!

Odczekał chwilę, po czym skinął głową.

– Obiecuję, Elizabeth.

– Nie zapomnij o mnie!

– Nie zapomnę. Nigdy.

– Kocham cię, Abernathy – powiedziała.

Uśmiechnął się, próbował coś odpowiedzieć, ale tylko oblizał swój nos i ruszył pędem dalej. Płakał, kiedy wciągnął się i usiadł tuż za Benem.

– Przepraszam, panie – powiedział po cichu.

– Do domu, smoku! – zawołał Questor Thews.

Strabo syknął w odpowiedzi i poderwał się nad zniszczoną salą sądową. Zerwał się wiatr i zawirował kurz wraz z pierwszym uderzeniem skrzydeł olbrzymiej bestii. Nieliczne światła w sali zaczęły migać, po czym zupełnie zgasły. Zdawało się, że smok wypełnia sobą całe nocne niebo. Postać z legend i opowieści czytanych do łóżka istniała naprawdę, jeszcze przez jedną chwilę, dla mężczyzny i dziecka, którzy na niego patrzyli. Potem wyleciała przez otwór w ścianie i zniknęła.

Miles podszedł przejściem do Elizabeth, która wpatrywała się w ciemność. Stał koło niej w milczeniu, uśmiechając się, gdy poczuł jej rękę szukającą jego dłoni.

Strabo wypadł z czwartego piętra budynku sądu przez otwór w ścianie i prawie się zderzył z helikopterem. Maszyna i bestia zmieniły kierunki, unikając kolizji, przecinając chłodne nocne powietrze i wąskie promienie kilku reflektorów ustawionych na ziemi. Żadne z nich nie było pewne, z czym się spotkało, gdyż oba stanowiły jedynie ciemny kształt na tle miasta. Zamieszanie było widoczne. Helikopter z rykiem silnika wspiął się ku niebu i zniknął. Strabo opadał między budynkami, wyrównując lot.

Rozległy się krzyki ludzi na ulicach.

– Do góry, smoku! – Questor wołał jak oszalały.

Strabo wzbił się ponownie w górę między dwoma wysokimi budynkami. Z jego pokrytej łuską skóry zaczęła się wydobywać para. Ben i jego towarzysze przywarli do niego, jak gdyby od tego zależało ich życie, choć czary Questora przywiązały ich bezpiecznie do swoich miejsc. Zza rogu budynku wypadł z rykiem helikopter z zapalonymi reflektorami, a za nim pojawił się następny. Strabo ryknął.

– Powiedz mu, aby nie używał na nich swego ognia! – krzyknął Ben do Questora, wyobrażając sobie płonące samoloty i budynki oraz Milesa i Elizabeth w więzieniu.

– On nie może! – odkrzyknął Questor, nachylając głowę. – Jego moc magiczna jest w tym świecie ograniczona, podobnie jak moja! Ma niewiele ognia i musi go oszczędzać, jeśli mamy powrócić!

Ben o tym zapomniał. Strabo potrzebował swego ognia, aby otworzyć z powrotem przejście do Landover. W ten sam sposób wyniósł ich z Abaddonu, kiedy zostali tam schwytani przez demony.

Skrećali i robili nagle uniki, lecz helikoptery wciąż za nimi podążały. Strabo wykręcił za róg budynku i pomknął w kierunku zatoki. Mijali pod sobą nabrzeża, przystanie i mola, stocznie z suchymi dokami, kontenerami i olbrzymimi dźwigami, wyglądającymi jak dinozaury o wydłużonych szyjach, oraz wiele statków różnych rozmiarów i kształtów. Daleko przed nimi zamajaczyło na horyzoncie pasmo masywnych gór.

Poniżej mrugały i błyszczały światła miasta.

Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd, porażając ich swoją bliskością. Strabo wzdrygnął się, skręcił w lewo i zaczął się wznosić. Ben zmrużył oczy. Z tyłu za nimi ukazało się coś ogromnego, mrugając czerwonymi i zielonymi światłami, i zaczęło szybko zniżać lot.

– Odrzutowiec! – wrzasnął ostrzegawczo Ben. – Uważaj, Questorze!

Questor krzyknął coś do Strabo i smok skoczył w bok w tej samej chwili, gdy olbrzymi samolot przeleciał obok nich lotem nurkującym. Ryk silników i przeraźliwy gwizd wiatru zatopili wszystkie inne dźwięki w białej ciszy.

Strabo jeszcze raz zawrócił, odsłaniając szerniałe zęby i ruszył z powrotem do miasta.

– Zawracaj! – ryknął Questor. – Leć do góry, smoku! Zabierz nas do domu!

Strabo był zbyt rozjuszony, aby go posłuchać. Chciał zmierzyć się z tym kimś lub z czymś. Z nozdrzy buchały mu strumienie pary, a z gardła dobywały się dziwne, groźne dźwięki.

Minął ponownie port i napotkał helikoptery. Ryknął, zachęcając przeciwnika do walki, a między jego szczękami zapłonął czerwony ogień.

Ben był bliski obłądu.

– Zawróć go, Questorze! Jeśli zużyje cały swój ogień, zostaniemy tutaj uwięzieni na zawsze!

Questor krzyknął ostrzegawczo na smoka, ale Strabo go zignorował. Leciał prosto na helikoptery, runął między nie tak, że musiały jak oszalałe nagle rozjechać się na boki, aby uniknąć zderzenia, a potem popędził ponownie w gąszcz miejskich budynków. Światła reflektorów przecinały niebo w poszukiwaniu smoka. Ben mógłby przysiąc, że słyszał krzyk ludzi. Był pewien, że słyszał odgłosy strzelania. Niech Bóg ma ich w opiece, pomyślał. Strabo leciał na oślep.

Wtem, gdy już się wydawało, że sprawy wymknęły się spod kontroli, smok się opamiętał. Wydawszy krzyk, po którym zapanowała martwa cisza, Strabo wystrzelił ku górze.

Ben, Questor, Abernathy i Willow zostali rzućeni do tyłu.

Poczuł rozdzierający pęd wiatru przenikający ich chłodem i grożący zrzućeniem z grzbietu bestii. Dźwięk i obraz zniknęły w wirze ruchu. Ben wstrzymał oddech i czekał, aż ich wszystkich rozerwie. Tak zakończy się cały ten pościg, pomyślał. Rozerwie ich po prostu na kawałki. Nie

miał co do tego cienia wątpliwości.

Mylił się. Strabo ryknął po raz drugi i zionął strumieniem ognia. Powietrze zdawało się topnieć, a niebo otwierać. Pojawił się przed nimi postrzępiony otwór, czarny i pusty, w który w chwilę później wlecieli.

Pochłonęła ich ciemność. Niebawem błysnęło światło i uderzyła ich fala gorąca. Ben zamknął oczy, potem powoli znowu je otworzył.

Kilka kolorowych księżyców i poważnych, mrugających gwiazd rozjaśniało noc wziętą jakby z dziecięcego obrazka.

Wokół nich wznosiły się ściany gór, a pomiędzy urwistymi szczytami i wielkimi, milczącymi drzewami zwiastuny mgły bawiły się w chowanego.

Ben z westchnieniem ulgi wypuścił powoli powietrze.

Byli w domu.

## KOREK

Mała grupa spędziła pozostałą część nocy na zachodnim stoku doliny, trochę na północ od Serca. Ulokowali się w gaju z drzewami owocowymi, gdzie rosła również garstka klonów o czerwonych liściach. Woń jagód i jabłek mieszała się w chłodzie nocnego powietrza z zapachem kory i soku drzew liściastych. Zewsząd dochodziło brzęczenie cykad i odgłosy świerszczy, a nocne ptaki nawoływały się z różnych stron i cała dolina szeptała w najdelikatniejszej tonacji, że wszystko jest już w porządku. W taką noc sen był starym i dobrym przyjacielem. Przyszedł bez trudu do wszystkich znękanych i utrudzonych członków grupy, z wyjątkiem jednego.

Jedynie Ben Holiday czuwał. Nawet Strabo zasnął, zwinięty w pewnej odległości od pozostałych, ukryty w płytkim rowie. Ale nie Ben. Sen i tak by do niego nie przyszedł. Oparł się plecami o Willow i czekał świtu, umęczony i niespokojny.

Sylfida była teraz drzewem. Rozpoczęła transformację zaraz po zniesieniu jej z grzbietu smoka, z trudem zachowując świadomość. Spróbowała uspokoić Bena krótkim ściśnięciem jego dłoni i trwającym tylko chwilę uśmiechem i zaraz potem zaczęła się przeistaczać. Ben nie zaznał jednak spokoju. Pozostał przy niej i pragnął, aby to, co słyszał, nie okazało się tylko grą jego wyobraźni. Jej oddech stawał się coraz wyraźniejszy, głębszy i miarowy. Wiedział, że wierzyła w moc swej przemiany. Bez względu na rodzaj choroby, która wyniszczyła ją w jego starym świecie, bez względu na charakter trucizny, która ją zaatakowała, ziemia jej własnego świata musi ją wyleczyć. Może tak, może nie, pomyślał Ben. Widział już wcześniej efekty takiej transformacji, ale to było kiedyś. Wciąż trwał na straży pełnej niepokoju.

Mimo to próbował się zdrzemnąć na parę chwil, zamknął oczy i pozwolił, aby go ogarnął błogi wypoczynek. Jego myśli były jednak ponure i zapowiadały przerażające sny. Nie mógł wyrzucić z pamięci wspomnienia tego, jak niewiele brakowało, a mogliby tutaj nie wrócić. Nie mógł zapomnieć poczucia bezradności, którego doświadczył w pustej sali sądowej, kiedy pozbawiono go wszelkich możliwości wyboru, gdy czuł się jak adwokat, któremu wyczerpały się wszelkie argumenty. Nie potrafił sobie wybaczyć, że tak całkowicie utracił kontrolę.

Noc szeptała mu do ucha pytania. Jak daleko odszedł od siebie, rezygnując ze starego życia w zamian za nowe? Ile musiał poświęcić, aby na nowo znaleźć cel w życiu? Pewnie tak dużo, że zaczął tracić tożsamość.

Zatopiony w jakimś półśnie, poddawał się przepływowi zmiennych ataków samoobwiniania i rozważania możliwych wariantów zdarzeń, trapiiony przez demony, które sam powołał do życia. Wiedział, że powinien odsunąć je od siebie, nie potrafił jednak znaleźć na to sposobu. Mocował się z nimi bezradnie, a każde nowe spotkanie rodziło nowy ból i wątpliwości. Zbyt łatwo było go zranić. Nie potrafił się bronić.

Był zupełnie bezwolny.

Kiedy wreszcie światło zaczęło zakradać się do ciemnych zakątków jego świadomości, niebo od wschodu zaczęło się rozjaśniać, a noc gasła już na zachodzie, zorientował się, że udało mu się zasnąć, choć na krótko. Wyrwany z nierównego snu, zaczął błędzić oczami za Willow. Znalazł ją śpiącą obok.

Jej ciało miało ponownie silny, szmaragdowy kolor. W cudowny sposób została przywrócona do życia. W jego oczach pojawiły się łzy, ale otarł je z uśmiechem. Nareszcie demony zaczęły umykać i znowu poczuł odrobinę nadziei, która pomogła mu zrozumieć, kim jest i z powrotem ująć w dłonie linki kierujące jego życiem.

Stanął zatem przed czymś, czego ostrożnie unikał przez całą tę noc – perspektywą konfrontacji z Nocnym Cieniem i z Mroczniakiem. Widmo takiego spotkania czaiło się na krawędzi jego podświadomości od momentu, gdy Questor powiedział mu po wylądowaniu, co się stało z butelką. Starannie unikał myśli o tym, lecz teraz nadszedł czas, aby się tym zająć. Nie mógł tej sprawy już dłużej odkładać. Wszystko, co się wydarzyło wcześniej w czasie długiego poszukiwania medalionu i Abernathy'ego, okazałoby się zupełnie niepotrzebne, gdyby raz na zawsze nie znalazł sposobu na pozbycie się tej przeklętej butelki. Znaczyło to, że musi stawić czoło Nocnemu Cieniowi. A to może go kosztować utratę życia.

Siedział na polanie. Robiło się coraz jaśniej. Czuł coraz szybsze pulsowanie poranka. Lenistwo nocnego snu zaczynało powoli ustępować. Jego ręka powędrowała do twarzy Willow i musnęła delikatnie palcami jej skórę. Poruszyła się, ale nie obudziła. Jak sobie poradzić z tym, co musi być zrobione? – zastanawiał się. Jak ma odebrać Nocnemu Cieniowi butelkę, aby można było demona z powrotem umieścić w naczyniu? Opuściły go nareszcie wątpliwości i obawy, ich żądła zostały usunięte. Był w stanie myśleć jasno i wyraźnie, w pragmatycznych kategoriach. Zdał sobie sprawę, że znowu musi się stać Paladynem, błędnym rycerzem, alter ego królów Landover, przerażającym molochem z żelaza, który zdawał się rościć sobie coraz więcej prawa do jego duszy, za każdym razem, gdy żądał jego pomocy. Przeszył go dreszcz pod wpływem fali zmiennych uczuć, które wzbudziły w nim te myśli. Będzie potrzebował siły Paladyna, aby oprzeć się czarom wiedźmy, nie mówiąc już o demonie. Questor Thews na pewno mu, pomoże.

Najważniejszym pytaniem było jednak to, czy poradzą sobie we dwóch? Zapominając nawet na chwilę o Nocnym Cieniu, jak mają pokonać Mroczniaka? Czy w ogóle może ktoś pokonać istotę, której moc zdaje się nie mieć granic?

Ben Holiday siedział sam na polanie ożywionej blaskiem poranka i dumał nad tą zagadką. Gdy pozostali zaczęli się budzić, on wciąż się zastanawiał, lecz poszukiwane rozwiązanie wydawało się tak nierealne jak śnieg latem.

Był przeto mile zaskoczony, gdy w połowie śniadania, podczas którego przede wszystkim się upewniał, czy Willow czuje się dobrze, odpowiedź przyszła sama.



Zaskoczyło go również, gdy po śniadaniu Strabo im zaproponował, że zawiezie ich wszystkich na północ do Wielkiej Czeluści. Nie musiał tego robić. Propozycja smoka nie miała nic wspólnego z tym, że czuł się zobowiązany pomagać im dalej lub że Questor miał wciąż nad nim władzę. Obce mu było poczucie odpowiedzialności, jak i troski o powodzenie ich wysiłków. Zrobił to, ponieważ zależało mu, aby być przy tym, jak Holiday i Nocny Cień walczą z sobą. Chciał po prostu obejrzeć świetne widowisko. Czyjaś rozlana krew załagodziłaby jego rozdrażnienie spowodowane tym, że został wciągnięty do tego konfliktu. Miał tylko nadzieję, że oboje, wiedźma i król, wykrwawią się w bitwie, która ma nastąpić.

– Jesteś moim dłużnikiem, Holiday! – oznajmił smok z jadowitym sykiem, gdy zaproponował Benowi zawieszenie go na jego własny pogrzeb. – Już drugi raz ocaliłem twoją nic nie wartą skórę i drugi raz nic mi nie dajesz w zamian! Jeśli Nocny Cień wyprawi cię na tamten świat, dług będę uważał za spłacony! Pomyśl o tym, ile wycierpiałem dla ciebie! Zostałem zaatakowany, Holiday, ścigały mnie metalowe latające obiekty, polowano na mnie światłami, krzyczano na mnie i grożono mi, mój organizm został zanieczyszczony truciznami, których nawet nie znam, a spokój mego umysłu bezmyślnie przerwany! – Wziął długi oddech. – Wyrażę to w inny sposób. Uważam cię za najbardziej irytującą, przykrą istotę, jaką kiedykolwiek miałem nieszczęście spotkać i tęsknię za dniem, kiedy już ciebie nie będzie!

Powiedziawszy to, nachylił się, aby obiekt jego drwin mógł się wspinać na niego. Ben spojrzał na Questora, który wzruszył ramionami i powiedział:

– Czegóż można oczekiwać od smoka?

Willow i Abernathy również wsiedli na niego. Uparli się towarzyszyć Benowi. Ben twierdził, że to niezbyt dobry pomysł, z uwagi na niebezpieczeństwa, na jakie się narażają ze strony wiedźmy i demona. Nie chcieli go jednak słuchać.

– Nie po to doznawałem przykrości w lochach zamku Graum Wythe oraz odczułem niestałość charakteru Michela Ard Rhi, aby teraz zostać odsuniętym! – oznajmił dość gniewnie pisarz. – Zamierzam przyglądać się tej sprawie aż do jej właściwego zakończenia! Poza tym – obruszył się – potrzebujesz kogoś, kto będzie patrzył na ręce czarodziejowi!

– Ja również nie zamierzam zostawać – dodała pośpiesznie Willow. – Czuję się już dobrze i możesz mnie potrzebować.

Już ci kiedyś powiedziałam, Ben: co ma się przydarzyć tobie, niech przydarzy się również mnie.

Te argumenty niezbyt przekonały Bena. Przecież żadne z nich nie wykurowało się w pełni po trudach wyprawy i nie mogło nic pomóc przy załatwianiu spraw z Nocnym Cieniem i z Mroczniakiem. Wiedział jednak, że cokolwiek powie, to i tak nie zmieni ich decyzji, więc postanowił, że łatwiej będzie zabrać ich ze sobą, niż próbować zmusić do zostania. Pokręcił głową. Sprawy nigdy chyba nie układały się dokładnie tak, jak by tego sobie życzył.

Unieśli się ku niebu na grzbiecie smoka, opuszczając gaj drzew owocowych i klonów, który służył im za nocne obozowisko, zostawiając za sobą Serce z jego rzędami flag, słupów i wypolerowanych dębowych ławek oraz odległą wyspę z zamkiem Sterling Silver. Minęli wyżynne tereny południa i znaleźli się nad równinami i łąkami północy. Lecieli tak długo, aż Greensward został z tyłu, a przed nimi wyrosła ściana Melchoru. Wtedy Strabo obniżył lot, szybując leniwie nad ciemną, pokrytą mgłą niecką Wielkiej Czułości, przypuszczalnie po to, aby Nocny Cień nie przeoczyła ich i usiadł w końcu na małym skrawku łąki w niewielkiej odległości od krawędzi kotliny.

Ben i jego towarzysze zjechali po grzbiecie smoka na dół, spoglądając ukradkiem w kierunku obrzeża domu wiedźmy.

Mgła wirowała ospale w bezwietrznym powietrzu południowej pory, jakby poruszana niewidzialną dłonią, a cisza maskowała oznaki wszelkiego życia, które mogło czekać na dole.

Powietrze było duszne i cuchnące, a chmury zbiły się w grubą warstwę nad górami. Na wschodzie światło słoneczne rozjaśniało ziemię, a tutaj wszystko było okryte szarym płaszczem mgły.

Oznaki upadku, obecne w momencie przyjazdu Bena na Landover, znowu się pojawiły. Liście usychały i wyglądały na chore, całe połacie lasów i zagajników były czarne. Dzieło zniszczenia rozchodziło się od Wielkiej Czułości coraz bardziej na zewnątrz, jak tylko wzrokiem sięgnąć, jak gdyby jakaś choroba wypełzła z kotliny i zaczęła trawić wszystko dokoła rozszerzającymi się coraz bardziej kręgami.

– Odpowiednie miejsce dla twojego zgonu, Holiday! – szydził smok, nachylając się bliżej. – Dlaczego nie zabierzesz się do dzieła?

Rozwinął skrzydła, wzbił się w powietrze i poleciał w stronę gór, sadowiąc się wygodnie przy kamieniołomie, skąd nic nie zasłaniało mu widoku na kotlinę.

– Ostatnio jest nie do zniesienia – powiedział spokojnie Questor.

– Trudno mi uwierzyć, że kiedyś był inny – powiedział Ben.

Willow i Abernathy'ego Ben ulokował w zniszczonym zagajniku krzewów bonnie blues, w pewnej odległości od miejsca, w którym stali, błagając ich, aby pozostali niewidoczni do czasu rozwiązania konfliktu z czarownicą i demonem. Nie spodziewał się, że wezmą pod uwagę jego usilne prośby, ale musiał przynajmniej próbować.

Wrócił do Questora i rozmawiał z nim cichym głosem, wyjaśniając po raz pierwszy swój plan rozprawienia się z Mroczniakiem. Questor zastanowił się, po czym oznajmił:

– Panie, myślę, że to może być dobre rozwiązanie.

Ben uśmiechnął się lekko.

– Znaleźć rozwiązanie to jedna sprawa, ale umieć je zastosować, to druga. Rozumiesz mnie, prawda? To jest bardzo niebezpieczne, Questorze. Trzeba się dokładnie trzymać planu. Wiele

zależy od ciebie.

Poważna twarz Questora patrzyła z namaszczeniem.

– Rozumiem. Nie zawiodę cię.

Ben skinął głową.

– Wystarczy, jak nie zawiedziesz samego siebie. Jesteś gotów?

– Tak, królu.

Ben odwrócił się twarzą w stronę Wielkiej Czeluści i zawołał:

– Nocny Cieniu! – Imię odbiło się echem i powoli ucichło.

Ben odczekał chwilę, a potem jeszcze raz zawołał. – Nocny Cieniu! – I znowu imię rozplynęło się w ciszy. Wiedźma nie pojawiała się. Stojący obok niego Questor przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

Wtem z kotliny podniósł się kłęb czarnej mgły, wrząc i pieniać się, aż osiadł na wysuszonej trawie przy krawędzi zapadliny. W końcu czarownica się pojawiła. Stała we mgle w szatach czarnych jak jej włosy, o białej twarzy i dłoniach, groźna, ponura i odpychająca mara. W jednej dłoni trzymała kurczowo znajomą butelkę, której pomalowana powierzchnia lśniła w szarym powietrzu.

– Marionetkowy król! – szepnęła, wydając z siebie syk.

Wolną ręką wyciągnęła z butelki korek. Na powierzchnię wypełził Mrocznik, pokazując swoje pomarszczone, ciemne ciało pająka, długie jak kij i owłosione. Błysnęły jego czerwone oczy, a palce zwinęły się na krawędzi butelki. – Widzisz, mój najdroższy? – zapytała miękko wiedźma i wskazała palcem. – Widzisz, kto przychodzi, aby nas trochę rozerwać?

Ani Ben, ani Questor, nie poruszyli się. Stali jak posągi czekające na to, co się stanie. Mrocznik skradał się po szyjce butelki jak niespokojny kot, szukający czegoś tu i tam, szepcząc i sycząc słowa, których nikt prócz wiedźmy nie mógł usłyszeć.

– Tak, tak – uspokajała go cały czas, pochylając się teraz. – Tak, demoniku, to właśnie oni! – W końcu podniosła wzrok.

Wolną dłonią wsunęła korek do kieszeni i palcami pogłaskała łaszącego się demona. – Chodźcie pobawić się z nami, królu i nadworny czarodzieju! – zawołała. – Chodźcie się bawić! Przygotowaliśmy dla was wspaniałą zabawę! No, podejdźcie bliżej!

Ben i Questor zostali na miejscu.

– Oddaj nam butelkę, Nocny Cieniu – rozkazał spokojnie Ben. – Nie należy do ciebie.

– Wszystko, czego chcę, należy do mnie! – zaskrzeczała wiedźma.

– Ale nie butelka.

– Zwłaszcza butelka!

– Wezwę Paladyna, jeśli zmusisz mnie do tego – zagroził Ben, wciąż spokojnym głosem.

– Wzywaj, kogo tylko chcesz. – uśmiechnęła się leniwie i złośliwie. Potem powiedziała

półgłosem: – Ależ z ciebie głupiec, królu-marionetko!

Mroczniak nagle pisnął, skoczył w górę i pchnął w ich stronę swoje małe palce. Momentalnie poleciał na nich huragan ognia i żelaznych odłamków, przecinając lekko zamglone, popołudniowe powietrze. Questor jednak już odpowiadał, nie raniąc nikogo. Dłoń Bena była już przy medalionie. Palce zacisnęły się wokół metalowej powierzchni i ciepło zaczęło falami wypełniać jego ciało. Jakies dziesięć metrów od nich zamigotało światło i pojawił się Paladyn, biały rycerz na białym rumaku, duch przybywający spoza czasu. W medalionie zapłonął ogień, po czym odpłynął przez mgłę i szarość do miejsca, gdzie duch przybrał swoją formę. Ben poczuł, jak przesuwają się w świetle, niesiony jego oślepiającą jasnością niczym pyłek kurzu, unoszony ze swego ciała, jakby pozbawiony był ciężaru. Wtem znalazł się wewnątrz żelaznej skorupy i przemiana po chwili się zakończyła. Żelazna zbroja zamknęła się wokół niego, klamry, paski i sprzączki zacisnęły się, a uprząż porządnie dopięła. Wspomnienia Bena Holidaya zniknęły, a na ich miejscu pojawiła się pamięć Paladyna – wspomnienia niezliczonych bitew, w których walczył i zwyciężał, obrazy niewyobrażalnych zmagania, krwi i żelaza, odgłosy krzyków i płaczu. Wypełniło go mieszane uczucie ożywienia i przerażenia; Paladyn czekał niecierpliwie na następną walkę, a Ben Holiday czuł wstręt na samą myśl o zabijaniu.

Po chwili czuł tylko żelazo i skórę, mięśnie i kości, konia pod sobą i broń blisko siebie – ciało i duszę Paladyna.

Szermierz króla ruszył w kierunku Nocnego Cienia i Mroczniaka.

Kopia z białego dębu dopasowała się do jego dłoni.

Jednakże wiedźma i Mroczniak zaczęli już stapiać swoją nienawiść i czarną magię, aby powstało coś, co mogłoby się oprzeć Paladynowi. Z kotliny za nimi wyszła istota zrodzona z zielonego ognia i pary i zaczęła uwalniać się pazurami z wnętrza mgły. Była olbrzymia, niezdarna i tak biała jak sam Paladyn.

Był to jakby drugi Paladyn.

Questor Thews oniemiały patrzył na to zza tarczy swoich czarów. Nigdy nie widział podobnego monstrum. Było czystą perwersją, połączeniem czegoś, co przypominało olbrzymiego, krępego jaszczura z jeźdźcem zakutym w zbroję, dwukrotnie większym od błędnego rycerza, uzbrojonym w dziwną, powykręcaną broń, splecioną z kości i żelaza. Wyglądało to tak, jakby jakieś niesamowicie wypaczone lustro rzuciło wykoślawiony obraz Paladyna, jak gdyby obraz ten został odbity w najbardziej ohydny sposób i obdarzony życiem.

Monstrualne stworzenie odwróciło się od krawędzi kotliny i ruszyło ospale na spotkanie Paladynowi.

Pierwsze starcie zaowocowało piorunującym trzaskiem.

Zgrzytnęło żelazo, charczenie i krzyk oznajmiły ból i gniew bestii. Otarli się o siebie i minęli. Za nimi unosił się tylko kurz i fruujące kawałki broni. Paladyn zawrócił, odrzucając

resztki swojej kopii, i sięgnął po topór bojowy. Stworzenie wiedźmy i demona zatrzymało się, obróciło i wydawało się, że zaczyna pęcznieć, rosnąc jakby karmione siłą konfliktu, aż po chwili górowało nad wszystkim.

Oczy wszystkich skupiły się na stworzeniu.

Questor Thews wykonał nieznaczny ruch rękami. Jego ciało jakby zamigotało, zniknęło, potem znowu się pojawiło, lecz wyglądało teraz jakoś dziwnie półprzezroczystie. Nikt tego nie zauważył.

Paladyn zaatakował, wymachując toporem. Nocny Cień i Mroczniak zasilili stworzenie połączonymi mocami magicznymi, aż piszcząc z radości, gdy jeszcze trochę spuchł, po czym stanął na tylnych nogach i czekał. Był teraz wielki jak dom, jak góra mięsa podobna do ślimaka. Paladyn rzucił się do przodu. Stworzenie też ruszyło, chcąc zgnieść atakującego przeciwnika. Ziemia drgała pod każdym jego stąpieniem.

Paladyn zdołał obok niego przemknąć, prując toporem grubą skórę bestii. Rana jednak prawie natychmiast się zamknęła.

To magia powołała to monstrum do życia, a ona nie podlega ani prawom ludzkim, ani prawom przyrody.

Tym razem Paladyn powrócił z wyciągniętym mieczem.

Błyszczące ostrze cięło i siekało ze straszliwą pasją, zostawiając czerwone linie wzdłuż boków bestii. Jednak rany zamykały się tak szybko, jak tylko powstawały i stworzenie wciąż robiło wypady, czekając na okazję. Wiedźma i Mroczniak nie przestawali pomagać monstrum. Twarz wiedźmy wyrażała zachwyty. Drobne ciało demona było napięte jak struna. Magia płynęła od nich falami, karmiąc i trzymając stworzenie przy siłach. Widać było, że ataki bestii stanowiły coraz większe zagrożenie dla rycerza. Wiedzieli, że to już nie potrwa długo.

Z ukrycia, poprzez przerzedzone krzewy bonnie blues, Abernathy i Willow obserwowali bitwę w ciszy. Widzieli, jak walka się rozwija i byli w stanie przewidzieć, jak się zakończy.

Nagle zdarzyło się coś dziwnego.

Stworzenie odchyliło się do tyłu i zaczęło kurczyć.

Wzdrygało się jak porażone trucizną. Pierwszy zobaczył to Mroczniak. Demon pisnął z wściekłości, nie wierząc własnym oczom, opadł w dół wzdłuż czarnych szat Nocnego Cienia i wyrzucił przed siebie swoje pajęczce ramiona, aby dokarmić swego pupila dodatkową dawką magicznej mocy. Istota jednak nie reagowała. Wciąż się kurczyła, cofając przed ciosami miecza Paladyna, potykając się i chwiejąc na nogach.

Powoli uchodziło z niej życie.

Teraz zobaczyła to i wiedźma. Wrzasnęła z wściekłości, a potem odwróciła się nagle w stronę Questora Thewsa.

Ogień, ciemny jak noc, poleciał z jej rozłożonych rąk i otoczył czarodzieja. Questor Thews

wybuchnął, zamieniając się w słup dymu i popiołu. Willow i Abernathy'emu z przerażenia zaparło dech w piersiach. Czarodziej zniknął.

Istota jednak wciąż się kurczyła. Teraz zaczęło się dziać coś dziwnego również z Mroczniakiem. Zgiął się w pół i począł się wić na ziemi u stóp Nocnego Cienia, skręcając się, jak gdyby ta sama trucizna, która zatrula stworzenie, zatrula również jego. Krzyknął coś do wiedźmy, która nachyliła się, aby go wysłuchać.

– Butelka, moja pani! – mówił. – Butelka została zatkana! Nie mogę dotrzeć do mocy magicznej! Nie potrafię żyć!

Nocny Cień wciąż w jednej dłoni trzymała butelkę. Spojrzała na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi. Butelka się nie zmieniła, nie była zniszczona, jej korek był wyciągnięty, a szyjka otwarta. Czemu więc ten demon krzyczy?

Nie opodał stworzenie, które powstało dzięki czarom wiedźmy i demona, wydało swoje ostatnie tchnienie i rozsypało się w proch. Paladyn zmielił je kopytami swego rumaka i obrócił się raz jeszcze. Wiedźma spoglądała znad butelki, zupełnie nie wiedząc, co robić. Paladyn ruszył na nią.

W tym momencie pomyślała, żeby sięgnąć na dół i sprawdzić otwór butelki. Niebieski ogień czarodziejki zaiskrzył i oparzył ją. Poderwała palce do góry.

– Questor Thews! – Willow usłyszała jej wściekły wrzask.

Mroczniak ledwo się ruszał, trzymając się kurczowo jej rękawa. Wiedźma warknęła, ścisnęła butelkę za szyjkę i przygotowywała się do posłania własnego zaklęcia, które miałyby utworzyć drogę do wnętrza.

Spóźniła się. Paladyn był już prawie na niej.

Wtem Questor Thews nie wiadomo skąd jakby eksplodował tuż przed samą wiedźmą. Pochwycił butelkę, zanim Nocny Cień mogła nawet pomyśleć, co zrobić, i szybko z nią uciekł.

Czarownica krzyknęła raz i w tej samej chwili, gdy rzuciła się za czarodziejem, dopadł ją Paladyn.

W miejscu zderzenia wystrzelił ogień.

Willow i Abernathy porzucili swoją kryjówkę pośród krzewów bonnie blues i biegli do Questora i Bena, krzywiąc się od hałasu i gorąca. Wydawało się, że ogień błysnął wszystkimi kolorami i kształtami, i nagle eksplodował niczym gejzer, zmieniając się w szarą mgłę.

Po chwili wszystkie fruwające kawałki opadły, a Nocny Cień i Paladyn zniknęli. Questor Thews klęczał, trzymając kurczowo obie dłonie na otworze butelki, patrzył z kamienną twarzą, jak Mroczniak się wije na osmalonej ziemi i zamienia się w proch.

Ben Holiday wrócił do własnej postaci, czując zawroty głowy i ciepło bijące od medalionu na piersi. Zaczął się chwiać, ale była już przy nim Willow, przytrzymując go w pionie, a obok niej Abernathy, który zdobył się na uśmiech, mówiąc:

– Wszystko w porządku. Wszystko już za nami.

Czwórka przyjaciół siedziała w spokoju na polu bitwy i rozmawiała o tym, co się wydarzyło.

Czarownicy już nie było. Czy została zniszczona przez Paladyna, czy też uciekła, aby powrócić kiedy indziej, nikt tego nie wiedział. Potrafili sobie przypomnieć moment uderzenia – migotanie światła i widzianą w przelocie twarz wiedźmy. To było wszystko. Woleli się nie zakładać, czy widzieli ją po raz ostatni.

Strabo również zniknął. Wzniósł się do nieba prawie dokładnie w tej samej chwili, gdy zakończyła się bitwa, a szybując na wschód, nie obejrzał się ani razu za siebie. Mogli się tylko domyślać, o czym myślał. Byli pewni, że nie ostatni raz widzieli smoka.

Mroczniak, mieli nadzieję, zniknął na dobre.

Skoro wszelkie bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Ben mógł wyjaśnić Willow i Abernathy'emu, w jaki sposób została rozwiązana zagadka Mroczniaka.

– Tajemnica tkwiła w butelce – powiedział Ben. – Mroczniak mieszkał w butelce i nigdy na długo jej nie opuścił, nawet kiedy miał pełną swobodę. Musiał zatem istnieć między nimi jakiś logiczny związek. W innym wypadku demon, któremu zawsze zależało, żeby go wypuszczać na zewnątrz, porzuciłby swoje więzienie i poszedłby swoją drogą. Pomyślałem więc: a może on nie może opuścić butelki, może stamtąd czerpie swoją siłę, może moc magiczna pochodzi z butelki, a nie od demona, a demon zostaje w butelce, ponieważ musi, jeśli wciąż chce korzystać z czarów. Im więcej o tym myślałem, tym więcej widziałem w tym sensu.

– W związku z tym król mi zasugerował – włączył się z ożywieniem Questor – że skoro moc magiczna pochodzi z butelki, to zamknięcie butelki pozbawi Mroczniaka sił.

Trudność polegała na tym, aby zrobić to w ten sposób, żeby Nocny Cień nie wiedziała, co się stało, a następnie zabrać jej butelkę, zanim będzie mogła cokolwiek uczynić. – Ben ponownie odzyskał kontrolę i mógł kontynuować wyjaśnienia. – Kiedy więc Paladyn był zajęty walką z Mroczniakiem i wiedźmą, Questor użył czarów, aby zmniejszyć siebie i wśliznąć się do szyjki butelki. Stał się korkiem. Pozostawił na zewnątrz swój wizerunek tak, aby Nocny Cień nie wiedziała, co on knuje. To, co zniszczyła, kiedy się domyśliła, że to Questor kryje się za utratą czarów, było tylko obrazem.

– Mogliście nas przynajmniej o tym uprzedzić! – przerwał rozgorączkowany Abernathy. – Śmiertelnie nas przestraszyliście tą sztuczką! Myśleliśmy, że stary... Myśleliśmy, że został usmażony!

– Questor zablokował butelkę – kontynuował Ben, nie zważając na wybuch emocji pisarza. – To odcięło źródło mocy Mroczniaka, a własną moc magiczną Nocnego Cienia uczyniło bezużyteczną, gdyż była ona skupiona na butelce. Wszystko przebiegało tak, jak myśleliśmy. Zanim czarownica się domyśliła, co się stało, było już za późno. Stwór nie żył, demon był za

słaby, aby pomóc, a Paladyn zwał się na wroga.

– Questor zaskoczył wiedźmę, wyskakując przed nią w pełnym rozmiarze i porywając butelkę. Nie była w stanie nic zrobić.

– Nie przewidziała, oczywiście, w jakim stopniu zatkanie butelki może się odbić na Mroczniaku – ponownie wtrącił się Questor. – Demon czerpał nie tylko moc magiczną z butelki, ale również siły konieczne do życia. Pozostawiony na zewnątrz nie mógł przeżyć.

Cała czwórka spojrzała na mały kopczyk prochu, znajdujący się jakieś cztery metry od nich. Zerwał się lekki wiaterek i zaczął powoli rozwiewać kurz.



## POWRÓT DO DOMU

W Seattle zbliżało się południe. Miles Bennett siedział na lotnisku SeaTac i czekał na przylot samolotu z Chicago. Na pokładzie miał być ojciec Elizabeth. Odnalezienie go i zorganizowanie jego powrotu zajęło Milesowi prawie cały weekend. Po wylądowaniu mieli jechać do Graum Wythe i rozpocząć niezbędne przygotowania do rozporządzenia majątkiem Michela Ard Rhi.

Miles wyjrzał przez okna budynku lotniska na szare, zachmurzone niebo. To śmieszne, jak się potoczyły sprawy.

Obok niego siedziała Elizabeth i czytała książkę. Miała na sobie czarno-żółtą spódniczkę i bluzkę, a na oparciu siedzenia obok niej wisiała jej dżinsowa kurtka. Była pogrążona w lekturze i nie zdawała sobie sprawy, że ją obserwuje.

Uśmiechnął się.

Na jego kolanach leżały egzemplarze „Seattle Times” i „Post Intelligencer”. Zaczął je leniwie przeglądać. Przeczytał już nagłówki i wstępy artykułów chyba z dziesięć razy, ale za każdym razem znajdował coś nowego. Wydarzenia z nocy Halloween były już tak dla niego odległe, że z trudem mógł uwierzyć, iż brał w nich udział. Było to prawie tak, jakby czytał o czymś, co przydarzyło się komuś innemu. Wydawało mu się, że jest to jedno z tych zagranicznych doniesień, które, jak się wydaje, nie mają wiele z nami wspólnego.

Ale to, oczywiście, nie była prawda – nie było to doniesienie zagraniczne i dotyczyło również jego.

Nagłówki były bardzo podobne. „Najazd goblinów na Seattle w noc Halloween”, „Duchy Seattle robią psikusy w miejskim ratuszu”, „Walki duchów nad zatoką Elliott”.

Podtytuły donosiły o tajemniczym zawaleniu się części budynku sądu, referowały wypowiedzi policjantów, strażaków, różnych urzędników miejskich oraz zwykłego człowieka z ulicy, na temat tajemniczego zjawiska oraz dziwnego stanu, w jakim znaleziono kilku prawników i pracowników biura szeryfa w sali sądowej, która po tej nocy wyglądała, jak gdyby rozegrała się tam III wojna światowa.

Artykuły zamieszczone poniżej podawały szczegóły sprawy. W piątkowy wieczór Halloween w związku z doniesieniem o wybuchu do budynku sądu w centrum Seattle została wezwana policja oraz straż pożarna. Po przybyciu na miejsce stwierdzono istnienie wyrwy w ścianie budynku na czwartym piętrze. Nie powiodły się próby dotarcia na piętro od wewnątrz. Podawano różne tego przyczyny. Kilka relacji, których nie należy brać poważnie, mówiło o obfitej roślinności, która później całkowicie zniknęła. Wezwano helikoptery. Ostatecznie strażacy przedarli się do wnętrza i zastali prawie całą salę rozpraw zniszczoną i pozbawioną muru zewnętrznego. Kilka osób pracujących w budynku znajdowało się „w stanie oszołomienia”, lecz nikt nie został poważnie ranny.

Na dole strony i w środku gazety znajdowały się artykuły o tym, co widziano tego wieczoru na niebie. To był smok, twierdzili niektórzy, przekonani o tym. Latający talerz, mówili inni. Powrót hord szatana, przysięgali nieliczni. Tak, coś tam było, zgodzili się piloci helikoptera, który ścigał i był ścigany przez ów obiekt. Nie wiedzieli jednak, co to właściwie było.

Mógł to być jakiś nowoczesny samolot, którym ktoś się zabawiał z nimi, teoretyzował urzędnik miejski. Pewnie, a może było to jedno z tych bliskich spotkań, które biorą swój początek w knajpach w piątkowy wieczór, dowcipkował inny.

Nadejście Boże Narodzenie i zaczniemy widywać Świętego Mikołaja.

Ho, ho, pomyślał Miles.

Były wywiady, w których zadawano pytania naukowcom, teologom, posłom i urzędnikom państwowym i wszyscy byli szczęśliwi, że mogą się podzielić swymi opiniami. Żadna z nich, oczywiście, nie była bliska prawdy.

Miles skończył czytać wywiady i popatrzył na pierwszą stronę działu „Północny wschód” w niedzielnym wydaniu „Timesa”. Znalazło się tam zdjęcie Graum Wythe i tytuł, który głosił: „Milioner przekazuje stanowi w darze swój zamek”.

Poniżej zaczynał się artykuł:

*Milioner, pan Michel Ard Rhi, ogłosił na dzisiejszej konferencji prasowej, że swoją posiadłość przekazuje stanowi Washington do wykorzystania ich w charakterze parku i terenów rekreacyjnych.*

*Na rzecz konserwacji i rozwoju obiektów zostanie ustanowiony fundusz. Pozostała część majątku pana Ard Rhi, skromnie oceniana na trzysta milionów dolarów, zostanie przekazana różnym organizacjom charytatywnym na całym świecie. Pan Ard Rhi oznajmił, iż zamek Graum Wythe przekształca w muzeum sztuki. Będą w nim wystawione dzieła, które gromadził przez lata. Zostanie otwarty do publicznego zwiedzania. Przygotowaniami do udostępnienia obiektów zajmie się jego rządca, którego nazwisko nie ujawniono.*

*Pan Ard Rhi, samotnie żyjący przedsiębiorca, który – jak się uważa – większą część swojej fortuny zarobił na handlu nieruchomościami i na handlu zagranicznym, poinformował dziennikarzy, że zamierza się wycofać z życia zawodowego i osiąść na wybrzeżu stanu Oregon, aby zająć się pisaniem lub realizacją innych planów. Niewielka suma zostanie przeznaczona na zabezpieczenie jego potrzeb.*

Artykuł zajmował jeszcze kilka akapitów i opisywał historię życia Michela Ard Rhi oraz reakcje wielu miejscowych, a także znanych w całym kraju dostojników. Miles przeczytał artykuł dwa razy i pokręcił głową. Co też Questor Thews zrobił temu człowiekowi?

Odłożył gazety na bok, przeciągnął się i westchnął. Szkoda, że nie ma tu już doktorka. Zbyt wiele pytań pozostawało wciąż bez odpowiedzi.

Siedząca obok niego Elizabeth podniosła nagle głowę znad książki. W jej niebieskich oczach pojawił się błysk. Zdawało się, że czyta w jego myślach.

– Myśli pan, że u nich wszystko w porządku? – zapytała.

Spojrzał na nią i skinął głową.

– Jasne, Elizabeth – powiedział. – Właściwie to jestem tego pewien.

Uśmiechnęła się.

– Ja chyba też.

– Nie znaczy to, że nie mamy się o nich martwić.

– Albo tęsknić za nimi. Ja bardzo tęsknię.

Miles wyjrzał raz jeszcze przez okna na szeroki pas drogi startowej, na majaczące w dali kłębowisko chmur, gór i nieba.

– Cóż, kiedyś wrócą – powiedział w końcu.

Elizabeth kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała.

W chwilę później z głośników ogłoszono lądowanie samolotu z Chicago. Miles i Elizabeth podnieśli się z miejsc i podeszli do okien, aby obserwować, jak zbliża się do terminalu.

Kilka tygodni później Ben Holiday i Willow wzięli ślub.

Zrobiliby to wcześniej, ale przy ślubie takim jak ich należało się trzymać pewnych reguł, a samo dowiedzenie się, na czym one polegają, zajęło im trochę czasu, nie mówiąc już o wprowadzeniu wszystkich zasad w życie w życie. Trudno przecież było znaleźć kogoś spośród żyjących, kto by pamiętał ślub króla Landover. Abernathy przekopał zatem materiały historyczne, a Questor Thews zasięgnął rady kilku starszych mieszkańców doliny i razem ostatecznie ustalili, jak to powinno być zorganizowane.

Tak naprawdę Bena nie interesowały formalności. Wiedział tylko tyle, że dużo czasu zajęło mu zrozumienie tego, co Willow wiedziała już od samego początku: że powinni być razem, złączeni w jedno jako mąż i żona, pan i królowa, i że cokolwiek ma być zrobione, aby tak się właśnie stało, powinni to zrobić. Kiedyś, nie tak wcale dawno temu, nie pozwoliliby sobie na takie uczucia. Uważałby je za zdradę swojej miłości do Annie. Ale Annie nie żyła już prawie od pięciu lat, a on w końcu pozwolił odpocząć jej duchowi. Teraz Willow była jego życiem. Kochał ją, wiedział od początku, że ją kocha, słyszał niezliczoną ilość razy o jej losie przepowiedzianym w momencie jej poczęcia i również od niej dowiedział się o wyroczni Matki Ziemi, że któregoś dnia urodzi mu dzieci.

Wciąż jednak nie chciał w to uwierzyć i się z nią związać.

Głównie dlatego, że się bał. Bał się wielu rzeczy: tego, że to wciąż nie jest jego miejsce, że nie jest odpowiednią osobą na króla Landover, i że któregoś dnia po prostu stąd odejdzie, wróci do świata, z którego kiedyś tak bardzo pragnął uciec.

Spełnienie marzeń przekroczyło jego oczekiwania i obawiał się, że za mało ma do zaofiarowania.

Teraz też się obawiał i nie mógł się pozbyć tych obaw.

Ale to inny strach sprawił, że w końcu zdecydował się na Willow. Był to lęk przed tym, że ją straci.

Już dwa razy ją prawie utracił.

Nie chodziło tutaj o ten pierwszy raz, gdy niewiele brakowało, a straciłby ją zaraz po przyjeździe do Landover. Wtedy wszystko było zbyt świeże i nie potrafił zapomnieć jeszcze o Annie.

Tu chodziło o ten drugi raz, kiedy przybyła z nim na jego stary świat i gdy musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Pojechała z nim nie dlatego, że musiała, ale dlatego, że kochała go tak mocno, iż była gotowa dla niego umrzeć. Wiedziała, że taka podróż narazi ją na niebezpieczeństwo, ale zignorowała to ryzyko, ponieważ wiedziała, że on może jej potrzebować.

Właśnie to zadecydowało o jego wyborze. Kochała go tak bardzo. Czy on nie kochał jej równie mocno? Czy chce ryzykować jej utratę, zanim jeszcze spróbuje, jak by im się żyło w małżeństwie? Przynajmniej tyle dzielił z Annie. Czy nie chce dzielić tego również z Willow?

Każdy głupiec odpowiedziałby prawidłowo na te pytania. A Ben Holiday nie był przecież głupcem.

Nic więcej nie było do powiedzenia, żadnych innych decyzji nie trzeba było podejmować. Ślub odbył się w Sercu. Przyjechali wszyscy: Władca Rzek, jak zawsze niespokojny w obecności swego dziecka, gdyż Willow wciąż przypominała mu za bardzo swoją matkę, a on wciąż szukał sposobu na pogodzenie mieszanych uczuć, które w nim budziła; czarodziejskie istoty z krainy jezior, z których jedne wyglądały prawie jak ludzie, inne były zaledwie nikłymi cieniami przemykającymi pośród gałęzi drzew; Władcy Greenswardu, Kallendbor, Strehan i pozostali, wraz ze swoimi orszakami i świtą, niespokojna grupa, która nie ufała nikomu, a już najmniej sobie nawzajem, ale ponieważ dbała o pozory, więc przybyła i rozłożyła się obozami obok siebie; trolle i koboldy z odległych gór na północy i na południu; gnomy dodomy, Phillip i Sot w straży przedniej, dumni ze swojej roli, jaką odegrali w doprowadzeniu do tego ślubu, choć opinie na ten temat były różne; zwykli ludzie z chat i zagród, sklepów i wsi: rolnicy, kupcy, myśliwi, traperzy, handlarze, przekupnie, rzemieślnicy i wszelkiego pokroju robotnicy.

Pojawił się nawet Strabo. Przeleciał nad głowami w czasie uczty, która nastąpiła po ceremonii zaślubin, ziejąc ogniem w niebo i przypuszczalnie mając trochę radości z tego, że kobiety i dzieci wciąż uciekają i krzyczą na jego widok.

Ceremonia ślubu była bardzo prosta. Ben i Willow stali pośrodku Serca, na podium królów Landover, i wyznali sobie nawzajem, a także wszystkim zgromadzonym, że siebie kochają, że będą dla siebie dobrzy i że zawsze będą pomagali sobie w potrzebie. Questor Thews wyrecytował kilka archaicznych tekstów ślubowań, które być może były przed wielu laty powtarzane przez królów i królowe, i uroczystość się zakończyła.

Goście ucztowali i pili przez cały dzień i całą noc, i kolejny dzień, ale w zasadzie wszyscy zachowywali się dobrze. Kłótni było niewiele, a jeśli jakieś się pojawiły, to zaraz je uciszano. Ci z Greenswardu i ci z krainy jezior siedzieli obok siebie i dyskutowali o wznowieniu współpracy. Trolle i koboldy, które wołały trzymać się własnego towarzystwa, wymieniły podarunki. Nawet gnomy dodomy, gdy wychodziły, zabrały tylko kilka psów.

Zdaniem Bena i Willow wszystko przebiegło jak należy.

Dopiero po kilku dniach, kiedy życie powróciło do normalnego stanu, Ben przypomniał sobie, że miał zapytać Questora o to, co zrobił Michelowi Ard Rhi. Siedzieli w sali zamku Sterling Silver, która mieściła materiały dotyczące dziejów Landover. Był to przepastny gabinet, w którym zawsze było duszno i pachniało pleśnią i gdzie próbowano interpretować stare prawa własności ziemskiej. W środku znajdowali się tylko oni. Był późny wieczór i uporano się już z wszystkimi dziennymi zajęciami. Ben sączył wino z kieliszka i myślał o tym, co się wydarzyło przez te ostatnie kilka tygodni. Potem pomyślał o Michelu i nagle przypomniał sobie, że Questor nigdy nie dokończył swoich wyjaśnień.

– Co ty mu zrobiłeś, Questorze? – powiedział z naciskiem, po tym, jak już na raz zadane mu pytanie odpowiedział tylko wzruszeniem ramion. – Powiedz mi wreszcie, co mu zrobiłeś? Skąd wiedziałeś, jaki rodzaj czarów użyć? Pamiętam, jak mówiłeś, że posługiwanie się magią na tamtym świecie jest dość niepewne i że nie zawsze przynosi oczekiwane rezultaty.

– Cóż... tak rzeczywiście jest z większością czarów – zgodził się Questor.

– Ale nie z czarami, których użyłeś na Michelu?

– Och, tamte czary były tylko dla efektu. Niewiele potrzeba było prawdziwych czarów.

Zatkało to Bena.

– Jak możesz mówić coś takiego? On był... był...

– Generalnie mówiąc wykolejony, jeśli dobrze przypominasz sobie całą historię – dokończył Questor. – Pamiętasz, to mój przyrodni brat był w głównej mierze odpowiedzialny za uczynienie z niego tak przykryj osoby.

Ben zmarszczył czoło.

– Więc co zrobiłeś?

Questor ponownie wzruszył ramionami.

– Trzeba było jedynie przestawić jego system wartości, królu.

– Questorze!

– No dobrze. – Czarodziej westchnął. – Przywróciłem mu jego sumienie.

– Co zrobiłeś?

Wypuściłem to biedactwo stamtąd, gdzie je Michel zamknął. Posłużyłem się magią, aby je powiększyć i zapewnić mu najważniejsze miejsce w jego myślach. – Questor uśmiechnął się. – Wina, którą poczuł, musiała być nie do zniesienia! – Ponownie się uśmiechnął. – Aha, zrobiłem jeszcze jedną małą rzecz. Umieściłem w jego podświadomości drobną sugestię. – Wzniósł do góry brwi i wyglądał jak kot, który przed chwilą pożarł kanarka. – Zasugerowałem mu, że jeśli chce odpokutować za swoje winy, to powinien natychmiast wszystko rozdać. W ten sposób zabezpieczyłem się przed tym, że jeśli czary się wyczerpią, zanim sumienie przejmie nad nim stałą kontrolę, to będzie już za późno, aby zawrócić bieg wydarzeń.

Ben uśmiechnął się szeroko.

– Questorze, czasami mnie naprawdę zdumiewasz.

Poważna twarz czarodzieja zmarszczyła się. Przez chwilę patrzyli na siebie z rozbawieniem, ciesząc się z doskonałego dowcipu.

Nagle Questor podskoczył.

– O Boże! Prawie bym zapomniał! Mam coś nowego, co naprawdę wprawi cię w zdumienie, panie. – Zmusił siebie, żeby ponownie usiąść. Był wyraźnie podekscytowany. – A gdybym powiedział królowi, że znalazłem sposób, aby z powrotem zamienić Abernathy’ego? To znaczy naprawdę zamienić!

Patrzył na Bena z niepokojem i czekał.

– Mówisz poważnie? – zapytał w końcu Ben.

– Oczywiście, że tak.

– Zamienić go z powrotem? W człowieka?

– Tak, panie.

– Tak jak wcześniej?

– Och, nie, nie tak jak wtedy.

– Ale za pomocą czarów?

– Oczywiście, za pomocą czarów!

– Czy sprawdzałeś już na czymś? To znaczy te czary?

– Cóż...

– Na czymkolwiek?

– Cóż...

– Więc to wciąż tylko teoria?

– Teoria dobrze opracowana, królu. Powinno się udać.

– Ben pochylił się do przodu, aż ich głowy prawie się stykały.

– Powinna, tak? A czy mówiłeś o tym Abernathy’emu? Czarodziej pokręcił głową.

– Nie, panie. Pomyślałem... że... może król mógłby? Zapadła długa chwila ciszy. Potem Ben powiedział półgłosem:

– Myślę, że żaden z nas jeszcze nie powinien mu tego mówić. Zgadzasz się? Jeszcze nad tym trochę popracuj i dopiero wtedy mu powiemy.

Questor zmarszczył brwi, potem zmrużył oczy, myśląc intensywnie.

– Cóż... może król ma rację.

Ben podniósł się i położył dłoń na jego ramieniu.

– Dobranoc, Questorze – powiedział. Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju.